

Nie zadzieraj z Molly Murphy!

**RHYS BOWEN**

*Milczysz, moja śliczna...*



NOIR SUR BLANC

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym



RHYS BOWEN

MILCZYSZ,  
MOJA ŚLICZNA...

Przełożyła  
Joanna Orłoś-Supeł

NOIR SUR BLANC



# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24  
Rozdział 25  
Rozdział 26  
Rozdział 27  
Rozdział 28  
Rozdział 29  
Rozdział 30  
Rozdział 31  
Rozdział 32  
Rozdział 33  
Rozdział 34  
Rozdział 35  
Rozdział 36  
Rozdział 37  
Rozdział 38  
Rozdział 39  
Rozdział 40  
Rozdział 41  
Rozdział 42  
Postscriptum

Przypisy

Tytuł oryginału: TELL ME, PRETTY MAIDEN

Opracowanie redakcyjne: MIROSŁAW GRABOWSKI

Korekta: AGATA NOCUŃ, JAN JAROSZUK

Projekt okładki: WITOLD SIEMASZKIEWICZ

Skład i łamanie: PLUS 2 Witold Kuśmierczyk

Fotografie na okładce:

© H. Armstrong Roberts/ClassicStock/Corbis/Fotochannels

© Detroit Publishing Company

Copyright © 2008 by Rhys Bowen

For the Polish edition

Copyright © 2018, Noir sur Blanc, Warszawa

ISBN 978-83-65613-73-8

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.

ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa

e-mail: [nsb@wl.net.pl](mailto:nsb@wl.net.pl)

księgarnia internetowa: [www.noirsurblanc.pl](http://www.noirsurblanc.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)



*Dedykuję synowi Dominicowi, który próbuje sił w trudnej branży muzycznej. Musicale to jego pasja. Może kiedyś, mój drogi, zobaczymy się na Broadwayu.*

*Jak zawsze słowa podziękowania dla Johna, Clare i Jane za nieocenioną pomoc redakcyjną.*

*Milczysz, moja śliczna.*

*Powiedz mi, proszę,*

*Dlaczego twoje imię*

*Głęboko w sercu noszę.*

Musical *Florodora*, Broadway 1901

*Nowy Jork, grudzień 1902*

Nie czułam nóg z zimna. My, Irlandczycy, jesteśmy znani z tego, że lubimy koloryzować, ale naprawdę nic a nic nie przesadzam. Buty miałam całkowicie przemoczone, a palce u stóp zmarznięte na kość. Rozsądek podpowiadał, że powinnam natychmiast wracać do domu, ale przecież nigdy nie byłam rozsądna. W dodatku właśnie rozpoczęłam nowe śledztwo, a dobry detektyw nie opuszcza stanowiska pracy tylko dlatego, że nie chce mu się stać na mrozie.

Zima przyszła do Nowego Jorku z nienacką, zaraz po Święcie Dziękczynienia. Przykryła miasto grubą kołdrą śniegu i całkowicie sparaliżowała ruch uliczny. Trochę to zajęło, nim odgarnięto śnieg i mieszkańcy mogli przynajmniej poruszać się slalomem pomiędzy ogromnymi lodowymi górami. Przed ostrym wiatrem od strony Hudsonu nie chroniły nawet grube ubrania. Zresztą tego wieczoru nie miałam na sobie nic ciepłego; przed wyjściem z domu włożyłam zwykłą kurtkę, getry i buty. Włosy schowałam pod czapkę i specjalnie ubrudziłam sobie twarz. Chciałam wyglądać jak uliczny łobuziak.

Nowe zlecenie polegało na tym, że miałam śledzić pewnego mężczyznę. Nie tak dawno temu przekonałam się na własnej skórze, że samotne kobiety, które kręcą się po mieście, często podejrzewa się o prostytutkę. Nikt natomiast nie zwraca uwagi na bezdomnych chłopaczków, od których wprost roi się w Nowym Jorku. Na wszelki wypadek zabrałam ze sobą miotłę i postanowiłam udawać, że zamiatam ulicę, podczas gdy tak naprawdę czekałam i obserwowałam.

W pewnym momencie dostałam nawet od przechodniów dwadzieścia centów, ale przecież nie o to mi chodziło. Śledzony mężczyzna wciąż nie opuszczał mieszkania, a ja nie byłam przygotowana na długie czekanie. Powoli zaczęłam dochodzić do wniosku, że żadna praca nie jest warta zapalenia płuc. Zlecenie wydawało się proste: bogata rodzina żydowska – Mendelbaumowie – poprosiła, bym sprawdziła wiarygodność młodego człowieka, który miał poślubić ich córkę. Kandydata wynalazła swatka, co w żydowskiej tradycji jest normą. Wydawało się, że Leon Roth ma wszelkie

zalety idealnego męża: wykształcenie zdobyte w Yale i spore dochody. Nowy Jork to, niestety, nie sztetl, gdzie wszyscy się znają i wszystko o sobie wiedzą. Mendelbaumowie martwili się o córkę i chcieli mieć pewność, że przyszły zięć nie ukrywa wstydlivych sekretów i jest tak majątny, jak deklaruje. Przyjęłam tę sprawę entuzjastycznie, bo nie pociągała za sobą wielkiego ryzyka ani też żenującego prania brudów, do którego zazwyczaj dochodzi przy sprawach rozwodowych. Dodatkowo wynagrodzenie było niezwykle kuszące. Obiecano mi również, że dostanę dobre referencje, jeśli moja praca zyska uznanie zlecniodawców.

Zaczęłam od dyskretnej rozmowy w miejscu pracy pana Rotha, czyli w pewnej firmie transportowej, gdzie dowiedziałam się, że wszyscy wysoko oceniają jego kompetencje i wróżą mu błyskotliwą karierę. Nie udało mi się jeszcze poznać stanu konta kandydata na zięcia państwa Mendelbaumów, ponieważ zupełnie nie wiedziałam, jak się do tego zabrać. Postanowiłam więc skupić się na zbadaniu jego moralności i sprawdzić, czy dobrze się prowadzi. Dlatego stałam teraz na czatach pod jego domem. Mieszkał całkiem niedaleko ode mnie, w apartamencie hotelowym na Piątej Alei. Nie była to najbardziej elegancka część ulicy, jak ta przy Central Parku, gdzie mieszkają Vanderbiltowie czy Astorowie, ale nieco dalsza – na południe od Union Square. Niegdyś okolica uchodziła za bardzo prestiżową, teraz okazałe kamienice z brązowego kamienia zostały podzielone na apartamenty i nie widywało się tu powozów. Wciąż ta część miasta uchodziła za porządną, ale już nie luksusową.

Podczas pierwszych dni obserwacji uznałam, że pan Roth bardzo pasuje do tego miejsca – on też wydawał się porządny, choć nie wyjątkowy. Szybko dowiedziałam się, jak spędza czas wieczorami – pewnego dnia podążyłam za nim do Knickerbocker Grill, gdzie wprawdzie spotkał się z innymi młodymi mężczyznami, ale nie pił nic prócz wody. Po kolacji towarzystwo udało się do teatru Manhattan na sztukę pod tytułem *Dom lalki* autorstwa norweskiego dramaturga, pana Ibsena. Sądząc po mrocznych plakatach, musiało to być dość ponure przedstawienie. Śledziłam również pana Rotha na zakupach w domu handlowym Macy's, gdzie nabył kapelusz z jedwabiu.

Już miałam poinformować państwa Mendelbaumów, że z czystym sumieniem mogą wydać córkę za mąż, gdy pewnego wieczoru młody człowiek wybiegł z domu podejrzanie szybko, a następnie wsiadł do tramwaju na Broadwayu. Uniosłam spódnice i w ostatnim momencie

wskoczyłam do wagonu. Wysiedliśmy razem na przystanku przy Czterdziestej Drugiej. Jak tylko znalazł się na ulicy, zaczął tak pędzić, że natychmiast zniknął w tłumie. W długiej spódnicy i halce niełatwo było mi biec między przechodniami. Trochę późna pora na teatr – pomyślałam. Na ulicach panował gwar, pełno było ludzi wychodzących z restauracji. Przed teatrami naganiacze wykrzykiwali tytuły przedstawień, sprzedawcy gazet zachwalali najbardziej chwytliwe nagłówki; roiło się od żebraków, domokrażców i ulicznych handlarzy wszelkiej maści. Co chwila trzeba było przystawać, bo śnieg zalegający na ulicach uniemożliwiał sprawne poruszanie się po mieście. Pan Roth kierował się na zachód. Podziwiając elektryczne oświetlenie pod markizami, które nadawało budynkom wesoły wygląd, minęłam teatr Victoria i wydało mi się, że po drugiej stronie Siódmej Alei, daleko przed sobą, zobaczyłam znajomy kapelusz. Czyżby pan Roth szedł w kierunku Hudsonu? To właśnie wtedy stałam się podejrzliwa. Oczywiście wciąż można było uznać, że jedynie spieszy się do teatru, ale nie widziałam już nigdzie dalej charakterystycznych reklam świetlnych. Szczerze powiedziawszy, tłum malał, a okolica stawała się coraz mniej przyjemna. Szłam ostrożnie. Chodziły plotki, że Czterdziesta Druga to nowa dzielnica uciech. Część prostytutek przeniosła się z burdeli na Lower East Side właśnie w te okolice i można je było spotkać w pobliżu teatrów i restauracji, w szczególności na zachód od Broadwayu. Przez chwilę chodziłam w tę i z powrotem, mając nadzieję, że mój znajomy wyjdzie z jakiegoś budynku albo że dostrzegę go w restauracji. Po chwili jednak zrozumiałam, że sama jestem obserwowana. Patrolujący swój rewir posterunkowy przyglądał mi się podejrzliwie.

– Czekasz na kogoś, panienko? – zapytał, wodząc palcami po pałce.

– Na brata ciotecznego – odparłam.

– To nie miejsce dla młodej dziewczyny, w dodatku o takiej porze – zauważył. – Zmykaj stąd, ale już, dopóki jesteś cała i zdrowa. Wyglądasz przyzwoicie, lecz gotów jestem zmienić zdanie, jeśli znów cię tu zobaczę.

Wzięłam sobie do serca jego słowa i wróciłam do domu. Kiedyś przesiedziałam w areszcie całą noc, oskarżona o prostytutkę, choć dzielnica, w której mnie zatrzymano, była porządniejsza niż okolice Czterdziestej Drugiej. W świetle prawa samotna kobieta po zmroku jest zawsze podejrzana, a ja nie chciałam spędzić nocy w więzieniu. Na Daniela nie mogłam obecnie

liczyć, ponieważ nadal był zawieszony w obowiązkach policjanta; wciąż czekał na proces, a ponadto obecnie przebywał poza miastem.

Wracając do domu, spotkałam dzieciaka, który odgarnął przede mną śnieg i błoto, żebym mogła przejść przez ulicę. Kiedy go mijalam, poprosił:

– Rzuci panienka jakiś grosz.

I wtedy wpadłam na pomysł z przebraniem. Właśnie miałam wysłać paczkę do Seamusa O’Connora i jego dzieci – Seamusa juniora, zwanego Szelmą, i Bridie. Mieszkali teraz na wsi, gdzie Seamus pracował na farmie, a Szelma pomagał w drobnych pracach domowych. Trudno było sobie wyobrazić dla nich lepsze życie – na prowincji żyło się zdrowiej i bezpieczniej niż w mieście. Tęskniłam za nimi strasznie! Brakowało mi Bridie, słodkiej przylepki, która często łąpała mnie za rękę, i Szelmy, który zbiegając po schodach, zawsze wołał: „Molly, znowu jestem głodny! Dasz mi chleba z dżemem?”.

Wśród ubrań, które dla nich dostałam po synu pewnej znajomej, były bryczesy i kurtka, wciąż o wiele za duże dla małego Seamusa. Przyszło mi do głowy, że powinnam je dobrze wykorzystać, zanim Szelma dorośnie. Tak więc następnego dnia zdobyłam czapkę z daszkiem, taką, jakie noszą sprzedawcy gazet, oraz parę starych butów ze straganu na Hester Street. I strój był gotowy. Kiedy wieczorem wznowiłam śledztwo, nie byłam już pięknie ubraną młodą damą, zwaną Molly Murphy, tylko jednym z tysiąca ulicznych łobuziaków, którzy w zamian za nędzny grosz zamiatają ulice.

Szkoda, że to zlecenie zbiegło się z tak wczesną zimą. Po kilku minutach poczułam przypływ współczucia dla dzieci, które noszą liche łachmany w taką pogodę. Szczerze powiedziawszy, najbardziej współczułam samej sobie. Gdyby nie to, że zdecydowanie byłam na tropie czegoś interesującego, natychmiast wróciłabym do domu.

Pan Roth znów spieszył na Czterdziestą Drugą. Tym razem udało mi się go nie zgubić i dotrzymać mu kroku aż do celu – bardzo zwyczajnej kamienicy pomiędzy Ósmą a Dziewiątą Aleją. Czekałam na zewnątrz. Minęła godzina, a on wciąż nie wychodził. Czterdziesta Druga to nie to samo co Elizabeth Street, gdzie dziewczęta stoją na zewnątrz w prowokujących pozach lub zaczepiają przechodzących mężczyzn. Przybytki w tej części miasta miały na drzwiach przybite dyskretne tabliczki z napisem FIFI albo MADAME BETTINA

i wyglądały jak zwyczajne kamienice z mieszkaniami lub biurami w środku. Ten konkretny budynek nie miał wprawdzie ani tabliczki, ani nawet kartki na drzwiach, lecz w głębi widziałam ciemne schody prowadzące nie wiadomo dokąd. Bałam się iść za mężczyzną na górę, bo dopadły mnie złe wspomnienia, kiedyś bowiem zostałam wciągnięta siłą do burdelu. Poza tym w obecnym przebraniu wyglądałam tak, że ktoś z mieszkańców na pewno wyrzuciłby mnie na zbity pysk. Powoli dochodziłam do wniosku, że postępuję bardzo nierozsądnie. Nie czułam nóg z zimna, bałam się, że je odmrozę. Wreszcie zobaczyłam, że pan Roth zbiega po schodach, a co więcej, w rękach ma dużą brązową paczkę. Szybkim krokiem poszedł na róg i zatrzymał powóz. Byłam zaintrygowana, bo nigdy nie słyszałam, żeby w burdelach klienci dostawali prezenty. Co jest w tej paczce? Nie mogę tak po prostu odejść – pomyślałam. Mimo ogromnego strachu wróciłam do drzwi i wspierałam się po słabo oświetlonych, obdrapanych schodach.

Kiedy na samej górze zobaczyłam pod drzwiami smugę światła, podeszłam blisko i zaczęłam nasłuchiwać. Żadnych dziewczęcych śmiechów, żadnych damskich głosów! Nic. Całkowita cisza. Po chwili jednak usłyszałam dźwięk, którego zupełnie się nie spodziewałam – głośny mechaniczny stukot. Ze zdziwienia omal nie zleciałam na dół. Ostrożnie uchyliłam drzwi. Przy maszynie do szycia siedział starszy mężczyzna. Na stole obok leżały bele materiałów i wzory. W głębi pomieszczenia stał manekin w garniturze. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że pan Roth był po prostu u krawca! Spróbowałam cicho zamknąć za sobą drzwi, ale było już za późno. Mężczyzna zauważył mnie i krzyknął głośno, robiąc przy tym taki gest, jakby chciał we mnie rzucić żelazkiem:

– Zmykaj stąd szybko, dzieciaku!

Uciekłam. Do domu wróciłam elką z Szóstej Alei. Policzki paliły mnie ze wstydu. Ależ ze mnie idiotka! My, Irlandczycy, słyniemy z tego, że robimy z igły widły. Przecież pan Roth był jedynie u krawca! Dobrze, że nikomu nie zwierzyłam się ze swoich podejrzeń. Nie opowiadałam na prawo i lewo, czym ostatnio się zajmuję. Nawiasem mówiąc, czułam się dość samotna. Daniel spędził Święto Dziękczynienia u rodziców w hrabstwie Westchester i jeszcze nie wrócił, a moje przyjaciółki i sąsiadki Elena Goldfarb i Augusta Walcott, znane jako Sid i Gus, pojechały do Vassar na spotkanie klasowe. Dlatego też ucieszyłam się z nowego zlecenia. Nie lubiłam być sama i siedzieć bezczynnie. Sid i Gus powinny już były wrócić, ale prawdopodobnie

przywiozły ze sobą przyjaciół, a ja nie chciałam im przeszkadzać. Jeśli chodzi o Daniela, to nie miałam pojęcia, kiedy może się pojawić w mieście. Pewnie nie tak szybko – pomyślałam. Być może zdecydował się w końcu porozmawiać z rodzicami na temat trudnej sytuacji, w jakiej się znalazł, a oni namówili go, żeby został dłużej i poczekał na wsi, aż wszystko się uspokoi i wyjaśni. Szkoda, że nie pofatygował się nawet, by mi napisać w liście o swoich planach. Mężczyźni są pod tym względem niereformowalni.

Zbliżałam się właśnie do rogu Szóstej, kiedy zobaczyłam dziwne zbiegowisko. Dwóch chłopaków stało naprzeciw siebie. Jeden z nich był długim chudzielcem mniej więcej mojego wzrostu, ten drugi, niższy, który wydawał się napastnikiem, krzychał dziecięcym głosem:

– No, zjeżdżaj stąd! To jest mój rewir! Spróbuj tylko tu wrócić, a oberwiesz. – Podniósł ręce w iście boksterskim geście.

Zatrzymałam się, żeby zobaczyć, jak rozwinie się ta kłótnia.

Wyższy chłopak tylko wzruszył ramionami.

– W porządku, Tommy – powiedział. – Twoje miejsce i tak mnie nie interesuje.

Zabrał swoją miotłę i odszedł. Nie wiedzieć czemu, postanowiłam za nim pójść. Dopiero po jakimś czasie zrozumiałam dlaczego. W jego chodzie zaintrygowała mnie pewna gracia, coś jakby dziewczęcego. Chłopcy poruszają się byle jak. Kopiają po drodze różne przedmioty. Ten szedł ostrożnie, drobiaz kroczył. Uśmiechnęłam się sama do siebie. To przecież dziewczyna w przebraniu! Zupełnie tak samo jak ja!



Zaintrygowana, próbowałam ją dogonić, przedzierając się przez tłum. Ciekawe, dlaczego przebrała się za ulicznego łobuziaka! Jedyna kobieta detektyw w Nowym Jorku, którą znałam – pani Goodwin, pracowała w policji i nosiła mundur. Postanowiłam nie stracić dziewczyny z oczu, dopóki nie nadarzy się okazja, żeby ją zatrzymać i zapytać, kim jest. Przynajmniej nie musiałam się obawiać, że coś mi zrobi. Mój sobowtór do walecznych najwyraźniej nie należał.

Doszliśmy do stacji elki. Nad głową słyszałam hałas zbliżającego się pociągu. Nieznajoma skierowała się w stronę schodów prowadzących na stację. Pobiełam za nią, ale po chwili się zorientowałam, że nie mam biletu. Ona wsiadła do pociągu, a ja zostałam w kolejce do kasy. Co za pech! Po raz drugi tego wieczoru byłam wściekła! Jeśli rzeczywiście jest koleżanką po fachu, mogłybyśmy połączyć siły i pomagać sobie nawzajem – pomyślałam. Bóg mi świadkiem, że ciężko jest kobietom w męskim świecie. W pracy detektywa czułam się czasem bardzo samotna.

Gęsta mgła spowijała małą uliczkę Patchin Place, przy której mieszkałam. Ostrożnie stapałam wąską alejką wytyczoną pomiędzy hałdami śniegu. Już sięgałam do kieszeni po klucz, kiedy zdałam sobie sprawę, że nie cieszy mnie perspektywa długiego wieczoru w pustym domu. Nigdy nie byłam typem samotnika. Marzył mi się wesoły ogień w kominku, coś ciepłego do picia i dobre towarzystwo. Wiedziałam, gdzie to wszystko znaleźć, ale nie śmiałam nachodzić sąsiadek o tak późnej porze. Co gorsza, miały przecież u siebie gości, którym jeszcze nie zostałam przedstawiona.

Dłuższą chwilę walczyłam ze sobą. W końcu przeszłam przez ulicę i zapukałam do drzwi. Otworzyła mi Sid w smokingu. Trzymała długą cygaretkę w fifce z kości słoniowej. Moja przyjaciółka – przedstawicielka bohemy artystycznej – wpatrywała się we mnie przerażonym spojrzeniem.

– Czego chcesz? – spytała. – Już mi stąd! Natychmiast.

– Sid, to ja. Molly – powiedziałam.

Uśmiechnęła się z niedowierzaniem.

– A niech mnie! Co robisz w tym przebraniu, na dodatek o takiej porze? Nie, nic nie mów. Gus też będzie ciekawa, a nasz gość padnie ze zdumienia,

jak cię zobaczy. – Chwyła mnie za rękę i wprowadziła do środka, a potem dramatycznym gestem otworzyła przede mną drzwi do salonu i zawołała: – Gus, nie uwierzysz! Elizabeth, przygotuj się na spotkanie z tym gagatkiem, który cię śledził.

Weszłam do ciepłego pokoju. W kominku płonął ogień. Ciężkie aksamitne zasłony w kolorze bordo odgradzały domowników od chłodnej nocy. Na niskim stoliku do kawy stała karafka z brandy, kieliszki i miedziana miska pełna daktyli, fig i orzechów. Gus grzała się przy ogniu. Ramiona miała przykryte zwiewnym czarnym szalem. Po drugiej stronie kominka siedziała dziewczyna, którą straciłam z oczu na stacji elki. Zdjęła czapkę, więc mogłam teraz podziwiać jej piękne czarne włosy. Na mój widok wstała z krzesła i popatrzyła z niedowierzaniem.

Gus natychmiast mnie rozpoznała i podeszła z otwartymi ramionami.

– Molly, najdroższa! Na Boga, co się dzieje? Czyżbyśmy nie wiedziały o jakimś festiwalu? Noc ulicznych łobuziaków? A może rzeź niewiniątek? – Zaśmiała się i zaprowadziła mnie do ognia. – Masz lodowate ręce. Sid właśnie zrobiła grzaną whisky dla Elizabeth. Też trochę dostaniesz. Siadaj.

Delikatnie, acz stanowczo pchnęła mnie w stronę swojego fotela. Usiadłam z radością. Mój sobowtór wciąż uważnie mi się przyglądał.

– Pij, a potem wszystko nam opowiedz – poprosiła Gus, wręczając mi parujący kubek.

Z każdym łykiem czułam, jak po ciele rozchodzi się słodkie ciepło.

– Wspaniale! – powiedziałam. – Już myślałam, że odmroziłam sobie dłonie i stopy. Co za pomysł, żeby w taką noc ubierać się w łachmany!

– Nic dodać, nic ująć – zauważyła kobieta, którą moje przyjaciółki nazywały Elizabeth. Miała niski, elegancki głos. – Musiałś mieć naprawdę dobry powód.

– Śledziłam pewnego mężczyznę – odparłam. – Kobiety, które wieczorową porą chodzą po mieście bez męskiego towarzystwa, są w oczach policji bardzo podejrzane. Na ulicznych łobuziaków nikt nie zwraca uwagi. Tyłu ich jest... Zdarza się, że dwóch czy trzech rości sobie prawo do tego samego rewiru. Sama się przekonałaś, że czasem bywa tłoczno – dodałam żartobliwie, a Elizabeth odchyliła do tyłu głowę i głośno się roześmiała.

– Widziałaś to, prawda? Przegrać z takim gnojkiem... Co za upokorzenie! Sprawiał wrażenie niezłego zabijaki, więc bałam się postawić. Po co wracać do domu z rozbitą wargą?

– Kogo znowu śledziłaś, Molly? – spytała Sid.

– Poproszono mnie, bym uważnie się przyjrzała jednemu młodzieńcowi. Moi zleceniodawcy chcą się dowiedzieć, czy jest odpowiednim kandydatem na męża ich córki.

– A on wyruszył w miasto? To ci dopiero! – zachichotała Sid.

– Tylko po to, żeby odwiedzić krawca – oświadczyłam z przekąsem. – Jego zachowanie nie wzbudza żadnych podejrzeń.

Elizabeth intensywnie mi się przyglądała.

– Czyżbyś była detektywem?

– Owszem – odparłam.

– Bardzo dobrym detektywem – dodała dumnie Gus. – Przepraszam, nie dokonałam prezentacji. Molly Murphy, Elizabeth Cochrane Seaman. Molly rozwiązała wiele trudnych zagadek. Jej przygody to temat na książkę, zupełnie jak twoje.

– Fascynujące – powiedziała Elizabeth. – Po raz pierwszy spotykam kobietę detektywa.

– A ty nie jesteś detektywem? – zapytałam. – Jaki może być inny powód, by w taką okropną, zimną noc przebierać się za chłopaka?

– Prowadzę prywatne dochodzenie – odparła, uśmiechając się zagadkowo. – Badam losy małych gazeciarzy.

Sid podeszła i przysiadła na poręczu fotela.

– To jest, moja droga Molly, Nellie Bly<sup>[1]</sup> we własnej osobie.

– Przecież mówiłaś, że ma na imię Elizabeth – oznajmiłam i zaraz oblałam się rumieńcem, bo moje przyjaciółki parsknęły śmiechem.

– Droga Molly, „Nellie Bly” to pseudonim – zauważyła Sid. – Musiałaś słyszeć. Jest bardzo sławna.

– Raczej niesławna – zaśmiała się Nellie, czy też Elizabeth.

– Przepraszam. Coś mi to mówi, ale naprawdę nie wiem... – wymamrotałam.

– No tak, pamiętajmy, że Molly jest w Ameryce krócej niż dwa lata. – Gus położyła mi rękę na ramieniu. – Jakiś czas temu o twoich wyczynach, Elizabeth, przestało być głośno, a do Irlandii sława Nellie Bly najwyraźniej nie dotarła.

– Jeśli już, to może do Dublina – odparłam. – Ale na pewno nie na moją zapadłą wieś. O śmierci królowej Wiktorii dowiedzieliśmy się po dwóch dniach.

– Cóż, w takim razie cię oświecę – oznajmiła Sid. – Elizabeth pracuje w gazecie. Specjalizuje się w ujawnianiu korupcji, niesprawiedliwości oraz wszelkiego rodzaju występków, o których czasem głośno. Jeśli chodzi o upór i talent do pakowania się w kłopoty, jest chyba gorsza od ciebie.

– Poszła siedzieć tylko po to, by opisać warunki w więzieniu dla kobiet – powiedziała Gus – a potem dała się zamknąć w szpitalu dla wariatów.

– Skąd nie chcieli mnie wypuścić – dodała Elizabeth.

– A w Meksyku doprowadziła do zamieszek.

Elizabeth ponownie się roześmiała. Trzeba przyznać, że miała wyjątkowo zaraźliwy śmiech.

– To prawda. Napisałam o korupcji, która towarzyszyła tamtejszym wyborom. Szczęście, że wyszłam z tego cało.

– A czym się ostatnio zajmowałaś? – spytałam. – Nieraz zaglądam do gazet, ale nie przypominam sobie twojego nazwiska.

– Moja droga, przez pewien czas bawiłam się w przykładną żonę – oznajmiła. – Dopiero niedawno zaczęło mnie to nudzić, a kiedy usłyszałam, że gazeciarze planują utworzyć związek zawodowy, zwietrzyłam szansę na świetny materiał. Postanowiłam, że dowiem się z pierwszej ręki, jak wygląda ich praca. Dlatego mam na sobie ten strój.

– To niezwykle, że wszyscy nasi przyjaciele prowadzą takie ciekawe życie – zwróciła się Gus do Sid.

– Nie byliby naszymi przyjaciółmi, gdyby wybrali nudę – powiedziała Sid.  
– Życie jest za krótkie, żeby mieć nudnych przyjaciół. Zauważ, że żadna

z naszych koleżanek z Vassar nie została kurą domową.

– Pamiętacie tę dziewczynę, która popłynęła Amazonką?! – wykrzyknęła Gus. – Tak opisywała anakondę, że nasza mnie ochota, by ją zobaczyć na własne oczy. Sid, proszę, pojedźmy na wyprawę do dżungli amazońskiej!

Ciepło kominka i gorący napój bardzo mnie rozleniwiły. Poczułam się zmęczona i senna. Przyszło mi do głowy, że takie rozmowy nie są na porządku dziennym w zbyt wielu salonach. Młode kobiety na ogół z obrzydzeniem reagują na węża, nie mówiąc o wędrówce w serce dżungli. Z sympatią i uznaniem popatrzyłam na przyjaciółki. Gus zauważyła moje spojrzenie.

– Molly, kochana. Wyglądasz na zmęczoną. Jak zwykle za dużo pracujesz! Co porabiałaś, kiedy nas nie było? Ale ze mnie gapa! Jadłaś coś dzisiaj?

– Jadłam, dziękuję – powiedziałam, żeby nie robić kłopotu ani się nie narzucać.

– Czy Daniel dobrze cię traktował podczas naszej nieobecności? – spytała Sid.

– Z tego, co wiem, Daniel nie wrócił jeszcze do miasta. Od Święta Dziękczynienia nie mam z nim kontaktu.

Elizabeth zachichotała.

– W ogóle mnie to nie dziwi. Nie przyjdzie im do głowy, że kobieta może się martwić i czekać na list. Ale dlaczego, jeśli mogę spytać, w ogóle liczysz na wiadomość od tego zdrajcy?

– To nie tak – powiedziałam, czując, że się rumienię. – Daniel się zmienił, ale Sid i Gus wciąż nie mogą się do niego przekonać – wyjaśniłam Elizabeth.

– Ponieważ nie traktuje Molly tak, jak ona na to zasługuje – zauważyła Sid. – Zbyt zadufany w sobie, jak na mój gust.

– Tak jak wszyscy mężczyźni – zauważyła Elizabeth. – Na mojego męża nie powinnam narzekać, choć kiedy zajmie się swoim hobby, reszta świata przestaje dla niego istnieć. Kiedyś czekałam na niego na dworcu ponad godzinę, bo tak się zajął swoją kolekcją znaczków, że całkiem o mnie zapomniał.

Pomyślałam, że czas wrócić do domu i pozwolić przyjaciółkom nacieszyć

się towarzystwem Elizabeth. Wstałam.

– Panie wybaczą – oświadczyłam. – To był długi dzień i powinnam się wreszcie przebrać.

Gus złapała mnie za rękę.

– Zostań na kolację – zaproponowała. – Sid kupiła piękne dojrzałe sery. Czeka butelka dobrego wina, którą już od jakiegoś czasu chcemy otworzyć.

– Bardzo kuszące – powiedziałam – ale naprawdę na mnie czas. Na pewno chcecie powspominać stare czasy.

Nellie Bly także wstała.

– Idę się przebrać na górę. Przecież nie usiądę do stołu w takim stroju – oznajmiła i wyciągnęła rękę.

– Miło mi było panią poznać, panno Murphy.

– Molly – zaproponowałam.

– A ja jestem Elizabeth. Pseudonimu używam tylko w pracy.

Miała mocny uścisk dłoni, prawie jak mężczyzna.

Gus otworzyła mi drzwi.

– Ale jutro musisz nas odwiedzić. Czy znów będziesz ganiać po mieście w tym przebraniu?

– Obawiam się, że tak. Poważnie podchodzę do swojej pracy – odparłam. – Chociaż wydaje się, że ten młody człowiek jest bez skazy i wkrótce będę mogła zakończyć śledztwo.

– W takim razie przyjdź na obiad – powiedziała Sid. – I nie próbuj się wymigiwać.

– Dziękuję. – Uśmiechnęłam się. – W takim razie nie mam wyjścia. Przyjmuję zaproszenie.

– Chyba że zdrajca Daniel się objawi – wtrąciła Sid. – Wtedy znów zejdziemy na drugi plan. Zapamiętajcie moje słowa.

– Nie ma mowy – odparłam. – Nie dam sobą dyrygować. Daniel nie będzie mi wydawać żadnych poleceń. Skoro nie miał czasu, by skreślić do mnie choć parę słów, będzie musiał poczekać, aż to ja będę gotowa się z nim spotkać.

– Brawo, Molly – pochwaliła mnie Elizabeth. – Mówisz jak absolwentka Vassar, a rozumiem, że nie uczęszczałaś do tej zacnej instytucji.

– W ogóle nie uczęszczałam do żadnych instytucji – odparłam. – Przez jakiś czas pobierałam nauki z córkami lokalnego właściciela ziemskiego, ale kiedy zmarła moja mama, musiałam zostać w domu i zająć się trzema młodszymi braćmi. Bardzo chciałam kontynuować naukę, lecz nie miałam takiej możliwości.

– Nigdy nie jest za późno – stwierdziła Elizabeth. – Te dwie damy mają imponującą bibliotekę i mnóstwo ciekawych przyjaciół.

– Wiem – powiedziałam. – Staram się korzystać z obu zasobów. Teraz wybaczenie, chętnie jutro dokończę naszą rozmowę. Dziś marzę już tylko o tym, by wreszcie się umyć.

Jak dobrze, że odwiedziłam swoje kochane przyjaciółki – pomyślałam, zamykając za sobą drzwi.

Przeszłam przez Patchin Place i już miałam włożyć klucz do zamka, gdy poczułam, jak ktoś odciąga mi do tyłu rękę i zgiętym ramieniem chwytą za szyję.

– Mam cię – syknął mi do ucha napastnik. – Nie próbuj się bronić, bo tylko pogorszysz sytuację. Mogę ci skrócić kark.

### 3

Przez chwilę byłam zbyt przerażona, żeby się ruszyć, a kiedy wreszcie spróbowałam, okazało się, że to nie takie proste, bo nieznajomy jest bardzo silny.

– Niech no ci się przyjrę – powiedział groźnie i zaciągnął mnie pod uliczną latarnię. – Kto cię tu przysłał? Dla kogo pracujesz? Czy Hudson Dusters każą teraz swoim chłopakom włamywać się do prywatnych domów?

Serce zabiło mi mocniej, bo rozpoznałam ten głos.

– Danielu – wykręciłam głowę, próbując na niego spojrzeć – puść mnie. To ja. Molly.

Odskoczył jak oparzony.

– Molly? Wszystko w porządku?

– Jeszcze nie wiem – wyszeptałam, kaszląc.

– Przepraszam. Nie miałem pojęcia, że to ty – powiedział, a potem uważnie mi się przyjrzał.

– Co ty znowu, na Boga, wyprawiasz? Byłem pewny, że bronię twojego domu przed włamywaczem.

– Prowadzę śledztwo – odparłam. – Sytuacja wymagała kamuflażu.

Położył mi dłonie na ramionach i popatrzył głęboko w oczy.

– Moja droga, kiedy wreszcie przestaniesz bujać w obłokach i zaczniesz normalnie żyć?

– Przecież muszę zarabiać na chleb – zauważyłam. Czułam, że drży mi głos. Niepokoiliła mnie nasza bliskość.

– Mam w tej chwili dość problemów na głowie. Nie zamierzam się ciągle o ciebie martwić i zastanawiać, czy znów nie ryzykujesz w idiotyczny sposób. Mam tego powyżej uszu, rozumiesz?

– Akurat teraz nie ryzykowałam. Po prostu chciałam być niewidoczna – odparłam spokojnie. – Przy okazji zarobiłam całe dwadzieścia centów, zamiatając ulicę.

Sięgnęłam do kieszeni i wyjęłam monety. Spojrzał na nie i nagle



wybuchnął śmiechem.

– Molly, co ja z tobą mam!

– To teraz powiedz, dlaczego do mnie ani razu nie napisałeś – poprosiłam.  
– Wtedy pozwolę, żebyś mnie pocałował.

– Nie napisałem? A po co? Przecież wiedziałaś, gdzie jestem.

– Danielu, mówiłeś, że wyjeżdżasz na parę dni – zauważyłam. – Tych parę dni przerodziło się w parę tygodni. Niepokoiliam się. Poza tym myślałam, że będziesz za mną tęsknił – dodałam i odsunęłam się od niego. – Skoro więc za mną nie tęskniłeś, to nie widzę powodu, żeby z tobą rozmawiać na mrozie. Do widzenia. Muszę się przebrać.

Odwróciłam się na pięcie i przekręciłam klucz w zamku, ale Daniel nie odchodził. Spojrzałam na niego i zapytałam:

– A tak w ogóle... Co robisz pod moim domem o tej porze?

– Jest dopiero dziesiąta – oznajmił. – Wróciłem do miasta i postanowiłem sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku.

– Dziękuję za troskę, proszę pana. Jak widzisz, jestem cała i zdrowa.

Chciałam zamknąć mu drzwi przed nosem, ale wyciągnął rękę.

– Nie zaprosisz mnie do środka, Molly, skoro już tu jestem? Kawał drogi przeszedłem w tym śniegu, żeby cię zobaczyć.

– A co z moją reputacją? – spytałam. – Samotna młoda kobieta naraża się na ostracyzm, przyjmując mężczyznę w domu późnym wieczorem.

Roześmiał się.

– Takie słowa w twoich ustach? Pasują bardziej do Arabelli. Odkąd to przejmujesz się tym, co mówią inni?

– Przecież mogłam się zmienić, kiedy cię nie było – zauważyłam. – Może pewnego dnia będę chciała dobrze wyjść za mąż.

– Molly, przestań się ze mną droczyć – powiedział nagle Daniel i wtargnął do środka. – Mało to ostatnio mam problemów?

– Byłeś zbyt zajęty, żeby do mnie napisać choć słowo – stwierdziłam. – Co się stało? Czyżbyś znów obracał się w kręgach towarzyskich Arabelli? Zupełnie straciłeś głowę?

– Przepraszam – westchnął. – To był trudny czas. Ojciec złapał okropną gripę i wszyscy się baliśmy, że dostanie zapalenia płuc. Jedną nogą był już na tamtym świecie. W takich okolicznościach nie mogłem wyjechać. Siedziałem nocami przy jego łóżku. Wiesz przecież, że ma słabe serce.

Poczułam się idiotycznie.

– Wyzdrowiał? – spytałam.

– Tak, dzięki Bogu. A potem przyszła zawieja śnieżna i znów na parę dni byłem unieruchomiony. Matka próbowała mnie przekonać, żebym został jeszcze dłużej.

– Czy opowiedziałeś im w końcu o swojej sytuacji?

– Powiedziałem matce, że nie dogaduję się z obecnym komendantem policji.

– Danielu, obiecałeś wyjawić rodzicom całą prawdę. Jak możesz? Żyją w przekonaniu, że twoja kariera rozkwita, a tymczasem masz poważne problemy.

Wyraźnie się zdenerwował.

– Miałem opowiadać schorowanemu człowiekowi o swoich kłopotach? Ojciec odszedł na emeryturę w pełnej chwale. Czy twoim zdaniem powinienem mu powiedzieć, że syna wyrzucili z policji i oskarżyli o współpracę z gangiem? Jak to sobie wyobrażasz?

– Nie wiem – wymamrotałam.

– Sama zauważyłaś, że John Partridge pełni funkcję komendanta tylko do stycznia. Został miesiąc, potem może karta się odwróci. Jeśli przyjdzie ktoś, kto będzie mi przychylny, mam nadzieję wrócić do swoich obowiązków.

– Jestem pewna, że twój los się odmieni, Danielu – stwierdziłam. – John Partridge tylko gra na zwłokę, bo nie chce się przyznać do błędu. Doskonale wie, że zostałeś wrobiony. To okropna niesprawiedliwość; przecież jesteś jednym z najlepszych ludzi w policji. Będą głupcami, jeśli cię nie przeproszą i nie przywrócą do służby.

– Miejmy nadzieję, że nie są głupcami – powiedział Daniel i nagle zamilkł, wpatrując się we mnie uporczywie.

– O co ci chodzi? – spytałam.

– Wyglądasz wyjątkowo ponętnie w tym śmiesznym stroju. Piegi na nosku, rudy kosmyk pod czapką... – Dotknął mojej twarzy i przeciągnął palcem od czoła do ust.

Kiedy Daniel Sullivan był blisko mnie, nie potrafiłam zachować trzeźwego umysłu. Czułam, że topnieję.

– Idź już, Danielu – poprosiłam. – Zanim oboje stracimy głowę.

– Masz rację. Nie powinniśmy zachowywać się nieroztropnie. – Spoglądał na mnie łakomym wzrokiem. – Ale przecież zaledwie parę minut temu mówiłaś, że mogę cię pocałować.

– Pod warunkiem, że skończy się na jednym pocałunku. Na ogół nie potrafimy powiedzieć sobie dość, a w obecnej sytuacji...

– Rozumiem – odparł. – Gdyby było inaczej, gdybym miał przed sobą jakąś przyszłość... – Nie dokończył i zapadło krępujące milczenie.

Wzięłam go za rękę.

– Danielu, nie przejmuj się tak bardzo. Jestem pewna, że w końcu wszystko się zmieni i będzie jak dawniej.

– Chciałbym na to patrzeć z twoim optymizmem, ale nie potrafię. Nie wiesz, przez co przeszedłem.

Pomyślałam, że mądrze będzie nie wspominać o tym, czego ja ostatnio doświadczyłam. Mężczyźni lubią wierzyć, że jest im ciężiej w życiu. Wyciągnęłam rękę i pogładziłam go po policzku. Szybko cofnęłam dłoń.

– Nie ogoliłeś się, Danielu. Przychodzisz z wizytą do dziewczyny, a zapominasz spojrzeć najpierw w lustro?

Parsknął śmiechem, chwycił mnie za nadgarstki i przyciągnął do siebie.

– Przypominam sobie pewne spotkanie, kiedy nie przejmowałaś się tak bardzo moim zarostem.

Bardzo dobrze wiedziałam, o czym mówi.

– I nie dopuszczę, by taka sytuacja się powtórzyła, dopóki znów nie staniesz na nogi. – Położyłam mu dłonie na ramionach i odepchnęłam go od siebie.

Pokiwał głową.

– Dobrze. Jeden pocałunek i sobie pójdę. Ale proszę, spędźmy jutro razem miły dzień. Śnieg w hrabstwie Westchester był niesamowity. Szkoda, że nie mogłaś tego zobaczyć. Nie taki szarobury jak w mieście, ale krystalicznie biały. Jestem pewien, że w Irlandii nigdy czegoś podobnego nie widziałaś.

– Chcesz, żebyśmy pojechali do Westchester? Obawiam się, że to niemożliwe. Pracuję.

– Do Westchester nie pojedziemy, ale przecież jest Central Park. Mają tam lodowisko, dzieci jeżdżą na łyżwach. Możemy też poszaleć na sankach. Wygospodarujesz godzinę albo dwie, prawda, Molly?

Poddałam się.

– Dobrze – odparłam. – Mężczyzna, którego śledzę, i tak w ciągu dnia siedzi w pracy.

Daniel się rozpromienił.

– Więc przyjdę po ciebie o jedenastej. Tak dawno nigdzie razem nie byliśmy!

– To prawda – zgodziłam się.

– Do jutra.

Wziął mnie w ramiona i pocałował delikatnie w usta. Nasze wargi wciąż były lodowate, ale szybko rozgrzały się pod wpływem pocałunku. Daniel nie chciał mnie puścić i już zaczęłam się obawiać, że wieczór rozwinie się w niepożądanym kierunku. W końcu udało mi się go powstrzymać.

– Wystarczy. Idź do domu – wyszeptałam.

– Skoro nalegasz – westchnął. I wyszedł.

Jak tylko za Danielem zamknęły się drzwi, pożałowałam. Na dodatek przypomniałam sobie, że przecież mam jutro zjeść obiad w towarzystwie Sid, Gus i ich przyjaciółki, intrygującej Nellie Bly. Co zrobić? Obie propozycje były równie kuszące. Przez chwilę zastanawiałam się, którą wybrać. W końcu wygrał kapitan Sullivan. Sid i Gus mają wokół siebie mnóstwo przyjaciół, a biedny Daniel przechodzi teraz trudne chwile i potrzebuje mnie bardziej niż ktokolwiek inny – zdecydowałam.

Rankiem następnego dnia zapukałam do domu naprzeciwko i poprosiłam, byśmy o jeden dzień przełożyły nasze spotkanie.

Przyjaciółki parsknęły śmiechem.

– Widzisz, Gus. A nie mówiłam? Wiedziałam, że jeśli ten człowiek pojawi się na horyzoncie, Molly rzuci wszystko i w te pędy do niego pobiegnie. Wystarczy, że on kiwnie palcem, a ona już zapomina o bożym świecie. – Sid mrugnęła do mnie porozumiewawczo.

– Weź pod uwagę naszą sytuację – zaczęłam się bronić. – Po prostu od dawna nie mieliśmy z Danielem okazji tak zwyczajnie pobyć ze sobą. Wyjść gdzieś, zabawić się. Wcale nie zapominam o bożym świecie.

– Myślisz, że powinniśmy się zgodzić, Gus? – spytała Sid.

– Najwyraźniej nasza Molly dobrze się czuje w towarzystwie tego mężczyzny, choć nie mogę zrozumieć dlaczego – odrzekła Gus.

– Bo jest przystojny. Może nawet więcej niż przystojny.

– Pewnie będzie się teraz bardzo starał. Zdaje sobie sprawę, że w przeszłości nabroił.

Przyjaciółki przyglądały mi się rozbawione.

– Tak naprawdę chodzi o to – powiedziałam, pragnąc wreszcie zakończyć tę głupią rozmowę – że chciałabym zobaczyć ślizgawkę w Central Parku i spróbować pojeździć na łyżwach. W Irlandii nie było prawdziwej zimy.

– Oczywiście. – Popatrzyły na mnie z politowaniem. – To z pewnością jedyny powód.

– Czasami mam was dość – zdenerwowałam się. – Przepraszam, że

zmieniam plany. Przepróście ode mnie Elizabeth i powiedzcie jej, że z przyjemnością spotkam się jutro.

Byłam już za drzwiami, kiedy Gus zawołała:

– A co zamierzasz na siebie włożyć do tego Central Parku?!

– Na pewno nie ubiorę się tak jak wczoraj – odparłam. – Mam przecież grubą wełnianą pelerynę. Raczej w niej nie zmarznę.

– To kiepski pomysł – uznała Gus.

– Cóż, nie mam modnego kostiumu wykończonego białym futerkiem – oznajmiłam. – Ta peleryna to moje jedyne ciepłe okrycie.

– Chyba możemy temu zaradzić – stwierdziła Sid.

– To prawda – odparła Gus i pobiegła na górę.

Po chwili wróciła, niosąc krótszą aksamitną narzutkę, czerwoną z futrzaną podpinką.

– Broń Boże – zaprotestowałam, kiedy Gus zaczęła mi ją zakładać na plecy. – Nie mogę tego pożyczyć.

– Przecież do twarzy ci w tym kolorze.

– Być może. Ale nie mogę od was przyjmować tak cennych ubrań. Będę niespokojna, że ją zabrudzę albo zniszczę.

– Nonsens – roześmiała się Gus. – Ma wisieć w szafie i czekać, aż ją mole zjedzą? Nie odmawiaj. Daniel i wszyscy inni w Central Parku padną na twój widok z wrażenia.

Tak długo nalegała, że w końcu ustąpiłam. Wychodząc od przyjaciółek, czułam się jak królowa.

Kiedy Daniel zobaczył mnie w drzwiach, aż krzyknął.

– Dobry Boże, wyglądasz absolutnie oszałamiająco! Proszę, proszę... Twoja agencja chyba nadzwyczaj dobrze prosperuje, skoro stać cię na ekskluzywne zakupy.

– Pożyczyłam tę narzutkę – odparłam. – Ale na brak zleceń nie mogę narzekać, to prawda. Zaraz po powrocie z Irlandii dostałam kolejną propozycję współpracy. Tommy Burke był chyba zadowolony z moich usług,

bo polecił mnie znajomym.

– To dobrze, że wycieczka do Irlandii na coś się przydała – zauważył Daniel, kiedy wyszliśmy z domu.

„Na coś się przydała” – powtórzyłam w myślach jego słowa. Jeden brat nie żyje, drugi na wygnaniu. Podobnie jak ja, nigdy nie wróci do domu. Czy można to nazwać sukcesem? Dobrze, że przynajmniej skontaktowałam Tommy’ego Burke’a z zaginioną siostrą. Może podzieli się swoim majątkiem i wesprze ruch niepodległościowy. Przyda im się dodatkowy grosz.

– Uważaj! – Daniel przywołał mnie do porządku i wyrwał z ponurych rozmyślań.

O mały włos wpadłabym pod koła wozu, który z zawrotną prędkością skręcał właśnie w Greenwich Avenue.

– Chyba nie będziemy iść na piechotę. Zapraszam cię na przejażdżkę.

– Danielu, nie możesz sobie na to pozwolić – powiedziałam bez namysłu i zaraz ugryzłam się w język. Przed chwilą chwaliłam się swoimi dokonaniem, a jemu właśnie przypominałam, że jest bez pracy, zawieszony w obowiązkach policjanta.

Kiedy zatrzymał się przed nami powóz, wsiadłam do niego bez słowa.

– Więc nad czym teraz pracujesz, że musisz się przebierać za łachmaniarza? – zapytał Daniel.

– To proste zlecenie. Pewne żydowskie małżeństwo postanowiło sprawdzić, czy młodzieniec, który stara się o rękę ich córki, jest tym, za kogo się podaje.

– I co?

– Na razie nie mam zastrzeżeń. Wczoraj musiałam mu towarzyszyć aż na Czterdziątą Drugą...

– Na Czterdziątą Drugą?

– Gdzie odwiedził krawca – dodałam.

– Czemu nie porozmawiasz ze swoim przyjacielem, panem Singerem? Skoro sprawa dotyczy społeczności żydowskiej, z pewnością ci pomoże. Może popyta tu i ówdzie w twoim imieniu. Widujesz go czasem?

Doskonale rozumiałam, do czego pije. Kiedy Daniel był jeszcze narzeczoną Arabelli Norton, ja spotykałam się z Jacobem Singerem. Mało brakowało, a zostałabym jego żoną, bo wydawało się wówczas, że dla mnie i Daniela nie ma przyszłości.

– Dawno go nie widziałam – odparłam. – Poza tym nie obraca się w tych samych kręgach co pan Roth. Jacob pomaga ubogim; tym, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji. A ten młody człowiek jest absolwentem Yale, pracuje w dużej firmie transportowej i chodzi do najlepszych restauracji.

– To w czym problem? – zdziwił się Daniel. – Po co cię zatrudnili?

– Chcą być pewni, że niczego przed przyszłymi teściami nie ukrywa. – Uśmiechnęłam się.

– A ukrywa?

– Nic mi o tym nie wiadomo, ale prawda jest taka, że większość mężczyzn ma tajemnice.

Daniel spojrzał na mnie, po czym westchnął.

– Smutne to wszystko. Kiedy ty pracujesz całymi dniami, ja zbijam bąki. Do czego to doszło! Młoda kobieta powinna zajmować się domem, grać na pianinie lub haftować i czekać, aż mężczyzna po ciężkim dniu pracy wróci na łono rodziny.

– To nie dla mnie – zaprotestowałam. – W całym swoim życiu nie przesiedziałam beczynnie ani jednego dnia. Mówisz o garstce pań z uprzywilejowanych środowisk. Dla większości kobiet życie to harówka od rana do wieczora.

– Masz rację – zgodził się Daniel. – Liczę jednak, że nadejdzie kiedyś czas, gdy zechcesz się nauczyć roli żony i gospodyni.

– Zobaczymy – odparłam.

Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale go powstrzymałam.

– Zmieńmy temat. – Poklepałam go po rękę, niczym matka, która uspokaja dziecko. – Sam powiedziałaś, że dziś mamy się bawić. Jesteśmy już prawie na miejscu. Spójrz, jak śnieg skrzy się w słońcu!

Powóz podjechał pod żelazną bramę prowadzącą do parku. Woźnica zeskoczył z konia i pomógł mi wysiąść. Daniel zapłacił, a potem podał mi



ramię. Czułam się jak prawdziwa dama. Tuż za bramą usłyszeliśmy zdziwiony głos:

– Kapitanie Sullivan! Sir?! – Młody posterunkowy zsalutował na nasz widok.

– Jak się masz, Jones? – przywitał się z nim Daniel. – Co słychać?

– Po staremu – oznajmił policjant. – Nie mogę narzekać, to jest całkiem przyjemny rewir. Trochę kieszonkowców, zagubionych dzieci. Czasem znajdę w trawie portfel albo klucze. Nic więcej się na ogół nie dzieje, ale dziś nam powiedzieli, żeby mieć oczy szeroko otwarte, bo z New Haven w Connecticut zbiegł pewien złodziej.

– Connecticut? To chyba jakiś szczególny przypadek, skoro ma się tym zająć nowojorska policja.

– Nie mogę się na ten temat wypowiadać. Ten człowiek ma na sumieniu wiele napadów. Zabija tych, którzy próbują go powstrzymać.

– Skąd pomysł, że zjawi się w Nowym Jorku?

– Zostawił auto na drzewie, jak uciekał. Znaleźli je w Bronksie. Wiadomo, że studiuje w Yale, co wyjaśniałoby włamanie na terenie New Haven, ale jego rodzina mieszka w Nowym Jorku. Podejrzewamy, że będzie chciał wrócić do domu. Ma na nazwisko Halsted i należy do towarzystwa.

– Coś mi to mówi – powiedział Daniel. – Halsted... Skąd ja znam to nazwisko?

– Proszę go złapać, jeśli znów pan go spotka, kapitanie – zachichotał policjant. – To trochę poprawi pańskie notowania! A tak na poważnie to bardzo nam pana brakuje, sir. Urwanie głowy teraz mamy.

– Naprawdę? A co takiego się dzieje? – spytał Daniel.

– Cóż, ciągłe problemy z nowym gangiem z Włoch. Prosto z Sycylii. Czegoś podobnego do tej pory nie widziałem. Przy nich Eastmansi to łagodne baranki.

– A jak się nazywają? – spytał Daniel. – I gdzie mają rewir?

– Z tego, co wiem, nie mają swojego terytorium. Przynajmniej przede wszystkim ściągają haracze, kradną, mordują, siłą zaprowadzają swoje porządki.

– Jak chłopcy z Czarnej Ręki?

– Podobnie, ale jeszcze gorzej. Tamci przynajmniej trzymają się jednej dzielnicy, a ci działają w całym mieście. Nazywają siebie Cosa Nostra. Nie wiem, co to znaczy, ale to chyba po włosku.

– Naprawdę brakowało nam jeszcze jednego gangu – zażartował Daniel. – Miejmy nadzieję, że uda się nad nimi szybko zapanować. Czy mi się zdaje, czy w Nowym Jorku ciągle przybywa Włochów?

– To prawda, kapitanie. I dużo z nimi kłopotów. A spróbować takiego namówić na zeznania! Honorowy jeden z drugim, pary z ust nie puści. Pan by wiedział, co robić, kapitanie. Kiedy wreszcie pan do nas wróci?

– Chciałbym umieć odpowiedzieć na to pytanie, Jones – odparł Daniel. – Trzymają mnie w niepewności. Specjalnie. Może nowy komendant policji okaże się mądrzejszy.

– Taką mam nadzieję – powiedział Jones i rozejrzał się dookoła. – Czas wracać do pracy i pozwolić panu cieszyć się towarzystwem młodej damy.

– Jeden z najlepszych ludzi – zauważył Daniel, kiedy pożegnaliśmy się z posterunkowym Jonesem. – Niewielu jest takich, którzy ciągle stoją po mojej stronie.

– Przecież wszyscy wiedzą, co się stało. Większość jest po twojej stronie, Danielu.

– Nie do końca. Wciąż czekam na proces. Kiedy wreszcie ten padalec Quigley przyzna się do winy?

– Jestem pewna, że wszystko dobrze się skończy. – Uśmiechnęłam się, żeby dodać Danielowi otuchy.

Z alejki East Drive zgarnięto śnieg, który leżał teraz w wielkich kopcach po obu stronach drogi. Uliczne łobuziaki zjeżdżały z tychgórek na kartonach, wydając przy tym głośne okrzyki radości. Dzieci z bogatych domów przechadzały się w towarzystwie opiekunek objuczonych sankami lub łyżwami.

W pewnej chwili usłyszeliśmy dzwonki, a naszym oczom ukazały się piękne sanie. Pasażerowie w eleganckich czapach, z mufkami chroniącymi dłonie przed zimnem, wyglądali wypisz wymaluj jak na bożonarodzeniowej rycinie. Zajęci sobą, niezważający na cały świat, roześmiani... Przyszła mi na

myśl Arabella Norton. Daniel mógłby jechać właśnie takimi saniami, gdyby nie zerwał z nią zaręczyn.

– Widziałeś się z Arbellą podczas wizyty w domu? – nie wytrzymałam.

– Biorąc pod uwagę moje obecne położenie, wolałam nie udzielać się towarzysko – odparł chłodno. – Nawet jeśli bym chciał, nie mógłbym.

Ruszył szybko przed siebie, prawie ciągnąc mnie za rękę.

– Hola, dokąd tak pędzisz? – zaoponowałam. – Nie sadzę tak wielkich kroków jak ty. Zwolnij trochę.

Popatrzył na mnie z uśmiechem.

– Wybacz. To dlatego, że mam tyle zmartwień na głowie. Lepiej chodźmy obejrzeć ślizgawkę i zapomnijmy na chwilę o wszystkich troskach. A może sami pojeździmy na łyżwach?

– W moim przypadku raczej nie nazwiesz tego jeżdżeniem. Pewnie cały czas będę siedzieć na lodzie – powiedziałam. – Nigdy w życiu nie miałam łyżew na nogach.

– Mocno obejmę cię w talii i nie upadniesz – zapewnił Daniel. – W dzieciństwie często ślizgałem się na zamarzniętym stawie za domem.

– Zobaczymy, jak będziemy na miejscu. Na razie wystarczająco ciesz się mną sam śnieg. W Irlandii prawie go nie ma, a jeśli się pojawia, to tylko w postaci lekkiego puchu, który szybko rozpuszcza się w deszczu. Spójrz, jak ten śnieg łśni. Chodźmy tam, gdzie nie ma jeszcze żadnych śladów.

Pobiegłam przez coś, co w lecie pewnie było łąką, a teraz zamieniło się w nieskazitelną białą prześcieradło. Puch zapadał się delikatnie pod stopami i kiedy spojrzałam w dół, zobaczyłam wyraźne ślady.

– Gdybym była przestępcą, wytropiłbyś mnie bez problemu, prawda?! – zawołałam. – Danielu, na co czekasz?

– Molly, gdzie twoje maniery? Poza tym nie wiesz, jak głęboki może być śnieg.

– Nonsens – odparłam. – Mam śnieg zaledwie na czubkach butów. Nie bądź słabeuszem. Popatrz!

Zrobiłam jeszcze dwa kroki i nagle znalazłam się w zaspie po kolana. Nie

zdawałam sobie wcześniej sprawy, że śnieg może być tak zimny. Niemal zabrakło mi tchu.

– Danielu, pomóż mi – jęknęłam.

Zaczął się śmiać.

– Nie mów, że cię nie ostrzegałam.

Jaka jestem głupia – pomyślałam ze złością i schyliłam się. Zgarnęłam trochę śniegu i rzuciłam nim w stronę Daniela. Trafiłam w tors.

– Celny strzał, Molly! – zawołałam.

Przez chwilę wyglądał na zaskoczonego, a potem pochylił się i ulepił śnieżkę.

– Dobrze! – wykrzyknął. – Sama chciałaś!

Wyostałam się z zasy i pobiegłam przed siebie. Śnieżka uderzyła mnie w plecy. Stałam i zrobiłam kolejną, a potem, zapomniawszy o dobrym wychowaniu, uniosłam spódnicę i zaczęłam biegać, piszcząc z radości jak dziesięciolatka. Na skraju łąki teren podnosił się nieznacznie i zamieniał w zalesione wzgórza. Ruszyłam w tamtym kierunku, kiedy kolejna śnieżka przeleciała obok mnie.

– Pudło! – zawołałam, ale słyszałam, że za mną biegnie. Wzgórza i drzewa były tuż-tuż.

To idealne miejsce na zabawę w chowanego – pomyślałam.

Śnieg stał się znów głębszy i musiałam się nieźle namęczyć, żeby wejść na zbocze. Daniel został w tyle. Pobiegłam w stronę zagajnika i nagle omal nie potknęłam się o coś przy jednym z drzew. Podniosłam gałąź z ziemi i bez namysłu trąciłam nią to dziwne coś. Krzyknęłam! To było ciało kobiety.

Była młoda i piękna. Drobną buzię okalały kasztanowe włosy. Miała na sobie jedynie białą suknię, cienkie pończochy i lekkie wieczorowe pantofle. Wyglądała w tym śniegu jak wielka porcelanowa lalka.

– Mam cię! Błagaj o litość! – usłyszałam za sobą głos Daniela. Dogonił mnie i od razu się zorientował, że nie jest mi do śmiechu.

– Co się stało?

W milczeniu wskazałam na ziemię.

– Rany boskie! – zawołał, chociaż zwykle nie pozwalał sobie na takie komentarze w moim towarzystwie. – Niczego nie dotykaj i odsuń się. Trzeba uważnie przyjrzeć się miejscu zbrodni. Muszą być jakieś ślady.

– Jakiemu miejscu zbrodni? – zapytałam.

– Młode panienki zazwyczaj nie spacerują w zimie bez ciepłego ubrania, a już na pewno nie w takich butach. Prawdopodobnie ktoś ją gdzieś ukatrupił, a następnie tu przywiózł i porzucił ciało.

Ostrożnie podszedł do miejsca, w którym leżała dziewczyna, i zaczął oględziny.

– Dziwne – mruknął. – Nie widać żadnych śladów oprócz tych, które sama zrobiła. Jak to możliwe?

Kucnął w śniegu, wziął nadgarstek dziewczyny, po czym skoczył na równe nogi.

– Wyczuwam puls. Żyje! Szybko! Pomóż mi zdjąć płaszcz. Trzeba ją rozgrzać.

– Moja pelerynka jest grubsza – powiedziałam i zrzuciłam ją, zanim zdążył zaprotestować.

Pomogłam mu podnieść dziewczynę ze śniegu i owinąć szczelnie.

– Trzeba szybko działać – oznajmił. – Powinna dostać coś ciepłego do picia. Zostań z nią. Masz tu mój płaszcz, a ja co sił w nogach pobiegnę po Jonesa.

Kiedy zniknął, uklękłam w śniegu, kołysząc nieprzytomną dziewczynę

w ramionach. Jej ciało było lodowate. Trudno uwierzyć, że nadal żyje – pomyślałam.

Nagle zamrugała i po chwili ze zdziwieniem rozejrzała się dookoła. Miała niesamowicie niebieskie, wielkie oczy, które jeszcze bardziej upodabniały ją do lalki.

– Już dobrze. Nic ci nie grozi – powiedziałam łagodnie. – Wezwałam pomoc. Jest w drodze.

Znów zamrugała oczami. Czułam się tak, jakbym trzymała w ramionach duże dziecko. Przyjrzałam się otoczeniu. Ponury, zimowy krajobraz! Nie do wiary, że jesteśmy w środku miasta i że tuż obok tłupy ludzi oddają się zimowym rozrywkom – pomyślałam.

Daniel dotrzymał słowa i wkrótce pojawił się na horyzoncie. Brnął przez zasy, dzierżąc w ręku kubek gorącego kakao. Właśnie zaczynałam odczuwać brak swojej ciepłej pelerynki. Tuż za Danielem dreptał Jones, głośno sapiąc.

– Kto by się tego spodziewał! – zawołał.

– Odzyskała przytomność? – zapytał Daniel, kucając obok mnie.

– Na chwilę otworzyła oczy.

– Obudź się, moja droga – powiedział łagodnie Daniel. – Przyniosłem ci coś ciepłego do picia. Spróbuj.

Przytknął jej kubek do ust. Dziewczyna najpierw przestraszyła się, ale po chwili delikatnie oblizwała wargi. Daniel ponowił próbę i tym razem wypić łyk, a nawet dwa. Po kilku minutach opróżniła cały kubek, a następnie znów otworzyła oczy i w osłupieniu zaczęła się w nas wpatrywać.

– Powinniśmy cię zabrać do domu – stwierdził Daniel. – Powiesz nam, gdzie mieszkasz?

Patrzyła bez słowa.

– Jesteśmy w Central Parku. Pamiętasz, jak się tu znalazłaś?

Znów brak reakcji.

– Nic ci z naszej strony nie grozi – zapewnił Daniel. – Jestem oficerem policji. Jak masz na imię?

Spojrzała na mnie z takim samym zdziwieniem jak poprzednio.

– Powiedz nam, jak się nazywasz, a bezpiecznie odstawimy cię do domu. –  
Uśmiechnęłam się, próbując ją ośmielić.

Cisza.

– Może ma przy sobie jakiś dokument – wtrącił posterunkowy.

– To chyba mało prawdopodobne – zauważyłam. – Ubrana jest tylko  
w cieniutką sukienkę.

– Bez kieszeni?

Potrząsnęłam głową.

– Bez kieszeni.

– Może było tak – odezwał się Jones. – Wyszła na poranny spacer, ktoś ją  
napadł w ustronnym miejscu w parku, ukradł wierzchnie ubranie  
i dokumenty.

– Możliwe – przyznał Daniel. – Czy ktoś cię poturbował? Pozwól, że  
zobaczę, czy masz jakieś ślady na głowie.

Dotknął jej włosów, ale dziewczyna wzdrygnęła się niespokojnie.

– Może ja spróbuję – zaproponowałam.

Uśmiechnęłam się łagodnie.

– Pozwól mi popatrzeć, czy nie masz jakiegoś paskudnego guza na głowie  
– poprosiłam. – Nie bój się, nie zrobię ci krzywdy.

Wyciągnęłam rękę, ale rzuciła się jak żrebak.

– Chyba widzę guz tuż za prawą skronią – powiedziałam – ale nigdzie nie  
ma krwi. Na śniegu są ślady tylko jednej osoby. Gdyby ktoś mocno uderzył ją  
w głowę, przecież nie wstałaby i nie poszła do parku. I popatrzcie na te  
pantofelki. Nie mogła się wybrać w nich na spacer.

– Musiała jakoś sama tu dotrzeć, a potem padła z zimna – stwierdził Daniel  
z zafrasowaną miną.

– Na pewno nie ma innych śladów? – Posterunkowy wpatrywał się  
w śnieżnobiałą połąć, na której widać było tylko ślady butów prowadzące na  
południowy wschód. – A może coś gorszego się tutaj wydarzyło? Czy  
sukienka nie jest porwana?

Ze spojrzeń, jakie wymienili mężczyźni, mogłam się łatwo domyślić, o co mu chodzi.

Daniel zakasłał dyskretnie.

– Trudno będzie to stwierdzić, dopóki nie zbada jej lekarz lub sama nam nie powie.

– Na sukni nie ma i nie było żadnych śladów – oświadczyłam. – Dziewczyna leżała spokojnie, jakby we śnie.

– To i tak nie ma teraz znaczenia. Musimy ją jak najszybciej odstawić w ciepłe miejsce – powiedział Daniel. – Skoro nie wiemy, gdzie mieszka, trzeba ją zawieźć do najbliższego szpitala.

– Najbliżej jest niemiecki szpital Lenox Hill na Siedemdziesiątej Siódmej Wschodniej – zauważył Jones.

– To niedaleko – stwierdził Daniel. – Gdybyśmy ją zanieśli do bramy, można by złapać powóz, zamiast czekać na pogotowie. Tak będzie szybciej. Myślisz, Jones, że damy radę?

– Bez problemu – odparł policjant. – Jest lekka jak piórko. Proszę na nią spojrzeć: skóra i kości. Wygląda, jakby od miesiąca nie jadła przyzwocie.

Miał rację. Na ciele nieznanym nie było ani grama tłuszczu. Z łatwością mogłam objąć chudy nadgarstek kciukiem i palcem wskazującym jednej ręki. Nie wyglądała jednak na zaniedbaną i wygłodzoną, a jej suknia i buty były dobrej jakości.

– Powiedz nam, jak się nazywasz – poprosiłam jeszcze raz. – Chyba lepiej wrócić do domu niż trafić do szpitala, prawda?

Dziewczyna wpatrywała się we mnie pozbawionym wyrazu wzrokiem.

– Może nas nie rozumie – powiedział Daniel. – Może niedawno przybyła do miasta i nie zna angielskiego?

Przypomniałam sobie parę podstawowych zwrotów po francusku, a Daniel spróbował się z nią porozumieć po niemiecku, ale nic to nie dało. Nie zareagowała też, gdy mężczyźni podnieśli ją i zaczęli iść w stronę wyjścia. Znaleźliśmy ścieżkę przecinającą East Drive i ruszyliśmy po śliskiej nawierzchni. Zamoczyłam spódnicę i pończochy w śniegu, więc szczykałam z zimna zębami, mimo że miałam na sobie płaszcz Daniela.



Wkrótce znaleźliśmy się na Piątej Alei i zatrzymaliśmy powóz, który zabrał nas do szpitala na Siedemdziesiątą Siódmą. Dopiero kiedy Daniel wniósł ją na izbę przyjęć i ruszył szybko korytarzem wyłożonym białą glazurą, dziewczyna zaniepokoiła się i próbowała wyrwać. Była jednak tak słaba, że Daniel z łatwością utrzymał ją w ramionach. Wkrótce leżała w szpitalnym łóżku, owinięta w ciepłe koce i otoczona wianuszkami pielęgniarek.

Właśnie zakładałam na siebie pożyczoną od Sid i Gus aksamitną narzutkę, gdy do sali wszedł brodaty lekarz i musieliśmy jeszcze raz opowiedzieć całą historię.

– W takim stroju na śnieg? – zdziwił się. – Co za głupota! – dodał z silnym niemieckim akcentem.

– Podejrzewamy, że znalazła się w parku wbrew swojej woli. Pewnie uciekła przed prześladowcą albo napastnikiem – powiedział Daniel.

– Ach, tak. Muszę ją zbadać. Proszę się odsunąć.

Pielęgniarki rozstawiły wokół łóżka parawan, ale lekarz nie zabawił za nim długo. Wszedł prawie natychmiast, ocierając pot z czoła.

– Musiała przeżyć silny wstrząs. Nie pozwala się dotknąć.

– W takim razie może rzeczywiście została zaatakowana w parku?

– Raczej nie, sądząc po tym, co jednak udało mi się zobaczyć – odrzekł lekarz. – Ma na sobie bieliznę wiązaną troczkami. Przypuszczam, że każdy napastnik albo by je rozerwał, albo nie zawracał sobie głowy ich zawiązywaniem. Śmiem twierdzić, że żadna napaść tego rodzaju nie miała miejsca.

– To może napaść na innym tle – zasugerował Daniel. – Ktoś uderzył ją w głowę, przewróciła się i straciła przytomność.

– Nie sądzę. Poczekajmy jednak. Wpada w panikę, gdy tylko próbuję jej dotknąć. Będzie lepiej, jeśli damy biedaczce odpocząć przed kolejnym badaniem. Naprawdę nie macie pojęcia, kim ona jest?

– Nie odpowiedziała na żadne z naszych pytań, nie dała nam żadnych wskazówek – odparłam. – Według kapitana Sullivana powodem może być to, że nie zna angielskiego.

- Kapitana Sullivana? Jest pan żołnierzem, *mein Herr*?
- Policjantem – odrzekł cicho Daniel.
- *Das ist gut*. Czyli nie musimy składać raportu.
- Nie, proszę się tym nie przejmować. Rozumiem, że zostawiamy ją pod troskliwą opieką.
- Oczywiście.
- Oto moja wizytówka, doktorze. – Daniel sięgnął do kieszeni. – A jutro przyjdziemy ją odwiedzić.
- Mam nadzieję, że wkrótce poczuje się lepiej i do czasu waszej wizyty uda się nam skontaktować z rodziną. – Lekarz uśmiechnął się szeroko.

Zanim podążyłam do wyjścia, rzuciłam jeszcze okiem w jej stronę. Parawan odsunięto. Dziewczyna leżała nieruchomo, z szeroko otwartymi oczami. Wyglądała jak rzeźba wyciosana z białego marmuru.

## 6

– Chyba straciłem ochotę na spacer – powiedział Daniel, kiedy wyszliśmy na wspaniałe zimowe słońce. – Jak ty się czujesz?

– Przemoczona od stóp do głów i przemarznięta. Muszę się natychmiast przebrać i napić gorącej herbaty.

– Znajdę powóz i pojedziemy do domu.

– Dość tego – zaprotestowałam. – Co to za ekstrawagancja z tymi powozami?!

– W takim razie pozwolę ci tym razem zapłacić – odparł Daniel. – Skoro zarobiłaś fortunę w Irlandii i znów pracujesz nad kolejną sprawą...

– Jaką fortunę? Nie żartuj. Muszę oszczędzać na czarną godzinę, gdy żaden klient nie zastuka do moich drzwi. Poza tym tak zostałam wychowana. Moim nogom niczego nie brakuje, więc dojdę do najbliższej stacji elki.

– Nie zaprzeczę. – Spojrzał na mnie z uśmiechem. – Rzeczywiście nogi masz niczego sobie.

– Kapitanie Sullivan!

– Cóż, pół świata je widziało w parku, jak płasałaś po śniegu – nie ustępował.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu.

– Wydajesz się bardzo przygnębiona. Nadal martwisz się tą dziewczyną?

– Nie mogę przestać o niej myśleć – odrzekłam. – Biedactwo. Przecież gdybym nie uciekała przed tobą w poszukiwaniu jakiejś kryjówki, nikt by jej nie znalazł. To istny cud.

Pokiwał głową.

– Wyjątkowy zbieg okoliczności, prawda? Bardzo chciałbym wiedzieć, co się naprawdę wydarzyło.

– Miałam wrażenie, że się czegoś boi – powiedziałam. – Strasznie protestowała, gdy ktoś się do niej zbliżał. Owszem, była nieodpowiednio ubrana na taką pogodę, ale oprócz tego wyglądała zupełnie normalnie. Nie odnosiło się wrażenia, że spotkała ją jakaś krzywda.

– Może jest upośledzona? Uciekła z domu opieki i zabłądziła? Takie osoby często lunatykują.

Przypomniały mi się wielkie, puste oczy dziewczyny.

– Niewykluczone, że masz rację. W takiej sytuacji rodzina na pewno zgłosiła zaginięcie.

Zanim elka dojechała do Ósmej Alei, moje pończochy i spódnica zdążyły wyschnąć. Pożałowałam, że w Central Parku nie stanęłam na łyżwach.

– Może jutro pójdziemy na ślizgawkę większą grupą – zaproponowałam. – Sid i Gus na pewno by się ucieszyły z zaproszenia. Umówiłam się z nimi na obiad. Dołączą też ich znajoma, Nellie Bly.

– Nellie Bly? – zdziwił się Daniel. – Ta reporterka? Jest przyjaciółką Sid i Gus?

– Sid i Gus znają wszystkich, których warto znać – odparłam z uśmiechem. – Wydaje się bardzo ciekawą osobą.

– Podobno lubi ryzyko – stwierdził Daniel. – Wielokrotnie narażała się na różne niebezpieczeństwa. Słyszałem, że objechała świat w siedemdziesiąt osiem dni. Bardzo chciałbym ją poznać.

– W takim razie oznajmię Sid i Gus, że jutro do nas dołączysz – powiedziałam. – Rano we dwoje wybierzemy się do szpitala, potem zjemy obiad z Nellie Bly i moimi sąsiadkami, a po południu wszyscy razem pójdziemy na łyżwy. Wieczorem muszę znów przypilnować pana Rotha i potowarzyszyć mu w wieczornych eskapadach.

– A może zrobisz sobie wolne? Moglibyśmy zakończyć ten wspaniały dzień wspólną kolacją w restauracji – zaproponował Daniel.

– A jeśli akurat wtedy pan Roth pójdzie w miasto zaszaleć albo spotka się z niewłaściwymi ludźmi? To moja praca, Danielu. Nie przypominam sobie, żebyś brał wolne wieczory na służbie.

– Owszem, ale to co innego. Ja tropiłem przestępców. Musiałem przypilnować, żeby ich złapano.

– Ależ oczywiście, to co innego – powiedziałam, przedrzeźniając Daniela. – Czyli nadal uważasz, że moja praca to tylko zabawa? Sam wiesz, jak często bywa niebezpieczna.

– I dlatego byłbym niezmiernie rad, gdybyś wreszcie zmieniła zajęcie – odparł. – Ale podziwiam twoją determinację i lojalność wobec klientów. Poczekam z kolacją do zakończenia śledztwa. Kiedy to nastąpi?

– Mam zamiar obserwować pana Rotha co najmniej przez dwa tygodnie. Jeśli w tym czasie nic się nie wydarzy, przekażę swoim klientom, że mogą zacząć przygotowania do wesela.

– Czyli wystarczy grzecznie się zachowywać tylko przez dwa tygodnie, żeby zrobić dobre wrażenie na przyszłych teściach? – zapytał.

– Wcale tego nie powiedziałam. Ale w tym czasie mogę sobie wyrobić zdanie na temat konkretnego człowieka. Poza tym zapłacili mi za dwa tygodnie.

Daniel parsknął śmiechem.

– Jestem głodna – oznajmiłam. – Dawno minęła pora obiadu, a myśmy nic nie jedli.

– Chodźmy do restauracji w hotelu Lafayette – zaproponował. – Mają tam wyborną kuchnię.

– Powinniśmy oszczędzać – stwierdziłam. – Zrobię obiad w domu. Mam dobrą zupę i ser.

– Zgoda.

Otwierając drzwi na Patchin Place, zauważyłam, że na podłodze leży jakaś koperta.

Charakter pisma był dziwnie znajomy – zamaszty i bardzo kobiecy. Podniosłam ją.

– Któż to do mnie napisał? – zapytałam głośno.

– Może dostałaś kolejne zlecenie?

– Nie. Listy do agencji przychodzą na pocztę – odparłam. – Moi klienci nie powinni wiedzieć, gdzie mieszkam.

Nigdy nie byłam cierpliwa. Rozerwałam kopertę. Papeteria pachniała perfumami. Zaczęłam czytać.

*Moja droga panno Murphy,*

*mogę tylko mieć nadzieję, że bezpiecznie wróciłaś do Nowego Jorku. Właśnie dostałam długi list od Granii Hyde-Borne z Dublina. Opisała w nim zdumiewające wydarzenia, do których doszło podczas Twojego pobytu w Irlandii. Moja droga Molly, nie miałam pojęcia, na co Cię narażam. Przepraszam! Nigdy nie zamierzałam Cię skrzywdzić. Proszę, odwiedź mnie w najbliższej wolnej chwili. Pragnę jeszcze raz się usprawiedliwić i wysłuchać Twojej opowieści o biednej Rose i dzielnym Cullenie. Chciałabym wynagrodzić Ci wszystkie trudy dodatkową drobną kwotą, chociaż boję się, że nie jestem w stanie zrekompensować tego, co przeszłaś.*

Oona Sheehan

Przez chwilę stałam nieruchomo, z listem w dłoni.

– Kto do ciebie napisał? – spytał Daniel.

– Oona Sheehan – odburknęłam wściekła.

– Ta aktorka?

– Owszem. Ta sama, przez którą moja podróż do Irlandii zamieniła się w koszmar.

– Czego teraz chce?

– Osobiście mnie przeprosić. Myślę jednak, że przede wszystkim pragnie usłyszeć, co się stało z Cullenem Quinlanem, bo wiem, że kiedyś się w nim kochała. – Z wiadomych względów nie dodałam, że sama również lekko zadurzyłam się w tym przystojnym mężczyźnie.

– Co to za Cullen Quinlan?

Poczułam, że się czerwienię.

– Przywódca Bractwa Republikańskiego. Niesamowity człowiek.

– Rozumiem – odparł. – Odwiedzisz ją czy zatelefonujesz?

– Nie wiem. Jaki to ma sens? Po co rozgrzebywać stare rany?

Daniel zajrzał mi przez ramię.

– Widzę, że proponuje dodatkowe wynagrodzenie – powiedział. – Moim zdaniem powinnaś je przyjąć. Ciężko się napracowałaś.

– Owszem, nawet bardzo ciężko – przyznałam. – Masz rację, złożę jej wizytę. Powiem, jak bezmyślnie i okrutnie postąpiła.

– Nie zazdroszczę panie Sheehan – skomentował ze śmiechem. – Dlaczego zaraz po powrocie do domu nie poszłaś do niej i nie zażądałaś premii?

– Chciałam szybko o wszystkim zapomnieć – oświadczyłam i uświadomiłam sobie, że Daniel, mówiąc „do domu”, miał na myśli Nowy Jork, nie Irlandię.

To prawda – pomyślałam – mój dom jest teraz w Ameryce.

– Dobrze, w takim razie od razu do niej pójde, żeby mieć to z głowy – oznajmiłam.

– Jak to od razu?! – zaproponował. – Przecież mieliśmy coś zjeść.

– Ja tu się denerwuję, a ty tylko o jedzeniu – rzuciłam zniecierpliwiona. – W porządku, już podgrzewam zupę.

Zjedliśmy posiłek, sprzątnęłam ze stołu, a następnie uczesałam się porządnie i upięłam włosy w kok. Tuż przed wyjściem przypomniałam sobie, że powinnam zwrócić panie Sheehan czarno-biały dwuczęściowy kostium, który pożyczyła mi na czas podróży. Znalazłam go w szafie. Był brudny i zmięty, ale stwierdziłam, że nie będę się tym przejmować. Przecież i tak panna Sheehan jest mi winna więcej, niż jest w stanie zapłacić. Wepchnęłam ubranie do torby, pożegnałam się z Danielem i udałam na spotkanie z artystką.

Na kopercie panna Sheehan podała adres: Hoffman House na Dwudziestej Piątej Zachodniej. Spodziewałam się, że będzie to kamienica z apartamentami, ale ku swojemu zdziwieniu we wskazanym miejscu znalazłam luksusowy hotel, w dodatku na eleganckim Madison Square. Latem Madison Square stanowi zieloną oazę w sercu miasta, ale zimową porą prezentował się dosyć ponuro – gołe gałęzie drzew smutno zwisały nad szarym śniegiem. Na dodatek zerwał się silny wiatr, więc cieszyłam się, że

mogę wejść do ciepłego hotelowego foyer. Kiedy portier otworzył przede mną szklane drzwi z połączanymi klamkami, poczułam pod stopami miękką wykładzinę. Na wprost wejścia wisiał wielki obraz olejny, który natychmiast przykuł moją uwagę. Zajmował prawie całą ścianę, a przedstawiał nimfy i satyry. Nagie i wyniosłe. Takich dzieł spodziewałabym się w muzeum, ale nie w hotelu. Tutaj było to szokujące, nawet dla osoby takiej jak ja, obracającej się przecież w kręgach artystycznej bohemy. Najwyraźniej obraz wzbudzał sensację i zwracał uwagę nie tylko mieszkańców hotelu, bo jakaś starsza para zajrzała do środka przez uchylone drzwi.

– Widzisz, Mario, nie mówiłem? – zapytał mężczyzna.

– Straszne. Przerazające i okropne. Ani mi się waży patrzeć, Józefie – odparła kobieta.

Uśmiechnęłam się sama do siebie. Rozczuliły mnie ich imiona i reakcja.

Podeszłam do recepcji.

– Przyszłam zobaczyć się z panną Sheehan – powiedziałam. – Nazywam się Murphy. Molly Murphy. Jestem umówiona.

– Sprawdzę, czy panna Sheehan jest u siebie – oznajmił recepcjonista i zniknął, pozostawiając mnie sam na sam z obrazem.

Wkrótce wrócił z uśmiechem na twarzy.

– Panna Sheehan z przyjemnością panią przyjmie, panno Murphy. Proszę pojechać na dziesiąte piętro. Pokój numer tysiąc sześć.

Windziarz uklonił się i zawiózł mnie na górę. Na dziesiątym piętrze drzwi windy otworzyła starsza kobieta w rudej etoli na ramionach. Miała rozczochrane włosy i wyglądała trochę jak lwica na wybiegu. Skinęła głową i głębokim, zmanierowanym głosem powiedziała:

– *Bonjour.*

Byłam pewna, że gdzieś już ją widziałam.

– Jadę na dół, madame Bernhardt – oznajmił windziarz, a ja przypomniałam sobie, jak panna Sheehan kiedyś mi mówiła, że Boska Sarah ma u Hoffmana apartament.

Proszę, proszę – pomyślałam. Jakie zaszczyty mnie spotykają! Gdyby tylko moi bliscy z Ballykillin mogli mnie teraz zobaczyć w towarzystwie bogatych



i sławnych... Po chwili uświadomiłam sobie, że w Ballykillin nie ma już nikogo. Nie mam tam rodziny, nie mam przyjaciół. To już nie jest mój dom. A teraz jeszcze raz będę musiała opowiedzieć o bolesnych chwilach z niedalekiej przeszłości. I to komu? Kobiecie, która mnie tak zawiodła. Zatrzymałam się w eleganckim korytarzu i prawie zawróciłam. Po chwili zebrałam się w sobie i z podniesioną głową zastukałam do drzwi.

Panna Sheehan jak zwykle wyglądała oszałamiająco. Ciemnozielona suknia z jedwabiu podkreślała miedziany kolor jej włosów, wyjątkowo rozpuszczonych i łagodną falą spływających na ramiona. Na twarzy nie miała śladu makijażu, co w ogóle nie przeszkadzało, bo Oona była po prostu uosobieniem piękna. Nic dziwnego, że zawsze otacza ją wianuszek adoratorów – pomyślałam. Chciałam zachować się z dystansem, a nawet chłodno; załatwić szybko sprawę i odejść, ale gdy stanęła w drzwiach i otworzyła szeroko ramiona, mówiąc: „Molly, moja słodka. Dziękuję, że przyszałaś” – przyjęłam jej uścisk i nawet wymamrotałam jakieś miłe słowa powitania.

Zaprowadziła mnie do eleganckiego salonu z widokiem na park. W Nowym Jorku panowała sroga zima, ale na stoliku między fotelami stała miska pełna owoców i wazon z kwiatami. Jak zwykle prezenty od wielbicieli – pomyślałam.

– Zdejmij płaszcz i usiądź – poprosiła. – Yvette przyniesie nam herbaty. – Wskazała na miniaturowy fotelik przy oknie.

Dała sygnał srebrnym dzwoneczkiem i po chwili w drzwiach pojawiła się szczupła śniada dziewczyna w czarno-białym fartuszk. Nieśmiało dygnęła.

– Pani wołała, madame?

– Tak, Yvette. Podaj nam herbatę

Dziewczyna znów dygnęła i wyszła.

Co za zmiana! – pomyślałam. Ostatnia pokojówka była prostą chłopką z Irlandii. Niestety, została brutalnie zamordowana.

– Życie toczy się dalej – oznajmiła smutno panna Sheehan, jakby czytała w moich myślach. – Postanowiłam, że nowa pokojówka będzie zupełnie inna niż Rose. Nie chciałam, by mi ją przypominała. Jest protegowaną madame Bernhardt. Pochodzi z tego samego miasta we Francji co moja sąsiadka.

Przerwała i popatrzyła na mnie uważnie.

– Więc jak się masz, Molly? Grania napisała, że przeżyłaś okropne chwile.

– Owszem – odparłam. – Przez ciebie.

Dotknęła mojej dłoni.

– Strasznie się poczułam, kiedy zdałam sobie sprawę, na co cię naraziłam.

– Zrobiłaś to z premedytacją. – Nie kryłam wściekłości. – Byłam zabawką w twoich rękach.

– Tak, ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że... – Przez chwilę zastanawiała się, co powiedzieć. – Molly, nigdy bym cię nie naraziła na takie niebezpieczeństwo, gdybym wiedziała. Myślałam, że to proste zadanie. Wybaczysz mi?

Wzięła mnie za rękę i obdarzyła czarującym uśmiechem. Wbrew wcześniejszym postanowieniom poczułam, że łagodniej, i też lekko się uśmiechnęłam.

– Czy dasz radę mi o wszystkim opowiedzieć? Grania napisała bardzo ogólnie, a ja chciałabym poznać szczegóły.

– W porządku – zgodziłam się i zaczęłam snuć swoją opowieść. Starłam się streścić przebieg wydarzeń i trzymać się głównych faktów, ale nie mogłam przecież pominąć historii moich braci i Cullena.

Słuchała z koronkową chusteczką przy oczach.

– Nasi dzielni irlandzcy chłopcy – szepnęła. – Co za strata!

– Tak, okropna strata.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

– Był dobrym człowiekiem, prawda, Molly?

Przytaknęłam.

– Jednym z najlepszych, jakich znałam.

– Czy często mnie wspominał?

Nie mogłam przecież powiedzieć, że dawno o niej zapomniał.

– Bardzo często – skłamałam.

– Gdybym tylko mogła tam być! – Westchnęła. – Ale mam obowiązki wobec widzów. Oni mnie potrzebują, Molly. Osładzam im życie.

Przez moment zrobiło mi się jej żal. Na szczęście uczucie to szybko odpłynęło.

– Nie mogę zostać długo – powiedziałam. – Przyniosłam kostium, który musiałam nosić po zejściu na ląd, bo nie miałam własnych ubrań. Obawiam się, że pokojówka będzie musiała go uprać i wyprasować.

Zaczęłam otwierać torbę, ale Oona natychmiast mnie powstrzymała.

– Nie trzeba. Proszę. Powinnaś była wziąć, co tylko chciałaś. Projektanci strojów dają mi tyle ubrań! Mam ich zdecydowanie za dużo. Może zechcesz teraz sobie coś wybrać?

Znów wzięła mnie za rękę i spróbowała zaprowadzić w głąb mieszkania. Muszę przyznać, że kusila mnie jej propozycja. Kto by nie chciał wybrać sobie trochę luksusowych strojów? Na szczęście nie dałam się omamić.

– To bardzo miłe, ale nie, dziękuję.

Jakkolwiek by na to patrzeć, Oona wciąż była mi winna pieniądze. Nienawidzę upominać się o swoje, ale przecież dokończyłam zlecenie, prawda? Omal nie zginęłam w Irlandii.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza.

– Jeśli chcesz spłacić swój dług – powiedziałam – przypomnę, że obiecałaś mi pieniądze.

– Obiecałam? – Spojrzała na mnie zdziwiona.

– Poprosiłaś mnie o doręczenie bagażu, pamiętasz? Za sto dolarów.

Oblała się ślicznym rumieńcem.

– No tak. Oczywiście. Ale głuptas ze mnie. Całkowicie wypadło mi to z głowy.

Co to dla niej sto dolarów! – pomyślałam. Zajrzała do torebki, a potem uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

– Wygląda na to, że nie mam już czeków – oświadczyła.

– Wyślij pocztą – zaproponowałam. – Znasz mój adres.

– Oczywiście – powiedziała z ulgą, a potem rozejrzała się niecierpliwie. – Yvette? Co z tą herbatą?

– Już za chwilę, madame – odezwał się głos z daleka. – W tej chwili wstawiają ją do windy serwisowej.

– Widzisz? Herbata w drodze. – Oona poklepała miejsce na kanapie obok siebie. – A skoro jeszcze czekamy, muszę się przyznać, że jest też inny powód, dla którego cię tutaj zaprosiłam. Mam nowe zadanie.

Mogłam się domyślić!

– Tylko nie to – powiedziałam. – Jak to się mówi? Kto raz się sparzył...

– Tym razem nie o mnie chodzi – wyjaśniła pospiesznie. – Blanche Lovejoy poprosiła mnie o pomoc.

– Blanche Lovejoy? – zapytałam. Nazwisko brzmiało znajomo.

– Musisz znać Blanche – stwierdziła Oona. – Wszyscy ją znają.

– Od niedawna mieszkam w Nowym Jorku – oznajmiłam i od razu zrobiło mi się trochę wstyd. – Ale nazwisko obilo mi się o uszy.

– Jest jedną z najlepszych i najbardziej znanych artystek w tym mieście. Występowała w *Wiejskiej pokojówce* i *Wiosennych szaleństwach*. To głośne przeboje.

Nic mi te tytuły nie mówiły, ale przecież nie chadzam do teatru, bo nie mogę sobie pozwolić na takie ekstrawagancje.

– Od przeszło roku nie grała na Broadwayu – ciągnęła Oona – ale w przyszłym tygodniu czeka ją premiera w teatrze Casino. To najlepsza lokalizacja w mieście. Szczerze mówiąc, dla aktorek, które skończyły trzydzieści pięć lat, nie ma w teatrze miejsca. Ciekawa jestem, czy odniesie sukces.

– Sarah Bernhardt chyba nie może narzekać – zauważyłam. – Wpadłam na nią, wychodząc z windy. Musi być dobrze po czterdziestce.

Oona parsknęła śmiechem.

– Ma prawie sześćdziesiąt lat, moja droga. Ale Boska Sarah to instytucja. Kariera zwykłych aktorek przemija wraz z urodą. Mnie pozostało najwyżej pięć lat. – Westchnęła głęboko i położyła dłoń na piersi.

– I co później? – zapytałam. – Pewnie uwijesz sobie jakieś przytulne gniazdko.

– Kochanie, wyjdę dobrze za mąż – odparła. – Zanim się zestarzeję, pozwolę się usidlić starszemu, bogatemu mężczyźnie i spędzę resztę swoich dni w luksusie.

– Czy to będzie na przykład Artie Fortwangler? – spytałam, przypomniawszy sobie pewnego młodego człowieka, którego spotkałam na statku.

– Trzymajcie mnie! Więc i ty poznałaś Artiego, tak? No nie, tak zdesperowana nigdy nie będę. – Roześmiała się. – Myślałam raczej o kimś z Europy. Może trafi się jakiś hrabia albo włoski książę.

Yvette przerwała tę scenę.

– Herbata, madame! – Postawiła tacę tak energicznie, że aż filiżanki zadzwoniły. – Czy mam ponalewać?

– Nie, dziękuję, Yvette. Dam sobie radę. – Oona machnęła ręką.

A kiedy dziewczyny nie było już w pokoju, mruknęła:

– Francuskie pokojówki może są teraz modne, ale człowiek ma cały czas wrażenie, że robią łaskę i zadzierają nosa. Rose była miła i skromna.

Nie chciałam znowu wspominać Rose.

– Wracając do Blanche Lovejoy – powiedziałam. – Mówisz, że ma w przyszłym tygodniu premierę nowej sztuki. Do czego jestem jej potrzebna?

Oona nachyliła się, jakby nie chciała, by ktoś nas usłyszał.

– Blanche twierdzi, że teatr jest nawiedzony.

– Nawiedzony? – Zaśmiałam się. Nie potrafiłam zachować powagi. – A jak niby miałabym w tym pomóc? Do komunikacji z duchami powinna chyba raczej zatrudnić spirytystkę.

– Mówi, że duch próbuje ją zabić. Chce, żeby ktoś z zewnątrz zobaczył, jak wygląda sytuacja. Potwierdził, że nie zwariowała. Pomożesz jej, prawda?

Wyszłam z Hoffman House i stanęłam na ulicy, by podnieść kołnierz i ochronić się przed zimnym wiatrem, który szalał na Dwudziestej Piątej. Byłam wściekła, że wracam do domu z pustymi rękami. Trzeba dalej naciskać, bo panna Sheehan nie wyśle czeku sama z siebie – pomyślałam. W dodatku zobowiązałam się, że odwiedzę Blanche Lovejoy. Jak znaleźć na to wszystko czas? A jednak zlecenie wydaje się naprawdę intrygujące... Że też akurat w tym tygodniu muszę się skupić na sprawie Rotha! Dla panny Lovejoy liczy się każdy dzień. Nie że jej życiu zagraża niebezpieczeństwo, ale zainwestowała w to przedstawienie, a będzie zmuszona odwołać premierę, skoro w teatrze dzieją się dziwne rzeczy. To może oznaczać koniec jej kariery artystycznej i pewnie tego boi się najbardziej – uznałam.

No i jest jeszcze ta dziewczyna, którą znaleźliśmy w parku. Nie mogłam o niej zapomnieć, choć wiedziałam, że nie powinnam się aż tak angażować. Korciło mnie, żeby się upewnić, czy bezpiecznie wróciła do swoich bliskich. Bardzo chciałam poznać tajemnicę nieznaną i dowiedzieć się, co tak naprawdę wydarzyło się w parku. Matka zawsze mnie ostrzegała przed wtykaniem nosa w nie swoje sprawy. Uważała, że zbyt ciekawość kiedyś mnie zgubi.

Jak się uporać z dwoma zadaniami naraz? Przecież się nie rozdwoję! Panna Lovejoy jest w teatrze przede wszystkim w godzinach wieczornych, czyli dokładnie wtedy, kiedy powinnam śledzić pana Rotha. Potrzebuję współpracownika – pomyślałam. Nagle mnie olśniło. Znam idealną osobę, która się do tego nadaje!

Minęłam schody prowadzące na stację elki przy Dwudziestej Trzeciej i poszłam dalej, aż do domu z czerwonej cegły, w którym Daniel miał swój apartament. Gospodyni, pani O'Shea, bardzo się ucieszyła na mój widok.

– Panna Murphy! Jak miło! Dobrze, że znalazła pani chwilę, żeby nas odwiedzić. Trzeba jakoś rozruszać tego biedaka, prawda? – powiedziała. – Ostatnio chodzi taki przygnębiony.

– To trudny czas dla niego – zauważyłam. – Jest teraz w domu?

– Właśnie wszedł jakieś dziesięć minut temu – odparła. – Miałam zapytać, czy zechce zjeść z nami kolację. Przykro mi patrzeć, jak sam tam siedzi na

górze.

– Pójdę i zapytam – zaproponowałam.

– Będzie nam miło, jeśli razem przyjdziecie – dodała. – Zrobiłam wielki gar irlandzkiej potrawy. Starczyłoby dla całego miasta.

– Przykro mi, ale dziś wieczorem muszę być gdzie indziej. Przekażę zaproszenie Danielowi.

– Dziękuję. – Dygnęła, a ja zaczęłam wchodzić po schodach. – Założę się, że niedługo to wszystko się skończy, a panią i kapitan będziecie mogli znów zająć się swoim życiem. – Najwyższy czas, żeby wreszcie założył rodzinę – dorzuciła konfidencjonalnym tonem.

Przytaknęłam.

– Będę szczęśliwa, gdy jego problemy się skończą – dodałam.

Szybko weszłam na schody, by przerwać rozmowę, która zaczęła się rozwijać nie po mojej myśli.

Daniel zdziwił się na mój widok.

– Molly, co ty tu robisz?

– Cóż za miłe słowa powitania skierowane do kobiety, która podobno jest miłością twojego życia.

– Rozstaliśmy się zaledwie dwie godziny temu – powiedział. – Nawet najbardziej żarliwi kochankowie nie spotykają się co chwila. Czyżbyś żałowała, że wczoraj wyszedłem od ciebie tylko z jednym pocałunkiem? Postanowiłaś to naprawić?

– Przychodzę w zupełnie innej sprawie – oznajmiłam. – Mam dla ciebie propozycję zawodową.

Nie czekałam już dłużej na zaproszenie do środka. Po prostu weszłam. To śmieszne, że po wystroju wnętrza tak łatwo można poznać, kto w nim mieszka – mężczyzna czy kobieta. Ten zapach fajki, surowe, wypolerowane drewno, rzędy książek w bibliotece, skórzane fotele bez miękkich poduszek i zupełny brak bibelotów! Przysięgam, że gdyby to mężczyźni odpowiadali za urządzenie domów i mieszkań, świat byłby uboższy o kwiaty w doniczkach i serwetki na stołach.

Rozsiadłam się bez pytania w jednym ze skórzanych foteli, które stały po obu stronach kominka.

– Zastałaś pannę Sheehan? – spytał Daniel. – Oddała ci pieniądze?

– Akurat skończyły jej się czeki – oparłam z przekąsem. – Obiecała wysłać pocztą. Uwierzę, jak listonosz przyniesie od niej list. Ale posłuchaj, zaproponowała mi nową pracę!

– Po tym wszystkim? Mam nadzieję, że nie przyjęłaś.

– Przekazała mi zlecenie w imieniu swojej przyjaciółki. I muszę przyznać, że to interesująca oferta. Chodzi o Blanche Lovejoy.

– Blanche Lovejoy?

– Znasz ją?

– Czy znam? Oczywiście! To wielka gwiazda, choć trzeba przyznać, że jej blask nieco przygasł. Był czas, kiedy grała w wodewilach na Broadwayu. Pamiętam, że jako student chodziłem na jej występy. Te frywolne stroje i piosenki! Więc o co Blanche Lovejoy chce cię poprosić?

– To nie jest do końca jasne, ale dziś wieczorem planuję ją odwiedzić w teatrze. I tu jest problem. Wieczorem muszę również śledzić pana Rotha.

– Nie możesz robić dwóch rzeczy naraz – zauważył Daniel.

– Nie, nie mogę. Chyba że... – zawiesiłam głos, by podkreślić powagę sytuacji – poproszę kogoś o pomoc. Znajdę sobie współpracownika.

– Serio o tym myślisz? Możesz sobie pozwolić na taki luksus? Ale jak znajdziesz kogoś, kto zna się na rzeczy?

– Z tym akurat nie powinno być problemu – powiedziałam. – Myślałam o tobie, Danielu.

– O mnie? Prosisz mnie, żebym dla ciebie pracował?

– Przecież masz odpowiednie kwalifikacje – odparłam i na chwilę zamilkłam. Przyznam, że rozmowa o sprawach zawodowych sprawiała mi przyjemność. – Przecież sam powiedziałeś, że siedzisz w domu i zbijasz bąki, podczas gdy ja mam tyle pracy. Masz szansę poćwiczyć swoje umiejętności detektywistyczne i nie wyjść z wprawy. Dam ci siedemdziesiąt pięć procent wynagrodzenia.



– Tylko siedemdziesiąt pięć? – zapytał z uśmiechem.

– Mam spore koszty administracyjne, proszę pana. No i co powiesz? Czy znalazłam współpracownika?

Daniel zmarszczył brwi.

– Jeśli kiedykolwiek wyjdzie na jaw, że pracowałem dla kobiety, koledzy pękną ze śmiechu – oznajmił.

– Nie będziesz pracował dla kobiety, Danielu, tylko z kobietą. Wiesz, że ty i ja moglibyśmy stanowić wspaniały duet. Byłbyś największym atutem mojej małej agencji. Wiem, że nie mogę zapłacić tyle, ile jesteś wart, ale przynajmniej zarobisz na powóz do Central Parku, kiedy następnym razem wybierzemy się na łyżwy.

Znowu zmarszczył brwi i przełknął ślinę. Jabłko Adama skoczyło w górę.

– Jeśli nie chcesz, znajdę kogoś innego. Z tego, co wiem, Ryan O’Hare nie ma teraz zajęcia. Na pewno uzna, że moja oferta jest bardzo atrakcyjna.

Wiedziałam, że Daniel głęboko gardzi moim przyjacielem, ekstrawaganckim dramaturgiem Ryanem O’Hare, i dokładnie przewidziałam, jak zareaguje.

– Na pewno nie chcesz pracować z kimś takim – powiedział. – Pomyśl o swojej reputacji. Żadna porządna żydowska rodzina już nigdy cię nie zatrudni.

– W takim razie tym bardziej powinieneś się zgodzić. Kto lepiej się sprawdzi niż ty? Trzeba śledzić mężczyznę, który odwiedza dzielnicę o złej sławie. Tobie będzie o wiele łatwiej niż mnie.

– Masz rację – stwierdził Daniel. – Nikt nie zrobi tego lepiej niż ja. Niestety, dobrze mnie znają w dzielnicach o złej sławie. Jako policjant miałem do czynienia z elementem przestępczym.

– Nie sądzę, żeby pan Roth bratał się z przestępcami – zauważyłam. – Przynajmniej mam szczerą nadzieję, że tego nie robi.

– Dobrze, mogę spróbować i zobaczyć, jak nam idzie i czy potrafimy się dogadać – zgodził się w końcu Daniel.

– Jeśli nie będziemy potrafili pracować razem przez parę dni, to nie ma co planować wspólnej przyszłości – odparłam. – Najwyższy czas, żebyś

zaakceptował mnie taką, jaka jestem. Nigdy nie będę stateczną panią domu, która czeka wieczorami na swojego pana i władcę, haftuje i grywa w krokieta.

Wyglądał na zaskoczonego moją deklaracją, ale po chwili skinął głową.

– Wiem, że się do tego nie nadajesz, Molly. Nie potrafisz żyć na pokaz. To jedna z rzeczy, które w tobie podziwiam. Dobrze. Pomogę ci i podzielę się z tobą swoją fachową wiedzą.

– Może i ty czegoś się ode mnie nauczysz – odparłam. – Umowa stoi?

Wymieniliśmy uścisk dłoni, a potem Daniel przyciągnął mnie do siebie.

– Przypieczętujemy umowę pocałunkiem – oznajmił.

Tym razem nie protestowałam.

Gwałtowne pukanie do drzwi przerwało chwilę, która zaczynała się niebezpiecznie przedłużać.

– Czy panna Murphy przekazała panu, kapitanie Sullivan, że zapraszam na kolację? – zapytała przez zamknięte drzwi pani O’Shea.

– Obawiam się, że muszę wyjść dziś wieczorem! – zawołał Daniel. – Dostałem ważne zlecenie.

Uśmiechnęłam się i powiedziałam:

– A ja mam randkę z duchem.

Premiera sztuki Blanche Lovejoy miała się odbyć w nowo otwartym teatrze Casino na Broadwayu, przy Trzydziestej Dziewiątej Zachodniej. Nie byłam pewna, co mogę zrobić dla artystki. Jak udowodnić, że teatr jest lub nie jest nawiedzony przez duchy? Gdyby rzeczywiście się okazało, że Blanche ma rację, premierę trzeba by odwołać, a ludzie straciliby pracę – pomyślałam. Chyba że w ostatniej chwili uda się znaleźć inne miejsce. Szczerze mówiąc, nie byłam wcale pewna, czy chcę stanąć oko w oko z duchem, zwłaszcza takim, który próbuje zabić pannę Lovejoy.

Kiedy dotarłam do drzwi teatru, zrozumiałam jednak, że to mało prawdopodobne, by panna Lovejoy zechciała przenieść przedstawienie w inne miejsce. Był to wielce okazały budynek – bardziej pałac sułtana niż teatr, z rzeźbieniami, sklepieniami i portalami. Oświetlony teraz tylko przez światła domów stojących w sąsiedztwie, mienił się niezwykłym blaskiem. Po jednej stronie wystrzelała w niebo okrągła wieża zwieńczona metalową kopułą. Na markizach przy wejściu umieszczono już napisy, choć jeszcze nie były oświetlone.

*Otwieramy w przyszłym tygodniu*

*Panna Blanche Lovejoy*

*powraca we wspaniałej roli w przedstawieniu pt.*

*O L A L A*

Szklane drzwi zdobione żłobieniami okazały się zamknięte, ale ostatecznie znalazłam małe wejście na tyłach budynku i wślizgnęłam się do słabo oświetlonego korytarza.

– Panienska dokąd? – usłyszałam jakiś głos w ciemności i aż podskoczyłam ze strachu.

Nie zauważyłam budki strażnika tuż przy ścianie.

Twarz mężczyzny zdawała się unosić w powietrzu, jakby była pozbawiona reszty ciała.

– Nie jesteśmy otwarci dla publiczności – powiedział. – Przykro mi; proszę natychmiast wyjść.

– Mam wiadomość dla panny Lovejoy – oświadczyłam. – Od panny Oony Sheehan. To pilne.

– Od panny Sheehan?

Teraz zauważyłam, że strażnik jest łysym starszym mężczyzną o okrągłej twarzy. Reszta ciała schowana była w budce i dlatego miałam wrażenie, że rozmawiam z głową bez tułowia.

– Co za dystygowana dama! Panienska zna Oonę Sheehan? Pracowała tu parę lat temu.

– Panna Lovejoy mnie oczekuje. Jeśli jest teraz wolna, chciałabym się z nią zobaczyć – odparłam.

– Od panny Sheehan, mówisz, dziecko? – powtórzył.

– Tak.

– Wszyscy są bardzo zajęci. Otwieramy w przyszłym tygodniu.

– Nie będę jej niepokoić, jeśli nie znajdzie dla mnie czasu – powiedziałam – ale panna Sheehan nalegała, by przekazać wiadomość dziś wieczorem.

Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Nie możesz liczyć na żadną pracę – stwierdził. – Zespół tancerek jest kompletny.

– Czy ja wyglądam na tancerkę? – spytałam.

– Mnie już nic nie zdziwi, moja droga. Gdybyś je widziała! Kiedy przychodzą tu po raz pierwszy, wszystkie wyglądają tak świeżo i niewinnie! Bez szminek i pudru, niczym wieśniaczki prosto od krów. Nie minie parę dni, a już zaczynają się malować i ubierać jak wszystkie kobiety, które wykonują ten dziwny zawód. Niektóre z nich pozostają sobą, ale większość przechodzi metamorfozę. Nic dziwnego, że teatr uderza im do głowy. Takie życie, prawda? Stoją tu różni chłopcy i czekają na nie po przedstawieniu. Zwykle mają więcej pieniędzy niż rozumu. Kupują kwiaty, szampana i czarują, wygadując różne bzdury. Niektóre dziewczyny schodzą na złą drogę. Staram się ich pilnować. Jak rodzony dziadek. Stary Henry – przedstawił się. – Tak mnie nazywają. Stary Henry – powtórzył.

Najwyraźniej uwielbiał pogawędki. Zanosiło się na to, że jeśli nic nie zrobię, spędzę tu całą noc. Z daleka dobiegała muzyka i kobiecy śpiew. Nagle usłyszałam jakiś krzyk i męski głos, który zawołał: „Poczekaj, nie idź!”.

– To koniec pierwszego aktu – powiedział Stary Henry. – Scena kąpieli. Poznają po odgłosach. Jeśli teraz wejdiesz na górę, jest szansa, że zastaniesz pannę Lovejoy w garderobie.

– Dziękuję. – Posłałam mu szeroki uśmiech.

– A jak się nazywasz, młoda damo? Musisz się tu podpisać, zanim pozwolę ci pójść dalej.

– Kitty Kelly – odparłam, podając pierwsze lepsze irlandzkie imię i nazwisko, jakie mi przyszło do głowy, po czym wpisałam się do księgi gości.

– A jak znajdę garderobę panny Lovejoy?

– Korytarzem do końca, potem w lewo i po schodach na górę. Następnie prosto przed siebie. Zobaczysz na drzwiach tabliczkę w kształcie gwiazdki z jej imieniem. Ale proszę nie idź nigdzie dalej, a tym bardziej na scenę, bo przez ciebie wpadnę w tarapaty. Panna Lovejoy nie lubi, jak przed premierą obcy siedzą na widowni. Uważa, że to przynosi pecha. Jest bardzo przesądna.

Już miałam sobie pójść, kiedy coś mi się przypomniało.

– Henry, czy w tym teatrze straszy? – spytałam.

Natychmiast zmienił się na twarzy.

– Masz ci los! Lepiej mnie nie oszukuj, młoda damo. Tylko nie mów, że jesteś dziennikarką.

– Nie, dlaczego miałabym być?

– Więc po co pytasz, czy w teatrze straszy?

– Bo jestem bardzo wyczulona na takie sprawy. My, Irlandczycy, mamy szósty zmysł i od razu wiemy, że coś jest na rzeczy.

Wyskoczył z budki jak oparzony.

– Na miłość boską, nie mów tego pannie Lovejoy! Jest i tak w złym stanie.

– Czemu? Co się stało?

– Nic takiego, szczerze mówiąc, ale ona myśli, że to coś więcej. Kiedy śpiewała, zawałiła się dekoracja na scenie, potem o mały włos nie wybuchł pożar, bo jedna ze świec wywróciła się na deski. W teatrach takie rzeczy się zdarzają. Ale ona uważa, że to nie są zwykłe wypadki. No, już wystarczy! Powiedziałem za dużo. Nie umiem trzymać języka za zębami. Jeśli chcesz się czegoś dowiedzieć, sama ją zapytaj.

– Zapytam – odparłam. – Na pewno zapytam.

Poszłam wąskim korytarzem, który robił się coraz ciemniejszy, a kiedy dotarłam do schodów, nie widziałam już prawie nic. Wspinałam się po metalowych stopniach, macając kamienie na ścianach i czując wilgoć pod palcami. Zrobiło się chłodniej. Z góry wciąż dobiegała muzyka, ale ta część budynku wydawała się zupełnie opuszczona. W myślach powtarzałam sobie, że nie wierzę w duchy, ale serce i tak waliło mi jak szalone. Wtem zobaczyłam jakąś białą postać i z wrażenia prawie spadłam ze schodów. Po chwili opanowałam się i odkryłam, że to zasłona, za którą znajdują się drzwi.

Co za głuptas ze mnie – pomyślałam. Ja się boję duchów? Ja, która wygrałam z braćmi zakład o to, kto po pogrzebie naszego sąsiada, starego Dana O’Haggerty’ego, najdłużej wytrzyma nocą na cmentarzu? Stałam na metalowej platformie wieńczącej schody, odsłoniłam kotarę i w oddali zobaczyłam scenę. Fragmenty scenografii przesłaniały mi widok, ale słyszałam głosy. Nie potrafiłam jednak rozróżnić poszczególnych słów. Wsłuchiwałam się przez chwilę, a potem znów udałam się na poszukiwanie garderoby panny Lovejoy. Wtem straszliwy krzyk wypełnił cały teatr. Pomyślałam sobie, że to tylko część sztuki, ale i tak oblał mnie zimny pot.

Chwilę później usłyszałam, a raczej poczułam, że ktoś biegnie, bo całe schody się zatrzęsły. To były dziewczęta z zespołu tancerek.

– Widziałaś? – szeptały między sobą.

– Nie, nic nie widziałam, ale Klara przysięga, że ktoś za nią był. Mówiła, że ze strachu trzęsły jej się kolana.

– Biedna Blanche. To będzie jej koniec, jeśli nic się nie zmieni.

Ponieważ dziewczęta się zbliżały, a ja wciąż stałam na korytarzu, przytuliłam się do ściany, mając nadzieję, że przejdą obok, nie zauważywszy mnie w tej ciemności. Niestety, pomyliłam się. Wyczuły, że ktoś się rusza, i przestraszone stanęły. Jedna z nich krzyknęła.

- Jest tu. Widzę ją – wyszeptała inna.
- Nie bójcie się – powiedziałam głośno. – Jestem człowiekiem, nie duchem.
- Kim jesteś i co tu robisz? – zapytała wysoka blondynka. – To ci nie ujdzie na sucho. Panna Lovejoy nie pozwala publiczności oglądać przedstawienia przed premierą.
- Jestem z nią umówiona. Wie, że przyjdę. Nakazano mi poczekać w garderobie.
- Nie będzie w stanie z nikim rozmawiać – zauważyła szczupła dziewczynka. – Po tym, co się stało, potrzebuje jedynie środka uspokajającego.
- A co się stało? – spytałam. – Słyszałam jakiś krzyk.
- Zobaczyła twarz w oknie – szepnęła jedna z dziewcząt.
- W oknie?
- W jednej ze scen musi otworzyć okno i wyrzeć na zewnątrz – powiedziała wysoka blondynka. – Podobno zobaczyła jakąś twarz i wbite w siebie spojrzenie.
- Czy ktoś to jeszcze widział?
- Nie było nas wówczas na scenie – odparła inna dziewczyna. – Ale Klara powiedziała, że czekając za kulisami, poczuła, jakby coś za nią przeszło. Coś lepkiego i zimnego – dodała.
- Wierście Klarze – skomentowała z przekąsem blondynka. – Jest jednym wielkim kłębkiem nerwów. Lepiej się ruszmy. Będziemy miały problem, kiedy Blanche wyjdzie i zobaczy, że tu sobie gawędzimy, zamiast się przebierać.
- Pobiegły razem w głąb korytarza jak stado gęsi. Znalazłam garderobę Blanche Lovejoy. Na gwiazdce na drzwiach rzeczywiście było jej imię. Nie wiedziałam, co robić. Czy czekać w korytarzu i narazić się na jej złość, czy wejść bez zaproszenia. Tak źle i tak niedobrze. Skoro nie lubi obcych w pobliżu sceny, lepiej wejdę do garderoby – postanowiłam. Przynajmniej nie wystraszę już nikogo w tym ciemnym korytarzu.
- Dla pewności lekko zapukałam. Cisza. Delikatnie otworzyłam drzwi

i ujrzałam przerażającą postać. Nie uciekłam ani nie krzyknęłam. Po chwili zrozumiałam, że to wiekowa staruszka z nosem jak u czarownicy. Mogłabym pomyśleć, że jest duchem, gdyby nie to, że po chwili odezwała się ludzkim głosem

– Idź stąd. Nie będziesz teraz niepokoić panny Lovejoy.

– Nigdzie nie pójde – odparłam. – Jestem z polecenia. Oona Sheehan mnie tu przysłała, żebyśmy pomogła odpędzić duchy.

– Cóż, sama nie wiem... – Starsza kobieta wciąż wpatrywała się we mnie swoimi ptasimi oczami. – No dobrze, wejdz. – Wprowadziła mnie do zagraconego pokoiku.

Spodziewałam się, że garderoba gwiazdy będzie przestronna i elegancka jak pokoje Oony Sheehan w Hoffman House, ale tutaj trudno było się nawet obrócić. Na wprost stała toaletka z lustrem w oprawie z żarówek elektrycznych. Na stole widać było wyraźne plamy pudru. Tuż obok umieszczono parawan odgradzający pozostałą część pokoju. Wisiały na nim kostiumy. Z drugiej strony stał fotel i stolik, a na nim butelka irlandzkiej whisky.

– Słyszałaś krzyk? – zapytała staruszka. – Coś złego musiało się wydarzyć.

– Podobno zobaczyła twarz w oknie.

– Straszne. Nic dziwnego, że jest w takim stanie. Lepiej znajdę ten uspokajający napój.

– Napój uspokajający?

– Lekarz robi go na specjalne zamówienie. Nie jestem pewna, co w nim dokładnie jest, ale panna Lovejoy mówi, że działa lepiej niż tabletki. Jak opium lub morfina. Lub jedno i drugie naraz. Zaczekaj, za chwilę przyjdzie. Siadaj, żebyś jej nie przestraszyła.

Wskazała ręką na fotel. Zrobiłam, jak kazała. Po chwili drzwi raptownie się otworzyły i do środka weszły dwie osoby. Spodziewałam się, że Blanche Lovejoy będzie wyglądać jak Oona Sheehan, ale kobieta, która ukazała się moim oczom, przypominała raczej konia pociągowego niż wyścigowego. Koścista, o męskich rysach i z gęstą czupryną, która nadmiernie powiększała głowę. Miała niski głos i co więcej – klęła jak żołnierz.

– Do diaska, Robert, przestań mnie traktować jak smarkulę. Wiem, co



widziałam, i niczego sobie nie wymyślam. Zrób coś z tym, do cholery, bo inaczej z przedstawienia będą nici. Słyszysz mnie?

– Blanche, proszę, bądź rozsądna.

Mężczyzna zatrzymał się na środku pokoju. Był niski, łysiejący, z obwisłymi policzkami i zatroskanym wyrazem twarzy. Przypominał zasmuconego pieska.

– Blanche, skarbie, usiądź i napij się. – Wyciągnął rękę, żeby jej dotknąć. – Poczujesz się lepiej. Ja też nie odmówię jednego.

– Nie dotykaj mnie. Nie jestem twoim dzieckiem. Wynocha stąd i zostaw mnie w spokoju! – krzyknęła. – Zabieraj tę swoją whisky. Mam was wszystkich dość.

– A co z drugim aktem?

– Zejdę na dół, jak będę gotowa – odparła i dosłownie wyrzuciła go za drzwi, po czym głośno je zatrasnęła. – Martho, daj mi moje lekarstwo.

– Już się robi, kochanie moje najdroższe – powiedziała staruszka. – Połóż się spokojnie, a Martha o wszystko zadba.

– I drinka – dodała Blanche, przypominając teraz kapryśne dziecko. – Dużą szklanekę.

Odwróciła się i wreszcie mnie dostrzegła.

– Co tu robisz? Kto ją wpuścił? Jak się tu znalazła? – zapytała.

Wstałam, zanim Martha zdążyła odpowiedzieć.

– Panno Lovejoy – powiedziałam. – Oona Sheehan mnie przysyła. Jestem Molly Murphy. Podobno potrzebuje pani moich usług.

– Molly Murphy?

– Prywatny detektyw – odparłam. – Rozumiem, że chodzi o to, co się dzieje w teatrze.

Twarz jej się rozjaśniła.

Taką Blanche muszą znać bywalcy teatru – pomyślałam. Potrafiła z emfazą wyrazić wszystkie emocje: gniew, rozpacz, a w tej chwili radość.

– Panno Murphy, przyszłaś. Dzięki Bogu! – westchnęła z ulgą.

Po chwili siedziałam obok Blanche Lovejoy, która oparta o parawan powoli sączyła whisky z dużej szklanki.

– Byłam tak przejęta tą nową sztuką, panno Murphy. Pokładałam w niej wielkie nadzieje. Znów mogę wrócić na Broadway, myślałam. Nawet zainwestowałam własne pieniądze w produkcję, a genialny George M. Cohan napisał specjalnie dla mnie piosenkę pod tytułem *Zróbmy to po francusku*. To nie jest utwór dla dzieci, jak się pewnie domyślasz, moja droga, ale przecież z tego jestem znana. W wodewilach zawsze śpiewałam niegrzeczne piosenki.

Skinęłam głową, choć oczywiście nie miałam pojęcia, o czym mówi.

– Ta sztuka jest stworzona dla mnie. Wszystkie wiodące role w komediach były ostatnio pisane tylko dla głupich smarkul. Weź na przykład tę słynną *Florodorę!* Nie mogłabym siedzieć na huśtawce jak ta okropna dziewczyna, Nesbitt czy jak jej tam. Pękłaby natychmiast pode mną, chyba że miałaby jakąś stalową konstrukcję. Dzisiejsza publiczność nie chce oglądać prawdziwych kobiet. Woli fantazje dziewczęce. Chce patrzeć na szesnastoletnie idiotki, które wywracają oczami i udają, że są dojrzałe. Spójrz na mnie – w porównaniu z nimi wyglądam jak pomarszczony, przejrzały pomidor.

Pomyślałam, że lekarstwo w połączeniu z alkoholem za chwilę pomiesza jej zmysły, więc postanowiłam interweniować.

– Proszę mi opowiedzieć, co się dzieje w teatrze.

– Ten teatr, moja droga panno Murphy, jest nawiedzony – oświadczyła patetycznie. Potem podniosła się i dodała: – Odkąd zaczęliśmy próby, co chwila coś się dzieje. Nie pamiętam, jak to było po kolei, ale a to stół się przewrócił, a to woda rozlała na scenie. Kiedy raz oparłam się o ścianę, rozdarła mi się sukienka.

– Wyobrażam sobie, że takie rzeczy często się zdarzają podczas prób.

– Oczywiście. Dlatego na początku się nie przejmowałam, ale później zdałam sobie sprawę, że te incydenty są wymierzone we mnie. – Pociągnęła kolejny spory łyk whisky i zakaszła. – Na przykład ta sukienka. Obejrzałam ścianę i nie znalazłam w niej żadnego gwoźdźca! Powierzchnia była całkiem gładka. A potem wypadki stały się poważniejsze: dekoracja spadła na scenę zaledwie kilka centymetrów od miejsca, w którym stałam; przewróciła się

świeca i spowodowała mały pożar. Gdybym była w pobliżu, moja suknia mogłaby się zająć, a wtedy aż strach pomyśleć.

– Ale dlaczego sądzi pani, że to duch, panno Lovejoy? – spytałam.

– Bo go widziałam – syknęła. – Czarna postać o białej twarzy z oczami pełnymi nienawiści. Patrzyła na mnie dzisiaj, kiedy otwierałam okno. Gdy krzyknęłam, ludzie natychmiast przybiegli, ale już nikogo nie było. To musiał być duch. Poza tym czułam jego obecność. Straszny chłód, jakby ktoś mnie podtapiał w zimnej wodzie.

Wyciągnęła dłoń i chwyciła moją rękę.

– Jesteś z Irlandii. Musiałaś widzieć duchy.

– Nie osobiście – odparłam – ale wierzę, że lud celtycki ma kontakt ze światem pozagrobowym. Matka często opowiadała mi o ludziach w naszej wiosce, którzy tego doświadczyli.

– Jak tylko Oona mi o tobie wspomniała, wiedziałam, że będziesz właściwą osobą.

– Ale co dokładnie mam robić?

– Uważać na mnie. Chodzić za mną. Muszę sprawdzić, czy też zobaczysz ducha, bo jeśli nie, jest tylko jedno wytłumaczenie.

– Jakie?

– Ktoś czyha na moje życie.

## 9

– Pierwszy dzwonek na drugi akt – rozległ się głos w korytarzu, a po chwili usłyszaliśmy pukanie do drzwi garderoby. – Za chwilę zaczynamy, panno Lovejoy.

– Ktoś czyha na pani życie? – powtórzyłam. – Czy ma pani pojęcie, kto to może być?

– Absolutnie nie. Wszyscy mnie tutaj uwielbiają. Dlatego twierdzą, że to duch.

– Czy policja o tym wie?

– Nie. Uznałam, że mnie wyśmieją. Dlatego potrzebuję ciebie, panno Murphy. Molly, najdroższa. Dowiesz się, kto lub co za tym stoi? Dasz radę?

– Mogę spróbować – powiedziałam niepewnie, bo przyszło mi do głowy, że to alkohol i leki uspokajające są przyczyną obecności ducha w teatrze.

Blanche spojrzała na mnie błagalnie.

– Chodź ze mną. Schowaj się za kulisami i nie pozwól, by ktokolwiek zobaczył, że tam jesteś. Duch dzisiaj się pojawił, niewykluczone, że wróci.

– Dobrze – obiecałam.

Blanche wstała, a Martha zaczęła upinać jej włosy w ogromny kok.

– Później będziemy musiały jakoś wszystkim wytłumaczyć, dlaczego cię przyjąłem – stwierdziła Blanche, przeglądając się w lustrze. – Powinnaś być przy mnie cały czas. Umiesz tańczyć?

– Nie – odparłam. – Znam kroki walca, ale to wszystko.

– W takim razie nie możesz dołączyć do dziewcząt – stwierdziła. – One mają spore doświadczenie. A śpiewać potrafisz?

– Trochę śpiewałam w kościele. – Uśmiechnęłam się zawstydzona.

– To w jaki sposób wyjaśnimy twoją obecność na scenie?

– Mogę pomagać rekwizytorom – zaproponowałam.

– Wtedy nie będziesz przy mnie. Zajmiesz się noszeniem rzeczy w tę i z powrotem.

- To może mogłabym zostać garderobianą.
- Usłyszałam, jak Martha wzdycha ze zniecierpliwieniem.
- Każdy wie, że od lat mam Marthę.
- Powiemy, że ona jest już... – chciałam powiedzieć „stara”, ale w porę ugryzłam się w język – że się przyuczam i pomagam Marcie – dokończyłam.
- Blanche potrząsnęła głową.
- W takim przypadku siedziałabyś w garderobie. To nie ma sensu.
- Ktoś ponownie zapukał do drzwi.
- Zaczynamy, panno Lovejoy!
- Czas na mnie – powiedziała Blanche. Ruszyła gwałtownie w stronę wyjścia, ale nagle zatrzymała się w pół kroku. – Boję się. Nie chcę tam iść. A jeśli znowu zobaczę tę twarz? Jak mam grać w takich warunkach?!
- Idź, kochana – mruknęła Martha. – Wszystko będzie dobrze. Nikt ci krzywdy nie zrobi, kiedy tylu ludzi wkoło.
- Jestem pewna, że wszystko będzie dobrze – dodałam. – Znajdziemy jakieś logiczne wyjaśnienie.
- Widziałam twarz w oknie. Przysięgam.
- Może to ktoś z obsługi podglądał, co się dzieje na scenie, a teraz wstydzi się przyznać – zasugerowałam.
- Chciałabym w to wierzyć. – Blanche nagle chwyciła mnie za rękę. – Chodź ze mną. Bądź blisko, proszę.
- Nie wymyśliłyśmy dobrego powodu, dla którego przyjęła mnie pani do teatru.
- To nic. Na razie będziesz mnie obserwować z bocznej loży – oznajmiła. – Stamtąd jest dobry widok. Później coś wymyślimy. Dam ci jakąś rolę w przedstawieniu.
- Wyobraziłam sobie, że jestem przebrana za kota albo udaję roślinę w doniczce. Nie po raz pierwszy i pewnie nie ostatni zadałam sobie pytanie: co ja tu robię? O ile łatwiej byłoby teraz pilnować pana Rotha w jego ulubionej restauracji!

– Nie zapomnij się okryć, moje dziecko. – Starsza kobieta otuliła ramiona Blanche ciepłym szalem. – Nie chcemy, żebyś się przeziębiła, prawda?

– Martha musi być przy pani od dawna – zauważyłam, gdy wyszliśmy na korytarz.

– To moja niania.

A to ci niespodzianka! – pomyślałam. Język i maniery panny Lovejoy zupełnie nie pasowały do osoby z wyższych sfer.

– Nie zawsze taka byłam. – Blanche chyba czytała w moich myślach. – Jako szesnastolatka uciekłam z domu z mężczyzną, który okazał się nicponiem. Zostawił mnie z dzieckiem i już nie wrócił. Miałam do wyboru: albo teatr, albo prostytutka. Na szczęście potrafiłam śpiewać i rozśmieszać ludzi do łez.

– Co się stało z dzieckiem?

– Oddałam do adopcji. Zaopiekowały się nią panie z kółka parafialnego. Nigdy jej nie widziałam.

Dotarliśmy do końca korytarza i zeszliśmy po schodach na dół.

– Nie zatrzymuj się, idź do następnych drzwi – szepnęła. – Lepiej, żeby nikt cię nie zauważył.

Zobaczyłam, jak wręcza szal komuś z obsługi i nagle zmienia się w zupełnie inną osobę. Z wysoko uniesioną głową wkroczyła na scenę majestatycznie niczym królowa.

Nie było trudno przemknąć niezauważoną. Za kulisami panował mrok i spory bałagan. Po podłodze wały się fragmenty scenografii: płyty, liny, filary, reflektory i jakieś drobne rekwizyty – wszystko co potrzebne, by w parę chwil wyczarować na scenie dowolną przestrzeń. Grupa tancerek rozgrzewała się przed wejściem na scenę, podskakując i unosząc wysoko nogi. Drugi akt rozpoczął się lekkim, czystym taktem. Muzyka wspaniale wypełniła teatr, stanowiąc wyraźną przeciwwagę dla tego ponurego miejsca. Dotarłam do drzwi, o których mówiła Blanche, i weszłam po schodach na górę. I nagle znalazłam się w zupełnie innym świecie. Oświetlone nielicznymi światłami ze sceny, wewnątrz teatru przypominało pałac sułtana. Każdy centymetr ściany i sufitu wyrzeźbiony był w mauretańskim stylu z jego charakterystycznymi niszami, łukami i geometrycznymi wzorami. Po

obu stronach widowni piętrzyły się dwa rzędy bogato zdobionych łóż z ciężkimi kotarami i finezyjnymi draperiami, które przywodziły na myśl zdjęcia indyjskich pałaców. Gdyby środkiem przemaszerował teraz maharadża albo słoń, nie zrobiłoby to na mnie większego wrażenia. Pomiędzy lożami biegł balkon okalający resztę widowni. Gdzieś wyrastały z niego, niczym egzotyczne rośliny, filary wspierające sklepienie. Przyszło mi do głowy, że spokojnie można by usiąść na widowni i podziwiać sam wystrój, bez potrzeby oglądania przedstawienia.

Ktoś miał gest, projektując ten budynek – pomyślałam. Teraz rozumiem, dlaczego panna Sheehan mówiła, że to najlepsza lokalizacja w mieście. I nic dziwnego, że pannie Lovejoy tak zależało na tym miejscu.

Już miałam pójść dalej i poszukać wejścia do loży, gdy moją uwagę przykuły dwie postacie siedzące w trzecim rzędzie. Jedną był ten mały człowieczek imieniem Robert, którego panna Lovejoy wyrzuciła z garderoby; drugą przystojny ciemnowłosy mężczyzna o klasycznych rysach.

Muzyka wybrzmiała i ten przystojny krzyknął:

– Blanche, gdzie jesteś?! Spóźniasz się. Kurtyna już powinna pójść w górę.

– Idź do diabła, Dessie. – Blanche weszła na scenę. – Gdyby kurtyna działała, nie byłoby problemu – oznajmiła, po czym nagle uśmiechnęła się szeroko i zaczęła grać. – „Claudette, czy ten automobil, który słyszę, należy do monsieur Wexlera?”.

Podczas gdy mężczyźni z trzeciego rzędu śledzili próbę, prześlizgnęłam się niezauważona i znalazłam wejście do loży. Schowałam się za kotarą i pogrążona w ciemnościach zaczęłam obserwować scenę.

Nie będę ukrywać, że była to wyjątkowo głupiutka sztuka, ale przypuszczam, że większość komedii muzycznych nie ma ambitnej fabuły. Z tego, co mogłam się zorientować, Blanche grała zubożałą francuską hrabinę, która w swoim château zorganizowała pensję dla panien z dobrych domów. Auto z kilkoma amerykańskimi artystami psuje się w pobliżu zamku, a Blanche ich przekonuje, by zostali i zorganizowali sobie w okolicy plener malarski. Właściciel pojazdu jest milionerem, ale hrabina zakochuje się w najprzystojniejszym – i znacznie młodszym – Teddym Wexlerze, choć wie, że ten nie ma grosza przy duszy.

Śpiewano ckliwe piosenki miłosne: *Ćwierkajmy i gruchajmy jak ptaszki,*

a potem *Słodka Monique*, straszna to pokusa, lecz muszę wreszcie skraść ci całusa.

Następnie zaczęły się nieprzyzwoite kawałki, z których Blanche najwyraźniej słynęła, wśród nich piosenka *Zróbmy to po francusku*. Wszystkie zwrotki opisywały menu wykwintnej kolacji, ale refren był zdecydowanie dwuznaczny: *A na deser brzoskwinka do winka i dla dam śmietany bitej dzban*.

Blanche była gwiazdą z prawdziwego zdarzenia. Niepodzielnie panowała na scenie. Jej potężny głos docierał do każdego zakamarka sali. Pomyślałam sobie, że jej miny i gesty, gdy śpiewa pikantne piosenki, muszą wywoływać spore zamieszanie wśród publiczności. Panie zapewne się czerwienią, szukając chusteczek lub wachlarzy, a panowie zaśmiewają do rozpuku.

Kiedy drugi akt się skończył i nic strasznego nie nastąpiło, wróciłam do garderoby Blanche Lovejoy.

– I co myślisz? – spytała.

– Rewelacja. Coś wspaniałego – pochwaliłam przedstawienie. – Jestem pewna, że całe miasto będzie o pani mówić.

– Nie zauważyłaś nic dziwnego?

Pokręciłam głową.

– Dzięki Bogu. Może duch spostrzegł, że na niego patrzysz, i zrezygnował.

Pomyślałam, że żaden porządny duch na pewno by się mnie nie przestraszył, ale tylko kiwnęłam głową.

– Kiedy mam znowu przyjść?

– Jutro o siódmej jest próba generalna – oznajmiła. – Spotykamy się o piątej. Proponuję, żebyś była o czwartej, to zdążymy porozmawiać, kiedy Martha będzie mnie ubierać i malować.

– Czy już wiemy, jak mnie pani przedstawi w zespole, żeby moja obecność nie wzbudzała podejrzeń? – zapytałam.

– Po spektaklu jestem zawsze wyczerpana, prawda, Martho? – Blanche dotknęła ręką czoła. – Nie potrafię logicznie myśleć. Ale jutro wpadnę na jakiś pomysł. Na pewno.



– Więc co mam powiedzieć strażnikowi przy wejściu?

Zmarszczyła czoło i od razu wydała się starsza.

– To ty jesteś detektywem – prychnęła. – Wymyśl coś.

– Dzisiaj podałam mu fałszywe nazwisko – oświadczyłam. – Powiedziałam, że nazywam się Kitty Kelly.

– Sprytna dziewczyna, prawda, Martho?

– Więc po prostu powiem mu, że mam ważną sprawę do panny Lovejoy. Przecież to pani tu rządzi. Nikt nie ośmielił się kwestionować powodów mojej wizyty.

– Masz rację. Jest tak, jak mówisz. – Obdarzyła mnie olśniewającym uśmiechem. – Cieszę się, że przysłałaś, Molly. Ocalisz mój show, moją karierę i moje zdrowie psychiczne. Jestem tego pewna.

– Postaram się zrobić wszystko co w mojej mocy. – Po chwili sobie uświadomiłam, że nie rozmawialiśmy jeszcze o pieniądzach. – Czy woli mi pani płacić za godzinę, czy rozliczymy się za całe zlecenie?

Najwyraźniej nie myślała wcześniej o finansach.

– Och! Oczywiście. Twoje wynagrodzenie. Czy pięćdziesiąt dolarów wystarczy?

Zawahałam się. Jeśli w ciągu najbliższych kilku dni rozwiążę zagadkę, pięćdziesiąt dolarów spokojnie wystarczy. Gdybym jednak musiała tu przychodzić dzień w dzień przez dłuższy czas, może się okazać, że to śmieszne pieniądze. Lepszy jednak gołąb w garści niż wróbel na dachu – pomyślałam.

– Na początek wystarczy – odparłam. – Jeśli nie rozwiążemy zagadki przez tydzień, wrócimy do rozmowy.

– Przez tydzień? Jak to? – zdziwiła się Blanche. – Nie będę przez tydzień grać w nawiedzonym teatrze. Musisz działać szybko. Liczę na ciebie, Molly.

– Powiedziałam, że zrobię wszystko co w mojej mocy. – Odwróciłam się do drzwi. – Do zobaczenia jutro, panno Lovejoy. Do widzenia, Martho.

– Molly – zatrzymała mnie Blanche. – Jeśli przed teatrem spotkasz dziennikarzy, nie mów im, broń Boże, że w teatrze grasuje duch. Boję się, że

nikt wtedy nie przyjdzie na premierę.

– Będę milczeć jak grób – obiecałam.

Kiedy wyszłam z garderoby i ruszyłam w kierunku schodów, poczułam na plecach czyjś wzrok. Odwróciłam się. Na drugim końcu korytarza stał jakiś mężczyzna. Przyszło mi do głowy, że może właśnie widzę ducha, ale nieznajomy wycofał się do swojego pokoju i zamknął za sobą drzwi. Więc to nie duch! Duchy nie muszą zamykać drzwi. Poza tym go rozpoznałam. To był ten szczupły, ciemnowłosy Dessie, który oglądał spektakl z trzeciego rzędu. Dlaczego obserwował garderobę Blanche? Czyżby czuwał nad panną Lovejoy zaniepokojony jej stanem, czy może ma jakieś nieczne zamiary? Nie pora, żeby teraz wracać i szukać odpowiedzi – zdecydowałam. Jutro dowiem się, kim jest. Ciekawe, że podczas drugiego aktu, kiedy spokojnie siedział na widowni, żaden duch się nie pojawił.

Zeszłam po mrocznych schodach i dotarłam do wyjścia.

– Udało ci się porozmawiać z panną Lovejoy? – spytał Stary Henry. – Przekazałaś jej wiadomość?

– Owszem, ale jutro też przyjdę, bo jestem tu potrzebna. Do zobaczenia. – Obdarzyłam strażnika przymilnym uśmiechem. Uznałam, że warto go mieć po swojej stronie.

– Zapnij płaszcz, złociutka – powiedział. – Okropnie dziś wieje. Przeszywa na wskroś.

– Dziękuję, Henry – odparłam i wyszłam.

Zrobiłam zaledwie kilka kroków, kiedy zauważyłam jakąś czarną, bezkształtną postać. Zdenerwowałam się i już chciałam zawrócić biegiem do teatru, kiedy stwór przemówił ludzkim głosem.

– Przepraszam, czy panienka występuje w tej sztuce?

Dopiero teraz dostrzegłam, że dziwny wygląd nadawał mężczyźnie gruby szal, który szczelnie opatulał jego głowę i ramiona. Tylko oczy były widoczne.

– Nie chciałem cię przestraszyć – powiedział nieznajomy, obserwując moją reakcję. – Cholernie zimno jest dziś wieczorem. Jesteś jedną z tancerek?

– Niezupełnie – oświadczyłam – ale pracuję w teatrze.

- Czy to prawda, że duch znów was odwiedził dziś wieczorem?
  - Duch? – zapytałam niewinnie.
  - Musiałaś o nim słyszeć. Mówią, że teatr jest nawiedzony i że duch czyha na życie Blanche Lovejoy.
  - Kto tak mówi? Co to za okropne plotki?
  - Żadne plotki. Pracuję dla „Heralda”. Mam wiarygodne źródło.
  - Skoro pracuje pan dla „Heralda”, proponuję poszukać prawdziwej sensacji, a nie interesować się historiami wyssanymi z palca.
- Zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, odwróciłam się na pięcie i odeszłam.
- Cóż robić?! Czy panna Lovejoy tego chce, czy nie, plotka o duchu rozeszła się już po mieście.

Śniła mi się dziewczyna znaleziona w parku. Obraz był dziwny i za mgłą, jak to we śnie. Obudziłam się zrana potem i przerażona, z mocnym postanowieniem, żeby pójść do szpitala i sprawdzić, czy są jakieś wieści. Byłam bardzo ciekawa, jak Danielowi poszło poprzedniego wieczoru, ale nie odzywał się ani nie przychodził, a przecież mieliśmy w planach obiad z Sid, Gus i Elizabeth, czyli Nellie Bly. Czekałam i czekałam, aż w końcu doszłam do wniosku, że bardziej nie wypada się spóźnić, więc przewiesiłam przez ramię elegancką narzutkę Gus, przemknęłam na drugą stronę Patchin Place i zapukałam do drzwi.

– Molly, wchodź, dobrze, że wreszcie jesteś – powitała mnie Gus, prowadząc w stronę kuchni. – Jak było wczoraj? Jeździłaś na łyżwach? Czy narzutka się przydała?

– Bardzo. Dziękuję i mam nadzieję, że zwracam ci ją w dobrym stanie – odparłam. – Szczerze mówiąc, nie spodziewałam się, że będzie aż tak potrzebna.

– Naprawdę?

Kobiety w kuchni podniosły wzrok. Sid mieszała w garnkach na dużym kuchennym piecu, podczas gdy Elizabeth siedziała przy stole ze szklanką w ręku.

– Aż boję się zapytać o szczegóły – odezwała się Sid. – Mam nadzieję, że byłaś rozsądna, Molly.

– Szalenie rozsądna. W Central Parku znaleźliśmy w śniegu nieprzytomną dziewczynę. Okryliśmy ją pelerynką i zabraliśmy do najbliższego szpitala.

Elizabeth z zainteresowaniem pochyliła się do przodu.

– A to ci historia! Czy już wiesz, kto to taki?

– Jeszcze nie. Odzyskała przytomność, ale nie powiedziała ani słowa. Zachowywała się tak, jakby nas nie rozumiała. Myśleliśmy nawet, że jest cudzoziemką.

– Ciekawe, co robiła sama w Central Parku – zaciekawiała się Sid. – Dziewczyny, które nie mówią po angielsku, nie spacerują samotnie po okolicy, zwłaszcza w eleganckich częściach miasta. Raczej nie opuszczają

swoich dzielnic, prawda?

Słuszna uwaga – pomyślałam.

– Cała ta sytuacja jest dosyć dziwna – ciągnęłam dalej. – Nie miała na sobie zimowych ubrań, żadnego płaszcza, tylko cienką sukienkę z jedwabiu.

– Może ktoś ją okradł i zabrał płaszcz. W taką pogodę tutejsi złodzieje ogołocą cię ze wszystkiego.

– Zgodziłabym się z tobą, gdyby nie to, że na nogach miała lekkie wieczorowe pantofle, całkowicie przemoczone. Wyglądało to tak, jakby w ogóle nie zamierzała wychodzić na dwór.

– Fascynujące – powiedziała Sid. – Zamierzasz rozwiązać tę zagadkę?

– Trafił ci się łakomy kąsek – wtrąciła Elizabeth. – Marzenie każdego detektywa. Jeśli się tym nie zajmiesz, z przyjemnością wkroczę do akcji.

– Jutro pójde do szpitala – oznajmiłam. – Mam nadzieję usłyszeć dobre wieści. Chciałabym się dowiedzieć, że odzyskała siły i wróciła na łono rodziny.

– Dasz nam znać, prawda, Molly? – poprosiła Gus. – Wiesz, że interesuje nas twoja praca.

– Wyślij i do mnie liścik z wiadomością, jak idzie śledztwo – dodała Elizabeth. – Przeprowadzam się do hotelu przy Piątej Alei, gdzie będę prowadziła badania.

Wyjęła wizytówkę i zapisała na niej adres.

– Zamierzasz mieszkać w hotelu przy Piątej Alei i chodzić w ubraniu gazeciarza? Nie boisz się, że ktoś zwróci uwagę? – zapytałam.

– Chyba zrezygnuję z przebrania – stwierdziła Elizabeth – zwłaszcza w taką pogodę. Po prostu zacznę odwiedzać chłopców w tych okropnych slumsach, gdzie mieszkają ściśnięci jak sardynki w puszcze, i przeprowadzać z nimi wywiady. A potem, wracając do ciepłego i eleganckiego hotelu, będę mieć okropne wyrzuty sumienia.

– Wiesz, że nie musisz się wyprowadzać – powiedziała Gus. – Możesz tu mieszkać tak długo, jak zechcesz.

– Jesteście bardzo miłe, ale właśnie wy powinniście zrozumieć, że cenię

sobie niezależność. Cieszcie się, że oprócz was dwóch jest na świecie jeszcze jedna kobieta, która robi, co chce, i nie żyje pod dyktando mężczyzn.

– Dodaj i mnie do tej listy – poprosiłam.

– Pomijając tę tajemniczą historię, jak wasze wczorajsze wyjście? – spytała Sid z uśmiechem. – Jeździłaś na łyżwach?

– Niestety, nie. Nie zdążyliśmy. Uciekałam przed Danielem, kiedy natknęłam się na tę dziewczynę.

– Uciekałaś? Moja droga, czyżby miał nieczne zamiary? – wtrąciła Elizabeth.

– Wręcz przeciwnie. To ja pierwsza trafiłam w niego śnieżką. Chciał się zemścić i dlatego zaczęłam uciekać – odparłam ze śmiechem.

– Sid, najdroższa, kiedy usiądziemy wreszcie do stołu? Chyba wszystkie jesteśmy już głodne. Może przeniesiemy się do jadalni – zaproponowała Gus.

Sid uniosła pokrywę dużego żeliwnego garnka i przyjrzała się jego zawartości. Następnie powąchała i oceniła z uznaniem:

– Prawie gotowe.

– Daniel chciał do nas dołączyć – zauważyłam – ale nie odzywa się od rana. Nie wiem, co się z nim dzieje.

– Czyżby stwierdził, że jesteśmy jednak towarzystwem na poziomie? – zapytała ironicznie Gus.

– Obawiam się, że jego zainteresowanie jest związane z osobą Elizabeth – odparłam.

– Trudno. Nie będziemy czekać. Jego strata. Co nam dzisiaj zaserwujesz, Sid?

Kiedy Sid gotowała, nigdy nie było wiadomo, co z tego wyjdzie. W zależności od aktualnych fascynacji moich przyjaciółek mógł to być zarówno azjatycki gulasz, jak i marokański kuskus.

Sid odłożyła pokrywę garnka i odparła:

– Coq au vin. Postanowiłam dziś wrócić do klasyki. Zimą proste potrawy sprawdzają się najlepiej.

Elizabeth skinęła głową.

– Kuchnia francuska nigdy nie zawodzi, prawda?

Czasem trudno mi było nie uśmiechnąć się do samej siebie. Ja, prosta wiejska dziewczyna, która dorastała, żywiąc się ziemniakami i rzepą, a okazjonalnie kawałkiem gotowanej baraniny, przebywałam teraz wśród ludzi, którzy coq au vin nazywali prostym posiłkiem. Czy nadejdzie taki dzień, kiedy i ja uznam to danie za coś zwyczajnego?

– Nakryto do stołu. Usiądźcie, proszę, a ja już podaję – oznajmiła Sid. – Czy byłabyś tak dobra, Molly, i przyniosła wino? Stało przy piecu, więc jestem pewna, że ma odpowiednią temperaturę.

Przyniosłam butelkę i wkrótce wszystkie siedziałyśmy przy stole, jedząc wspaniałą kurę, ugotowaną tak wyśmienicie, że delikatne mięso wprost odchodziło od kości. Do tego podano chleb z chrupiącą skórką z francuskiej piekarni przy Greenwich, a na deser wielką miskę fig, daktyli i orzechów oraz słodkie wino.

Najedzona i na lekkim rauszu, wróciłam do domu, obiecawszy przyjaciółkom, że na bieżąco będę im relacjonować losy tajemniczej dziewczyny. Bardzo byłam ciekawa, czy w jej sprawie jest jakiś postęp, i denerwowałam się, że Daniel od rana nie daje znaku życia. Przyszło mi do głowy, że po namyśle zrezygnował z pracy dla mnie, ale po chwili upomniałam samą siebie. Jestem przewrażliwiona. Przecież zleciłam mu zadanie. Gdyby go nie zainteresowało, odmówiłby od razu. Prawdopodobnie coś ważnego wypadło mu z samego rana. Może dostał wezwanie na komendę, a może nawet i do biura samego komendanta. Zdecydowałam, że przed umówionym na czwartą spotkaniem w teatrze odwiedzę szpital. Czy to z Danielem, czy bez niego.

Przebrałam się w służbową garsonkę i już wychodziłam z domu, kiedy w oddali zobaczyłam, że Daniel przedziera się przez śnieg na Patchin Place.

– Nareszcie jesteś – powiedziałam. – Czekam na ciebie cały dzień. Jak tak dalej pójdzie, będę zmuszona cię zwolnić za niesubordynację.

– Nie żartuj, Molly – odparł Daniel.

– Co się stało?

– Chyba złapałem zapalenie płuc. – Zasłonił usta grubym szalikiem.

– No nie! Jesteś chory? Wejdz do środka, zrobię ci herbatę, a potem

zaprowadzę do łóżka.

– Dawno nie dostałem tak miłej propozycji – skomentował.

– Aha, czyli wcale nie jest z tobą tak źle – odparłam sucho i zdecydowanym gestem zaprosiłam go do środka. – Daj, dotknę twojego czoła. – Było zimne. Dotknęłam policzków. To samo. – Nie masz gorączki – stwierdziłam. – To nie jest zapalenie płuc.

– Ale może się w nie przekształcić – powiedział ponuro i opadł na krzesło w kuchni. – Przemarzałem wczoraj do szpiku kości. Czy wiesz, że ten twój Roth był na mieście aż do drugiej w nocy?

– Jezusie, Maryjo i Józefie święty. Czyli jednak nie jest takim aniołkiem, jak przypuszczałam.

– Nie powiedziałem, że robił coś grzesznego – zauważył Daniel, zdejmując szalik. – Siedział w Delmonico's z przyjaciółmi. Sami młodzi, tak jak on. Rozmawiali i rozmawiali, wyszli ostatni. Kelnerzy właściwie musieli ich wyrzucić.

– Upił się?

– Broń Boże. Przez cały wieczór zamówili tylko parę butelek wina.

– Czyli nic się nie stało?

– Nic. Oprócz tego, że okropnie zmarzłem i obudziłem się dziś z bólem gardła. Na wszelki wypadek zostałem w łóżku i poprosiłem panią O'Shea, żeby naparzyła mi gorącego rumianku i ugotowała bulion.

– Och, jaki jesteś biedny! – powiedziałam z emfazą, mając nadzieję, że zrozumie, co mam na myśli.

– Lepiej dmuchać na zimne – odparł. – Będziesz musiała bardziej dbać o swoich pracowników, panno Murphy, jeśli nie chcesz ich stracić.

– Pamiętasz, jak pewnego wieczoru pilnowałam pana Rotha ubrana w łachmany?

– Tak, ale ty wróciłaś do domu przed dziesiątą. Ja sterczałem na dworze do drugiej w nocy – obruszył się Daniel.

– Na pewno masz podobne obowiązki w policji. Przecież twoi ludzie każdej nocy patrolują ulice.



– Dlatego zostałem kapitanem. – Posłał mi łobuzerski uśmiech. – Zrobiłem swoje jako młody oficer, a potem zostawiłem to nowicjuszom.

– Czyli dokładnie tak jak ja. Ja też już się napracowałam.

Daniel spojrzął na mnie i oboje parsknęliśmy śmiechem.

– Proszę cię, Danielu. Przynajmniej już wiesz, jak się ubrać dziś wieczorem. Kup kilka gorących kasztanów lub ugotuj ziemniaka i włóż do kieszeni. To bardzo pomaga. I weź ze sobą piersiówkę brandy.

– Oczekujesz, że będę go śledził dziś wieczorem?

– Ktoś musi – powiedziałam. – Jestem o czwartej umówiona w teatrze, a potem mam pilnować Blanche Lovejoy.

– Czego dokładnie od ciebie chce?

– Żebym chroniła ją przed duchem. Nie, nie śmiej się. Jest śmiertelnie przerażona, Danielu. Jej zdaniem w teatrze straszy.

– I jak zamierzasz ją obronić przed tym duchem? Masz krucyfiks i wodę święconą?

– Chcę jej udowodnić, że ducha nie ma. To wszystko wina wybujałej wyobraźni. Albo...

– Albo co?

– Albo ktoś z obsady próbuje przestraszyć Blanche Lovejoy, żeby nie dopuścić do premiery.

Daniel złapał mnie za rękę.

– Molly, bądź ostrożna. Skoro jest tak zdesperowany, może mu się nie spodobać, że wtykasz nos w nie swoje sprawy. A w teatrze łatwo o nieszczęśliwy wypadek, wiesz przecież. Uważaj na siebie.

– Nie martw się – powiedziałam. – Nikt nie wie, dlaczego tam jestem. Blanche ma wymyślić dobry pretekst, który wytłumaczy moją obecność na scenie. Spotykam się z nią o czwartej, więc musimy się pospieszyć, żeby zdążyć do szpitala.

– No tak, nasza znajda – przypomniał sobie Daniel. – Czy mogłabyś sama ją dziś odwiedzić? Nie chcę ryzykować. Tam aż roi się od zarazków. Nie powinienem chodzić do szpitala w takim stanie.

– Danielu, to zwykłe przeziębienie. Ale dobrze, zostań tu i odpocznij przed wieczornym spotkaniem z panem Rothem.

– Molly, jesteś bezlitosna i traktujesz mnie jak niewolnika – stwierdził z uśmiechem.

Kiedy wchodziłam do szpitala, zegar na wieży kościelnej wybijał trzecią. Miałam równo godzinę, by sprawdzić, co słyhać u nieznajomej, a następnie udać się do teatru. Zapytałam w recepcji, na jaki oddział trafiła dziewczyna, i dość szybko znalazłam łóżko na końcu sali. Leżała nieruchomo. Przez chwilę zastanawiałam się, czy żyje, ale w końcu otworzyła oczy i skupiła na mnie czyste, niewinne spojrzenie. Chyba ucieszyła się na mój widok.

– Witaj. – Uśmiechnęłam się do niej serdecznie. – Pamiętasz mnie? To ja znalazłam cię w Central Parku. Jak się czujesz? Lepiej?

Nie odpowiedziała, nie drgnął jej na twarzy ani jeden mięsień, choć wpatrywała się we mnie intensywnie.

– Czy rodzina już wie, gdzie jesteś?

Znow żadnej reakcji.

Akurat na oddział weszła pielęgniarka, niosąc lekarstwa na tacy.

– Czy ta młoda dama coś powiedziała? – spytałam.

– Nie odezwała się ani słowem – usłyszałam w odpowiedzi.

– Czy myśli siostra, że nie zna angielskiego?

– Próbowaliśmy kilku języków, ale tylko patrzyła nam głęboko w oczy.

– Rozumiem, że nie udało się skontaktować z jej rodziną.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Skąd ją panienka zna?

– To ja znalazłam ją wczoraj w parku.

– Dobry Boże! Biedne dziecko. Cóż, może dojdzie do siebie pod czułą opieką rodziny.

Pielęgniarka coś jeszcze komentowała pod nosem, a ja poszłam szukać lekarza.

Na szczęście wychodził z sali obok i od razu mnie poznał.

– Sama panienka widziała, prawda? Wciąż to samo. Nie reaguje. To chyba z powodu urazu głowy.

– Ktoś uderzył ją w głowę?

– Tak, z prawej strony widać wyraźnie guz, a niżej na ciele siniaki i obtarcia. Ale nic na tyle poważnego, by mogło spowodować tak głęboką amnezję. Przed badaniem musieliśmy ją oczywiście uśpić.

– Gdyby ktoś w parku uderzył ją w głowę, pewnie by upadła. Jak w takim razie dotarłaby do miejsca, w którym ją znalazłam? – Raczej myślałam na głos, niż pytałam. – I dlaczego siniaki i zadrapania są tylko na jednej stronie ciała?

– Trudne pytanie – zauważył lekarz. – Chciałbym znać na nie odpowiedź.

– I to wszystko? – spytałam. – Nie miała żadnych śladów... innego rodzaju obrażeń?

– Nie, nic takiego nie stwierdziłem.

– Cóż, to dobra wiadomość, prawda? – zapytałam. – Czy ktoś próbował skontaktować się z jej najbliższymi?

– Poinformowaliśmy policję. Nic więcej nie możemy zrobić – powiedział. – Za chwilę odzyska siły i będzie mogła nas opuścić.

– A jeśli policja nie zdoła ustalić jej miejsca zamieszkania?

– Jeżeli stan psychiczny dziewczyny pozostanie bez zmian, będziemy musieli ją oddać do przytułku. Łóżka szpitalne są potrzebne innym chorym.

– Czy jest pan pewien, doktorze, że to nie jest problem językowy?

– Moja droga młoda damo, próbowaliśmy wszystkiego – oznajmił. – Gdy ktoś nie zna języka, zawsze może się porozumieć w inny sposób, prawda? Są gesty, uśmiechy i słowa, które występują we wszystkich językach. Na przykład „mama” albo „papa”.

– Tak, ma pan rację – zgodziłam się. – Szkoda, miałam nadzieję usłyszeć dziś lepsze wieści. Przyjdę jutro i przyniosę jej trochę rosółu. Musi nabrać sił. Może wtedy przemówi.

– Miejmy nadzieję – powiedział. – Do widzenia, Fräulein. – Skinął głową na pożegnanie.

Zmartwiona ruszyłam przed siebie korytarzem, co chwila mijając pielęgniarki w krochmalonych na sztywno fartuchach. Z oddziału po mojej prawej stronie dochodziły głośnie jęki. Nienawidzę szpitali – pomyślałam. Być może to wina środka dezynfekującego, którego ostra woń miesza się

w powietrzu z mdłymi zapachami choroby i śmierci.

Nagle zauważyłam znajomą sylwetkę. Staranny ubiór, krótko przystrzyżona blond bródka, laska ze srebrną rączką. Nie, oczy mnie raczej nie mylą! To Birnbaum, młody psychiatra z Niemiec, którego poznałam osobiście jakiś czas temu!

– Doktorze Birnbaum! – zawołałam i uniosłam rękę, a pielęgniarki spojrzały na mnie z dezaprobatą.

Rozjaśnił się na mój widok i stuknął obcasami.

– Panna Murphy! Cóż za niespodzianka! Co panienkę tu sprowadza?

– Odwiedzam pacjentkę – odparłam. – A pan?

– Przyszedłem porozmawiać ze starym przyjacielem z Uniwersytetu Wiedeńskiego – powiedział.

– No tak, zapomniałam. Przecież to niemiecki szpital. Pewnie czuje się tu pan jak u siebie w domu?

– Jestem Austriakiem, nie Niemcem, a to co innego. – Uśmiechnął się. – Poza tym leczą tutaj tylko ciało, ja zaś zajmuję się chorobami duszy.

Zaświtała mi genialna myśl.

– Doprawdy Bóg mi pana zesłał, doktorze!

– Jak to? Co ma panienka na myśli?

– Jest tu pacjentka, młoda dziewczyna, która nie chce mówić i chyba nie rozumie angielskiego. Znalazłam ją wczoraj nieprzytomną w Central Parku. Przywieźliśmy ją tutaj, gdzie odzyskała siły, ale wciąż nie powiedziała ani słowa.

– Czy nikomu nie przyszło do głowy, że może być głuchoniema? – zapytał.

Poczułam się jak idiotka.

– Tak, to możliwe. Ale skoro już tu pan jest, doktorze, to czy mógłby pan na nią zerknąć? Chciałabym wiedzieć, że zrobiłam wszystko co w mojej mocy, żeby się z nią porozumieć. A jeśli rzeczywiście cierpi na jakąś chorobę umysłu, przecież się pan zorientuje, prawda?

– Nie mogę jej zbadać, bo tu nie pracuję – oznajmił – ale mogę poprosić przyjaciela, żeby zaprowadził mnie do lekarza, który się zajmuje tą pacjentką.

Cały doktor Birnbaum! – przypomniałam sobie. Zawsze taki poprawny!

– Dziękuję, doktorze. Bardzo mi ulżyło. Czy mógłby mnie pan poinformować, co sądzi o tym przypadku? Będę wdzięczna.

Zaraz mi powie, że nie może udzielać obcym takich informacji, bo to nieetyczne – pomyślałam.

Ale doktor kiwnął głową.

– W drodze do domu zostawię wiadomość w drzwiach. Miło, że troszczy się pani o nieznajomą.

– Zna mnie pan, doktorze. Już taka jestem. Nie potrafię przejść obojętnie obok cudzego nieszczęścia.

Wyszłam ze szpitala i odetchnęłam głęboko, wciągając w płuca chłodne, zadymione powietrze Nowego Jorku. Chciałam jak najszybciej pozbyć się z nozdrzy charakterystycznego szpitalnego zapachu. Potem ruszyłam wzdłuż Central Parku, w kierunku przystanku elki na Pięćdziesiątej Ósmej. Wtedy coś przyszło mi do głowy. Daniel i ja powinniśmy wczoraj bardziej się przyłożyć. Poszukać śladów nieco dalej, sprawdzić, czy gdzieś nie leży płaszcz albo peleryna. Może udałoby się nam zlokalizować miejsce, w którym ofiara została zaatakowana.

Uznałam, że mam jeszcze trochę czasu. Kiedy moja firma zacznie wreszcie zarabiać – pomyślałam – kupię sobie zegarek. Dobry detektyw zawsze powinien znać godzinę.

Postanowiłam szybko rzucić okiem na zagajnik, w którym leżała dziewczyna. Niewykluczone, że coś z Danielem przeoczyliśmy. Weszłam do parku tą samą bramą, przez którą wczoraj wychodziliśmy. Odnalazłam nasze ślady i poszłam East Drive aż do miejsca, gdzie ujrzałam nieznajomą. Stanęłam, patrząc na zagłębienie w śniegu i zastanawiając się, jak długo mogła tam leżeć. Słońce zaczęło się już chować za horyzont i poczułam, że trzęsę się z zimna. Miałam na sobie ciepłe buty i wełniany płaszcz, a mimo to przenikał mnie dotkliwy chłód. Jak długo potrafiłabym wytrzymać w lekkiej sukni bez wierzchniego okrycia?

Zbadałam uważnie okolicę w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów – gdybym tylko trafiła na chusteczkę z jej inicjałami! Niestety, niczego takiego nie znalazłam. W zagajniku ziemia była wydeptana przez Daniela i przeze

mnie, ale dalej ciągnęły się wyraźne ślady drobnych stóp. Podekscytowana, podążyłam ich szlakiem, wokół małego wzgórza, potem po płaskiej łące, aż weszłam na ścieżkę i ślad się urwał. Przez jakiś czas szłam dalej, mając nadzieję, że rozpoznam znów odcisk małej stópki wśród wielu innych. Czegoś się jednak dowiedziałam: nikt nie zaatakował jej w pobliżu miejsca, gdzie leżała; nikt też jej tam nie zaniósł. Szła sama z północy. Czyli wcale nie z wielojęzycznego getta na dolnym Manhattanie!

Przykościelny zegar wybił kwadrans do czwartej, przypominając mi, że jeśli się nie pospieszę, spóźnię się na spotkanie. Przeszłam przez park i dotarłam do Columbus Circle, a stamtąd do stacji końcowej elki przy Szóstej Alei. Kiedy stanęłam w drzwiach teatru Casino, była punkt czwarta. Z trudem łapałam oddech i miałam mocne rumieńce na twarzy, bo musiałam biec całą drogę od pociągu. Henry wydawał się zaskoczony, widząc mnie w takim stanie.

– Miło cię znów zobaczyć, młoda damo – powiedział. – Czy coś się stało?

– Nic. Myślałam tylko, że się spóźnię, a to mój pierwszy dzień – odparłam.

– Pierwszy dzień? – zdziwił się Henry.

– Dołączyłam do zespołu.

– Jako kto?

– Nie mogę jeszcze zdradzić szczegółów, dopóki nie porozmawiam z panną Lovejoy. Czy jest w swojej garderobie?

– Nie, panienko, ma spotkanie z panem Barkerem i panem Haynesem. I tym młodym człowiekiem od tekstów piosenek, nie pamiętam jego nazwiska.

– A kim są pan Barker i pan Haynes? – spytałam.

– Ważne figury – oznajmił Henry. – Pan Barker jest reżyserem. Zainwestował sporo pieniędzy w tę sztukę. A pan Haynes to choreograf. Uważa się za wielkiego artystę.

Roześmiałam się, choć nie wiedziałam, czym dokładnie zajmuje się choreograf, postanowiłam jednak nie pytać, żeby nie wyjść na ignorantkę. Wolłam nie przeszkadzać Blanche w spotkaniu, bo mogłabym ją postawić w kłopotliwej sytuacji. Nie miałam pewności, czy wymyśliła jakiś dobry powód, by usprawiedliwić moją obecność w teatrze.

– W takim razie pójdę do jej garderoby i tam poczekam – zdecydowałam. – Powiesz jej, jeśli ją zobaczysz?

– Oczywiście, panienko – odparł. – Więc jednak jesteś aktorką! To był blef z tą wiadomością od Oony Sheehan, prawda? Po prostu chciałaś się spotkać z panną Lovejoy. Przyznaj. Nie tak łatwo mnie oszukać. Stary Henry zna te wasze sztuczki na pamięć.

– Nie, naprawdę miałam wiadomość od Oony Sheehan. Nie kłamię.

Dotknął palcem czubka nosa.

– A wiadomość była taka, że panna Lovejoy powinna dać ci rolę?

– Coś w tym stylu. – Przybrałam chytry wyraz twarzy.

– Jestem zaskoczony, że dała się przekonać – przyznał. – Znam pannę Lovejoy. Lubi porządek. Nie zmienia raz ułożonego planu ot tak, bez przyczyny. Albo masz rzeczywiście duży talent, albo niezłe gadane.

– Ani jedno, ani drugie. Jestem pewna, że dostanę malutką rolę, która w żaden sposób nie zaburzy scenariusza.

– W zespole tancerek? – Henry patrzył na mnie ze zdziwieniem.

– Naprawdę nic jeszcze nie wiem. Muszę porozmawiać z panną Lovejoy.

– Miejmy nadzieję, że inne dziewczyny nie będą ci dokuczać. – Powrócił do swojej gazety. – To zazdrosne bestie. Większość z nich potrafiłaby zabić dla sławy.

Odeszłam, ale słowa Henry'ego brzęczały mi w głowie. Czy jest ktoś, kto nie dostał jakiejś roli, choć uważa, że na nią zasłużył? W takim razie nie może to być nikt z obsady. Przecież jeśli Blanche się rzeczywiście wystraszy, sztuka zniknie z afisza i wszyscy zostaną bez pracy.



Martha wpuściła mnie do garderoby Blanche.

– Czeka na ciebie – powiedziała tym swoim chrapliwym głosem, wpatrując się we mnie świdrującymi, małymi jak u czarownicy oczkami. – Daj, odwieszę twój płaszcz.

Potulnie podałam jej okrycie, mimo że spokojnie mogłam je odwiesić sama.

– Podobno jest na spotkaniu z reżyserem i kimś jeszcze – zauważyłam. – Pomyślałam, że rozsądniej będzie zaczekać tutaj.

– Dobrze zrobiłaś. Nie lubi być zaskakiwana. Nawet jako dziecko tego nie znosiła. Musi mieć nad wszystkim kontrolę. Zawsze była upartą dziewczynką i tak jej zostało.

– Mówiła mi, że byłaś jej nianią.

– Byłam. Znam ją od małego. I od zawsze uwielbiam. Złamała mi serce, kiedy uciekła z domu. Chyba martwiłam się o nią bardziej niż rodzice. A dzień, gdy mnie po tych wszystkich latach odnalazła, zapamiętałam jako najszczęśliwszy w życiu.

Kiedy Martha się uśmiechała, wyglądała jak miła starsza pani. Ale uśmiech szybko zniknął z jej twarzy.

– Oczywiście nie pochwalam tego, co kiedyś robiła. Rozbierała się na oczach mężczyzn i śpiewała te obrzydliwe piosenki. Nic dziwnego, że rodzina się jej wyrzekła. Ale teraz, jak sama widzisz, wszyscy ją szanują. Osiągnęła wysoką pozycję w swoim zawodzie.

– Od jak dawna pomagasz Blanche?

– Cóż, będzie już co najmniej dwadzieścia lat, jak mnie znalazła w Massachusetts i sprowadziła do Nowego Jorku. Zaproponowała, bym zajęła się garderobą.

To znaczy, że panna Lovejoy zbliża się do czterdziestki – pomyślałam. Ta sztuka musi być dla niej bardzo ważna, bo to ostatni moment, żeby zagrać główną rolę kobiecą i zrobić wrażenie na publiczności.

– Powiedz mi, Martho – zaczęłam ostrożnie – co myślisz o tym duchu. Nie

wierzysz w tę całą historię o nawiedzonym teatrze, prawda?

– Trudno powiedzieć – odparła, przekrzywiając głowę. – Osobiście żadnego ducha nie spotkałam, ale znam kilka osób, które przysięgają, że go widziały. Jedno wiem na pewno: panna Lovejoy jest bardzo zdenerwowana. Wiele w życiu przeszła i naprawdę trudno ją wyprowadzić z równowagi, więc coś musi być na rzeczy. Kochana, biedna Blanche. Zawsze była taka dzielna!

Martha zamilkła i po chwili usłyszałyśmy odgłos kroków na korytarzu. Drzwi się otworzyły i stanęła w nich Blanche Lovejoy. Była zdyszana, zupełnie tak jak ja przed chwilą.

– Widziałas ją może, Martho? – zapytała i dopiero wtedy mnie zauważyła.  
– Ach, jesteś, panno Murphy. Bałam się, że zmieniłaś zdanie.

– Nie zmieniałam.

– Myślałam, że przyjdiesz do nas i przedstawię cię Robertowi i Desmondowi.

– Henry powiedział, że ma pani spotkanie, ale nie byłam pewna, czy powinnam się na nim pojawić – odparłam. – Uznałam, że lepiej będzie poczekać tutaj. Nie chciałam pani stawiać w niezręcznej sytuacji, panno Lovejoy.

– Rozumiem. Trudno. Przedstawię cię na spotkaniu całego zespołu. Ale chłopców już uprzedziłam, że do nas dołączysz.

– Czy wymyśliła pani, jak wytłumaczyć moją obecność w teatrze?

– Moja droga, proszę, mów mi Blanche. – Uśmiechnęła się do mnie promiennie. – Wpadłam na genialny pomysł. Posłuchaj. Otóż zaprosiłam cię do zespołu, bo mam dług wdzięczności wobec swojej przyjaciółki Oony Sheehan, która jest twoją ciotką. Przyjechałaś właśnie z Irlandii i marzysz o karierze w teatrze. Prawda, jakie to sprytne?

– Tak przypuszczam.

– Oczywiście na wszelki wypadek uprzedzę Oonę, żeby wiedziała, co mówić, jeśli ktoś ją o ciebie zapyta. – Krążyła po pokoju jak tygrys w klatce, energicznie gestykulując. – Wymyśliłam nawet konkretną rolę, dzięki której będziesz cały czas na scenie, a dodatkowo trochę nas wszystkich rozbawisz. Zgadniesz jaką? Otóż będziesz grała pilną uczennicę. Prymuskę, której tylko nauka w głowie. Znajdziemy ci paskudną perukę z warkoczykami i grube

okulary. W każdej scenie, w której występują inne dziewczęta, będziesz stała w kącie z nosem w książce. Możesz nawet spacerować po scenie, ale zawsze z lekturą. I dodam jedną linijkę do swojej roli. Kiedy dziewczęta będą wychodziły, ty zostaniesz na swoim miejscu, dopóki nie powiem: „Ty też, Josephine”, a wtedy spojrzysz na widownię ze zdziwieniem w oczach. To powinno nieźle wszystkich rozśmieszyć, nie sądzisz?

Uśmiechnęłam się i pokiwałam głową, chociaż na samą myśl o scenie i zabawianiu publiczności, poczułam, jak ze strachu ściska mi się żołądek. Nie mogę powiedzieć, że bym była nieśmiała, ale nigdy jeszcze nie występowałam w teatrze. Nie miałam pojęcia, co czuje człowiek, na którego patrzą setki par oczu.

– Czyż nie jestem genialna, Martho? – kontynuowała Blanche, wciąż spacerując po pokoju. – Czasami sama siebie potrafię zaskoczyć.

– Jesteś, mój aniele – odparła garderobiana.

Nie byłam pewna, czy mówi to całkowicie poważnie, czy też z ironią. Trudno było rozszyfrować staruszkę.

– To plan doskonały – ciągnęła Blanche. – Nie będziesz miała na scenie nic do roboty. Udawaj, że czytasz, i obserwuj dokładnie wszystko, co się dzieje dookoła. Jeśli twoja obecność nie będzie pasować do jakiejś sceny, na przykład wtedy, kiedy jestem sam na sam z Arthurem, możesz czekać za kulisami. Wszyscy będą wiedzieli, że jesteś moją protegowaną, więc nie odważą się nic powiedzieć.

Zatrzymała się i spojrzała na mnie, a oczy aż jej błyszczały.

– I co powiesz, Molly? Pokażemy im, że nie zwariowałam, prawda? Złapiemy tego ducha.

– Na pewno złapiemy, panno Lovejoy – odparłam z nadzieją, że w moim głosie zabrzmiał entuzjazm.

– Dobrze. W takim razie do roboty! – Blanche wyciągnęła scenariusz. – Mamy trochę czasu, żeby się przygotować. Podczas dzisiejszej próby musisz nadrabiać miną, ale weź scenariusz do domu i przejrzyj go uważnie przed jutrzejszym wieczorem, żeby zagrać wiarygodnie. Dopisałam cię do każdego aktu i zaznaczyłam twoje miejsce na scenie. Pamiętaj, że w grze nic nie jest przypadkowe. Każdy twój ruch został opisany i zawsze masz stać dokładnie

w tym samym miejscu. Ponieważ cały czas coś czytasz, sugeruję, żeby to był scenariusz. Tym sposobem będziesz na bieżąco.

Otworzyła maszynopis na pierwszej stronie i w wielkim pośpiechu zaczęła mi streszczać sztukę.

– Pierwsza scena jest w ogrodzie, gdzie dziewczęta grają w tenisa, a ty podpierasz ścianę. Tylko błagam, na miłość boską, nie opieraj się o nią całym ciężarem, bo upadnie. Stań przy krzaku róży. Gdy dziewczęta przerwą grę i pobiegną, żeby mi opowiedzieć, co się wydarzyło, będziesz czytała książkę. W pewnym momencie zorientujesz się, że koleżanki zniknęły i pospieszysz za nimi, korzystając z wyjścia po lewej stronie.

Nagle się przestraszyłam, że mogę narobić niezłego bałaganu. Przecież nie mam żadnego doświadczenia! Na szczęście po chwili przyszło opamiętanie. To ja jej robię przysługę, a nie na odwrót. Skoro nalega, żebym była na scenie, musi mi wybaczyć ewentualne potknięcia.

– To będzie próba generalna, prawda? Co powinnam włożyć? – zapytałam, bo o strojach jeszcze nie rozmawialiśmy.

Blanche zerknęła na Marthę.

– Potrzebujesz kostiumu – powiedziała, jakby wcześniej jej to w ogóle nie przyszło do głowy. – Nie wiem, czy mamy coś odpowiedniego w garderobie, więc musimy szybko wymyślić ci jakiś strój na dzisiejszy wieczór, a może i na jutro. W sztuce jest lato. To, co masz na sobie, byłoby dobre, ale w lżejszej wersji. Czy masz coś równie *passé* na lato?

Dotarło do mnie, że Blanche nie jest wcale taka słodka i miła, ale zignorowałam jej zniewagę. Faktycznie, może mój kostium wyszedł już z mody.

– Mam prostą sukienkę z muślinu – zaproponowałam, ale potrząsnęła głową.

– Nie, to są dziewczęta z wyższych klas. Muślin się nie nadaje, prawda, Martho?

– Jestem pewna, że madame Eva zgodzi się coś szybko uszyć, jeśli ładnie ją poprosisz – stwierdziła Martha. – Ma być uczennicą, tak? Jakiego rodzaju sukienki nosi uczennica? Coś z bawełny w kratkę, z białą albo czarną kokardą przy dekolcie. Coś prostego, ale porządnego.

– Jak zawsze masz rację. – Blanche z zadowoleniem kiwnęła głową. – Chodź, Molly. Jeśli się pospieszymy, będziesz pięknie ubrana jeszcze dziś wieczorem.

Wyszliśmy na korytarz i po chwili znaleźliśmy się w zagraconym pomieszczeniu. Było po brzegi wypełnione ubraniami na wieszakach, belami materiałów, pudłami, w których piętrzyły się peruki. Na środku stał stół z maszyną do szycia, a przy niej siedziała staruszka ubrana od stóp do głów na czarno. Wyglądem nawet bardziej niż Martha przypominała czarownicę. Miała ostre rysy, a w słabym świetle jej skóra sprawiała wrażenie przezroczystej. Nie mam pojęcia, jak udawało jej się szyć w tej ciemnicy i jakim cudem zupełnie tutaj nie oślepla.

Kiedy weszliśmy, spojrzała w górę, marszcząc brwi.

– Wszystko w porządku, nie musisz robić zamieszania, Blanche – powiedziała z dziwnym akcentem. – Obiecałam, że wszystko będzie gotowe na piątą, i jest. Popatrz, ostatnie stroje do tenisa wiszą na wieszakach i czekają. Dziewczyny mogą się już przebierać.

– Potrafisz zdziałać cuda, Evo – oznajmiła Blanche przymilnie. – Cieszę się, że już kończysz, bo mam dla ciebie dodatkową pracę.

Eva obrzuciła mnie spojrzeniem.

– Kto to jest? Nie widziałam jej wcześniej.

– Nowa dziewczyna. Dopiero co do nas dołączyła. Czułam, że w zespole tancerek przydałby się jakiś element komiczny. Zagra uczennicę, która nigdy nie włącza się do zabawy. Uszyjesz dla niej zwyczajny, jakiś mało zalotny strój?

– Zwyczajny strój? – Eva energicznie zamachała rękami. – Co masz na myśli? Że niby mam czarodziejską różdżkę? Skąd ja wytrzasnę zwykły, mało zalotny strój, co?

– Nie dzisiaj, moja droga. Oczywiście, że nie dzisiaj. Dopiero na premierę. Tylko o to proszę. Masz jeszcze cztery dni. I potrzebujemy peruki. Te jej rude włosy są tak mało francuskie. Może dwa mysie ogonki?

– A jaki dokładnie powinien twoim zdaniem być ten brzydki strój?

– Zwykła czarna sukienka z białą kokardą?

– Sama nie wiem... Będzie wyglądała, jakby szła na pogrzeb – mruknęła Eva.

– To może zwykła biała z czarną kokardą. Wtedy będzie tak świeżo i niewinnie.

– Zdejmę miarę i zobaczę, co się da zrobić.

– Ach, i koniecznie okulary – dodała Blanche. – I czarne buty.

– Coś jeszcze? – zapytała Eva. – Może na wszelki wypadek uszyję też suknię balową, jakbyś zmieniła zdanie i dziewczyna miała zagrać księżniczkę.

Blanche pochyliła się nad staruszką i ucałowała ją w policzek.

– Jestem ci dogonnie wdzięczna. Zostań tu, Molly, pozwól Evie zdjąć miarę, a kiedy usłyszysz dzwonek, przyjdź na scenę.

Skinęłam głową, zauważając, że zwróciła się do mnie per Molly. Myślałam, że miałyśmy używać pseudonimu. Chociaż kto może mnie rozpoznać? Zwłaszcza w czarnej peruce, okularach i brzydkiej sukience. Ale nie mogłam powiedzieć tego na głos przy madame Evie.

– A co mam włożyć dzisiaj wieczorem? – zapytałam, zanim Blanche wyszła.

Spojrzała błagalnie na Evę.

– Nie mogłabyś jej znaleźć zwykłej spódnicy i bluzki?

Eva potrząsnęła głową.

– To nie dom towarowy. Nie mam ubrań na składzie.

– Zostań w tym, co masz na sobie, Molly. Muszę lecieć – oznajmiła Blanche i zniknęła.

Eva wzięła miarę, lamentując, że nie noszę gorsetu i mam taką szeroką talię.

– Kto cię zechce? – biadoliła. – Powinnaś zobaczyć talię panny Lovejoy. Jak u osy! Mężczyzna mógłby objąć ją palcami. A przecież Blanche ma już swoje lata...

Z oddali usłyszaliśmy dzwonek. W całym budynku rozległ się tupot stóp. Dołączyłam do tłumu na schodach. Jeszcze zanim dotarłam na scenę, czułam

na sobie ciekawskie spojrzenia. Większość zespołu usadowiła się ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, podczas gdy Blanche i mężczyźni, których wcześniej widziałam na widowni, siedzieli na sofie i krzesłach będących częścią scenografii. Znalazłam sobie miejsce z tyłu, na podłodze.

Dyrektor, pan Barker, ten, którego Blanche nazywała Robertem, wygłosił płomienne przemówienie na temat swojej ciężkiej pracy. Choreograf Desmond Haynes, szczupły, ciemnowłosy mężczyzna, którego przyłapałam na obserwowaniu garderoby Blanche, zwrócił się głównie do tancerzy, podkreślając znaczenie równego szeregu i dokładności w układach. Dystyngowany mężczyzna o siwych włosach, który okazał się dyrygentem, prosił, by dziewczęta bacznie go obserwowały i nie spieszyły się przy kankanie. Usłyszeliśmy kolejne wskazówki, a potem Blanche powiedziała, że bardzo liczy na każdego z nas z osobna i prosi, byśmy jej nie zawiedli.

Uważnie przyglądałam się wszystkim po kolei: okrągłutkiemu Robertowi Barkerowi z zatroskaną twarzą, wielkiemu Desmondowi Haynesowi, aktorom, aktorkom i tancerkom. No i jeszcze była cała ekipa techniczna ukryta na zapleczu. Kto z tych ludzi żywi urazę do Blanche Lovejoy? Jak mam się tego dowiedzieć?

Blanche wstała.

– W porządku. Zbiórka za piętnaście siódma. Ach... zanim wyjdziecie. Chcę wam przedstawić nową osobę w zespole. Molly, kochanie... pokaż nam się, proszę. Witaj w rodzinie!

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz z niej zrobić pokojówki i zabrać mi roli – powiedziała starsza aktorka.

– Oczywiście, że nie, moja droga. Do głowy mi to nie przyszło – odparła Blanche. – Molly będzie w zespole tancerek.

– Ale już wszystko mamy opracowane – poskarżyła się jedna z dziewczyn.  
– Za późno, żeby zmieniać układy.

– Molly nie będzie z wami tańczyć. Będzie dziewczyną, która nigdy się nie włącza do zabawy. Uczennicą obecną na scenie tylko ciałem, duchem zaś w książkach. Na razie wszystko jest dla niej nowe, więc proszę was o pomoc. A teraz migiem na górę.

Scena wyludniła się w ciągu kilku sekund.

Podbiegłam do Blanche.

– Dokąd mam iść? – zapytałam.

Zamyśliła się.

– Z całą resztą dziewczyn. Wzbudzisz zazdrość, jeśli będziesz dzielić ze mną garderobę. Schodami na górę i do końca korytarza – rzuciła i już jej nie było.

Zmierzałam właśnie w stronę schodów, mijając rekwizyty i dekoracje, gdy poczułam, jak ktoś łapie mnie za ramię. Desmond Haynes wlepił we mnie wzrok.

– Słuchaj mnie, dziewczyno – powiedział. – To nie jest dobry pomysł. Blanche ma za miękkie serce. Nie zatrudniamy amatorów, a ty chyba nie masz żadnego doświadczenia.

Przecież nie mogłam mu powiedzieć, że się myli.

– Ciężką pracą doszedłem do tego, że dziewczyny perfekcyjnie odgrywają swoje role – wysyczał. – Spróbuj to zepsuć, a obiecuję, że z hukiem stąd wylecisz. Czy jasno się wyrażam?

– Bardzo jasno – odparłam.

Kiedy wspinałam się po schodach, serce biło mi jak szalone. Ciekawe, czy pan Haynes będzie szukał okazji, żeby jak najszybciej się mnie pozbyć. Zastanawiałam się również, czy rzeczywiście obawia się o artystyczną wartość przedstawienia, czy może jednak traktuje moją obecność jak zagrożenie.



Zapukałam do garderoby dla dziewcząt, ale musiały strasznie hałasować, bo nikt mi nie otworzył. Przekręciłam gałkę i weszłam. Pokój nie był tak przytulny jak garderoba Blanche. Długi i wąski, z lustrem, drewnianą półką i wieszakami na ścianie. Na podłodze stało kilka krzeseł. W środku tuzin półnagich dziewcząt wpatrywał się we mnie w milczeniu. Poczułam się jak biblijny Daniel w jaskini lwów.

– Dobry wieczór – przywitałam się. – Powiedziano mi, że mam tu przygotować się do wyjścia na scenę.

– Rusz się, Connie – usłyszałam. – Oddaj swoje miejsce pannie Ważnej. Lepiej nie denerwować ulubienicy szefowej.

– Słuchajcie – powiedziałam szybko – to nie był mój pomysł. O nic nie zabiegałam. Oona i Blanche dogadały się za moimi plecami. Czuję się bardzo niezręcznie w tej sytuacji.

– I słusznie – zauważyła wysoka dziewczyna, którą spotkałam dzień wcześniej. – Czy wiesz, ile dziewczyn jest w tym mieście bez pracy? Aktorki i tancerki, które latami się uczyły, zasługują na takie wyróżnienie. Ale ty? Nawet nikt cię nie przesłuchał. Idę o zakład, że nie możesz się pochwalić żadnym doświadczeniem, prawda?

– Niewielkim – odparłam. – W Irlandii wystąpiłam w paru sztukach.

Na szczęście nie musiałam kłamać, bo kiedyś zagrałam anioła w jasełkach, a w czasach gdy pobierałam lekcje razem z córkami pani Hartley, wystawiłyśmy sztukę pod tytułem *Dick Whittington i jego kot*. Naturalnie przypadła mi rola kota.

– W porządku. Połóż swoje rzeczy na ziemi, jeśli znajdziesz miejsce – powiedziała wysoka dziewczyna. – Jestem Lily.

– Molly. Miło cię poznać.

– Dalej, pospiesz się. Gdzie jest twój strój?

– Jeszcze go nie mam. Będę dzisiaj występować w normalnym ubraniu.

Dziewczyny popatrzyły po sobie, zachichotały i wzruszyły ramionami. Najwyraźniej bawiły się moim kosztem.

– W takim razie przynajmniej uczesz się i umaluj – zasugerowała Lily

– No, chyba że nie chcesz nic robić z włosami.

– Jutro mam dostać perukę, ale teraz chyba powinnam zrobić sobie dwa kucyki, bo tak chciała Blanche.

– Blanche... Proszę, proszę. – Lily szturchnęła dziewczynę obok. – Czyżbyś była po imieniu z naszą gwiazdą? Cóż, pozwól, że ci coś powiem, dziecko. Panna Lovejoy nie lubi się spoufalać. Lepiej nie nazywaj jej publicznie Blanche, bo nie będzie zadowolona.

– Dzięki za ostrzeżenie.

Wyjęłam z torebki grzebień i zaczęłam rozczesywać loki. Z włosami zawsze mam problemy, a dziś na dodatek potargał je porywisty wiatr. Upłynęło sporo czasu, zanim zrobiłam na głowie porządek. Oczywiście nie miałam czym związać kucyków, ale poprosiłam o pomoc i udało mi się zdobyć dwa kawałki wstążki w różnych kolorach.

Dziewczęta ubrały się w białe sukienki do tenisa – długie, bez rękawów. Zafascynowana patrzyłam, jak wiążą baletki i robią sobie makijaż. Miały pudełka pełne kredek w różnych barwach, którymi malowały twarz, nakładając na policzki, usta i brwi grube warstwy koloru. Dziewczyna obok zauważyła moje zdziwione spojrzenie.

– Gdzie masz swoje kosmetyki? – zapytała.

– Nie mam – odparłam.

– Będziesz musiała sobie sprawić. Nie lubimy pożyczać – powiedziała. – No dobrze. Raz zrobię wyjątek. Bierz.

Spojrzałam na długi rząd grubych ołówków.

– Nigdy się jeszcze nie malowałam – szepnęłam. – Czy możesz mi pomóc?

– Słyszałam, że grasz uczennicę, prawda? W takim razie musisz wyglądać blado. Nie tak jak my. My mamy być zdrowe i rumiane. Połóż na twarz bazę numer pięć, trochę różu na policzki i szminkę numer dwa na usta. Kiedy skończysz, pokażę ci, jak pomalować oczy.

Zrobiłam, co kazała, i po chwili zobaczyłam w lusterku obcą, opaloną i bardzo pospolitą twarz.

– Myślałam, że mam być blada – zauważyłam.

– Te światła na scenie są okropne – odparła. – Wszystkie wyglądamy na bardzo zmęczone. Dlatego trzeba dodać trochę koloru. Na wargi też... i tutaj – dodała, kreśląc mi na policzkach dwa wielkie czerwone rumieńce. Potem namalowała czarną linię na powiekach i w kącikach oczu. Z lusterka patrzyła na mnie lalka. Podobnie wyglądały wszystkie pozostałe dziewczęta.

– O co chodzi z tym duchem? – szepnęłam, gdy dziewczyna kładła mi na twarz ostatnią warstwę pudru. – Czy to prawda, że teatr jest nawiedzony?

Roześmiała się nerwowo.

– No cóż, żadna z nas nie widziała ducha, ale byliśmy przy tym, jak stół się przechylił i świeczka spadła na spódnicę panny Lovejoy. To cud, że ogień się nie rozprzestrzenił. No i kiedyś, jak czekałyśmy za kulisami, zawałiła się cała dekoracja. I przysięgam, że nikt nie mógł tego zrobić, bo nikogo oprócz panny Lovejoy tam nie było. To bardzo dziwne.

– Nie sądzisz, że ktoś chce ją przestraszyć?

Wyglądała na zaskoczoną.

– Tak dla żartu? To masz na myśli?

– Nie, chodzi mi o coś poważniejszego. Może ktoś jej źle życzy?

– Ale kto? Panna Lovejoy nie wpuszcza obcych na próby, a my wszystkie czujemy się zaszczycone, że dała nam szansę zagrać w tym teatrze.

– Czy panna Lovejoy ma jakichś wrogów?

Dziewczyna się roześmiała.

– Nie wątpię. Spodziewam się, że całkiem sporo. Sławni ludzie nie cieszą się sympatią. Często budzą zazdrość. Ale cały zespół marzy o tym, by przedstawienie stało się przebojem. Pannie Lovejoy też na tym bardzo zależy. Przez lata nie odnosiła żadnych sukcesów, a zbliża się już do czterdziestki. Jeśli zrezygnuje, zostaniemy na lodzie.

W tej samej sekundzie rozległo się energiczne pukanie do drzwi. Aż podskoczyłam. Usłyszałyśmy głos w korytarzu:

– Za piętnaście minut zaczynamy.

Dziewczyna wstała z taboretu.

– Idziemy – powiedziała. – Nazywam się Elise, a ty jesteś Molly, prawda?

Przytaknęłam z uśmiechem.

– Dzięki za pomoc, Elise.

Dziewczyny tłoczyły się przy drzwiach, zatrzymując się przed lustrem, żeby po raz ostatni ocenić swój wygląd, wygładzić włosy i sukienki. Czułam, że napięcie narasta, jakby chodziło o prawdziwy spektakl, a nie o próbę. Mnie też się udzieliło. Miałam właśnie wejść na scenę i odegrać rolę, do której w ogóle nie byłam przygotowana. Poczułam, że boli mnie brzuch. Dlaczego znów dałam się wciągnąć w jakąś idiotyczną sytuację? Dlaczego nie znajdę sobie normalnej, spokojnej pracy? Jakiegokolwiek, byle zwyczajnej i niezwiązanej z żadnym ryzykiem; na przykład w księgarni czy w herbaciarni dla pań albo jako guwernantka w bogatym domu.

Po chwili nie miałam już czasu na dalsze rozważania, ponieważ porwał mnie tłum ludzi pędzących na dół. Do grupy tancerek dołączyli aktorzy odgrywający główne role. Miarowe kroki na żelaznych stopniach odbijały się echem od ścian i brzmiały tak, jakby na scenę wkraczał pułk wojska. Podążyłam razem z pozostałymi dziewczętami na sam koniec sceny i ustawiłam się w kolejce, czekając na wejście. Było mi zimno, bo od wentylacji ciągnęło niemiłosiernie po nogach. Teraz zrozumiałam, dlaczego aktorzy mieli podczas prób łydki owinięte grubą flanelą. Rozejrzałam się dookoła. Za kulisami trudno się było zorientować, co gdzie jest. Ledwie mogłam dostrzec sufit, bo przesłaniały go różne liny, kable i drabinki, które zlewały się w czarną pajęczynę. To idealny labirynt dla kogoś, kto wszedł do teatru z niecnym zamiarem – pomyślałam.

– Pierwsza grupa na scenę – usłyszałam i dziewczęta pomaszerowały, by zająć pozycje.

Otworzyłam książkę i powędrowałam na swoje miejsce. Pamiętałam, żeby nie opierać się o ścianę, która jest delikatnej konstrukcji, zrobiona tylko z malowanego drewna i płótna. Na scenie było jasno jak za dnia i całkiem ciepło. Orkiestra zaczęła grać. Poczułam, że nogi się pode mną uginają. Dzięki Bogu, że nie musiałam wygłaszać żadnej kwestii! Otworzyłam usta, ale pewnie nie potrafiłabym wykrztusić ani słowa – pomyślałam. Po chwili, która wydawała się wiecznością, kurtyna poszła w górę. Światło reflektorów padało wprost na naszą gromadkę. Dziewczęta zaczęły się poruszać.

– *Rączka pracuje, nóżki pracują, tak młode damy tę grę trenują* – śpiewały.

Tekst piosenki niby mówił o lekcji gry w tenisa, lecz wiadomo było, że chodzi o coś zupełnie innego. Zgodnie z instrukcjami wbiłam wzrok w książkę. Piosenka zakończyła się tanecznym układem, potem na scenę weszła pokojówka i klaszcząc w dłonie, zawołała:

– Raz, raz, niesforne pannice! Hrabina czeka na was z lekcją gracji.

Tancerki pobiegły w stronę kulis. Odczekałam chwilę, a potem poszłam za nimi, wlokąc się noga za nogą i nie odrywając wzroku od książki. Wydawało mi się, że muzycy zachichotali. Przeżyłam swój pierwszy występ!

Przez resztę aktu byłam w ciągłym ruchu. Na scenę, ze sceny i tak w kółko. *Stań przy ścianie. Usiądź w kącie. Śledź dziewczyny. Poczekaj, aż panna Lovejoy wezwie cię do siebie.* Ciągłe słyszałam jakieś instrukcje. Pod koniec byłam wyczerpana i z przyjemnością udałam się do garderoby. Pozostałe dziewczęta musiały się szybko przebrać, ale ja na szczęście grałam w jednym stroju przez cały wieczór.

Potem zostałyśmy wezwane na drugi akt. Tym razem nie miałam za wiele do roboty, bo wreszcie pojawił się główny wątek miłosny przedstawienia – historia romansu hrabiny i biednego malarza. Raz weszłam na scenę w niewłaściwym momencie, ponieważ myślałam, że to już koniec, a okazało się, że para wciąż trwa w miłosnym uścisku. Rozejrzałam się przerażona i wybiegłam, co wzbudziło ogólną wesołość. Wreszcie nadeszła scena balu. Hrabina odkrywa, że jeden z jej obrazów jest wart fortunę, i z tej okazji wydaje przyjęcie. Musiałam przycupnąć z boku, jak zwykle z nosem w scenariuszu, zupełnie ignorując wesołą atmosferę.

Właśnie wybrzmiała głupia piosenka o tym, co każda dziewczyna powinna wiedzieć, kiedy nagle światła zamigotały i poczułam zimny wiatr. Zadrżałam i spojrzałam znad książki. Inni też zauważyli, że coś jest nie tak. Słyszałam napięcie w ich głosach, kiedy wypowiadali swoje kwestie. W pewnym momencie ostry podmuch powietrza przewrócił kandelabry i doniczki z kwiatami, zmiotł kapelusze z głów, obrusy ze stołów, wszystko, co nie było dość stabilne. Na spódnicę jednej z tancerek spadła świeca i materiał natychmiast stanął w płomieniach. Dwaj aktorzy rzucili się na pomoc, przewracając dziewczynę na scenę, żeby stłumić ogień. Kobiety krzyczały. Pobiegłam w stronę źródła wiatru, walcząc z jego siłą, ale nikogo nie dostrzegłam.

Nagle z widowni ktoś krzyknął:

– Nie ruszać się! Niech każdy zostanie tam, gdzie jest!

Robert Barker z impetem wparował na scenę.

– Dość tego! – ryknął, naprawdę potężnie jak na tak małego człowieczka. – Zaraz dorwę tego drania.

Przeszedł przez całą scenę i zobaczył mnie przy skrzydle.

– Wentylator! – krzyknęłam. – Wie pan, jak go wyłączyć?

– Oczywiście – prychnął i odłączył prąd. Powiew natychmiast ustał. – Wentylator – powtórzył gniewnie pan Barker. – Co za idiotyczny żart!

– Przybiegłam, jak tylko się zorientowałam, skąd wieje – wyjaśniłam. – Nikogo tu nie było. Poza tym wszyscy aktorzy są na scenie.

– Więc co ty tu robiłaś? – Spojrzał na mnie podejrzliwie.

– No mówię, że chciałam sprawdzić, kto to włączył. Panna Lovejoy wspominała mi o duchu. Miałam nadzieję go przyłapać.

Wpatrywał się we mnie przez chwilę, jakby próbował czytać w moich myślach, po czym precyzyjnie przesunął się obok i wrócił na scenę.

– Przestańcie się mazgać – warknął do dziewczyn, które trzęsły się ze strachu. – To tylko awaria wentylacji. – Jakiś głupiec włączył maszynę na pełne obroty. Nie ma się czego bać.

– Ale kto to zrobił? – zapytała drżącym głosem Blanche. – Wiesz przecież, że w ostatniej scenie gra cała obsada. Kto to mógł być?

– Wally! – ryknął Robert Barker. Zza kulis wychylił się jakiś człowiek. – Czy któryś z twoich ludzi był tu przed chwilą?

– Nie, proszę pana – odparł Wally. – Pracujemy nad tym drzewem, co ma za mało liści. Kazał pan je poprawić. Wszyscy siedzimy w rekwizytorni, z wyjątkiem Tommy’ego, który obsługuje kurtynę.

Tommy pokazał się, żebyśmy mogli go zobaczyć, a Barker sprawdził również chłopców odpowiedzialnych za reflektory. Byli na swoich miejscach.

– Widzisz – powiedziała Blanche trzęsącym się głosem. – To nie sprawa człowieka, tylko ducha. Złośliwego ducha, który chce mnie zniszczyć. Jak mamy grać, kiedy tego rodzaju rzeczy mogą się zdarzyć w każdej chwili.

Tym razem to nie ja znalazłam się w niebezpieczeństwie, ale ta biedna dziewczyna. Mało brakowało, a zginęłyby w płomieniach. Dzięki Bogu, że dzielni chłopcy zareagowali tak szybko. Spójrz na jej suknię. Zniszczona!

Dziewczyna, o której była mowa, siedziała teraz na krześle, pochlipując, podczas gdy młodzieńcy wciąż starali się ją uspokoić. Zwęglony kostium przedstawiał żalospny widok.

Blanche wygładziła swoją suknię.

– Kontynuujmy – powiedziała stanowczo. – Nie pozwólmy się zastraszyć. Nic ci nie jest, dziecko? – zwróciła się do poszkodowanej.

– Chyba nie, panno Lovejoy – odparła drżącym głosem dziewczyna.

– To zacznijmy tam, gdzie skończyliśmy. Maestro, zaśpiewamy jeszcze raz od początku. Henry, ustaw rekwizyty na miejscu. Czy wszyscy są gotowi?

Muszę przyznać, że zaimponowała mi odwagą. Była przecież naprawdę wstrząśnięta. Tak jak my wszyscy. Niektóre tancerki zachowywały się, jakby faktycznie zobaczyły ducha. Poruszały się niczym nakręcane lalki, trzymając ręce wyciągnięte do przodu. Nawet mężczyźni patrzyli po sobie niepewnie. Wróciłam do krzesła w kącie.

Zakończyliśmy próbę bez żadnych zakłóceń. Przyszedł czas na ukłony. Czułam się bardzo zażenowana, stojąc w jednym rzędzie z ogrodnikiem, kucharzem, chłopcem na posyłki i krawcową. W ogóle nie chciałam tam być, ale Blanche nalegała. Podejrzewam, że wcale nie dlatego, by podkreślić moje zasługi dla przedstawienia, ale po prostu chciała mieć mnie przy sobie do samego końca.

W pośpiechu i wciąż zdenerwowani wspięliśmy się po schodach. W zaciszu garderoby dziewczęta zaczęły biadolić nad Irene, której spódnica stanęła w ogniu. Pomogłyśmy jej się rozebrać. Okazało się, że ma nadpalone włosy i poparzone dłonie.

– Idź do domu i posmaruj je masłem – poleciała Lily. – Miałaś szczęście, Irene. Myślałam, że już po tobie.

– Abe i Joe podbiegli bardzo szybko. Od razu ugasili płomień – powiedziała z podziwem w oczach Irene. – Zachowali się wspaniale. Nie wiem, czy zdołam się im odwdziżyć.

– Na pewno coś wymyślisz – zauważyła któraś, wywołując ogólną

wesołość.

Wtedy uświadomiłam sobie, że moje koleżanki to niezłe ziółka.

Podpatrzyłam, jak usuwają makijaż, i poszłam w ich ślady. Przed kolejną próbą muszę sprawić sobie własne kosmetyki – pomyślałam. Może powinnam poprosić Blanche o dodatkowe pieniądze na pokrycie niezbędnych wydatków? To niewielkie zlecenie może mnie sporo kosztować...

Siedząca obok Elise zdjęła baletki i zajęła się swoimi stopami. Odwinęła bandaże i teraz zdejmowała kawałki waty z palców. Jeden z nich był przesiąknięty krwią.

– O nie! Zraniłaś się? – spytałam.

Spojrzała na mnie rozbawiona.

– Chodzimy cały czas na palcach. Dla nóg to katorga. Popatrz! – Wyciągnęła w moją stronę posiniaczoną stopę z zakrwawionymi palcami. – Tak wygląda nasza praca – powiedziała. – Niektóre tancerki mają nogi w jeszcze gorszym stanie niż ja.

– Cieszę się, że nie muszę tańczyć – zauważyłam.

Te dziewczyny wyglądały tak delikatnie i eterycznie, kiedy sunęły po scenie na palcach. Nie miałam pojęcia, że płacą za to bardzo wysoką cenę.

Kiedy wreszcie wyszliśmy z teatru, czekał na nas tłum młodych mężczyzn. Początkowo myślałam, że to narzeczeni przyszli po swoje ukochane, ale jeden z panów podszedł do nas z otwartym notesem.

– Czy coś się wydarzyło dziś wieczorem, dziewczęta? Czy duch dał o sobie znać?

– Nie wolno nam o tym rozmawiać – powiedziała któraś i przeszła obok niego jak gdyby nigdy nic.

– Czyli coś jest na rzeczy – zauważył reporter, przyglądając się nam uważnie i szukając wzrokiem tej, która puści parę. – Dla grzecznej dziewczynki, co zechce się podzielić informacjami, mogę mieć jakiś ładny prezent.

Lily wsunęła mu rękę pod ramię.

– Zabierz mnie na kolację, upij winem, a wtedy być może coś niechcący



chlapnę – oświadczyła.

– Panna Lovejoy ją zabije – szepnęła Elise. – Ale nie wydaj jej, proszę. Udajemy, że nic nie słyszałyśmy, dobrze, Molly?

– Dobrze – skinęłam głową.

– Zobaczysz, co będzie w dniu premiery – dodała Elise. – Nie masz pojęcia, jaki tłum tu na nas zawsze czeka. Trzeba dosłownie rozpychać się łokciami. Tego wieczoru dostaniesz kilka zaproszeń na kolację. To miłe, naprawdę. Oczywiście są tacy, którzy oczekują zapłaty, jeśli wiesz, co mam na myśli. Nigdy nie pozwalam na więcej niż jeden, no... może dwa całusy, ale są dziewczyny, które nie mają skrupułów. Zawsze jakaś wpada w tarapaty. Mam nadzieję, że nie należysz do takich.

– Och, nie martw się – odparłam. – Mój narzeczony jest bardzo o mnie zazdrosny. Nie podoba mu się, że występuję na scenie. Jak jeszcze usłyszysz o tych adoratorach, będzie tu na mnie czekał każdego wieczoru.

– Masz szczęście, że znalazłaś kogoś takiego – powiedziała z podziwem. – Ja liczę na to, że trafi mi się jeden z tych bogatych młodych bankierów. Ale chyba nie jestem w ich typie. Wyglądam zbyt porządnie. Oni wolą takie zwariowane dziewczęta jak Lily. Albo panna Lovejoy. Ona ma powodzenie. Albo raczej miała. Za młodu oczywiście.

Wracałam do domu pochłonięta myślami. Przyszło mi do głowy, że nie widziałam dzisiaj Desmonda Haynesa. Pan Barker oglądał przedstawienie z widowni, więc możliwe, że i Desmond tam był, ale go nie zauważyłam. Nie dołączył też do nas po feralnym zdarzeniu. Czy to coś oznacza?

Zanim dotarłam do domu, zaczęło padać. Ni to śnieg, ni to deszcz, dość, że nieźle przemokłam pomiędzy stacją elki a Patchin Place. Otwierając drzwi, byłam zmęczona i poirytowana, ale miałam też jakąś absurdalnie irracjonalną nadzieję, że za drzwiami będzie na mnie czekać Daniel. Oczywiście nie było nawet jego śladu.

– Do diaska z tobą! Nie ma cię, kiedy jesteś mi potrzebny – mruknęłam i natychmiast zdałam sobie sprawę z tego, jak śmiesznie się zachowuję. Kiedy przy mnie był, mówiłam mu, że go nie potrzebuję, a kiedy go nie było, tęskniłam. To znak, że nie powinniśmy się kontaktować – pomyślałam. Nasza relacja rozwija się w złym kierunku, bo gdy jesteśmy obok siebie, trudno nam zachować dystans, a przecież sytuacja Daniela jest skomplikowana i cały czas ciężą na nim poważne oskarżenia.

Dziś jednak miałam naprawdę wszystkiego dość. Chciałam, by ktoś mnie przytulił, potrzymał za rękę i sprawił, że odzyskam poczucie bezpieczeństwa. Incydent z wentylatorem poruszył mnie bardziej, niż chciałam się do tego przyznać. Z jednej strony żywiłam głębokie przekonanie, że to po prostu głupi żart, z drugiej – w pamięci utkwił mi ten lodowaty powiew, który poczułam na skórze, jeszcze zanim dokonał spustoszeń w teatrze. Chyba zaczynałam wierzyć, że złośliwy duch chce zniszczyć Blanche Lovejoy.

Było już za późno, by odwiedzić Sid i Gus, więc pozapalałam wszystkie światła w domu. Rozejrzałam się za liścikiem od doktora Birnbauma, ale nic nie znalazłam, co mnie trochę zdenerwowało, bo przecież obiecał zostawić wiadomość w drodze do domu. Miałam nadzieję, że się nie rozmyślił i nie uznał rozmowy na temat pacjentki za działanie sprzeczne z etyką zawodową.

Poszłam do kuchni po filiżankę herbaty. Przypomniałam sobie, że jutro mam zanieść do szpitala obiad dla nieznajomej, ale nie byłam w stanie nic ugotować, więc postanowiłam, że następnego dnia kupię coś po drodze.

Miałam niespokojne sny. Pojawiła się w nich niema dziewczyna i duch z teatru.

– Zabrałem jej głos – powiedział duch. – Nigdy więcej się nie odezwie. – Parsknął głośnym śmiechem, który niczym echo dudnił w mojej głowie.

Obudziłam się nagle z łomoczącym sercem i potem już nie mogłam zasnąć.

Dopiero nad ranem znów zmorzył mnie sen i w rezultacie wstałam dosyć późno. Uwijałam się w kuchni, w szlafroku i w kapciach, kiedy rozległo się głośne pukanie do drzwi. Pomyślałam, że to Sid lub Gus w drodze powrotnej z francuskiej piekarni chcą mnie zaprosić na śniadanie. Na widok doktora Birnbauma omal nie zemdlałam. Jak zwykle wyglądał nienagannie – w długim płaszczu z podniesionym futrzanym kołnierzem, z laseczką pod pachą.

– Panienko Przenajświętsza! – krzyknęłam, ale natychmiast się zreflektowałam. – Przepraszam, doktorze. Zaskoczył mnie pan. Nie spodziewałam się gości tak wcześnie rano. Myślałam, że to sąsiadka z naprzeciwka. Proszę mi wybaczyć ten strój.

Uśmiechnął się.

– Droga panno Murphy, zapewniam panią, że widziałem bardziej szokujące rzeczy niż kobieta w szlafroku.

– W takim razie proszę wejść – zażartowałam. – Właśnie zaparzyłam herbatę. Czy mogę panu nalać?

– Dziękuję. Przed chwilą wypilem kawę w hotelu. Przyszedłem wyjaśnić, czemu nie zostawiłem wczoraj żadnej wiadomości. Widziałem tę dziewczynę, ale to, co zobaczyłem, bardzo mnie zaniepokoiło.

– Czy wreszcie odzyskała mowę? – spytałam. – Czy coś powiedziała?

– Nic. Ani słowa. Patrzyła na mnie tak, jakby w ogóle nie rozumiała ani nie słyszała, co do niej mówię.

– Jest głucha?

– Nie. Sprawdziłem jej słuch i w normalny sposób reagowała na dźwięki. Jak sądzę, potrafi również mówić. Siostry mi przekazały, że krzyczy we śnie. Mogę tylko uznać, że przeżyła jakiś straszny wstrząs.

– Biedaczka! Jakież to okropne! – westchnęłam.

– W rzeczy samej. Pamiętam, że mój mentor, doktor Freud, miał w Wiedniu podobny przypadek. Tamta dziewczyna też nie mówiła, udało mu się jednak wyleczyć ją hipnozą. Chciałbym popracować z tą młodą kobietą i sprawdzić, czy potrafię jej pomóc.

– Byłoby wspaniale! Naprawdę mógłby pan spróbować, doktorze?

– Tylko jak? Nikt z rodziny się po nią nie zgłosił. Jeśli nie dowiemy się, kim jest, za chwilę odeślą ją ze szpitala do przytułku dla umysłowo chorych.

– Nie mogą tego zrobić! – zdenerwowałam się.

– Nie mogą też trzymać jej u siebie w nieskończoność. Nie powinna zajmować miejsca, skoro jej ciało już nic nie dolega. Kiedy trafi do przytułku, nie będę mógł pomóc. Takie instytucje mają swoich lekarzy i własne metody, zresztą dość prymitywne, jak słyszałem.

– Nie wolno nam do tego dopuścić, doktorze – powiedziałam. – Nie możemy na to pozwolić.

– Ale co robić?

– Niech pomyślę – odparłam, chodząc po pokoju. – Damy ogłoszenie w lokalnej prasie. Mam w nowojorskiej policji kontakty, znam pewną panią detektyw – dodałam, bo przypomniałam sobie w tej chwili o pani Goodwin. – Poproszę ją, by przejrzała kartotekę zaginionych dziewcząt. Jej rodzina gdzieś na pewno odchodzi od zmysłów.

– W Nowym Jorku jest sporo młodych kobiet, które uciekają z domu z takiego lub innego powodu.

Potrząsnęłam głową.

– To nie ten przypadek. Była ładnie ubrana. Miała na sobie letnie pantofle wieczorowe.

– Więc miejmy nadzieję, że pani przyjaciółka nam pomoże – powiedział. – A co do ogłoszenia w prasie, pozwoli pani, że ja się tym zajmę. Uważam, że to wyjątkowo interesujący przypadek.

Zrozumiałam, jak bardzo różnimy się z doktorem w podejściu do sprawy. Ja, przedstawicielka zwykłych ludzi, po prostu martwię się o tę biedną dziewczynę. Doktor Birnbaum, psychiatra, traktuje ją jak naukowe wyzwanie.

– Miłego dnia, panno Murphy. Będziemy w kontakcie, *ja?* – powiedział i uklonił się na pożegnanie.

Kiedy otworzyłam drzwi, żeby go wypuścić, okazało się, że ktoś za nimi stoi. Miał uniesioną rękę i chyba właśnie zamierzał zapukać. Zdenerwowałam się, ale niepotrzebnie, bo to był tylko Daniel okutany w szalik.

– Aleś mnie wystraszył! – zaśmiałam się.

– Przykro mi, pewnie rzeczywiście wyglądam dość dziwnie – oświadczył i zatrzymał się w pół kroku na widok Birnbauma. – Co to ma znaczyć, Molly?

– Ale o co ci chodzi?

– Przyjmujesz gościa o tej porze, będąc w niekompletnym stroju? – zapytał lodowatym tonem.

Roześmiałam się.

– Danielu, przestań. To doktor Birnbaum z Wiednia. Alienista. Zgodził się zbadać tę biedną dziewczynę i przyszedł specjalnie, by mi opowiedzieć o swoich wrażeniach.

– Rozumiem. – Ton Daniela wcale się nie zmienił.

– Doktorze, to kapitan Sullivan – powiedziałam oficjalnie. – Kapitanie Sullivan, doktor Birnbaum.

Daniel wyciągnął rękę, ale Birnbaum tylko stuknął butami i się uklonił. Najwyraźniej i on poczuł się niezręcznie.

– W tej sytuacji się oddalę, panno Murphy – oznajmił, wkładając melonik.  
– Proszę dać mi znać, jeśli pani przyjaciółka wpadnie na jakiś trop.

– Oczywiście. I jeszcze raz dziękuję.

– Molly, nie masz za grosz poczucia przyzwoitości? Przyjmujesz gości w takim stroju? – napadł na mnie Daniel, jak tylko za Birnbaumem zamknęły się drzwi.

– Jeśli o to chodzi, Danielu, w tym stroju wcale nie obnażam więcej ciała niż w jakimkolwiek innym. Poza tym ten mężczyzna jest lekarzem. Przebadał mnóstwo kobiet, ubranych bardziej skąpo niż ja teraz. I jeszcze jedno; otworzyłam drzwi, ponieważ myślałam, że to Sid i Gus pukają do mnie po drodze z piekarni. Czy już się wystarczająco wytłumaczyłam?

– Niech ci będzie – odrzekł niechętnie. – Więc co twój niemiecki przyjaciel miał do powiedzenia na temat tej dziewczyny?

– Że potrafi mówić tak jak ty i ja, ale że spotkała ją jakaś wielka tragedia. Twierdzi, że za pomocą hipnozy mógłby spróbować ją wyleczyć.

– Naprawdę? To raczej dobra wiadomość, co?

– Owszem. Problem w tym, że chyba nie zechcą jej już dłużej trzymać

w szpitalu. Jeśli nie zgłosi się po nią rodzina, odeślą ją do przytułku dla obłąkanych.

– Dobry Boże!

– Zrobię wszystko, aby temu zapobiec.

– Ale co możesz zrobić? Chyba tylko się modlić.

– Doktor Birnbaum da ogłoszenie do prasy, a ja mam zamiar spotkać się z twoją koleżanką po fachu, panią Goodwin. Poproszę ją, żeby sprawdziła, czy ktoś zgłosił zaginięcie młodej kobiety, której opis pasuje do naszej nieznanym.

– Dobrze to wymyśliłaś – odparł. – O, widzę, że zrobiłaś herbatę.

Daniel usiadł, a ja podsunęłam mu filiżankę.

– Po zapaleniu płuc ani śladu, prawda? – zauważyłam.

– Nie śmieć się ze mnie. Wczoraj czułem się okropnie. Dziś przyznaję, że to było zwykłe przeziębienie.

– Czy znów musiałeś stać na zimnie do późnych godzin?

– Na szczęście nie. Pan Roth poszedł wcześniej spać. Zgasił światło o dziesiątej. A zatem i ja mogłem się udać na spoczynek. Myślę, że trzeba zakończyć tę sprawę, Molly. Chyba można z czystym sumieniem uznać, że ten młody człowiek jest godzien poślubić córkę tych... jak im tam.

– Jednego aspektu tej sprawy nie udało mi się do tej pory przeanalizować – powiedziałam. – Chodzi o jego finanse. W żadnym banku nie będą chcieli o tym rozmawiać z kobietą.

– Nie dziwi mnie to. – Daniel skinął głową. Nim zdążyłam zareagować na tę typowo męską uwagę, dodał: – Dobrze. To jest coś, co mogę łatwo sprawdzić. W dodatku w ciągu dnia, bez konieczności marznięcia na dworze po nocy. Teraz opowiedz, co z nowym zadaniem. Widziałaś ducha? – Podniósł wzrok i uśmiechnął się.

– Wiele na to wskazuje. Wczoraj wieczorem coś próbowało zakłócić przedstawienie. Włączyło wentylację na najwyższe obroty i zniszczyło scenografię. Sukienka jednej z aktorek stanęła w ogniu. Wszyscy wpadli w panikę.

– Dlaczego myślisz, że to duch? Na mój gust ktoś spletał figła pannie Lovejoy. Po co duchowi wentylacja? Wystarczy, żeby się pokazał ludziom.

– Masz rację – stwierdziłam. – Jest tylko jedna osoba, której nie widziałam na scenie podczas tego zajścia.

– A czy może mieć motyw?

– Jeszcze nie wiem – odparłam. – Ale się dowiem.

– Więc zamierzasz podjąć się tego zadania?

– Owszem. Biorę udział w przedstawieniu. Przyjdź na premierę. Zobaczysz swoją Molly na scenie.

– Naprawdę? – Daniel wyglądał na rozbawionego.

– Tańczę w haremie – powiedziałam z powagą, a potem roześmiałam się, widząc jego reakcję. – Nie, nie powiem ci, jaką mam rolę. Musisz przyjść i sam zobaczyć.

– Jak długo ta farsa będzie trwać?

– To nie farsa, lecz komedia muzyczna.

– Wiesz co mam na myśli. Farsa z polowaniem na ducha.

– Dopóki nie poznam prawdy.

– Mam nadzieję, że dobrze ci zapłaci.

– Też na to liczę – odparłam. – Ale kto wie, może ta praca przyniesie mi dodatkowe korzyści. Może wyrobię sobie nazwisko i zostanę wielką gwiazdą. Będziesz czekał na mnie przed teatrem i pił szampana z moich pantofli. Właśnie tak się zachowują wielbiciele aktorek i tancerek. Młodzi mężczyźni czekają po przedstawieniu z kwiatami, a potem zabierają dziewczyny na kolację.

– A po kolacji spodziewają się czegoś więcej, jak sądzę – zauważył Daniel. Położył mi ręce na ramionach i popatrzył głęboko w oczy. – Molly, nie mogę się doczekać, aż ten koszmar się skończy. Chcę wrócić do normalnego życia. Pragnę cię wspierać, żebyś nie musiała podejmować co chwila takiego ryzyka.

– I zabrała się do robótek ręcznych? – zapytałam.

Zaśmiał się.

– Nie liczę na to, że kiedykolwiek zajmiesz się robótkami. Ale po prostu martwię się o ciebie. – Wziął mnie w ramiona.

Nie protestowałam, tylko wtuliłam się w niego, czując na policzku szorstki materiał szalika. Ale myślami byłam gdzie indziej. Czy pewnego dnia rzeczywiście porzucę dotychczasowe życie? To prawda, że ciągle martwię się o pieniądze, często podejmuję ryzyko i narażam swoje zdrowie, a nawet więcej. Dlaczego kobiety muszą dokonywać takich wyborów? Albo ciekawe życie, albo mąż? Wydaje się, że Nellie Bly znalazła złoty środek – pomyślałam. Może mogłaby mi powiedzieć, jak to się robi...



– Nie mogę tak stać cały dzień. – Odsunęłam się od Daniela. – Mam tyle do zrobienia! Zupełnie nie wiem, w co ręce włożyć. I wiesz co? Albo nic się nie dzieje, albo dostaję kilka zleceń naraz.

Ledwie skończyłam to prorocze zdanie, a ktoś wsunął list pod drzwi. Zdziwiłam się, bo rzadko odbieram pocztę w domu. Listy adresowane do agencji przychodzą tylko na poste restante; nie mam wielu przyjaciół, od których mogłabym się spodziewać korespondencji. Z zaciekawieniem sięgnęłam po kopertę. Pismo było niezwykle staranne, a papeteria solidna i elegancka. Otworzyłam list, zerknęłam na podpis i bardzo się zdziwiłam.

– Och, to od panny Van Woekem.

– Czego, u licha, może od ciebie chcieć? – zdenerwował się Daniel. Zauważyłam, że ostatnio często używa bardzo potocznego języka.

– Powiem ci, jeśli dasz mi to sprawdzić – oznajmiłam i przeczytałam na głos, co następuje:

*Droga panno Murphy!*

*Muszę się z Tobą rozmówić w pilnej sprawie. Proszę, natychmiast się ze mną skontaktuj.*

Ostatnie zdanie było podkreślone grubą linią.

– Cóż... – powiedział Daniel, nie kończąc myśli. – O co jej chodzi?

Tu czytelnikowi należą się wyjaśnienia. Panna Van Woekem była wysoko urodzoną damą, stateczną i z dystansem do świata. Była również matką chrzestną Arabelli Norton, do niedawna narzeczonej Daniela.

– Może Arabella popadła w niełaskę i panna Van Woekem szuka nowej córki chrzestnej – zażartowałam, ale Daniel nawet się nie uśmiechnął.

– Wzywa mnie do siebie akurat teraz, gdy na nic nie mam czasu – zauważyłam. – Cóż, będę musiała tam pójść. Zawsze lubiłam starszą panią. Czuję, że coś się stało.

– Może powinienem ci towarzyszyć – zaproponował. – Chciałbym się na

coś przydać.

– Nie jestem pewna, Danielu – powiedziałam. – Może chodzi o coś, co będzie chciała utrzymać w tajemnicy przed światem, do którego i ty należysz.

– Należałem. To już przeszłość.

– Myślę, że lepiej będzie, jak pójdę sama. Nie wiem, czy to sprawa natury osobistej, czy zawodowej. Powiem ci, jeśli nie będę zobowiązana dochować tajemnicy.

– Jak sobie życzysz – odparł Daniel, udając obojętność.

Pogładziłam go po policzku.

– Głuptasie. Wiesz dobrze, że nie wzięłbyś mnie ze sobą, gdyby w tej chwili wezwano cię na służbę.

– Oczywiście, że nie. To nie byłoby stosowne.

– No właśnie. Jestem profesjonalnym detektywem, tak jak ty. I nie chcę być nieuprzejma, ale muszę się ubrać i ruszyć do miasta, bo inaczej nic dzisiaj nie załatwię.

Kiedy wyszedł, ogarnęło mnie poczucie winy. Daniel z trudem odnajdywał się w obecnej sytuacji. Czułam, że potrzebuje towarzystwa i pocieszenia, ale przecież któreś z nas musi pracować. Najwyraźniej padło na mnie – pomyślałam. Pobiegłam na górę, umyłam się i ubrałam, jednocześnie planując cały dzień. Do wieczornej próby było jeszcze sporo czasu.

Prawdopodobnie najpierw należałoby sprawdzić, jakich wrogów ma Blanche Lovejoy lub komu mogłoby zależeć na kłapie przedstawienia. Nie miałam pojęcia, jak się do tego zabrać, ale po chwili uprzytomniłam sobie, że przecież znam parę osób związanych z teatrem. Na samej górze tej listy jest Oona Sheehan. Oprócz niej warto zwrócić się do Ryana O'Hare, kontrowersyjnego i ekscentrycznego dramaturga. Kto jak kto, ale Ryan na pewno coś słyszał o duchu.

Zapisałam oba nazwiska w kajecie. Potem dopisałam kolejne zadanie na dziś: kupić puder. Oona z pewnością wskaże mi drogę do sklepu z kosmetykami – pomyślałam. Ale miałam też inne zmartwienie: los dziewczyny z Central Parku nie dawał mi spokoju. Bałam się, że biedaczka niedługo trafi do przytułku dla obłąkanych. W takim strasznym miejscu na pewno nie wróci do siebie. Doktor Birnbaum miał dać ogłoszenie do gazet,

a ja zobowiązałam się porozmawiać z Sabellą Goodwin, zatrudnioną w nowojorskiej policji. Prawdę mówiąc, oficjalnie pani Goodwin nie była detektywem, ale odgrywała taką rolę, gdy w konkretnym śledztwie niezbędny był udział kobiety.

Postanowiłam odwiedzić panią Goodwin w domu, nie w pracy, gdzie moja obecność mogła wzbudzić podejrzenia. Wyjęłam pióro, tusz i papeterię i na wypadek gdybym jej nie zastała, napisałam krótką wiadomość, którą zamierzałam zostawić w drzwiach. Pracowała o różnych dziwnych porach, często patrolowała ulice w środku nocy. Może właśnie wróciła ze zmiany. Przygotowałam się do wyjścia, a następnie różnym krokiem wyszłam z domu.

Pani Goodwin mieszkała w odległości krótkiego spaceru od Patchin Place, na Siódmej Wschodniej, w pobliżu Tompkins Square, w bardzo eleganckiej okolicy. Schody prowadzące do domów były wypolerowane na wysoki połysk, w parku nieopodal bawiły się w resztkach śniegu dobrze ubrane dzieci. Dom pani Goodwin zbudowano z solidnego kamienia, po obu stronach wejścia stały doniczki z drzewkiem laurowym. Zapukałam i po chwili za drzwiami rozległy się kroki. Mina mi jednak zrzędnęła, gdy zdenerwowany głos zawołał:

– Kto tam?!

– To ja, Molly. Molly Murphy.

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich Sabella Goodwin. Była w podobnym stanie jak ja zaledwie parę godzin temu: ciemne włosy, przyprószone siwizną, spływały jej luźno na ramiona; miała na sobie obszerny czerwony szlafrok, a na nogach kapcie.

– Molly, kochana – powiedziała na powitanie. – Zastałaś mnie w złym momencie. Dopiero co wróciłam po nocnym dyżurze i właśnie kładę się spać.

– Przepraszam. W takim razie przyjdę innym razem.

– Tak po prostu wpadłaś mnie odwiedzić czy to coś ważnego?

– Przyszłam prosić o pomoc – odparłam. – Ale mogę zostawić list z wiadomością, który na wszelki wypadek wzięłam ze sobą.

Pani Goodwin westchnęła.

– Skoro już tu jesteś, wejdź. Nie sądzę, by pół godziny coś zmieniło.

– Na pewno, Sabello? – zapytałam nieśmiało, ale ona tylko prychnęła i wciągnęła mnie do środka.

– A teraz powiedz, co takiego się stało – poprosiła, gdy tylko usiadłyśmy przy kominku. – Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku.

Pod ciężarem jej spojrzenia zrobiłam się bardzo mała.

– Dobrze, dziękuję – powiedziałam pospiesznie. – Przyszłam poradzić się w pewnej bardzo dziwnej sprawie – oznajmiłam i opowiedziałam ze szczegółami historię dziewczyny znalezionej w śniegu. – Wiem, że nie powinnam się tym tak przejmować – podsumowałam. – Ale bardzo chcę jej pomóc.

Pani Goodwin wciąż marszczyła brwi.

– Zrobię, co się da – obiecała. – Chociaż to może nie być takie proste, jak myślisz. Dziewczyny często uciekają z domu, i to z różnych powodów: mają kłopoty, kłócą się z rodzicami, marzą o życiu w wielkim mieście. Albo uciekają z młodym mężczyzną, który później okazuje się niewiele wart. Zdarza się, że wpadają w złe towarzystwo i kończą na ulicy. Trudno będzie odnaleźć jej rodzinę.

– Ta dziewczyna nie wyglądała na prostytutkę – zauważyłam. – Miała na sobie eleganckie, choć skromne ubranie.

– Nie wszystkie w tej branży wyglądają jak prostytutki – powiedziała pani Goodwin. – Te, które pracują w burdelach dla panów z wyższych sfer, ubierają się przyzwoicie. Zauważ jednak, moja droga, że jest pewien typ mężczyzn, który interesuje się dziewczycami. Niewinność i bezbronność ich pociąga. Wiemy, czy jest dziewczicą?

– Nie, nie zadałam lekarzom takiego pytania. Powiedziano mi tylko, że nie była ofiarą gwałtu.

– W takim razie sugerowałabym, żeby się tego dowiedzieć. Jeśli jest dziewczicą, prawdopodobnie niedawno uciekła z domu i nie dostała się jeszcze w ręce stręczycieli lub jakiejś burdelmamy.

– A wstrząs, jakiego doznała? – zapytałam. – Z jakiegoś powodu przestała mówić.

– Nie dowiemy się, dopóki nie odzyska mowy i sama nam nie powie, co się wydarzyło. Wydaje się, że ktoś pragnął się jej pozbyć. Mówisz, że napastnik

uderzył ją w głowę. Może chciał, by straciła przytomność i zamarzła w tym parku. Liczył na to, że nikt jej tam szybko nie znajdzie.

– To straszne. – Wzdrygnęłam się, niemal czując na skórze to okropne zimno, które panowało na zewnątrz.

– W tym mieście codziennie dzieją się straszne rzeczy – powiedziała pani Goodwin. – Jestem świadkiem niewiarygodnych zdarzeń. Są matki, które zabijają własne dzieci, mężczyźni, którzy biją żony albo mordują innych za butelkę alkoholu lub nowy płaszcz. Niestety, życie w Nowym Jorku bywa czasem bardzo tanie.

– Ale mogę na ciebie liczyć, prawda? – zapytałam. – Zajrzysz do kartoteki? Opis, który zrobiłam, jest chyba wystarczający.

– Tak, zrobię co w mojej mocy – powiedziała, mrużąc ze zmęczenia oczy. – Ale musisz zdawać sobie sprawę, że nie sposób zbawić całego świata. To nie twoja siostra. Nie masz zobowiązań.

– Mimo wszystko chciałabym spróbować – odparłam.

Wyszędłszy od pani Goodwin, zdecydowałam, że kolejną wizytę złożę Ryanowi O'Hare. Wynajmował pokoje w hotelu Lafayette, niedaleko Washington Square. Miałam nadzieję, że o tej stosunkowo młodej godzinie przebywa w domu. W recepcji usłyszałam, że pan O'Hare jest u siebie. Serce biło mi mocno, kiedy pukałam do drzwi. Z Ryanem nigdy nic nie wiadomo – pomyślałam. Może właśnie przyjmować gości. Na szczęście usłyszałam tylko suche „proszę”.

Otworzyłam drzwi i znalazłam się w ciemnym pokoju z zaciągniętymi zasłonami.

– Jeśli to ty, Jacques, bądź tak łaskaw i postaw kawę na stole – usłyszałam zaspany głos.

– Ryan, to ja, Molly – odparłam. – Przepraszam, że cię niepokoję, ale jest już po jedenastej.

– Molly? – Ryan natychmiast się rozbudził. – Co za cudowna niespodzianka! Rozsuń zasłony, najdroższa, żebym mógł cię podziwiać.

– Przestań się podlizywać, O'Hare. – Roześmiałam się, podchodząc do okna i wpuszczając światło do pokoju.

Ryan siedział na łóżku i wyglądał niezwykle malowniczo. Długie ciemne włosy w zmierzwionych kosmykach spływały mu na ramiona. Ubrany w elegancką nocną koszulę wyglądał naprawdę atrakcyjnie. Poklepał jedwabną czerwoną narzutę na łóżku.

– Siadaj i opowiadaj. Stęskniłem się za twoim towarzystwem.

– Z przyjemnością – powiedziałam, sadowiąc się obok niego. – Ostatnio jestem bardzo zajęta.

– To wina tego brutala, prawda? – zapytał Ryan. – Zabronił ci się ze mną widywać. Dostrzegłem to w jego oczach. Jestem na takie rzeczy bardzo wyczulony.

– Cóż, nie aprobeuje moich przyjaciół – oświadczyłam. – Ale nikt nie będzie mi dyktował, jak mam dobierać sobie towarzystwo.

– Cóż za odwaga, Molly! Jestem pod wrażeniem. Przecież on jest policjantem; silnym i dominującym.

– Czy wyglądam na zdominowaną? – zachichotałam.

– Więc przyszedłeś tutaj w jakimś konkretnym celu czy tylko dlatego, że się za mną stęskniłeś?

– Szczerze mówiąc, Ryane, przyszedłam zasięgnąć języka. Chodzi o pewne plotki – powiedziałam.

Oczy mu zabłyśły.

– Plotki. Jak cudownie! Gdyby tylko ten leniwy Jacques przyniósł śniadanie, a przede wszystkim kawę, niczego by mi już nie brakowało do szczęścia.

– Zacznę od siebie – oznajmiłam. – Otóż, drogi Ryane, mam nową pracę. Gram w najnowszej sztuce Blanche Lovejoy.

– W teatrze Casino? Kochanie, jakim cudem?

– Powiedzmy, że od panny Lovejoy dostałam pewne sekretne zadanie.

– Czy ma coś wspólnego z duchem?

– Skąd wiesz o duchu?

– Moja droga, trąbi o tym całe miasto. Mało kto się nie cieszy, że wreszcie napędzono Blanche stracha.

– To znaczy, że jej nie lubią?

– Nie to, że od razu nie lubią, ale zbyt długo zgrywała wielką damę. Na dodatek jest wyjątkowo pamiętliwa.

– Zatem ma wrogów?

– Każdy, kto odnosi sukcesy, ma wrogów.

– Wiesz, kto może jej źle życzyć?

Spoglądając przez okno na dwa gołębie, które spacerowały po szerokim gzymsie, Ryan zmarszczył brwi.

– Nie mam pojęcia – powiedział. – Włożyła w to przedstawienie własne oszczędności. Aktorki w tym wieku nie dostają już tak łatwo angażu. Po sukcesie *Florodory* na scenach Nowego Jorku królują szesnastolatki. Nikt z Blanche nie rywalizował o rolę, więc o żadnej osobistej zemście nie może być mowy.

– To może chodzi o teatr? Ktoś nie chce, by Casino odniosło sukces.

– Ależ Casino już dawno odniosło sukces! Ten ktoś powinien to zrobić lata temu. Teraz to najlepszy teatr w mieście.

– Znasz Roberta Barkera?

– Drogi Bobby jest nieprzytomnie zakochany w Blanche.

– Serio?

– Od zawsze. Jakiż miałby inny powód, by reżyserować jej sztuki i znosić humory? Ciągłe prosi ją o rękę, a ona wciąż odmawia. Przede wszystkim dlatego, że Bobby nie jest dostatecznie majątny. Poza tym Blanche trzeba zdominować, a Bobby tego nie potrafi.

– Może chce się zemścić za lata upokorzeń?

– Nic by w ten sposób nie zyskał. Gdyby się dowiedziała, że coś knuje, nigdy już by na niego nie spojrzała – powiedział Ryan i otworzył szerzej oczy. – Rozumiem, do czego zmierzasz. Myślisz, że to nie duch, ale zwykły śmiertelnik, który robi paskudne rzeczy, żeby się zemścić na Blanche?

– Otóż to. Problem w tym, że kiedy tam wczoraj byłam, niespodziewanie włączył się wentylator. Cały zespół przebywał na scenie, a obsługa techniczna kończyła budować scenografię. W pobliżu nie było tylko Barkera oraz

Desmonda Haynesa, choreografa.

– Desmond Haynes. – Ryan zmrużył oczy i się rozmarzył. – Jak on się miewa?

– To twój przyjaciel?

– Z dawnych lat. Powiesz mu, że Ryan za nim tęskni?

A więc to nie kwestia uczucia pomiędzy Desmondem a Blanche – pomyślałam. Dlaczego obserwował jej garderobę? Czemu szybko schował się w swoim pokoju, kiedy wyszłam na korytarz?

– Może mieć jakieś motywy?

– Drogie Desmond? Jest perfekcjonistą. Gdyby poczuł, że wykonanie nie spełnia jego oczekiwań... Nie, to wykluczone. Z pewnością zadbał o odpowiedni poziom. Nie pozwoliłby sobie na niedociągnięcia.

– Stara miłość nie rdzewieje? Konflikt sprzed lat?

– Miłość? O nie! Desmond jest czuły na inne wdzięki. Konflikt? Nie przypominam sobie. Ale bywa przewrażliwiony na swoim punkcie. Pamiętam, jak kiedyś na przyjęciu Blanche zabawiła się jego kosztem. Wszyscy pękali ze śmiechu, a Dessie kipiał ze złości. To było dawno, dawno temu. Niemożliwe, żeby ktoś tak długo chował urazę. Ja musiałbym w takiej sytuacji wyzwać połowę Nowego Jorku na pojedynek. – Ryan uśmiechnął się przebiegle. – Ależ by się działo! Nigdy się jeszcze z nikim nie biłem. Pomyśl tylko! Aksamitne bryczesy, biała chusteczka i strzelanie z pistoletów w porannej mgle. Oczywiście nie znoszę widoku krwi, więc prawdopodobnie nie dałbym rady.

Poklepałam narzutę, żeby przerwać te fantazje.

– Wróćmy do meritum, Ryane. Opowiedz mi o teatrze. Jak można dostać się do środka, kiedy wszystkie drzwi są zamknięte?

– Czasami, kiedy trzeba wnieść jakiś duży element scenografii, używa się tylnego wejścia, ale na ogół ono też jest zamknięte.

– To musi być sprawka kogoś z zespołu. Być może jakiś aktor czuje się pokrzywdzony...

– Wymień mi wszystkie nazwiska.



Wyliczyłam te, które pamiętałam, a Ryan stwierdził, że nikt nie budzi jego podejrzeń, z wyjątkiem Hirama Hunnycutta, który gra rolę milionera. Podobno często wykłóca się o gażę i żąda zysku ze sprzedanych biletów. Czy chce w ten sposób zademonstrować swoje niezadowolenie? Przypomniałam sobie jeszcze pokojówkę Colette, która narzekała na zbyt małą rolę. Ale przecież nawet niewielka rola w słynnym teatrze bardzo się liczy. Nikt nie powinien narzekać i sabotować czegoś, co ma być wydarzeniem sezonu.

Lokaj przyniósł śniadanie, a ja przyjąłam zaproszenie na kawę. Ryan miał ochotę na kolejną porcję plotek i chciał mi również opowiedzieć o sztuce, którą aktualnie pisze. Opowiada ona o dzielnym partyzancie – bojowniku o wolność w Ameryce Południowej. Ryan prowadził korespondencję z prawdziwym partyzantem z Boliwii i nie mógł się doczekać, by poznać go osobiście.

– Czuję, że jest wspaniały – powiedział. – Prawdziwy mężczyzna. Szorstki, ale sądząc po zdjęciu, ma niezły gust, jeśli chodzi o stroje.

Musiałam się zaśmiać.

– Ryane, jesteś niemożliwy. Czy widzisz siebie w Boliwii? Założę się, że nie mają bieżącej wody oraz innych wygód, zwłaszcza tam, gdzie mieszkają partyzanci.

– Och, jestem pewien, że to bardzo cywilizowani partyzanci – odparł. – A jacy romantyczni! Nawet nie ma co ich porównywać z gangsterami w Nowym Jorku. Słyszałaś o Sycylijszykach? Podobno nie mają litości – powiedział Ryan z taką fascynacją w głosie, jakby marzył o tym, żeby ktoś go uprowadził.

Podniosłam się z wygodnego siedzenia.

– Chciałabym zostać i jeszcze pogawędzić, ale mam dużo do zrobienia przed próbą.

– Więc naprawdę bierzesz udział w przedstawieniu? Powiedz przynajmniej, jaką rolę grasz.

– Nie mogę. Musisz przyjść na premierę i przekonać się na własne oczy.

– Nie dostanę biletów. Są już dawno wyprzedane.

– Blanche jest aż tak popularna?

- Nie o to chodzi, kochanie. Wszyscy chcą zobaczyć ducha. To oczywiste.
- Roześmiał się i zaczął obierać jajko ze skorupki.

Wyszłam od Ryana z ciepłym uczuciem, które pojawiało się zawsze, ilekroć spędzałam z nim czas. Na Broadwayu złapałam tramwaj i udałam się na północ, do apartamentu Oony Sheehan w Hoffman House. Panna Sheehan była w domu i zgodziła się mnie przyjąć. Mam dziś szczęście – pomyślałam. Wszystko idzie jak z płatka. Wskoczyłam do windy, ale tym razem nie natknęłam się na Boską Sarę.

Zastałam Oonę w gorączce przygotowań do spektaklu. Co chwila pokrzykiwała na francuską pokojówkę.

– Yvette, gdzie jest moja mufka? Nie chcę odmrozić sobie rąk! A ten nowy krem? Kupiłam cały słoik. Przynieś go tu natychmiast.

Na mój widok przerwała i uśmiechnęła się szeroko.

– Molly. Jak miło cię widzieć! Blanche powiedziała mi, że zgodziła się jej pomóc. Nawet nie wiesz, jak jest mi wdzięczna. Spotkałyście się już? Widziałaś ducha?

– Jeszcze nie, ale byłam świadkiem dziwnego zdarzenia. Chyba coś jest na rzeczy.

Opowiedziałam Oonie o wypadku z wentylatorem. Była zachwycona.

– Historia mroząca krew w żyłach! Zatem to miejsce jest naprawdę nawiedzone. Biedna Blanche. Tak bardzo liczyła na sukces. Założę się, że teraz wolałaby grać gdzieś przy Piątej Alei, w miejscu mniej prestiżowym, ale na pewno bezpiecznym.

Weszła Yvette z mufką i słoikiem kremu.

– Czy coś jeszcze, madame?

– Obawiam się, że nie mogę zaoferować ci kawy, Molly. Mam dziś spektakl po południu i w związku z tym zawrót głowy. Czy przychodzisz w konkretnej sprawie?

– Chciałam cię tylko podpytać o ludzi, których zatrudnia Blanche. Zastanawiam się, czy jest tam ktoś, kto ma złe intencje.

– I dlatego udaje, że jest duchem? To masz na myśli?

– Tak. Nie jestem pewna, czy wierzę w duchy, dlatego w pierwszej kolejności przyglądam się ludziom.

– Poczekaj. Niechże pomyślę. Jest Aubrey, oczywiście; kochane dziecko. Nie skrzywdziłby nawet muchy. Hiram... Może ma swoje za uszami, ale to straszny tchórz. Nie zrobiłby żadnego głupstwa.

– A pan Barker?

– Bobby? On uwielbia Blanche, moja droga. Całuje ziemię, po której ona stąpa. Rzuci się z pięściami na każdego ducha, który im stanie na drodze.

– Desmond Haynes?

Oona na chwilę zamilkła.

– Wydaje mi się, że coś ich w pewnym momencie łączyło. Przelotny romans. Wiesz, w teatrze szybko ulega się namiętnościom, ale uczucie równie szybko mija. Nie wiem, dlaczego się rozstali i czy on coś jeszcze do niej czuje. Dawno niczego nie stworzył. To przedstawienie to jego szansa.

Spojrzała na słoik.

– Prosiłam o tłusty krem, Yvette, a nie nawilżający.

Yvette prawie wyrwała jej krem z ręki i wybiegła z sypialni.

– Och, ta dziewczyna jest niemożliwa! Chyba nigdy nie nauczy się angielskiego – oznajmiła głośno Oona, zupełnie bez skrępowania.

– Jeszcze jedno – powiedziałam, choć właściwie miałam na myśli dwie rzeczy. – Chodzi o makijaż. Na dzisiejszą próbę potrzebne mi są kosmetyki. Czy jest jakiś sklep, w którym kupuje się pudry i szminki?

– Kochanie, mam tego mnóstwo. Czego dokładnie potrzebujesz? Yvette pokaże ci moją toaletkę. Możesz sobie wybrać, co chcesz.

– Przecież ty też idziesz dziś do teatru.

– Wszystko tam mam. W domu trzymam zapasowy zestaw, na wszelki wypadek.

– Cóż, jeśli nie masz nic przeciwko...

Blanche sięgnęła po dzwonek.

– Yvette, *mon amour*. Zaprowadź mademoiselle do mojej toaletki... Idź za

nią, moja droga, Yvette o ciebie zadba – rzuciła w moją stronę i odwróciła się na pięcie.

– Jeszcze chciałam zapytać o ten czek, który miałaś mi wysłać – powiedziałam nieśmiało, ale ona z wdziękiem machnęła ręką.

– Nie teraz, kochanie. Muszę już lecieć. – Cmoknęła mnie w policzek i zniknęła, pozostawiając za sobą zapach drogich perfum.

Yvette zabrała mnie do sypialni Oony, gdzie mogłam dokładnie przyjrzeć się zawartości toaletki z różnymi kosmetykami. Choć bardzo mnie kusilo, by poczęstować się wszystkim, na co miałam ochotę, wzięłam jedynie to, co zasugerowała Elise, czyli bazę w kremie, róż i czerwoną szminkę do ust. W drodze do domu zatrzymałam się w aptece i kupiłam puder, krem i rolkę waty. Brakowało mi tylko czegoś do malowania oczu. Co z tego? – pomyślałam. Przecież będę nosić okulary.

W aptece kupiłam również butelkę wzmacniającego syropu doktora Claybourne'a. Sama go nie próbowałam, bo nie dopadła mnie jeszcze nigdy poważna niedyspozycja, ale sądząc po opisie na butelce, preparat ten potrafił postawić na nogi nawet największych słabeuszy. Postanowiłam jeszcze przed wieczorną próbą zanieść lekarstwo dziewczynie, którą znaleźliśmy w parku. Najpierw jednak musiałam udać się z wizytą do panny Van Woekem.

Była pora lunchu, ale nie zdążyłabym teraz ze wszystkim, gdybym wróciła do domu na obiad. Zapłaciłam całe pięć centów za miskę zupy z przegrzebkami i bułkę. Stałam przy wysokim kontuarze i zjadłam. Przegrzebki były dla mnie nowością; w Irlandii nigdy ich nie próbowałam. Miałam nadzieję, że nie będę po nich zaraz głodna, bo na kolejny posiłek mogłam liczyć dopiero wieczorem.

Posiliwszy się, wyruszyłam do panny Van Woekem. Nobliwa starsza pani mieszkała pod jednym z najbardziej eleganckich adresów w mieście – przy Gramercy Park. Piękny plac zawsze przypominał mi o Dublinie i jego architekturze, ale wspomnienia związane z tym miastem były bardzo bolesne, więc postanowiłam skierować myśli na inne tory. Ogród na środku placu wciąż był przykryty śniegiem, prawdopodobnie dlatego, że tylko mieszkańcy okolicznych domów mieli klucz do furki i w związku z tym do środka wchodziło niewiele osób. Roztaczał się przede mną widok niczym na pięknej kartce bożonarodzeniowej – okna w domach z czerwonej cegły migotały w zachodzącym słońcu.

Weszłam po schodach od południowej strony placu i zadzwoniłam do drzwi.

Służąca, która nigdy nie darzyła mnie sympatią, uśmiechnęła się szeroko na mój widok.

– Pani czeka i bardzo się ucieszy, że panienka przyszła. Jest zdruzgotana.

Zdziwiłam się, bo panna Van Woekem była damą starej daty, wychowaną w przekonaniu, że emocje trzeba zawsze trzymać na wodzy.

W salonie, zwykle jasnym, z oknami wychodzącymi na park, dziś kotary były zaciągnięte i ledwo dostrzegłam znajomą wyprostowaną sylwetkę. Starsza pani siedziała nieruchomo w wysokim fotelu, z szalem na kolanach. Oczy miała zamknięte i wyglądała jak kamienny posąg.

– Panna Murphy do pani – poinformowała pokojówka, a panna Van Woekem natychmiast otworzyła oczy.

– Panno Murphy, jak to miło, że tak szybko przyszłaś. Nawet nie wiesz, jak jestem ci wdzięczna. Siadaj. Matilda przyniesie nam kawy. A może wolisz herbatę, panno Murphy?

– Z przyjemnością napiję się kawy – powiedziałam. – Przyszłam najszybciej, jak to było możliwe. Domyśliłam się, że sprawa jest pilna. Znamy się nie od dziś i wiem, że nie jest pani osobą, która lubi przesadzać.

– To prawda. Mam sprawę niecierpiącą zwłoki – odparła.

– Czy dobrze się pani czuje? Niepokoją mnie te zamknięte oczy.

– Światło mi przeszkadza – stwierdziła. – Powiedz, czy już się zaręczyłaś z tym draniem Sullivanem?

Panna Van Woekem była matką chrzestną Arabelli i nagle przyszło mi do głowy, że była narzeczona Daniela postanowiła go odzyskać.

– Jak możemy cokolwiek planować, skoro na Danielu nadal ciąży zarzuty? – spytałam. – Niektóre oskarżenia zostały oddalone, ale komendant nie chce go przyjąć z powrotem do pracy.

– Przypuszczam, że nie jest ci łatwo – zauważyła. – Więc czym się teraz zajmuje kapitan Sullivan?

– Dość często mnie nachodzi – odparłam, a panna Van Woekem

uśmiechnęła się pod nosem. – Szczerze mówiąc, przyjął go do pracy w mojej agencji. Nie jest dobrze, kiedy człowiek ma za dużo wolnego czasu.

– Masz całkowitą rację – powiedziała. – Doświadczam tego na własnej skórze. Nie miałam pojęcia, że z tego powodu można znaleźć się w głębokiej depresji.

Zdziwiłam się, bo mówienie o słabościach nigdy nie było w jej stylu. Przyznam, że bardzo mnie to zmartwiło.

– Chyba jednak nie zaprosiła mnie tu pani, by omawiać nasze życie – zauważyłam.

– To prawda. Daniel Sullivan nie zaprzęta moich myśli, ale mam nadzieję, że się nim zaopiekujesz i sprawisz, że trochę się pozbiera. Zapytałam o niego, bo myślałam, że może mógłby nam pomóc w pewnej delikatnej sprawie.

– Pomóc nam?

– Tobie i mnie, panno Murphy. Chciałabym wynająć cię jako detektywa.

– Miło mi, ale obawiam się, że teraz jestem zbyt zajęta, by wziąć nowe zlecenie – powiedziałam. – Chyba że mogłaby pani trochę poczekać.

– Wykluczone. Skoro ty nie dasz rady, może Sullivan mógłby samodzielnie zająć się tą sprawą.

– A o co konkretnie chodzi? – spytałam.

Pochyliła się w moją stronę.

– Mój siostrzeniec jest w tarapatkach, panno Murphy. Chcę, żebyś go z nich wyciągnęła.

– Pani siostrzeniec? A co takiego zrobił?

– Prasa się o tym rozpisywała – oznajmiła. – Chodzi o te okropne wydarzenia w Connecticut.

– Obawiam się, że nic nie wiem – odparłam. – Rzadko kupuję gazety.

– Chyba jesteś wyjątkiem w Nowym Jorku. Podejrzewam, że wszyscy moi znajomi i sąsiedzi rozkoszowali się tymi plotkami. Biorąc pod uwagę, z jakiej rodziny wywodzi się ten chłopak...

– Proszę opowiedzieć wszystko od początku.

– Z tego, co wiem, w ostatnim czasie na Wschodnim Wybrzeżu doszło do brutalnych napadów rabunkowych. W Bridgeport obrabowano bank, w Greenwich uzbrojony mężczyzna zaatakował furgonetkę z pieniędzmi, a w zeszłym tygodniu z banku w New Haven ktoś wyniósł złoto i zastrzelił strażnika. Tej samej nocy miał miejsce napad na posiadłość państwa Silvertonów między New Haven i Bridgeport. Zginął lokaj; najpierw został postrzelony, potem dobity w okrutny sposób.

– Słyszałam o tym – powiedziałam, przypominając sobie rozmowę z policjantem w Central Parku. – Ale na pewno policja nie myśli...

– W tym problem. Otóż tak właśnie myśli – przerwała mi natychmiast panna Van Woekem. – Mój siostrzeniec John Jacob Halsted jest obecnie studentem Uniwersytetu Yale, który, jak wiesz, ma siedzibę w New Haven. Nie powiem, że chłopak zachowuje się wzorowo. Rodzice nie wychowali go dobrze, wręcz rozpuścili, spełniając każdą jego zachciankę. Jest jedynym dzieckiem mojej najmłodszej siostry. Przyszedł na świat, kiedy była już w latach. Zauważyłam, że późne rodzicielstwo zawsze źle się odbija na dzieciach. Nie powiedziałabym jednak, że jest okrutny, raczej zepsuty i słaby.

– Dlaczego więc policja uważa, że coś go łączy z tymi rabunkami? Czy ma na to dowody?

Panna Van Woekem westchnęła.

– Niestety, ma. Rodzice kupili mu stylowy samochód. Uważam to za niepotrzebną ekstrawagancję. Rankiem policja znalazła auto na drzewie, tuż przy głównej drodze między Nowym Jorkiem a Connecticut. Mój siostrzeniec przyjaźnił się z Harrym Silvertonem, synem właściciela domu, który tamtej nocy został obrabowany. Ktoś widział, jak przed północą samochód Johna Jacoba opuszcza teren posiadłości. Dopiero następnego dnia rano odkryto, że zniknęły cenne przedmioty, a lokaj leży na podłodze w kałuży krwi i z kulą w sercu.

– To wcale nie dowód, że pani siostrzeniec popełnił te zbrodnie.

– Niestety – powiedziała – jest coś jeszcze. Pod siedzeniem w samochodzie policja znalazła srebrną sosjerkę Silvertonów. Po Johnie Jacobie nie było ani śladu. Reszta łupu też gdzieś przepadła.

– Więc uznali, że uciekł?



– Od czterech dni go szukają. Jego zdjęcie znalazło się na pierwszych stronach wszystkich lokalnych gazet. Możliwe, że ucierpiał podczas wypadku. W aucie była krew. Może jakaś dobra dusza się nim zajęła, nie zdając sobie sprawy, że jest poszukiwany listem gończym. Niewykluczone, że będąc w szoku, powędrował w stronę bagien i zmarł. Noc była chłodna, a okolica wyludniona. – Panna Van Woekem znów westchnęła. – Nie mam pojęcia, dlaczego jechał w kierunku Nowego Jorku. Chyba że chciał zrobić niespodziankę rodzicom, którzy mieszkają tuż przy Piątej Alei, w pobliżu parku.

Pokojówka wniosła kawę.

– Matildo, rozsuń trochę zasłony – poprosiła panna Van Woekem. – Nie chcę, żebyś rozlała kawę na dywan.

Pokojówka bez słowa spełniła życzenie starszej pani, a potem nalała nam kawę do filiżanek. Siedzieliśmy w milczeniu. Nie byłam przygotowana na widok, jaki teraz ujrzałam. Panna Van Woekem miała mocno zaczerwienione oczy; prawdopodobnie wcześniej płakała. Oczywiście udawałam, że tego nie widzę, i dopóki Matilda nie wyszła, spokojnie sączyłam kawę. Wreszcie starsza pani odstawiła filiżankę i popatrzyła mi prosto w oczy.

– To mnie doprowadza do szaleństwa, panno Murphy. Muszę poznać prawdę. Jestem starą kobietą, moja droga. Być może długo nie pożyję, a nie mogę umrzeć w atmosferze takiego skandalu. Nie zniosę upokorzenia. Pragnę w spokoju odejść z tego świata. Zrozumiem, jeśli chłopak wpadł w złe towarzystwo, ale nie chce mi się wierzyć, że byłby zdolny do kradzieży i rozboju. To do niego nie pasuje.

– Mówiła pani, że jest słaby. Może ktoś miał na niego zły wpływ?

– Jesteśmy jedną z najstarszych rodzin w Nowym Jorku, panno Murphy. Przybyliśmy tutaj jeszcze w czasach, kiedy miasto nazywało się Nowy Amsterdam. Wierzę, że pochodzenie i wychowanie nie pozwoliłyby mu postępować w taki sposób.

Patrzyła na mnie błagalnym wzrokiem.

– Nie chcesz mi pomóc? Imponuje mi twoja zaradność i spryt. Jeśli ktoś potrafi dociec prawdy, to tylko ty, moja droga.

– Pochlebia mi pani – powiedziałam – ale większość zagadek rozwiązałam

jedynie dlatego, że los się do mnie uśmiechnął.

– Tego właśnie potrzebuję – stwierdziła. – Irlandczyk zawsze ma szczęście... Tak właśnie się mówi, prawda?

Staralam się być uprzejma i odpowiednio dobierać słowa.

– Panno Van Woekem, chciałabym pomóc, ale to wymagałoby podróży do New Haven, na którą nie mogę sobie pozwolić, bo jestem bardzo zajęta. Codziennie wieczorem pracuję w teatrze, ponadto mam jeszcze inne zobowiązania.

– A kapitan Sullivan? Bądź tak dobra i spróbuj go namówić. Nie jestem biedna, panno Murphy. Postaram się wam to odpowiednio wynagrodzić. Znajdźcie mojego siostrzeńca, oczyśćcie go z zarzutów, a potem pomyślcie o sobie. – Pochyliła się w fotelu. – Chyba myślisz o zamążpójściu? Chcesz poślubić kapitana?

– Nie jestem do końca pewna, co sądzić o zamążpójściu – powiedziałam. – Prawdę mówiąc, nie wyobrażam sobie, bym przez resztę życia musiała się do kogoś dostosowywać. Wydaje mi się, że kobiety, wychodząc za mąż, rezygnują z siebie i swojej wolności.

– Wspaniale to ujęłaś, panno Murphy. – Klasnęła w dłonie i uśmiechnęła się szeroko. – Wiedziałaś, że wiele nas łączy. Miałam kilku adoratorów. Nigdy nie byłam piękna, ale też nie szpetna, a trzeba pamiętać, że mogłam liczyć na spory posag. Problem w tym, że wszyscy absztyfikanci chcieli mnie zamknąć w złotej klatce; chronić i doradzać, jakbym była ich dzieckiem, a nie żoną. Nie spotkałam mężczyzny, który traktowałby mnie po partnersku, więc nigdy nie wyszłam za mąż.

– Czasami brakuje mi poczucia bezpieczeństwa – wyznałam. – Nie mam oszczędności, a trudno jest żyć z dnia na dzień. Chyba Kocham Daniela, ale on ma tak strasznie staromodne podejście do małżeństwa. Jeśli kiedykolwiek weźmiemy ślub, zabroni mi pracować. A ja nie zamierzam siedzieć w domu i umierać z nudów.

– Całe szczęście w takim razie, że nie musisz decydować już teraz – powiedziała, patrząc mi prosto w oczy. Przyszło mi do głowy, że może jakimś cudem wie, co przeżyłam kilka miesięcy wcześniej. – Może z twoją pomocą uda się kapitanowi dowieść niewinności mojego siostrzeńca i wtedy zrozumie, jak nierozsądnie i egoistycznie byłoby zamknąć cię w domu, moja

droga. – Wyciągnęła rękę i złapała moją dłoń długimi, kościstymi palcami. –  
Pomożesz mi, prawda? Sprowadzisz go tutaj? Nie opuścisz mnie w potrzebie?

Poczułam się jak w objęciach kostuchy.

Przystanęłam obok parku, z fotografią Johna Jacoba Halsteda w jednej ręce i z pięćdziesięcioma dolarami w drugiej. Panna Van Woekem naciskała, że pokryje wszystkie wydatki. Nie miałam wyjścia, musiałam przyjąć jej ofertę. Staralam się głęboko oddychać i uspokoić galopujące myśli. Dlaczego obiecałam, że pomożemy? Przecież na nic nie mam teraz czasu! Nie mogę jeździć w tę i z powrotem do Connecticut; nie powinnam też prosić o to Daniela, bo jest zajęty sprawą pana Rotha. Możemy wprawdzie zakończyć śledztwo i przekazać Mendelbaumom, że ich przyszyły zięć jest tym, za kogo się podaje. Ale jeśli o czymś zapomniałam lub coś pominęłam? Moją pracę cechuje profesjonalizm, a nie bylejąkość. Panna Mendelbaumówna powinna dobrze wyjść za mąż.

Miałam nadzieję, że Daniel zdążył przyjrzeć się interesom i finansom pana Rotha i zdołam jeszcze dziś zrelacjonować stan rzeczy moim zleceniodawcom. Postanowiłam odwiedzić go w domu i omówić sprawę panny Van Woekem. Tramwaj konny na Dwudziestą Trzecią, gdzie mieszkał Daniel, włókł się niemiłosiernie, ale przynajmniej oszczędziłam nogi, które miały mi się później bardzo przydać w teatrze.

Ku mojemu zdziwieniu Daniela nie było w domu. Zostawiłam mu długą wiadomość, opisując wszystko, co powiedziała starsza pani, i sugerując, żeby zadzwonił do niej rano i zaproponował swoje usługi. W tej sytuacji miałam czas, by jeszcze przed próbą odwiedzić dziewczynę w szpitalu.

Nogi zaczęły mi się plątać, kiedy szłam wzdłuż Central Parku. Śnieg w tej okolicy nie został całkowicie odgarnięty i trudno było się nie ślizgać na oblodzonej powierzchni. Kiedy wchodziłam po szpitalnych schodach, poczułam jeszcze większą słabość. Pewnie dlatego, że bałam się, co zastanę na górze. Mimo wszystko miałam nadzieję zobaczyć pacjentkę w lepszym stanie i spotkać się z doktorem Birnbaumem. Dotarłam na oddział i znalazłam tam sympatyczną młodą pielęgniarkę, która właśnie ścieliła łóżko. Po dziewczynie nie było ani śladu.

– Co się stało z pacjentką? – zapytałam z bijącym sercem. – Z tą, która nie potrafiła mówić.

– Nie mam pojęcia, panienko – odparła siostra, nie podnosząc na mnie wzroku. – Powiedziano mi, że mam zmienić pościel, i właśnie to robię.

– Nie ma jej – usłyszałam jakiś głos z sali. Rozejrzałam się i zobaczyłam starszą kobietę, która wbiła we mnie wzrok. – Przyszli i zabrali.

– Kto? Rodzina?

– Jacyś mężczyźni – odparła staruszka. – W mundurach. Wynieśli ją na noszach. Zawsze tak robią, jeśli nie masz pieniędzy. Zabierają cię ze szpitala.

– Jestem pewna, że przeniesiono ją w inne miejsce – wtrąciła pielęgniarka.  
– Nie zostawiamy ludzi na lodzie. To jest dwudziesty wiek. Mogę się dowiedzieć, dokąd...

– Jak dawno to było? – zapytałam staruszkę, nieświadomie podnosząc głos.

– Nie tak dawno.

Nie czekałam dłużej. Wybiegłam z sali, stukając obcasami po szpitalnej posadzce. Pędziłam w dół schodami na złamanie karku. Słyszałam za sobą wołanie, ale nie zwracałam na nie uwagi. Wypadłam na ulicę i rozejrzałam się dookoła. Życie toczyło się dalej jak gdyby nigdy nic. Wróciłam do środka i złapałam za rękę zaskoczoną pielęgniarkę.

– Czy jest tu tylko jedno wejście? Gdzie stają karetki?

– Na tyłach izby przyjęć.

Znów zerwałam się do biegu. Szpital był labiryntem korytarzy i poczułam się jak w koszmarnym śnie, kiedy człowiek próbuje uciec przed niebezpieczeństwem, ale nie jest w stanie. Nagle zobaczyłam dwóch ludzi z noszami.

– Stać! – krzyknęłam. – Poczekajcie!

Przyspieszyłam, żeby dogonić sanitariuszy, ale okazało się, że niosą mężczyznę z głęboką raną w głowie. Miał zamknięte oczy i cicho jęczał z bólu.

– Przepraszam – bąknęłam. – Szukam kogoś innego. Dziewczyny. Nie widział ktoś dziewczyny na noszach?

Zignorowali mnie. Znalazłam izbę przyjęć i wyszłam przez podwójne drzwi na zewnątrz, na ciemny dziedziniec, zupełnie różny od eleganckiej okolicy. Stała tam furgonetka konna bez okien, podobna do tych, których używa się w policji. Tuż obok zauważyłam pusty wózek inwalidzki. Jakiś mężczyzna właśnie wsiadał na miejsce woźnicy.

- Stać! – krzyknęłam. – Ma pan w wozie młodą kobietę?
- Owszem.
- I gdzie ją pan zabiera?
- Na Ward’s Island, panienko.
- Ward’s Island?
- Do szpitala, w którym będą się mogli odpowiednio nią zająć.
- Na litość boską! To szpital wariatów, prawda?
- Zgadza się, panienko.
- Dzięki Bogu, że zdążyłam – wysapałam. – Jestem jej siostrą. Dopiero co się dowiedziałam, gdzie przebywa, i chcę ją zabrać do domu.

Mężczyzna wyraźnie się zasepił.

- No nie wiem, panienko. Dostałem inne polecenie.
- Wysłali ją na Ward’s Island, ponieważ nie mogli zlokalizować rodziny – zauważyłam. – Ale jestem tu. Przyjechałam po nią.
- Nie wiem, panienko. – Mężczyzna podrapał się w głowę i popatrzył niepewnie na kolegę, który już trzymał lejce w dłoniach.
- Musi mi pan pozwolić ją zabrać – błagałam. – Jej miejsce jest w domu, z rodziną. Wcale nie zwariowała. Jedyne straciła mowę, ale wiem, że wróci do siebie, jeśli się nią troskliwie zajmiemy.

Wpatrywał się we mnie, przekrzywiwszy na bok głowę.

- Dostałem inne polecenie – powtórzył.
- Proszę pozwolić mi ją zobaczyć. Wiem, że mnie rozpozna.
- Skoro panienka nalega...

Przeszedł na tył furgonetki i otworzył drzwi. Biedaczka siedziała związana jak kura na targu. Popatrzyła na mnie przerażonym wzrokiem. Weszłam do środka i stanęłam nad nią.

- To ona – powiedziałam z nadzieją, że brzmię przekonująco. – Nasza kochana Mary. A już myśleliśmy, że nie żyje!

Położyłam rękę na wąłym ramieniu.

– Już dobrze, moje dziecko. Przyszłam zabrać cię do domu.

Nie pytając nikogo o zgodę, zaczęłam ją rozwiązywać. Oswobodzona, przyłgnęła do mnie natychmiast, cicho pojękując jak małe zwierzątko. To były pierwsze dźwięki, jakie usłyszałam z jej ust.

– Hej, ty tam, dosyć tego! – Konwojent wszedł za mną do furgonetki. – Nie masz prawa... – Szarpnął mnie za ramię.

– Proszę popatrzeć. Ona mnie rozpoznaje – powiedziałam. – Błagam, pozwólcie mi ją zabrać do domu. Gdyby to była pańska siostra, chybaby pan nie chciał, żeby trafiła do takiego miejsca jak Ward's Island, prawda? Nie kiedy w domu czeka rodzina, by się nią zająć.

– Nie chciałbym, panienko – zgodził się ze mną mężczyzna.

Otworzyłam torebkę, wyciągnęłam notatnik i wyrwałam z niego kartkę.

– Proszę posłuchać. Napiszę informację, w której będzie czarno na białym, że rodzina zdążyła na czas i zabrała Mary do domu. Przecież tylko o to chodzi. Szpital nie chce mieć problemów z pacjentami, o których nic nie wiadomo.

Zaczęłam pisać, co nie było łatwe, bo dziewczyna kurczowo trzymała mnie za ramię. Kiedy skończyłam, sięgnęłam do torebki po pieniądze.

– Za fatygę. – Wręczyłam mu kartkę i dolara.

Zerknął na banknot, a potem na mnie. Widziałam, jak w głowie kłębią mu się różne myśli. Co będzie, jeśli ktoś odkryje, że przyjął łapówkę?

Ja w tym czasie ostatecznie oswobodziłam dziewczynę. Próbowwała stanąć na nogi, ale była zbyt słaba. Miała bose stopy, a na sobie jedynie flanelową koszulę nocną, więc wzięłam z furgonetki koc i owinęłam go wokół jej ramion.

– Pomoże mi pan? – zapytałam. – Posadźmy ją na wózku. Odstawię go na miejsce, jak tylko znajdę jakiś powóz.

Zrobił to, o co poprosiłam. Pchając wózek przed sobą, szybko odeszłam. Bałam się, że zmieni zdanie. Zatrzymałam powóz i wspólnie z woźnicą wsadziliśmy biedaczkę do środka. Chwyła mnie mocno za rękę, gdy ruszyliśmy z kopyta.

– Co ja najlepszego zrobiłam? – powiedziałam na głos sama do siebie.

Woznica okazał się dobrym człowiekiem i pomógł mi wnieść dziewczynę do salonu. Kiedy posadziłam ją w fotelu, ogarnęły mnie wątpliwości. Nie miałam pojęcia, co dalej robić. Za chwilę powinnam być już w teatrze, a nie mogłam przecież ryzykować i zostawić jej samej w domu. Wpatrywała się we mnie z przerażeniem.

– Wszystko będzie dobrze – powtarzałam, głaszcząc ją po włosach. – Nic ci nie grozi. Zaraz zrobię nam herbaty.

Kiedy tylko postawiłam czajnik na kuchence, pobiegłam na drugą stronę ulicy i zadzwoniłam do drzwi Sid i Gus, modląc się, żeby przyjaciółki były w domu.

– Molly, moja kochana... Mamy właśnie lekcję japońskiego – oznajmiła Gus na wstępie. – Potrafię już powiedzieć: „Czy lubisz kwiaty?”. Takie zdanie bardzo mi się przyda, kiedy pojedziemy do Kraju Kwitnącej Wiśni.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale rozpaczliwie potrzebuję waszej pomocy – powiedziałam i spróbowałam wyjaśnić, o co konkretnie chodzi, ale ze zdenerwowania mówiłam bardzo chaotycznie.

– Chwileczkę. – Sid uniosła dłoń. – Uspokój się, Molly. Nic z tego nie rozumiem. Chcesz nam powiedzieć, że kogoś uprowadziłaś?

– Tę dziewczynę – odparłam. – Tę, którą znaleźliśmy z Danielem w parku. Wciąż nic nie mówi, a lekarze chcieli ją umieścić w szpitalu wariatów. Co miałam zrobić? Podałam się za jej siostrę i przywiozłam do domu. Muszę biec do teatru, a nie mogę jej przecież samej zostawić. Proszę, zajmijcie się nią, dopóki nie wrócę.

Sid popatrzyła na Gus i głośno westchnęła.

– W towarzystwie naszej Molly człowiek nigdy się nie nudzi, prawda, moja droga?

– Tak mi przykro. Wiem, że postąpiłam nierozważnie, ale nie mogłam pozwolić, żeby ta biedna dziewczyna trafiła na Ward's Island. Słyszałam, że to okropne miejsce.

– Oczywiście. Słusznie postąpiłaś – pochwaliła mnie Sid. – Ale co teraz zamierzasz? A jeśli ona nigdy nie odzyska sił? Albo okaże się agresywną wariatką? Skąd ta pewność, że potrafisz ją wyleczyć?

– Doktor Birnbaum mi pomoże. Obiecał. Sprawি, że odzyska mowę



i zdrowie psychiczne. Wiem to – powiedziałam, starając się zagłuszyć własne wątpliwości. – Otoczona miłością i odpowiednio nakarmiona, z pewnością wróci do siebie.

– Miejmy nadzieję – oświadczyła Sid. – Wiesz, że możesz na nas liczyć. Będzie trudno, ale przecież lubimy wyzwania.

Uśmiechnęła się, dodając mi otuchy. W tej samej chwili usłyszałam, że zegar na wieży kościelnej wybija czwartą.

– Problem w tym, że bardzo się spieszę – powiedziałam. – Niedługo powinnam być na scenie. Nie mogę spóźnić się do teatru.

– Na scenie? Do teatru? – zdziwiły się moje przyjaciółki.

– Nie zdążę wam teraz wyjaśnić. To zbyt skomplikowane. Powiem tylko, że chodzi o nowe zlecenie. Skoro zgodziliście się pomóc, pozwólcie, że zaprowadzę was do siebie i przedstawię dziewczynie. Nie znam jej imienia, ale nazwałam ją Mary, bo jakoś muszę się do niej zwracać.

Wprowadziłam Sid i Gus do salonu. Nieznajoma przeraziła się na widok moich przyjaciółek i znieruchomiała. Kiedy podeszły bliżej, wbiła w nie wzrok. Sid i Gus przycupnęły obok fotela, wzięły jej dłonie w swoje ręce i zaczęły delikatnie głaskać, szepcząc uspokajające słowa. Widziałam, że powoli przestaje się bać. Zrobiłam herbatę i podałam jej kubek. Wyglądała na zdziwioną, ale potem pociągnęła pierwszy łyk.

– Wrócę niedługo – powiedziałam z nadzieją, że jest w stanie mnie zrozumieć. – Pod opieką tych pań nic ci nie grozi.

Wybiegłam w pośpiechu, spóźniona na próbę w teatrze.

Kiedy dojechałam tramwajem na Broadway, od razu doszły mnie nawoływania gazeciarzy.

– Cała historia tylko u nas! – krzyczał wysokim głosem chudy malec. – Duch nawiedza teatr. Czyha na życie Blanche Lovejoy!

– Jezusie, Maryjo i Józefie święty – mruknęłam. Prawdopodobnie Lily wysnęło się to i owo podczas upojnej nocy z reporterem.

Perspektywa spotkania z Blanche Lovejoy wcale mnie nie cieszyła.

Już na dole słyhać było pokrzykiwanie panny Lovejoy. Najwyraźniej zdążyła przeczytać gazety. Poszłam w stronę stróżówki i podpisałam się na liście obecności.

– Będą kłopoty dziś wieczorem, Henry – wymamrotałam.

Pokiwał głową.

– Widziałem ją. Aż kipi ze złości. Nie zazdroszczę tej, która się wygadała. Nie chciałbym być w jej skórze. Dwa dni przed premierą?! Wybrała sobie najgorszy moment.

Weszłam po schodach i zobaczyłam, że panna Lovejoy miota się na korytarzu.

– Zabiję ich! – krzyczała. Zamilkła na mój widok. – Wreszcie jesteś! Rychło w czas! Widziałś gazety, jak sądzę? W całym mieście aż huczy od plotek. Gorzej być nie może – warknęła, grożąc mi palcem. – Kto chlapanął jęzorem? Chcę, żebyś się dowiedziała. Płacę ci, więc lepiej zabieraj się do pracy!

– To nie może być nikt z obsady – odparłam. – A już na pewno nikt tego nie zrobił umyślnie. Wieczorami przy wyjściu czekają dziennikarze. Może któryś podsłuchiwał rozmowy? Dziewczyny były bardzo zdenerwowane, opuszczając wczoraj teatr.

– Możesz mieć rację – przyznała niechętnie. – Ale to twoja wina, za mało się starasz. Wynajęłam cię do konkretnego zadania!

– Nie jestem jasnowidzem – zauważyłam. – Wczorajszego wieczoru zrobiłam, co mogłam. Jak tylko zerwał się wiatr, pobiegłam sprawdzić, co się dzieje. Nikogo tam nie było.

– Czyli to duch. To musi być duch. – Wydała z siebie dramatyczny szloch. – Wiedziałam! Ten teatr jest przeklęty. Ktoś rzucił klątwę na moją sztukę. Jestem skończona! Skończona!

Zaczęła chodzić po korytarzu w tę i z powrotem. Musiałam przyspieszyć kroku, żeby za nią nadążyć.

– Wynajmę spirytystę. Kogoś, kto potrafi komunikować się z duchami.

Powie, dlaczego duch mnie nienawidzi i co takiego zrobiłam, że chce zniszczyć to przedstawienie. – Mówiła głosem tak donośnym, że chyba cały teatr słyszał, o czym rozmawiamy. – Trzeba się dowiedzieć, kto niedawno umarł. Na pewno miał do mnie jakiś żal.

Dotknęłam jej ramienia, gdy wchodziłyśmy na schody.

– To znaczy, że nie potrzebujesz już moich usług?

– Co? – Odwróciła się gwałtownie, jakby zaskoczona, że wciąż idę obok.

– Mówisz, że wynajmiesz spirytystę, który skontaktuje się z duchem. Już mnie nie potrzebujesz?

– Masz dalej być na scenie – odparła stanowczo. – Ktoś musi mnie chronić.

– Nie potrafię cię chronić przed duchem – zauważyłam. – Nie wierzę w duchy. Chciałabym mieć wystarczająco dużo czasu, by udowodnić, że to wszystko jest winą człowieka, a nie ducha.

– Oby to była prawda! – Położyła dłoń na piersi. – Ale kto to robi? Wszyscy mnie przecież uwielbiają.

Przemilczałam fakt, że tancerki nie przepadają za swoją chlebobawczynią.

– Czyli mam pójść do madame Ewy po kostium?

– Oczywiście. Przygotuj się na próbę o siódmej, zgodnie z harmonogramem. Życie toczy się dalej.

Powiedziała to bardzo głośno, gdy kilka osób z zespołu wstępowało po schodach. Potem ściszyła głos i dodała:

– Najpierw zejź na dół i sprawdź, czy przysłała do mnie paczka.

Henry wręczył mi pakunek, który następnie zaniiosłam do garderoby Blanche. Wychodząc z pomieszczenia, usłyszałam brzęk butelek. Blanche najwyraźniej dodawała sobie animuszu.

Madame Eva miała złote ręce. Kostium był prawie skończony: spódnica w kratkę i biała bluzka; do tego wielka czarna kokarda, którą miałam zawiązać na szyi. Przymierzyłam cały strój, a Eva zaczęła tańczyć wokół mnie, cały czas lamentując, że nie noszę gorsetu.

– Taka wielka talia! I co ja mam z tobą zrobić?

W końcu pomogła mi zdjąć spódnice.

– Wróc za godzinę. Poszerzę ją – powiedziała. – A to twoja peruka i okulary. Nie zgub ich.

Wyszłam z garderoby i samotnie stanęłam w wąskim korytarzu. Dopiero za godzinę miałam odebrać kostium, więc postanowiłam dobrze wykorzystać wolny czas. Zajrzałam do każdego pomieszczenia na zapleczu, starając się zidentyfikować miejsca, gdzie ktoś mógłby się schować. W pewnym momencie uniosłam spódnicę i wspięłam się na samą górę – bezpośrednio nad scenę, gdzie znajdują się wszystkie urządzenia, dzięki którym można zmieniać dekoracje. Nie chciałam wchodzić na wąskie kładki, ale stwierdziłam, że ktoś bez lęku wysokości może łatwo się po nich poruszać. Trzeba mieć to na uwadze – pomyślałam.

Oglądając się co chwila za siebie, ruszyłam w kierunku garderoby. W teatrze było ciemno i ponuro, w każdym rogu mógł się czaić ktoś, kto tylko czekał, by zaatakować. Gdybym wiedziała, kto to może być...

Podskoczyłam do góry, czując czyjąś rękę na swoim ramieniu. Odwróciłam się natychmiast. Desmond Haynes wpatrywał się we mnie nieruchomym spojrzeniem.

– Co tu robisz? – zapytał.

– Ja? Tylko się rozglądam – powiedziałam.

– Rozglądasz się tylko, tak? – prychnął. – Uważaj, moja mała. W teatrze nie zawsze jest bezpiecznie. Nie mam pojęcia, czemu Blanche dała się przekonać i przyjęła cię do pracy. Na ogół nie jest taka miękka. Potraktuj to jako delikatne ostrzeżenie. Wykonuj swoją pracę i nie pakuj się w kłopoty.

– Mam panu odpowiedzieć dokładnie takimi samymi słowami? – Popatrzyłam mu prosto w oczy.

Przez chwilę staliśmy, nic nie mówiąc. Zacisnął palce na moim ramieniu, a potem zwolnił uścisk.

– Jeśli chcesz pracować w tej branży, musisz się nauczyć pokory – odparł lodowato. – Znajomości nie mają tu znaczenia.

Rozeszliśmy się w swoje strony. Desmond Haynes był najwyraźniej niezadowolony z mojej obecności. Czyżby miał coś na sumieniu?

Godzinę później byłam już w garderobie z innymi dziewczętami i nakładałam makijaż.

– Więc udało ci się kupić kosmetyki – zauważyła Elise.

– Nie musiałam nic kupować. Dostałam wszystko od Oony.

Elise aż otworzyła buzię ze zdziwienia.

– To prawda, co mówią! – krzyknęła. – Jesteś kuzynką Oony Sheehan!

– Oczywiście – powiedziałam. – Jak inaczej dostałabym tę rolę?

– Szczęściara z ciebie – westchnęła Elise. – My, zwykłe śmiertelnice, musimy walczyć o swoje. Czasem, żeby dostać rolę, robimy rzeczy, na które wcale nie mamy ochoty.

Skończyłam się malować; założyłam czarną perukę, a potem okulary. Niesamowicie, jak bardzo zmienił się mój wygląd. Z warkoczami i w dziewczęcym stroju wyglądałam na nie więcej niż dwanaście lat.

Wreszcie rozległ się dzwonek, oznajmiając, że czas zacząć próbę. Ruszyłam na scenę z resztą dziewcząt. Atmosfera była wyraźnie napięta, nawet bardziej niż poprzedniego wieczoru. Wszyscy czekali, co się wydarzy. Zaczął się pierwszy akt i zauważyłam, że tańcząc i śpiewając, dziewczęta strzelają oczami na wszystkie strony. Pierwsza część próby minęła bez żadnego incydentu. Ja też byłam zaaferowana – pilnowałam cały czas, żeby stanąć w wyznaczonym miejscu i w odpowiednim momencie zejść za kulisy, by za chwilę znów wrócić. Kiedy rozpoczął się drugi akt, wszyscy wydawali się bardziej zrelaksowani. Pod koniec sceny kąpielowej dziewczęta ruszyły po schodach do garderoby, żeby włożyć stroje balowe. Ja nie musiałam się przebierać, więc stanęłam z boku, czekając i obserwując.

Na scenie byli jedynie Blanche Lovejoy i Arthur, ten biedny malarz. Śpiewali ckliwą piosenkę zatytułowaną *Tylko my dwoje*. Scenografią była altana z widokiem na morze, a w niej mały stolik przykryty ceratą w biało-czerwoną kratę. Stał na nim dzbanek lemoniady i szklanki. Aktorzy znajdowali się naprzeciwko siebie, po dwóch stronach stolika, gdy nagle wydarzyło się coś, co wprawiło nas wszystkich w osłupienie. Dzbanek uniósł się w powietrze, zawisł nad panną Lovejoy, a następnie wylał na nią całą swoją zawartość.

Blanche krzyknęła. Wszyscy ruszyli na pomoc, starając się ją uspokoić i zetrzeć napój z twarzy i kostiumu.

– Teraz musicie uwierzyć! – krzyczała. – Mówiłam, że to duch, ale nikt

mnie nie słuchał.

Robert Barker z impetem wskoczył na scenę.

– Blanche, moja najdroższa! Nic ci nie jest?

– Widziałeś to, prawda, Bobby?! – wrzasnęła. – Wszyscy to widzieliście. Nic mi się nie zdaje! Dzbanek lemoniady pofrunął w powietrze. Poddaję się. Nie będzie premiery we wtorek. Jadę do domu, do Connecticut, i zamierzam o wszystkim zapomnieć.

Zbiegła ze sceny, a za nią Robert. Wszyscy zamarli. Odwrócił się do nas w ostatniej chwili i rzucił:

– Nie martwcie się. Wszystko będzie dobrze, obiecuję. Zaraz z nią porozmawiam. Premiera odbędzie się zgodnie z planem.

Kiedy inni aktorzy, komentując zdarzenie, zbili się w grupki, podeszłam do stołu i uważnie mu się przyjrzałam. Wzięłam do ręki fragment dzbanka, który rozbił się na podłodze. Poszukałam wzrokiem sznurka czy nitki, która mogła go podnieść ze stołu, ale nic nie znalazłam. Sprawdziłam też zaplecze, lecz nie było tam nikogo, z kim mogłabym porozmawiać.

Pomyślałam, że trudno nie zgodzić się z Blanche. Najwyższy czas wezwać na pomoc spirytystę.

Sid i Gus ulokowały tajemniczą dziewczynę w wolnej sypialni na górze.

– Przyniosłyśmy z domu trochę gulaszu z wołowiny, który nam został po wczorajszej kolacji – powiedziała Sid. – Ucieszyła się i prawie rzuciła na jedzenie.

– Czy rozumiała, co do niej mówicie? – spytałam.

– Zrozumiała, że dobrze ją karmimy – odparła Gus – ale trudno powiedzieć, czy rozumiała nasze słowa. Próbowaliśmy wszystkich języków, jakie przyszły nam do głowy. Użyłam nawet japońskich zwrotów, których się niedawno nauczyłam. Nie widać co prawda, żeby była Azjatką, ale chwyciłam się wszystkiego. Powtarzałyśmy, jak mamy na imię. Sid nawet zaśpiewała.

– I co? Żadnej reakcji?

– Niestety.

Pokręciłam głową, patrząc na nieznajomą.

– Mam nadzieję, że znajdziemy do niej drogę. Rano odwiedzę doktora Birnbauma. Jeśli jest na świecie ktoś, kto potrafi przebić się przez ten mur, to właśnie on – dodałam.

– Skąd wiemy, że nie jest głucha lub niema? – spytała Sid.

– Doktor twierdzi, że potrafi mówić. Uważa, że przeżyła wstrząs. Mieli podobny przypadek w wiedeńskim szpitalu, gdzie nasz Birnbaum pracował razem z doktorem Freudem.

– Z doktorem Zygmuntem Freudem? – Sid nie kryła zdumienia. – Czytałam o nim. Prowadzi fascynujące badania nad snem i umysłem. Twierdzi, że potrafimy powstrzymać nasze wewnętrzne pragnienia, ale wszystko wraca potem w snach. Pamiętasz, Gus? Miałyśmy zapisywać, co się nam śni.

– Owszem, ale nigdy się do tego nie zabrałyśmy. Tyle się dzieje! – zawołała Gus. – W życiu można robić mnóstwo fascynujących rzeczy; problem w tym, że brakuje na to wszystko czasu.

Moje przyjaciółki ruszyły schodami do wyjścia.

– Poszukam jutro książek na temat badań nad umysłem – zaproponowała Sid. – Może uda nam się uwolnić tę biedną dziewczynę z więzienia, w jakim znajduje się jej ciało i dusza. Gdybyśmy tylko potrafiły ją nakłonić, żeby zapisała swoje sny... Język migowy! – krzyknęła nagle. – Możemy nauczyć ją komunikacji znakami. Jestem pewna, że znajdziemy książki na ten temat.

– Przecież ona słyszy, kochanie.

– Ale nie mówi, prawda?

Kiedy wreszcie powiedziałyśmy sobie dobranoc, nie mogłam oprzeć się refleksji, że nigdy dotąd nie spotkałam tak żywych umysłów. Mężczyźni, którzy uważają, że kobiety nie są w stanie zająć się niczym więcej niż szyciem i plotkami, powinni spędzić przynajmniej jeden dzień w towarzystwie Sid i Gus.

W środku nocy obudził mnie okropny hałas. Wyskoczyłam z łóżka i pobiegłam do sypialni tajemniczej Mary. Najwyraźniej nadal spała, ale przez sen wydawała z siebie przerażające dźwięki. Usiadłam przy niej na łóżku.

– Co ci jest, kochanie? – spytałam cicho. – Powiedz mi, czego się boisz.

W odpowiedzi zaczęła się miotać. Wyglądało to tak, jakby toczyła walkę z samym diabłem. Wychowałam się w rodzinie katolickiej, ale nie za bardzo wierzę w niebo i piekło. Nie mieści mi się w głowie, że niemowlęta, które umarły przed chrztem, nie idą do nieba, a ludzie tacy jak ja – czasem ulegający pokusom – są skazani na wieczne potępienie. Obserwując jednak zachowanie dziewczyny, zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie jest opętana. Może w pierwszej kolejności powinien ją odwiedzić ksiądz, a nie doktor Birnbaum – pomyślałam.

Gładziłam ją po głowie i uspokajałam.

– Wszystko w porządku, moja droga. Teraz jesteś bezpieczna. Nic ci tu nie grozi, drzwi są zamknięte. Zaufaj mi.

Po chwili uspokoiła się, przestała rzucać na łóżku i jęczeć, a potem znów zapadła w sen. Ja, niestety, nie mogłam już zasnąć. Po incydencie w teatrze i tak byłam roztrzęsiona. A teraz? Zaczęłam zdawać sobie sprawę, jak nierozsądnie postąpiłam, biorąc dziewczynę do domu. Czy mogę zostawić ją w takim stanie pod opieką Sid i Gus za każdym razem, kiedy będę musiała wyjść?



Ponieważ i tak nie mogłam zasnąć, wstałam i zrobiłam listę spraw, którymi należy się zająć w najbliższym czasie.

- 1. Birnbaum. Może zna dobrą klinikę, która by przyjęła dziewczynę.*
- 2. Sabella Goodwin. Sprawdzić, czy już się czegoś dowiedziała.*
- 3. Daniel. Przypomnieć mu o sprawie panny Van Woekem.*
- 4. Pan Roth. Jak najszybciej zakończyć dochodzenie, żeby znaleźć czas na:*
- 5. Rozwiązanie zagadki w teatrze.*

Przynajmniej nie będę się nudziła – pomyślałam.

Musiałam jednak zasnąć, a ze snu wyrwały mnie dzwony. Chwilę mi zajęło, zanim zdałam sobie sprawę, że dziś niedziela. Wstałam i zajrzałam do sypialni Mary. Leżała tak spokojnie i nieruchomo, że wyglądała jak martwa. Ale wtedy dostrzegłam, że jej klatka piersiowa unosi się i opada rytmicznie. Ogarnął mnie przypływ współczucia. Nie wiedzieć czemu i jak, biedna mała została uwięziona w koszmarnym śnie. Muszę znaleźć sposób, żeby pomóc jej stamtąd uciec – postanowiłam.

Ubrałam się, zrobiłam herbatę w dzbanku i śniadanie. Na tacy ustawiłam kieliszek z jajkiem na miękko i położyłam cienkie paski chleba z masłem, które jako dziecko nazywałam żołnierzami. Obudziła się, usiadła i posłusznie zjadła. Cały czas do niej mówiłam.

– Dziś przyjdzie doktor Birnbaum. Z pewnością ci pomoże, bo jest bardzo dobrym lekarzem.

Nic nie wskazywało na to, że cokolwiek rozumie, ale zanurzała chleb w żółtku i mechanicznie wkładała go do ust. Po śniadaniu napisałam wiadomość do doktora Birnbauma, wyjaśniając całą sytuację i okoliczności. Przy Jefferson Market znalazłam posłańca, który zobowiązał się za drobną opłatą dostarczyć list do adresata. Na szczęście nie musiałam długo czekać na odpowiedź. Doktor Birnbaum przybył osobiście, ubrany bardziej elegancko niż zwykle. W szaliku tkwiła złota szpilka.

– Moja droga panno Murphy! – Ukłonił się, stukając obcasami. – Dostałem twoją wiadomość i jestem do usług. Czy dobrze zrozumiałem, że zabrałaś dziewczynę do siebie?

– Nie miałam wyjścia – odparłam. – Chcieli ją umieścić w domu wariatów na Ward’s Island. Przecież nie mogłam do tego dopuścić!

– To bardzo nierozsądne – powiedział. – Ktoś może cię oskarżyć o porwanie.

– A jaki miałam wybór, doktorze? Sam pan mówił, że nie jest szalona.

– Moim zdaniem postradała zmysły, co niestety może oznaczać, że jest wariatką. Mam jednak nadzieję, że przy zastosowaniu odpowiedniej terapii odzyska równowagę.

– A na to nigdy nie miałyby szansy w domu wariatów. Zamknęliby ją z umyślowo chorymi i tyle byśmy o niej słyszeli.

– Obawiam się, że to prawda – przytaknął. – Ale jaki masz plan, panno Murphy? Co chcesz zrobić? Nie zamierzasz chyba trzymać jej tu bez końca.

– Czy udało się panu zamieścić ogłoszenie w gazecie, doktorze?

– Od razu. Jak tylko się rozstaliśmy.

– Miejmy nadzieję, że jutro ktoś się po nią zgłosi. Na pewno ma rodzinę, która martwi się jej zniknięciem i chce, by wróciła do domu.

– Oby tak było!

– Liczę na pana, doktorze. Do czasu, kiedy się coś wyjaśni, może mógłby pan z nią popracować. Jestem pewna, że poczyni postępy pod okiem takiego eksperta jak pan.

– Nie mogę uchodzić za eksperta. Nikt, nawet doktor Freud, nie zna całej złożoności umysłu. Ciągłe odkrywamy coś nowego, jeszcze bardziej fascynującego niż dotychczas. Leczenie pacjenta w miejscu, w którym nie powinien przebywać, może być sprzeczne z etyką mojej profesji. – Przerwał, zamyślił się, przeczesał palcami brodę i dokończył: – Ale muszę przyznać, że przypadek naszej małej przyjaciółki jest niezwykle interesujący. Poproszę doktora Freuda o konsultację i zrobię co w mojej mocy, zanim po pacjentkę zgłosi się rodzina.

– Czy może ją pan teraz zobaczyć? – zapytałam. – Jest w całkiem niezłej

formie, właśnie skończyła śniadanie.

– Wybieram się do kościoła – oznajmił. – Ale przecież mogę pójść na późniejszą mszę.

– Pan jest katolikiem, doktorze? Chodzi pan na msze? – spytałam zdumiona.

– Cóż w tym dziwnego, panno Murphy? Pani nie chodzi?

– Wychowałam się w rodzinie katolickiej, ale już nie praktykuję. Byłam pewna, że człowiek nauki, taki jak pan, nie uważa jakiegokolwiek religii za pożyteczną.

– Wręcz przeciwnie. W mojej profesji religia stale przypomina nam o kruchości życia i mocy modlitwy. I o tym, że cuda się zdarzają.

– Proszę mi powiedzieć, doktorze – powiedziałam z wahaniem – czy to możliwe, że jest opętana przez diabła? Wczoraj w nocy miotała się we śnie tak, jakby trzymało ją w szponach coś naprawdę straszego. A do tego okropnie jęczała.

Spojrzał na mnie uprzejmie.

– Potwierdza to przypuszczenie, że przeżyła coś naprawdę okropnego. Być może ktoś na nią napadł.

– W szpitalu powiedziano, że nie została szczególnie pobita lub znieważona.

– Uważam, że diabeł nie ma z tym nic wspólnego. Gdyby pozwoliła mi się zahipnotyzować, mógłbym ją namówić, by wyjawiała swoją tajemnicę. – Położył laskę i kapelusz na krześle, po czym zdjął płaszcz. – Dobrze, poprowadź mnie do niej.

Kiedy weszłam z doktorem do sypialni, dziewczyna wydawała się przerażona.

– Nie bój się, Mary – powiedziałam. – Ten człowiek jest lekarzem. Przyszedł, żeby ci pomóc.

– Czyżbyś poznała jej imię, panno Murphy?

– Niestety, nie. Nazywam ją Mary, bo muszę jakoś się do niej zwracać.

Skinął głową, po czym przysunął krzesło do łóżka.

– Mary, musimy trochę porozmawiać.

– Zostawię was samych – oświadczyłam, ale dziewczyna natychmiast złapała mnie kurczowo za rękę.

– W porządku. Zostanę. Nic złego ci nie grozi. – Usiadłam na brzegu łóżka, żeby mogła mnie widzieć. – To takie trudne, gdy nie wiemy, czy nas rozumie – zwróciłam się do Birnbauma.

– Mary – powiedział cicho. – Zamrugaj, proszę, jeśli mnie słyszysz.

Poruszyła powiekami, ale nie można było tego nazwać mrugnięciem.

– Biorę to za potwierdzenie – oznajmił. – Ale zauważyłaś, panno Murphy, że stara się nie mrugać. Być może podświadomość próbuje zablokować komunikację z innymi ludźmi. Jestem pewien, że dzięki hipnozie zburzymy ten mur. – Sięgnął do kieszeni, wyjął zegarek na łańcuszku i pokazał go Mary. – Ładna rzecz, prawda, moja droga? – zapytał. – Posłuchaj, jakie piękne dźwięki wydaje. – Nacisnął zegarek i natychmiast rozległy się dzwoneczki. Mary prawie się uśmiechnęła. – Teraz, młoda damo, chcę, żebyś patrzyła uważnie na ten piękny przedmiot. Widzisz, jak się huśta? Tam i z powrotem, tam i z powrotem – powtarzał monotonnym głosem, machając dziewczynie zegarkiem tuż przed oczami. – Twoje oczy stają się ciężkie. Zasypiasz.

Nie wiem, czy hipnoza podziałała na Mary, ale ja prawie odpłynęłam. Otrząsnęłam się i rozejrzałam. Mary leżała spokojnie, z zamkniętymi oczami.

– Czy możesz nam wyjawić swoje prawdziwe nazwisko?

Cisza. Widać było, że próbuje poruszyć ustami, ale nie wydała z siebie żadnego dźwięku.

– Skąd pochodzisz? Opowiedz mi o swoim domu. Czy jest tam twoja matka? Twój ojciec?

Wydawało się, że na jej twarzy pojawił się grymas bólu.

– Czy myślisz, doktorze, że ona cię rozumie? – szepnęłam.

Birnbaum ostrzegawczo uniósł palec.

– Tak więc twoich rodziców już nie ma z nami. Kto się tobą opiekuje? Z kim mieszkasz? Chcę, żebyś wyobraziła sobie swój dom, moja droga. Obejrzyj swój pokój, łóżko. Teraz kuchnię. Jedzenie na stole. Dobre jedzenie – ciągnął Birnbaum.

Mary leżała spokojnie, nie protestując, ale też w żaden sposób nie reagowała. Nie potrafiłam ocenić, czy dociera do niej to, co mówi doktor, ale widać było, że chłonie jego głos.

– Tamta noc. Coś ci się wtedy stało. Gdzie jesteś? Pamiętasz? Zabierz mnie tam ze sobą. Wkładasz ładną suknię i buty. Czy masz pelerynę? Chyba jest zimno. Cieszysz się na miły wieczór. Może idziesz do teatru... Ale coś się dzieje. Kogoś spotykasz? Opowiedz, proszę.

Widziałam, jak nagle zeszywniała. Potem uniosła ręce i zaczęła nimi energicznie machać. Wyglądała jak kukła, która się przed czymś zaciekle broni. Znow zaczęła krzyczeć w ten sam okropny sposób.

– Kto to jest? – zapytał Birnbaum. – Kogo widzisz? Co oni ci robią?

Wydało mi się, że wśród tych jęków słyszę wyraźnie jakieś imię, wypowiedziane piskliwym, dziecięcym głosem. Mogłam przysiąc, że powiedziała „Annie”.

– Annie? – zapytałam, zapominając, że to doktor Birnbaum tutaj rządzi. – Czy masz na imię Annie?

Zaczęła się miotać tak intensywnie i dobywać z siebie tak okropne jęki, że doktor Birnbaum położył jej dłoń na ramieniu.

– Kiedy policzę do trzech i pstryknę palcami, obudzisz się. Jeden. Dwa. Trzy!

Jęki ustały, jakby ktoś ją wyłączył. Otworzyła oczy, patrząc zdziwiona.

– Annie? – zapytał spokojnie. – Czy masz na imię Annie?

Nie zareagowała.

– Wystarczy na pierwszy raz – powiedział.

– Więc ją zrozumiałeś, doktorze?

– Nie mogę tego stwierdzić z całą pewnością – odparł Birnbaum. – Ale udało mi się dotrzeć do jej podświadomości i odblokować jakieś straszliwe zdarzenie. Jak zauważyłaś, droga panno Murphy, to, co się jej przydarzyło, jest zbyt wstrząsające, by mogła się z tym zmierzyć, nawet we wspomnieniach. Nie mam pojęcia, co się stało. Musimy działać ostrożnie, bo równie dobrze może nigdy nie wyjść z tego szaleństwa.

Wyciągnął mały notes.

– Napiszę receptę na środek uspokajający. Sen to dla niej teraz najlepsze lekarstwo.

Wstałam z łóżka, zaczęłam poprawiać prześcieradło i podniosłam strącony na podłogę koc. Spojrzałam na jej nogi. Bandaże, którymi pielęgniarki owinęły stopy, były teraz poluzowane. Miała sine i opuchnięte palce. Musiała odmrozić stopy na tym śniegu – pomyślałam. Ciekawe, jak długo chodziła po parku. Przybyła z północy. Skąd dokładnie? Z pobliskiej okolicy czy z daleka? Na przykład z Harlemu, który nie cieszył się najlepszą sławą? Możliwe, że ktoś ją tam przywiózł, a potem zostawił na pastwę losu. A może przyszła na piechotę? Po co? Dokąd szła, kiedy upadła?

Poprawiłam bandaże i przykryłam jej nogi kocem. Może następny dzień przyniesie nam rozwiązanie tej zagadki – pomyślałam.

Usłyszałam głośne pukanie do drzwi, a potem donośny głos Daniela w korytarzu:

– Molly?! Gdzie jesteś?

– Na górze! – krzyknęłam. – Już biegnę.

Nawet nie pomyślałam, że ujrawszy mnie i Birnbauma schodzących na dół, Daniel może nabrać dziwnych podejrzeń, ale jego mina mówiła sama za siebie.

– Witaj, Danielu – powiedziałam wesoło. – Doktor odwiedzał na górze moją pacjentkę.

– Twoją pacjentkę?

– Dziewczynę z parku. Przywiozłam ją tutaj z nadzieją, że doktor Birnbaum pomoże jej wrócić do siebie i odzyskać mowę.

– Przywiozłaś ją tutaj? – Daniel uniósł brwi. – Masz tyle pracy, a wzięłaś na siebie jeszcze opiekę nad niepełnosprawną?

– Nie miałam wyjścia – odparłam. – Musiałam działać, bo chcieli ją zabrać do domu wariatów.

Pokręcił głową.

– Molly, czasem nie wiem, co myśleć. Nie można powiedzieć, żebyś zachowywała się racjonalnie. Jak to sobie wyobrażasz? Nic o niej nie wiemy. Czy w ogóle potrafisz się zająć kimś, kto może się okazać niespełna rozumu?

– Z całym szacunkiem, kapitanie Sullivan, ale nie sądzę, żeby ta dziewczyna była wariatką – zauważył Birnbaum. – Właśnie skończyliśmy sesję hipnozy i mogę stwierdzić, że pacjentka prowadziła normalne życie, dopóki nie doznała jakiegoś strasznego urazu. Przeżyła coś, co wyrwało ją z teraźniejszości. Wycofała się i zamknęła w bezpiecznym kokonie, odcinając od siebie resztę świata. Myślę jednak, że przy odrobinie cierpliwości jesteśmy w stanie na nowo wskrzesić w niej życie.

– A kto będzie płacił za jej utrzymanie i opiekę?

– Nie wezmę ani grosza za swoje usługi – odparł Birnbaum lodowatym

tonem.

– A ja będę ją karmić – dodałam.

– Ale kto się nią zajmie, kiedy cię nie będzie? Przecież masz tyle innych spraw na głowie – zauważył Daniel.

– Owszem, to jest pewien problem – zgodziłam się. – Ale miejmy nadzieję, że taka sytuacja nie potrwa długo. Doktor Birnbaum dał ogłoszenie w gazecie. Wierzymy, że ktoś jej szuka; ucieszy się, że jest bezpieczna, i zabierze ją do domu.

– A jeśli nie?

– Wtedy się będziemy martwić – odparłam stanowczo. – To była moja decyzja, Danielu, nie twoja. Pozwól, że ja się tym zajmę.

Widziałam, że jest zły, ale nic już nie powiedział.

– Na mnie czas, panno Murphy – odezwał się Birnbaum. – Jeśli się pospieszę, zdążę jeszcze na mszę u Świętego Józefa, a potem na obiad z przyjaciółmi – dodał i uklonił się nisko.

– Dziękuję bardzo, doktorze. Jestem przekonana, że potrafi jej pan pomóc.

– Nie chwalmy dnia przed zachodem słońca – odpowiedział ostrożnie. – W takim razie do jutra.

Kiedy zamknęłam za nim drzwi, Daniel wciąż stał z marsową miną.

– Molly, co ja mam z tobą zrobić?

– Nic nie musisz ze mną robić – zauważyłam. – Możesz jedynie ze mną być. Kochać mnie.

– Przecież wiesz, że cię kocham. Chcę cię chronić przed tymi wszystkimi niebezpieczeństwami, w jakie się pakujesz. Tak już jest. Mężczyzna pragnie otoczyć swoją kobietę opieką.

– Nie potrzebuję opieki, Danielu – oświadczyłam. – A już na pewno nie na okrągło.

Uśmiechnął się, grymas wreszcie zniknął z jego twarzy.

– Naprawdę jesteś niemożliwa, wiesz? – Daniel przygarnął mnie do siebie.

– Wiem – odparłam. – Cieszę się, że przyszedłeś. Dostałeś moją



wiadomość w sprawie panny Van Woekem?

– Właśnie od niej wracam – powiedział. – Rozumiem, że zgłosiłaś mnie jako ochotnika do tej sprawy.

– Nie ujęłam tego w ten sposób. Przede wszystkim to był pomysł panny Van Woekem. Sama wymyśliła, że możesz mieć czas i predyspozycje, żeby jej pomóc.

– W takim razie nie mogę nie przyjąć tego zlecenia – zauważył Daniel. – Pomyślałem, że dzisiaj moglibyśmy razem wyruszyć do New Haven. W niedzielę ludzie na ogół siedzą w domu.

– Chciałabym, ale...

– Ale teraz masz na górze młodą kobietę, która wymaga całodobowej opieki – dokończył za mnie Daniel. – Skoro już tu jest, może należałoby zatrudnić pielęgniarkę.

– Pewnie masz rację – powiedziałam – ale dzisiaj trudno będzie jakąś znaleźć, prawda?

– A twoje przyjaciółki z naprzeciwka?

– Nie mogę ciągle prosić ich o pomoc. Poza tym prowadzą bujne życie towarzyskie. Na pewno są zajęte.

– Wolałbym sam nie jechać do New Haven. – Westchnął. – Miałem nadzieję, że w niedzielę nie musisz się spieszyć do tego cholernego teatru.

– Coraz częściej używasz w mojej obecności grubiańskiego języka – zauważyłam chłodno. – Zachowujesz się jak Blanche Lovejoy.

– Ona klnie? – Daniel najwyraźniej był rozbawiony.

– Jak żołnierz.

– Spotkałaś ducha? Widziałem nagłówki w gazetach. Pismaki tak to malują, jakby na całym teatrze ciążyła jakaś klątwa.

– To nie jest śmieszne, Danielu. Na własne oczy widziałam wczoraj efekty jego działania. Dzbanek lemoniady oderwał się od stołu i wylał całą swoją zawartość na pannę Lovejoy. I niech mnie kule biją, jeśli potrafię wyjaśnić, jak to się stało.

– Nie było nikogo w pobliżu, kto mógł podnieść ten dzbanek, tak żeby inni

nie zauważyli?

- Na scenie były tylko dwie osoby i stały daleko od stołu – odparłam.
- Może ktoś uniósł dzbanek za pomocą sznurka?
- Sprawdziłam dzbanek i stół. Nic podejrzanego nie znalazłam.
- Nie wierzę w duchy, fantomy i czarną magię – oświadczył Daniel. – Szukaj dalej. Musi być jakieś logiczne wytłumaczenie.
- Na razie panna Lovejoy wpadła w histerię i zerwała próbę, wykrzykując, że jak tak dalej pójdzie, odwoła premierę. Jest na mnie wściekła, bo jeszcze nie udało mi się zidentyfikować ducha.
- W tej sytuacji zdecydowanie przyda ci się odmiana. Jedźmy razem do New Haven, Molly. Dziewczyna chyba może zostać sama. Przygotujemy jej coś do jedzenia, na wypadek gdyby zgłodniała.
- Wolalabym tego nie robić – odparłam. – Nie jestem pewna, czy potrafi ustać na nogach. A jeśli spadnie ze schodów?
- Do diaska! – Daniel zabębnił palcami po stole. – Nie znasz kogoś, kto mógłby cię zastąpić?
- A może twoja gospodyni jej przypilnuje – zaproponowałam.
- Dobry pomysł. Powinna się zgodzić – odparł Daniel.
- Moglibyśmy wsadzić dziewczynę do powozu i zawieźć do ciebie, ale szkoda mi ją niepokoić. Doktor Birnbaum uważa, że w tej chwili sen jest najlepszym lekarstwem. Wypisał nawet receptę na środek uspokajający.
- No to mamy rozwiązanie. Dasz jej ten lek i będzie spać cały dzień.
- Danielu, w żadnym razie nie mogę zostawić jej samej – zaprotestowałam stanowczo.
- Przecież codziennie chodzisz do teatru!
- I w tym problem. Będę musiała znaleźć kogoś do opieki. Może kobieta, która przychodzi prasować do Sid i Gus, poleci jakąś odpowiedzialną osobę. Zapytam.

Jakby w odpowiedzi na nasze wątpliwości rozległo się głośne pukanie do drzwi.

– To z pewnością one – ucieszyłam się i pełna nadziei pobiegłam otworzyć. Jednak za drzwiami nie ujrzałam swoich przyjaciółek, tylko surową postać w granatowym kostiumie.

– Sabella! – zawołałam. – Jak miło cię widzieć. Wejdz, proszę... Danielu, spójrz, kto przyszedł. Pani Goodwin!

– Kapitanie. – Sabella przywitała się oficjalnie, skinieniem głowy.

– Pani Goodwin. Jak się pani miewa?

Natychmiast zauważyłam różnicę w ich zachowaniu. Daniel był serdeczny, ona bardzo powściągliwa. Wciąż pewnie powątpiewała w jego niewinność, podejrzewając go o udział w bójce, w której zginął jej mąż. A może jedynie okazywała szacunek policjantowi wyższej rangi.

– Dobrze, dziękuję, kapitanie Sullivan – odparła. – Trochę jestem zmęczona po kilku nocnych zmianach.

– Doskonale to rozumiem – powiedział Daniel. – Szczerze mówiąc, tęsknię za takimi niedogodnościami. Ja dla odmiany zupełnie nie wiem, co zrobić ze swoim czasem.

– Czyli pańska sytuacja się nie zmieniła?

– Niestety, nie. I nie zmieni się, dopóki John Partridge będzie pełnił funkcję komendanta. Obawiam się, że mężczyźni jego pokroju nigdy nie przyznają się do błędu. Wciąż jestem zawieszony w obowiązkach i czekam na rozprawę, która prawdopodobnie prędko się nie zacznie.

– To niedobrze – stwierdziła pani Goodwin. – Pańscy koledzy często pana wspominają, kapitanie, i czekają na pański powrót.

– Na szczęście kadencja Partridge'a kończy się za parę tygodni – zauważył Daniel. – Liczę na to, że jego następcą lepiej przyjrzy się mojej sprawie.

– Czy macie ochotę na herbatę? – zapytałam. – Przykro mi, ale jeszcze nie potrafię przygotować kawy.

– Z przyjemnością napiję się herbaty. – Pani Goodwin uśmiechnęła się promiennie. – Przyszłam prosto z nocnej zmiany, bo domyślałam się, że czekasz na wyniki mojego dochodzenia.

– Dochodzenia? – Daniel spojrzał na mnie pytająco.

– Chciałyśmy sprawdzić, czy w policyjnych kronikach ze spisem osób zaginionych znajdziemy naszą dziewczynę.

– No tak. Oczywiście. Dobry pomysł – przyznał. – I co?

– Opierając się na opisie, który dała mi Molly, nic ciekawego nie znalazłam.

Pani Goodwin wyjęła notes i zaczęła czytać:

– Frieda Hupfer. Niemka. Uciekła do Nowego Jorku z jakimś podejrzanym młodzieńcem. Blondynka, wzrost metr pięćdziesiąt, przy kości.

– To nie ona – powiedziałam. – Nasza śpi na górze. Chodź i zobacz sama.

– Jest tutaj?

– Molly zgodziła się nią opiekować przez kilka dni, bo dziewczyna nie mogła dłużej zostać w szpitalu – wypalił Daniel, zanim zdążyłam zareagować.

– To bardzo szlachetnie z twojej strony – zauważyła Sabella.

– Czułam się za nią odpowiedzialna, bo przecież to ja znalazłam ją w parku – wyjaśniłam.

Na palcach poszliśmy na górę, żeby przyjrzeć się nieznajomej. Kiedy zeszliśmy, pani Goodwin pokręciła głową.

– Od razu mogę stwierdzić, że żaden opis w rejestrze do niej nie pasuje.

– Zamieściliśmy ogłoszenie w prasie – powiedziałam, nalewając wrzątku do dzbanka i ustawiając na stole filiżanki. – Jutro możemy je poprawić, dodając imię. Wprawdzie nie mówi, tylko raczej jęczy, ale dzisiaj wyraźnie usłyszałam imię Annie.

Pani Goodwin ponownie przejrzała swoją listę.

– Nie mam zaginionej o takim imieniu – oświadczyła. – Ale pamiętajcie, że Nowy Jork przyciąga jak magnes. Każdego dnia mnóstwo młodych kobiet przyjeżdża tutaj ze swoich małych miejscowości. Annie może pochodzić z Karoliny Południowej, a nawet z Kalifornii.

– Szukamy igły w stogu siana – skwitował Daniel.

– Nie zgadzam się – odparłam. – Pomyśl, jak była ubrana. Jedwabna suknia, pantofle. Uciekająca dziewczyna ubiera się inaczej. Musiała zgubić

okrycie. Przecież było bardzo zimno. Nie mogła też chodzić zbyt długo po mieście, bo buty miała w dobrym stanie. Uważam, że wyszykowałam się, by spędzić miło wieczór, ale doszło do tragedii. Na szczęście zdołała zbiec. Jestem pewna, że szuka jej rodzina.

– Oczywiście będę trzymała rękę na pulsie i postaram się na bieżąco sprawdzać raporty o zaginionych – obiecała pani Goodwin, wsuwając notes do kieszeni. – Wzięłaś na siebie spory ciężar, Molly.

Postawiłam przed Sabellą filiżankę herbaty.

– Teraz muszę znaleźć kogoś do pomocy – oznajmiłam. – Nie mogę jej tu zostawiać samej, a przecież nie będę siedziała w domu całymi dniami. Może ty, Sabello, znasz odpowiednią osobę?

– Zawsze możemy zapytać moją sąsiadkę, panią Tucker – odparła. – Poznałaś ją, kiedy opiekowała się mną po wypadku. To strasznie męcząca osoba. Doprowadzi cię do szaleństwa, ale przynajmniej jest odpowiedzialna i lubi czuć się użyteczną.

– Pamiętam ją. Byłoby cudownie, gdyby zgodziła się zaopiekować Annie. Dziękuję!

– Jeśli przyjmie twoją propozycję, za parę dni już nie będziesz mi dziękować – zachichotała Sabella. – Na szczęście jest uczciwa i dobrze zajmie się biedną dziewczyną. Jak tylko wypiję herbatę, możemy razem pójść i ją o to poprosić.

Zostawiłam Daniela na straży i poszłam z panią Goodwin odwiedzić jej sąsiadkę. Ta dobra kobieta nie tylko natychmiast zgodziła się pomóc, ale również przyniosła dziewczynie świeżo ugotowany rosół. Dzięki temu mogłam spokojnie załatwić sprawunki w aptece, a następnie przygotować się na wypad z Danielem do New Haven.

Nie zapytałam pani Tucker, ile będzie pobierała za opiekę nad dziewczyną. Próbowałam o tym nie myśleć, pamiętając jednak, że mam zarówno zaliczkę od panny Van Woekem, jak i perspektywę wypłaty za pozostałe zlecenia, nad którymi obecnie pracuję. Daniel najwyraźniej zastanawiał się nad tym samym, bo gdy ruszyliśmy z dworca Grand Central i przejeżdżaliśmy przez skąpane w słońcu miasto, powiedział:

– Przynajmniej zarobisz na wynagrodzenie tej kobiety. Lepiej pospieszmy się i zamknijmy wreszcie sprawę pana Rotha. Z czystym sumieniem można powiedzieć, że to odpowiedzialny i wiarygodny młody człowiek.

– A co z jego sytuacją finansową? Czy miałeś okazję to wczoraj sprawdzić?

– Wczoraj była sobota i banki zamknięto o drugiej, więc nie udało mi się nic załatwić, ale wszystkie znaki na niebie i na ziemi wskazują, że to przyzwoity chłopak.

– Tak się cieszę – odparłam.

Daniel spojrzał na mnie z uśmiechem na twarzy.

– Dlaczego ma to dla ciebie takie znaczenie?

– Zależy mi, by sprawy, które prowadzę, kończyły się szczęśliwie – wyjaśniłam.

Uśmiech nie zniknął z twarzy Daniela.

– Molly, wiesz, jaki jest twój problem? Chcesz naprawić cały świat. Gdybyś pracowała w policji, musiałabyś szybko zmienić zdanie. Nie potrafimy wpływać na to, co się wokół nas dzieje. Świat jest smutnym i złym miejscem.

– Nie dla mnie – odparłam. – Będę nadal wierzyć, że od czasu do czasu

można komuś pomóc.

– Moja Molly, wieczna optymistka. – Poklepał mnie po ręku.

Przejechaliśmy przez most kolejowy oddzielający wyspę Manhattan od północnej części, znanej jako Bronx. Widać było, że budują się tu nowe osiedla. Tory poprowadziły nas na prawo, przecinając podmokłe tereny na skraju Long Island Sound. Na pokrytych śniegiem bagnach wyraźnie widoczne były serpentyne czarnych kanałów, z kikutami wyschniętych drzew na brzegach, powyginanych przez nieustający wiatr. Ta ponura sceneria sprawiała okropne wrażenie. A tak blisko stąd do miasta – pomyślałam. Poczułam się nieswojo i zaczęłam sobie wyobrażać, jak John Jacob Halsted rozbija auto gdzieś w tej okolicy, a potem błądzi na pustkowiu.

– Nie widzę żadnej drogi – powiedziałam. – Czy też prowadzi przez te bagna?

– Nie, przecina Manhattan – odparł Daniel – ale później zbiegnie się z torami i poprowadzi prawie przez całe wybrzeże Connecticut.

– Zastanawiałam się, gdzie siostrzeniec panny Van Woekem wpadł na drzewo – podzieliłam się z Danielem swoimi przemyśleniami. – Jeśli wciąż nie wrócił do domu, możliwe, że po wyjściu z auta doznał szoku i zabłądził. To przecież bardzo nieprzyjazna okolica.

– Jestem pewien, że policja musiała zwrócić uwagę na ślady, które prowadziły od auta – stwierdził Daniel – ale masz rację, trzeba się temu przyjrzeć. Sprawdzimy, czy jeden z moich znajomych nie mógłby nam pożyczyć samochodu. Tylko w taki sposób uda nam się obejrzeć ślady.

– Dziwne to wszystko, prawda? Student Yale, z bogatej rodziny. Nie rozumiem, dlaczego okradł przyjaciela.

– Zdarza się, że młodzi mężczyźni z dobrych rodzin robią niewłaściwe rzeczy. Czasem pod wpływem alkoholu albo środków odurzających.

– Ale czy są zdolni do tego, by strzelać do służby? – zapytałam. – To mi bardziej wygląda na doświadczonego rabusia. Nie sądzisz chyba, że jest również zamieszany w inne przestępstwa w tej okolicy. Włamanie do banku, napaść na furgonetkę z pieniędzmi...

– Nie mam pojęcia, co o tym myśleć – odparł Daniel. – Nie znam tego młodzieńca. Ale wiem, że nawet w najlepszych rodzinach są tajemnice. Może

jest słaby i łatwo ulega wpływom. Może popadł w długi i chciał za wszelką cenę je spłacić.

– Uważam, że to bardzo dziwne – stwierdziłam. – Szczególnie że panna Van Woekem opisała go jako delikatnego chłopca. Natury się nie zmieni, choćby nie wiem co. Nie sądzę, żeby łagodna osoba była w stanie zabić z premedytacją człowieka.

Daniel pokiwał głową.

– Też tak uważam. Może nie działał sam. Może był z nim ktoś brutalny, agresywny. Zobaczmy, co się nam uda dziś ustalić.

Zostawiliśmy bagna i wjechaliśmy w bardziej cywilizowaną okolicę, gdzie ziemia była uprawiana. Poletka obsadzono drzewami i przedzielono żywopłotem. W śniegu stały krowy i konie, skubiąc siano ze stogu. Z kominów prostą smugą szedł w niebo dym. Minęliśmy stawy pokryte lodem, a na nich łyżwiarzy próbujących szczęścia. Przed kościołami o strzelistych białych wieżach gromadzili się ludzie. To właśnie ta okolica została uwieczniona na rycinach firmy Currier and Ives<sup>[2]</sup>. Zafascynowana, przyglądałam się uroczym widokom. Rzadko miałam okazję wyjechać z Nowego Jorku, więc cieszyłam się każdą wycieczką do świata, o którym tak niewiele wiedziałam.

Pociąg zatrzymał się na kilku stacjach: Greenwich, Bridgeport i wreszcie New Haven. Kiedy wyszliśmy z budynku dworca przy Union Street, naszym oczom ukazało się zadbane miasteczko z kamienicami ustawionymi przy kilku placach. W niedzielę wyglądało na opuszczone; sklepy były zamknięte, a ulice puste. Wydawało się, że mieszkańcy śpią po długim, świątecznym obiedzie. Na ulicach nie zalegał śnieg, więc sprawnie przeszliśmy przez miasto, kierując się w stronę Yale.

Już z daleka widać było wieżę uniwersytecką. Weszliśmy do parku i zaniemówiłam. Widok był imponujący. W swoim krótkim życiu widziałam wprawdzie Dublin, a w nim Trinity College, ale budynki Yale, w różnych odcieniach czerwonej cegły, sprawiały wrażenie starszych i bardziej dostojnych. Tutaj też było pusto, jedynie od czasu do czasu alejkami spieszył jakiś student z książkami pod pachą. Zaczepiliśmy jednego z nich, pytając, gdzie mieszkał John Jacob Halsted. Spojrzał na nas z niechęcią, pewnie myśląc, że jesteśmy dziennikarzami lub zwykłymi gapiami, którzy przyszli nie wiadomo po co.



– Jesteśmy tutaj na prośbę rodziny – powiedziałam szybko i chłopak wskazał nam budynek dormitorium.

Portier popatrzył spode łba i początkowo nie wyraził zgody na rozmowę z kolegami Johna Jacoba, ale na szczęście zmienił zdanie, kiedy usłyszał, że Daniel jest oficerem policji z Nowego Jorku.

– Taka tragedia. – Pokręcił głową. – Wszyscy byliśmy w szoku. Nigdy bym go o coś takiego nie posądzał.

– Więc nie zaliczał się do lekkoduchów, którzy robią głupstwa?

Portier zmienił się na twarzy.

– Może i był głupi i lekkomyślny. Pamiętam, jak założył się z kolegami, że przejdzie po gzymsie dachu biblioteki. Wygrał i o mały włos nie wyleciał ze szkoły. Ale tak wygląda życie studenckie, czyż nie? Wszyscy studenci mają pstro w głowach. Nieraz widziałem, jak wracał do pokoju, będąc pod wpływem alkoholu. No i kiedyś próbował się włamać do dormitorium, bo przyszedł za późno, jak już była cisza nocna. Złapaliśmy go. Ale kradzież i zabójstwo? Nie sądzę.

– Jesteśmy tego samego zdania – powiedziałam. – Czy moglibyśmy porozmawiać z jego przyjaciółmi?

Spojrzał na mnie, jakbym była gadającą papugą, która nagle zaczęła recytować Szekspira.

– To rezydencja dla dżentelmenów – odparł. – Młodym kobietom wstęp wzbroniony.

– Prowadzę agencję detektywistyczną, która na prośbę rodziny bada zniknięcie pana Halsteda – oznajmiłam, patrząc mu prosto w oczy.

– Agencję detektywistyczną. Ciekawe. – Starzec podrapał się po głowie i dodał:

– Nie mogę zabronić wstępu policji, ale jeśli chodzi o agencję detektywistyczną, zwłaszcza prowadzoną przez kobietę, to musiałbym najpierw załatwić pozwolenie.

– To może ja będę zadawał pytania – powiedział szybko Daniel, czując, że zaraz się we mnie odezwie irlandzki temperament. – Oszczędzę panu w ten sposób zachodu z całym tym pozwoleniem.

– Tak jest, kapitanie. Będę zobowiązany. – Portierowi wyraźnie ulżyło. Wskazał nam wąskie schody. – Pójdzie pan na trzecie piętro i skręci w lewo. Pokój Johna Jacoba jest ostatni, a po obu stronach korytarza mieszkają jego najbliżsi przyjaciele. Z tego, co wiem, są tak samo zaskoczeni całą sytuacją jak ja, ale może któryś powie coś, co przybliży pana do rozwiązania tej zagadki. Policja z New Haven już nas nieźle wymaglowała.

– Będę o tym pamiętał – oznajmił Daniel i zwrócił się do mnie: – Chodź, Molly.

Okropnie się zdenerwowałam.

– Czy mogę ci przypomnieć, że to moje śledztwo, a ty mi tylko pomagasz?  
– warknęłam, wspinając się po skrzypiących drewnianych schodach.

– Sama widziałaś, jak to jest. – Daniel przystanął. – Wielu mężczyzn nie reaguje dobrze na pytania kobiety. Prędzej się czegoś dowiemy, jeśli powiemy im, że rozmawiają z urzędnikiem wysokiej rangi.

– W takim razie przynajmniej nie mów do mnie „Chodź, Molly”, jakbym była twoim psem.

– Przepraszam, panno Murphy. Czy byłabyś tak dobra i towarzyszyła mi w drodze na górę? – Popatrzył na mnie z uśmiechem. Najwyraźniej uważał, że cała ta sytuacja jest zabawna.

Ja natomiast pomyślałam, że mężczyźni są niemożliwi.

W budynku unosił się charakterystyczny zapach starego drewna, pasty do podłóg i tytoniu. Tak pachną wnętrza domów, które mają sto lub więcej lat – pomyślałam. Korytarz na piętrze był wąski, ciemny, wyłożony boazerią. Poszliśmy nim aż do końca.

– Przede wszystkim sprawdzimy, czy pokój Halsteda jest otwarty – zaproponowałam. – Może zostawił list lub notatkę, która mogłaby się okazać cenną wskazówką.

– Dobry pomysł. – Daniel dotknął klamki. Drzwi otworzyły się i weszliśmy do środka. – Jestem pewien, że miejscowa policja już tu wszystko obejrzała.

– Mogli coś przeoczyć – zauważyłam, przeglądając dokumenty na biurku.

John Jacob wydawał się dość porządny, bo papiery leżały w zgrabnej kupce. Chyba że to policja zostawiła je w takim ładzie... Znalazłam sporo notatek z filozofii i religii. Z komentarzy na marginesach wywnioskowałam, że pan Halsted nie był wcale tak powierzchowny, jak sądziła jego ciotka. Podobnie jak wielu chłopców w jego wieku zaczynał właśnie rozmyślać nad sensem życia. Złapałam się na tym, że z całego serca życzę mu bezpiecznego powrotu do domu, mając nadzieję na jakieś logiczne wyjaśnienie zagadki rozbitego samochodu, bez żadnego związku z kradzieżą i morderstwem.

Górna szuflada biurka przedstawiała drugą stronę medalu, tę, która tak bardzo nie podobała się pannie Van Woekem. W licznych pudełkach Daniel natknął się między innymi na programy lokalnych wyścigów konnych i bilety do teatru. Najwyraźniej pan Halsted nie spędzał zbyt często wieczorów na nauce.

– Wydaje się, że ma naprawdę sporo długów – oznajmił Daniel. – Ale po tym, co usłyszałam od panny Van Woekem, wcale mnie to nie dziwi. Krawiec. Trzy nowe koszule. Sprzedawca win. Ma u niego dług na pięćdziesiąt dolarów! I spójrz na ten rachunek od jubilera. Osiemdziesiąt dolarów. Też z odroczoną płatnością. Nie wiadomo za co – podsumował Daniel i zamknął pudełko. – To dla policji dowód na to, że chłopak bardzo potrzebował pieniędzy i żeby je zdobyć, mógł się posunąć do wszystkiego.

– Nie można zakładać, że nie był w stanie płacić rachunków – zauważyłam. – Uznajmy, że są to wyjątki, które miał uregulować pod koniec

miesiąca. Może mógł sobie pozwolić na taki styl życia dzięki hojnym datkom od rodziców.

– Masz rację – zgodził się Daniel. – Kiedy wrócimy do Nowego Jorku, zadzwonię do Halstedów. Jeśli tylko pani pozwoli, proszę pani.

– Pozwolę. – Uśmiechnęłam się do niego.

Daniel podszedł do szafy i zajrzał do środka.

– Ma sporo ubrań – powiedział. – Nie widzę jednak żadnego stroju wieczorowego. Dziwne, bo przecież sporo się udzielał w towarzystwie.

– Może miał go na sobie tego feralnego wieczoru.

– Owszem. Ale to by oznaczało, że nie planował żadnej ucieczki. Ciężko uciekać w smokingu, poza tym łatwo takiego delikwenta namierzyć.

Zaczęłam przeglądać kieszenie marynarek i natknęłam się na mały pamiętnik. Większość wpisów była prozaiczna: *Filoz. Oddać esej, Porozmawiać z Hammershamem o 10, Lunch z Brodarterem*. Dziwnie się czułam, czytając notatki dotyczące bieżącego tygodnia i wiedząc, że John Jacob nie stawi się na spotkania. Sprawdziłam tamten wieczór. *A i J? Zapytać S?*

– Zastanawiam się, kogo lub co oznaczają litery „A” i „J” – powiedziałam. – „S” może oznaczać nazwisko Silverton. Czy panna Van Woekem powiedziała ci, że chłopak przyjaźnił się z Harrym Silvertonem?

Daniel kiwnął głową.

– Tak, mówiła. Wiemy też, że świadkowie widzieli, jak około północy samochód Halsteda z dużą prędkością opuszczał posiadłość Silvertonów. Powinniśmy odwiedzić tę rodzinę dzisiaj. Przejrzę jeszcze komodę i kosz na śmieci. I nie zaszkodzi zajrzeć pod łóżko.

– Mam uklęknąć?

– Jesteś młodsza i bardziej zwinna niż ja.

– Ale mam na sobie spódnicę i halkę – zauważyłam. – Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się, jak trudno jest mi robić to wszystko, co mężczyznom nie sprawia żadnego kłopotu? Spróbuj kiedyś wyskoczyć z tramwaju w spódnicy albo wspiąć się po linie.

- Większość kobiet nie robi takich rzeczy.
- Ale ja robię. Będę musiała zacząć częściej nosić spodnie.

Daniel uniósł brwi.

– Niech ci będzie. Zajrzę pod łóżko. Założę się, że tak naprawdę boisz się pająków.

– Wcale nie. Wiesz, że wychowałam się na wsi. Pająki to dla mnie nic nadzwyczajnego.

Wysunęłam górną szufladę komody. W skórzanym pudełku znalazłam złote spinki do mankietów, kołnierzyki i sygnet z czarnym kamieniem. Obok znajdował się zestaw szczotek w srebrnym puzderku. Pan Halsted lubił ładne przedmioty. Chusteczki miały monogram, a bielizna była starannie złożona w kostkę. Albo bardzo dbał o porządek, albo usługiwał mu lokaj – pomyślałam. W komodzie nie znalazłam nic podejrzanego, Daniel pod łóżkiem odkrył jedynie kurz, a kosz na śmieci okazał się pusty. Wyszliśmy z pokoju i stanęliśmy w ciemnym korytarzu.

– Spróbujmy porozmawiać z przyjaciółmi – powiedział Daniel, ale kiedy ruszyłam w stronę najbliższych drzwi, złapał mnie za ramię.

– Lepiej będzie, jeśli to ja zapukam – szepnął. – Młodzi mężczyźni mogą się zmieszać, widząc przed drzwiami młodą, ładną kobietę. Nie chcemy, żeby wyciągnęli fałszywe wnioski.

– Dobrze – odparłam. – Niech ci będzie. Nie mam nic przeciwko temu. Zadawaj im pytania. Masz więcej doświadczenia ode mnie. Z pewnością czegoś się od ciebie nauczę.

Daniel przyjrzał mi się uważnie, próbując ocenić, czy mówię serio, a potem skinął głową i podszedł do drzwi. Otworzył je rudy młodzieniec o zmęczonych oczach. Miałam wrażenie, że właśnie go obudziliśmy.

– Nie znam was – oznajmił na wstępie. – Pomyliliście pokoje.

– Rozumiem, że jesteś jednym z przyjaciół Johna Jacoba Halsteda – powiedział Daniel ze stanowczością właściwą jedynie policjantom.

Student zmienił się na twarzy.

– Jednym z wielu przyjaciół – wymamrotał. – JJ był duszą towarzystwa.

– Dlaczego „był”? – zapytał Daniel. Ja też na to zwróciłam uwagę. – Sądzisz, że John Jacob nie żyje?

– Albo nie żyje, albo świętuje w Ameryce Południowej – stwierdził chłopak beztrąsko, ale zaraz spoważniał. – Mam nadzieję, że temu idiocie nic się nie stało.

– Czy zgodzisz się, żebyśmy weszli na chwilę i zadali ci parę pytań?

– Jesteście z policji? Już raz mnie przepytawali.

– Jesteśmy z Nowego Jorku – powiedział wymijająco Daniel. – Działamy w imieniu rodziny pana Halsteda, która bardzo się o niego martwi.

– Rozumiem. – Wzrok chłopaka spoczął teraz na mnie. – Pani zna JJ?

– Jestem przyjaciółką jego ciotki, która bardzo chce dowiedzieć się prawdy – odparłam. – Do tej pory opieraliśmy się tylko na plotkach.

– Możecie wejść – oświadczył rudzielec. – Przepraszam za nieporządek, ale wczoraj trochę zabalowałam. Wróciłem o czwartej nad ranem. Musiałem wchodzić przez okno.

Wprowadził nas do pokoju, w którym panował okropny bałagan. Powędrowałam wzrokiem od niepościelonego łóżka, przez sterty ubrań porzrzucanych na podłodze, aż do brudnych szklanek na stole.

– Przepraszam – powtórzył.

– Jak masz na imię? – zapytał Daniel. – Moje nazwisko Sullivan, a to panna Murphy.

– Ronnie – odparł chłopak. – A dokładnie Ronald Farmington Czwarty. Z Bostonu.

– Oczywiście. – Daniel się uśmiechnął. – Jesteś dobrym przyjacielem Johna Jacoba, prawda?

– Tak. Bertie, JJ i ja tworzymy zgraną paczkę. Od pierwszego dnia na uniwersytecie.

– Czy Bertie zajmuje pokój naprzeciwko?

– Owszem.

– Czy jest teraz u siebie?

– Raczej tak. Musi jutro oddać esej, a wrócił tak samo późno jak ja. Pewnie siedzi, biedak, i pisze.

– W takim razie pójdę po niego – oznajmił Daniel. – Tym sposobem nie będziemy musieli dwa razy zadawać tych samych pytań.

Ronnie, czerwony jak burak, uprzątnął kilkutygodniowy stos śmieci z fotela i zaproponował, bym usiadła. Akurat wrócił Daniel z Bertiem, który okazał się rośłym młodzianem o okrągłej, dziecięcej buzi.

– Wreszcie ktoś się tym zajął – oznajmił na wstępie. – Cieszę się i mam nadzieję, że uda się wam odnaleźć JJ.

– Powiedźcie nam wszystko o tej feralnej nocy – poprosił Daniel.

Bertie zmarszczył czoło.

– To się wydarzyło w tygodniu – powiedział. – JJ zajrzał do mnie i obwieścił, że wybiera się do teatru na premierę jakiegoś nowego musicalu.

– Rozumiem, że interesował się teatrem – wtrącił Daniel.

– Interesował się życiem nocnym wszelkiego rodzaju: rewiami, wodewilami i kabaretami. Lubił ładne dziewczyny w skąpych kostiumach. To przede wszystkim dla nich tam chodził.

– Pamiętacie, do którego teatru się wybierał?

Bertie pokręcił głową.

– Nie pytałem. Wychodził tak często, że nie przyszło mi do głowy zapytać. Może tobie mówił, Farmington?

– Ja mu tylko zwróciłem uwagę, że go w końcu wyrzucą, jeśli znów będzie wchodził do pokoju przez okno, ale on tylko powiedział: „Nie pękaj, stary. Od czego ma się przyjaciół? Nic się wam nie stanie, jak od czasu do czasu wpuścicie mnie do środka”.

– Zgodziłeś się to zrobić?

– Tak, oczywiście. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego, choć nieraz przypominaliśmy mu o tym, że jest esej do napisania.

– Uśmiechnął się do nas, tak jak on to potrafił, i stwierdził, że ten nocny wypad na pewno mu się opłaci – dodał Bertie.

– To znaczy? Chodzi o to, że chciał się z kimś spotkać? – zapytałam. –

Z jakąś dziewczyną?

Popatrzyli na mnie, zdziwieni, że włączyłam się do rozmowy.

– Niewykluczone – odparł Ronnie. – Ciągłe się zakochiwał.

– Ale nie powiedział, z kim ma się spotkać?

– Nie powiedział, a ja nie dopytywałem. Mam dość własnych problemów na głowie. Spieszyłem się z esejem, ojciec suszył mi akurat głowę w sprawie ocen.

– Czy w mieście jest wiele teatrów? – spytał Daniel.

– Tylko trzy... no, cztery, licząc wodewilowy.

– Więc ktoś mógł zapamiętać, że tam był, skoro często odwiedzał takie miejsca.

– Owszem – zgodził się Ronnie.

– Zakładam, że nie wrócił do domu zaraz po przedstawieniu?

Bertie potrząsnął głową.

– Czekaliśmy, żeby go wpuścić. Zawsze rzucał kamykiem w okno Ronniego i któryś z nas biegł na dół, żeby otworzyć tam okno, przez które mógł wejść do środka.

– Wybiła druga nad ranem, a jego ciągle nie było – dodał Ronnie. – W końcu stwierdziliśmy, że pies go trącał, i poszliśmy spać, bo następnego ranka mieliśmy wczesne zajęcia. A rano okazało się, że nie wrócił. I pamiętasz, Bertie, powiedziałaś wtedy: „Pewnie poszedł nocować do jakiejś panny”. Potem o wszystkim zapomnieliśmy, aż przyjechała policja.

– Jak zareagowaliście, kiedy policjanci was poinformowali, o co się go podejrzewa? – spytał Daniel.

– Nie mogliśmy w to uwierzyć – odrzekł Bertie. – Powiedzieliśmy im, że JJ nigdy by się nie włamał do żadnego domu, a już zwłaszcza do domu przyjaciela. Mógł mieć swoje wady, ale był lojalny do bólu. A jeśli chodzi o strzelanie, to przecież nawet nie miał broni. Wiem, bo raz żartowaliśmy na ten temat. Podobała mu się pewna dziewczyna, ale chodziła z innym chłopakiem i JJ kiedyś stwierdził: „Mógłbym go wyzwać na pojedynek, ale nie mam pistoletu, więc to nie jest dobry pomysł. A poza tym nawet gdybym



miał broń, nie jestem pewny, czy potrafiłbym oddać prosty strzał”.

– I dlaczego JJ miałby cokolwiek kraść? – wtrącił Ronnie. – Srebro, biżuterię i tym podobne. O co tylko poprosił rodziców, prawie zawsze to dostawał. Mieli do niego słabość, a on wiedział, jak ich podejść.

– Może chodziło o długi, które trzymał w tajemnicy przed rodzicami?

Zauważyłam, jak chłopcy wymieniają szybkie spojrzenia.

– Lubił hazard – oznajmił cicho Bertie. – Grywał w karty na pieniądze. Ale nie zwierzał się nam, czy chodziło o duże sumy.

– Podobno dom, do którego było to włamanie, należał do przyjaciela Johna Jacoba, niejakiego Silvertona – zauważyłam. – Znacie go?

– Tylko trochę. Kończył studia, kiedy zaczęliśmy pierwszy rok. Zaprzyjaźnili się, grając w polo. Obydwaj mieli hyzia na punkcie koni.

– Czy Halsted wam mówił, że ma zamiar odwiedzić Silvertona tamtego wieczoru?

Chłopcy pokręcili głowami.

– Nie wspomniał o tym – odparł Bertie. – Jak już mówiłem, obaj mieliśmy sporo na głowie, byliśmy zirytowani, że JJ wychodzi, kiedy powinien się uczyć. Ronnie mu to powiedział. Ostrzegł, że w końcu go wyrzucą.

– A JJ tylko się roześmiał i stwierdził, że zamieniamy się w stare próchno.

– Czy John Jacob spędzał dużo czasu z tym Silvertonem? – spytał Daniel. – Czy chodzili razem do teatru?

– Nie, raczej na wyścigi – odrzekł Bertie. – Z tego, co wiem, Silverton był dla Johna raczej jak starszy brat, którego się podziwiał. Nie kumlowali się tak jak my.

– Jeśli się kogoś podziwiał, to nie wynosi mu się z domu cennych przedmiotów – zauważyłam.

– Mówiłem już, że JJ nigdy by nie okradł przyjaciela – powiedział stanowczo Bertie. – Gdyby na serio potrzebował pieniędzy, napadłby na bank. To było w jego stylu.

– Ciągłe mówisz o nim w czasie przeszłym – odnotował Daniel. – W głębi duszy chyba myślisz, że nie żyje.

– Gdyby żył, już by się tu pojawił – oświadczył smutno Ronnie. – Nie chciałby martwić swoich przyjaciół.

– Powiedzcie nam o tym samochodzie – poprosiłam. – To jedyna rzecz, która łączy go z przestępstwem. Wiadomo, że w pośpiechu wyjeżdżał spod rezydencji Silvertonów i że po wypadku znaleziono pod siedzeniem jeden ze skradzionych przedmiotów. Czy to możliwe, że pozwolił usiąść za kierownicą komuś innemu?

Chłopcy wymienili spojrzenia, a potem zachichotali.

– Cadillac był jego dumą i radością. JJ nikomu nie pozwalał go dotknąć. Każdą wolną minutę spędzał przy tym samochodzie, polerując karoserię.

– Lubił szybko jeździć?

– O tak! Bardzo – odparł Ronnie. – „Sprawdźmy, czy wyciągnie trzydzieści pięć”. Ciągle to powtarzał. Nieźle nas czasem potrafił wystraszyć. Ostro brał zakręty, nie bacząc na powozy i konie na drodze.

– Więc nie byliście zupełnie zaskoczeni, słysząc, że rozbił auto na drzewie? – spytał Daniel.

– Nie powinien był jeździć nocą – odpowiedział Bertie. – Drogi były diabelsko oblodzone. Mówiłem mu, że szarżuje, ale on powtarzał, że cadillac ma stabilne kopyta. Mówił o tym aucie, jakby było żywym stworzeniem.

– Co w takim razie się stało? Jak myślicie? – zapytałam.

Bertie niepewnie spojrzał na Ronniego.

– Myślę, że rozbił auto, szedł po pomoc, zabłądził i zamarzł – oznajmił. – Tylko w to jestem w stanie uwierzyć.

– Czy dowiedzieliśmy się czegoś ważnego? – zapytał Daniel, kiedy wyszliśmy z dormitorium i skierowali kroki w stronę centrum miasta. – Coś mi się zdaje, że nie za bardzo...

– Chłopcy potwierdzili tylko to, co już podejrzewaliśmy – zauważyłam. – Nie obrabowałby domu przyjaciela. Nikogo by nie zastrzelił. Prawdopodobnie nie potrzebował pieniędzy.

– Wiemy, że planował wizytę w teatrze – oznajmił Daniel. – Szkoda, że dziś niedziela. Teatry są zamknięte. Musimy tu wrócić innego dnia.

Coś mnie zastanowiło, kiedy weszliśmy do parku.

– Skoro zamierzał zabrać dziewczynę do teatru, to dlaczego pojechał do Silvertonów? Albo spotykasz się z dziewczyną, albo z kumplami. Co by razem robili w mieście do późnej nocy?

– Może chodziło o dziewczynę pewnego pokroju – powiedział Daniel. – Nie wszyscy młodzi ludzie zachowują się jak aniołki.

– Jeśli tak było, jak mówisz, to po co mu auto? Jestem pewna, że dziewczyna miała jakiś pokój w mieście.

– Skąd ty możesz o tym wiedzieć? – zapytał.

– Ja? Wiem co nieco o życiu prostytutek. Dzieliłam kiedyś z nimi więzienną celę.

Daniel z dezaprobatą pokręcił głową.

– W gruncie rzeczy jakie to ma znaczenie, czy się z nią spotkał, czy nie – ciągnęłam. – Jeśli dała mu kosza i nie przyszła, mógł zmienić plan i pojechać do przyjaciela.

– Możliwe – zgodził się Daniel. – W każdym razie powinniśmy teraz odwiedzić Silvertonów i dowiedzieć się, co naprawdę wydarzyło się tamtej nocy. Chciałbym również usłyszeć, co ma do powiedzenia policja z New Haven, ale czy powinienem z nimi rozmawiać, biorąc pod uwagę moją obecną sytuację?

– Mogę to zrobić za ciebie – zaproponowałam.

– Nie sądzę, by podzielili się wiedzą z prywatnym detektywem – prychnął Daniel.

– A może wykorzystalabym swój kobiecy wdzięk?

– Nie dadzą się zwieść. W policji mamy specjalne szkolenia z tego, jak postępować z kobietami.

– Ty się mojemu urokowi nie oparłeś – zauważyłam z uśmiechem. – Właśnie wtedy, kiedy powinienesz mnie wsadzić za kratki.

– Tak sobie myślę, że jednak lepiej będzie porozmawiać dyskretnie z którymś z kolegów w Nowym Jorku. Poproszę, żeby dowiedział się czegoś na temat tej sprawy.

– A jak dostaniemy się teraz do posiadłości Silvertonów? – zapytałam. – Rozumiem, że leży gdzieś pomiędzy New Haven i Bridgeport.

– Wrócimy na stację i zobaczymy, czy znajdzie się jakiś powóz, który może nas tam zabrać.

– Jestem głodna – stwierdziłam. – Czy policjanci nigdy nie jedzą?

– Na służbie nie jedzą – powiedział Daniel. – Ale skoro słaba płeć nie daje rady...

– W porządku. Jeśli ty wytrzymasz, ja również obędę się bez obiadu. Zresztą i tak wszystko jest tu pozamykane.

– Może Silvertonowie czymś nas podejną – zauważył. – Chociaż w ogóle nie wiem, czy to najlepsza pora na podróż. Spójrz na te chmury.

Podczas naszej wizyty w dormitorium nadciągnęły od wschodu ciężkie ciemne chmury, zapowiadając kolejne opady śniegu. Z jednej strony chciałam już wracać do miasta, ale z drugiej wiedziałam, że nieprędko trafi się okazja znów tu przyjechać. Nie zamierzałam zostawiać tej sprawy tylko w rękach Daniela.

– Nic nam nie będzie – powiedziałam. – Pod warunkiem, że znajdziemy zamknięty powóz. Pamiętam, jak ostatnio przemokłam w Irlandii. Nie chcę tego powtarzać.

Na dworcu stało kilka powozów. Konie były przykryte derkami, a właściciele schowali się pod wiatą przed zimnym wiatrem. Jeden z nich wstał niechętnie na nasz widok.

– Potrzebny powóz, proszę pana?

– Musimy dotrzeć do posiadłości państwa Silvertonów – oznajmił Daniel. – To jest w kierunku Bridgeport, jak rozumiem? Znasz drogę?

– Wiem mniej więcej, gdzie to jest – odpowiedział mężczyzna. Był chudy i miał czerwone z zimna policzki. – To kawał drogi. Nie wiem, czy chcę ruszać konia w taką pogodę.

– No, skoro tak – odparłam – to może wskaż nam miejsce, gdzie da się wypożyczyć dwukólkę.

– Nie powiedziałem, że nie pojedę – wycofał się szybko woźnica. – To sprawny koń, ale droga długa. Tanio nie będzie.

– Chyba nie ma tu zbyt wielu chętnych na przejażdżkę – zauważyłam. – Podaj cenę, a zdecydujemy, czy nas stać.

– Zawiozę za dwa dolary, proszę pana – zwrócił się do Daniela.

– Dwa dolary... – zaczęłam, ale Daniel położył mi dłoń na ramieniu.

– W porządku. Jedźmy od razu, bo za chwilę spadnie śnieg.

Woźnica pomógł mi wsiąść do powozu i rozłożyć koc na kolanach.

Daniel usadowił się obok.

– Potrafisz negocjować – stwierdził.

– Cieszę się, że w końcu to zauważyłeś. Nie jestem kobietą, która lubi tylko leżeć i pachnieć. Muszę sobie sama radzić w wielkim mieście. Prowadzę własną firmę, dzięki czemu sporo się nauczyłam.

Ruszyliśmy. Tętent kopyt na kocich łbach odbijał się echem w pustych alejach. Centrum miasta ustąpiło wkrótce miejsca wąskim ulicom, przy których stały szeregowy domy robotników. Na zewnątrz wisiało sztywne od mrozu pranie, a grupki dzieci bawiły się w resztkach brudnego śniegu. Po jakimś czasie miasto zostało za nami. Pokonaliśmy most nad skutą lodem rzeką, która chłopcom służyła za ślizgawkę. Skończyła się dobra droga i wjechaliśmy na zwykły trakt. Zamarznięta ziemia chrzęściła pod kołami.

Jeśli to jest szlak do Nowego Jorku – pomyślałam – to czemu, do diaska, John Jacob Halsted zdecydował się jechać tędy swoim drogocennym autem? Na dodatek z dziewczyną na fotelu pasażera. Musiało ich powytrząsać za

wszystkie czasy.

Jakieś półtora kilometra za miastem woźnica zatrzymał się przy gospodzie, by zapytać o drogę.

– Tuż za następnym zakrętem – oznajmił z ulgą na twarzy.

Mineliśmy rząd drzew, chyba wiązów, choć trudno było to ocenić po nagich gałęziach, i podjechaliśmy pod elegancką bramę. Wrota z kutego żelaza okazały się zamknięte. Z dala widać było półkolisty podjazd oraz imponujący dom z szarego kamienia. Miał trzy kondygnacje i wieżyczkę w jednym rogu. Woźnica zatrzymał konia.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił. – Chcecie tam wejść?

– Oczywiście. Po to tu jesteśmy – powiedział szybko Daniel.

– Oczekują was?

– Nie, ale jesteśmy przyjaciółmi rodziny.

– Podobno po tym, co się stało, gonią wszystkich ciekawskich. Słyszeliście, prawda? Jakiś młody człowiek obrabował ich z całego srebra i biżuterii. I zastrzelił lokaja, który służył w tym domu od przeszło dwudziestu lat.

– Tak, słyszeliśmy – powiedziałam.

Daniel zeskoczył i podał mi rękę.

– Mam poczekać? – zapytał woźnica.

Widziałam, że Daniela coraz bardziej irytuje jego ton.

– Przecież nie będziemy wracać do miasta na piechotę – warknął.

– Zabawimy tu najdłużej pół godziny – oznajmiłam. – Proszę jechać do gospody i napić się czegoś ciepłego. Potem się tutaj spotkamy.

– Dobrze, proszę pani – odparł, lekko się kłaniając.

Zawrócił konia, a my podeszliśmy do bramy. Daniel otworzył wrota i puścił mnie przodem.

– Na brak pieniędzy chyba nie mogą narzekać – szepnęłam, obejmując wzrokiem dom i otaczający go teren. – Co wiesz o Silvertonach? Jak dorobili się fortuny?

– Dostarczali broń obu stronom wojny secesyjnej, a potem armii Stanów Zjednoczonych.

Nie zdążyliśmy jeszcze dotrzeć na dziedziniec, gdy otworzyły się drzwi frontowe i naszym oczom ukazał się młodzieniec ze strzelbą wycelowaną w naszą stronę.

– Żadnych reporterów! Wynocha stąd, bo zacznę strzelać! – krzyknął.

– Harry Silverton?! – zawołał Daniel. – Proszę, odłóż broń. Przysyła nas rodzina Johna Jacoba Halsteda.

– Nie chcemy mieć nic wspólnego z tą kreaturą – powiedział Harry, ale opuścił strzelbę.

– Zależy nam, by poznać prawdę – odezwałam się. Stałam przed Danielem. Uznałam, że Harry chętniej porozmawia z kobietą. – To kapitan Sullivan z policji w Nowym Jorku, a ja nazywam się Molly Murphy. Rodzina Halsteda bardzo martwi się całą sytuacją. Rozbity samochód znaleziono już prawie tydzień temu, a po Johnie wciąż ani śladu.

– Przecież to jasne jak słońce, co się z nim stało. Zwiął z łupem. Rozbija się teraz na jakimś statku do Ameryki Południowej.

– Czy możemy wejść na chwilę i porozmawiać? – zaproponowałam. – Wszystko, co dotychczas słyszeliśmy, to strzępy tej historii. I na dodatek same plotki.

– Dobrze. Zapraszam. – Harry Silverton zaprowadził nas do przestronnego holu o marmurowych ścianach. Na podłodze stały rzymskie posągi i palmy w donicach. – Wejdźcie, proszę, do pokoju dziennego. W salonie jest mama, a nie chcę jej dodatkowo denerwować po tym, co przeszła.

Otworzył drzwi po lewej stronie i znaleźliśmy się w pokoju, który stanowił dolną część wieży. Z okien roztaczał się widok na ogród, ściany były oklejone tapetami w chińskie wzory. Latem – wyobraziłam sobie – kiedy pokój tonie w słońcu, musi być w nim pięknie. Dziś panował tu chłód, bo w kominku nie palił się ogień. Silverton wskazał ręką wiklinowe fotele; ja usiadłam, ale Daniel wołał stać.

– Nie chcemy panu zabierać czasu. Mamy zaledwie kilka pytań – powiedział. – Jak dobrze zna pan Halsteda?

– Myślałem, że jesteśmy dobrymi przyjaciółmi – oznajmił Harry Silverton

lodowatym tonem. – Poznałem go na ostatnim roku studiów w Yale. Dołączył do naszego klubu polo. Świetnie mu szło. Zapraszałem go do domu na posiłki i pozostaliśmy w kontakcie, kiedy skończyłem studia i zacząłem pracę w firmie ojca. Czasem jeździliśmy razem konno albo chodziliśmy na wyścigi.

Zamilkł, wpatrzony w śnieżną scenerię za oknem.

– Chcemy po prostu usłyszeć, co się stało tamtej nocy – powiedziałam. – Rozmawialiśmy już z przyjaciółmi Johna Jacoba i według nich wybierał się do teatru. Czy później zmienił zdanie?

– Nie, rzeczywiście był w teatrze. Potem zadzwonił do mnie. Była dziesiąta trzydzieści, a może nawet bliżej jedenastej. Zapytał, czy nie chciałbym się zabawić i zjeść późnej kolacji na mieście. Najpierw odmówiłem. Noc była mroźna, a ja okropnie zmęczony. Cały dzień pracowałem w fabryce, składając w pośpiechu pilne zamówienie. Oznajmiłem, że jest za późno na kolację, zwłaszcza w tygodniu. Ale JJ nie lubił, jak mu się odmawiało. Powiedział, że pożałuję, bo już zarezerwował dla nas stół w Angelico, a poza tym przygotował dla mnie miłą niespodziankę.

– Czy zdradził, co to za niespodzianka?

– Zrozumiałem, że chodzi o kobiece towarzystwo. Powiedział, że będziemy dobrze się bawić. Nawet zaproponował, że przyjedzie po mnie swoim nowym autem, więc zgodziłem się, choć niechętnie, i poszedłem na górę przebrać się w smoking.

Harry Silverton przysiadł na krześle naprzeciw mnie i kontynuował, spoglądając na swoje dłonie.

– Wyszykowałem się do wyjścia, ale jego ciągle nie było, więc szczerze powiedziawszy, trochę się zdenerwowałem. Potem usłyszałem ryk silnika. Auto z impetem zakręcało na podjeździe. Podszedłem do okna sypialni. Było ciemno, ale rozpoznałem samochód JJ... No cóż, ostatnio rozbijał się nowym autem, marki Cadillac, w dodatku o czerwonej karoserii. Zdziwiłem się, że odjeżdża, jakby go ktoś gonił. Skręcił w stronę Bridgeport. Jeszcze bardziej mnie zirytowało, że nie zaczekał, aż wyjdę, a przecież tak długo się szykowałem. Wściekły, rozebrałem się i poszedłem spać. Rano obudził mnie przeraźliwy wrzask. Zbiegłem na dół i napotkałem rozhisteryzowaną pokojówkę. Rozpalała ogień w kominku i znalazła naszego lokaja Cransona, leżącego na podłodze w pomieszczeniach dla służby. Najpierw myśleliśmy, że



miał atak serca lub udar. Kiedy go odwróciłem, ujrzałem kałużę krwi. Zrozumieliśmy, że został zamordowany.

Przerwał i podniósł na mnie wzrok.

Popatrzyłam nań ze współczuciem.

– To musiał być dla pana straszny wstrząs.

– To prawda. Biedny, wierny sługa. W życiu nie skrzywdził nawet muchy, a zginął z rąk zwyrodnialca.

– Ale nie słyszał pan wystrzału? – spytał Daniel.

– Pokoje dla służby znajdują się w piwnicy, a mieszkanie lokaja na tyłach domu, z dala od pomieszczeń, których używamy w zimie. Przypuszczam, że kiedy padł strzał, wszyscy uznali, iż to tylko samochód. Ja w każdym razie nic nie słyszałem. Może akurat brałem prysznic, przygotowując się do wyjścia.

– A może strzał padł, kiedy pan spał?

– Teoretycznie to możliwe – powiedział Harry ostrożnie. – Choć już wiemy, co jeszcze się stało tamtej nocy. Zniknęło całe srebro i precjoza mojej matki. Włamywacz zabrał wszystkie wartościowe przedmioty.

– Jakim cudem służba nic nie usłyszała? – zapytałam.

Harry pokręcił głową.

– Wszyscy byli już w łóżkach. Cranson zwykł spędzać wieczór w kuchni, gdzie siedział zawsze ze szklanką whisky, potem szedł do siebie. Zaskoczył włamywacza, więc musiał zginąć.

– Jest pan pewny, że napastnikiem był JJ Halsted? – spytałam.

– A któż by inny? – odparł zdecydowanym tonem. – To był jego samochód, zawsze jeździł nim bardzo szybko. Kiedy policja znalazła auto na drzewie w drodze do Nowego Jorku, okazało się, że pod fotelem leży sosjerka.

– Czy ktoś oprócz pana widział, jak auto opuszcza podjazd?

– Nie, tylko ja. Tutaj na wsi chodzimy spać z kurami. Ojciec wcześniej zaczyna pracę, więc zwykle przed dziesiątą jesteśmy już w łóżkach. Służba nawet wcześniej, bo przecież musi wstać przed nami.

– Czy pan naprawdę myśli, że pański przyjaciel, pan Halsted, mógł

zastrzelić kamerdynera? – zapytał Daniel.

– A co mam myśleć? – Harry podniósł głos. – Potrafię liczyć do trzech. Widziałem samochód Halsteda na naszym podjeździe. Część łupu znalazła się pod siedzeniem cadillaca i ktoś zastrzelił kamerdynera.

– Ale skoro zamierzał was okraść, po co dzwonił, żeby zaanonsować swoje przybycie? – zauważyłam. – W ten sposób mógł postawić dom na nogi, a raczej potrzebował ciszy i spokoju...

Harry zmarszczył brwi, zastanawiając się nad moimi słowami.

– Mogę tylko przypuszczać, że dopiero tu, na miejscu, ten pomysł przyszedł mu do głowy. Może skusiły go otwarte drzwi i wszedł do środka. Może jakiś przedmiot przykuł jego wzrok, coś ze srebra... Może akurat cierpiał na niedobór gotówki. Pomyślał: czemu by nie? Potem zdecydował się pójść na całość i zabrać wszystko, co wpadło mu w ręce. Znał wartość tych przedmiotów, bo mój ojciec pokazał mu kiedyś całą kolekcję.

– Czy jest prawdopodobne, by pan Halsted cierpiał na brak pieniędzy? – spytał Daniel. – Słyszałem, że rodzice spełniali wszystkie jego zachcianki. Z tego, co mi wiadomo, nie miał też broni palnej.

Harry pokręcił głową.

– Nie wiem. Po prostu nie wiem. Trudno mi to wszystko zrozumieć. Halsted był dobrym przyjacielem i z ręką na sercu mogę powiedzieć, że mu ufałem. Takie zachowanie nigdy nie było w jego stylu. Ale może wziął coś, co negatywnie wpłynęło na jego osobowość.

– Wziął coś? – powtórzył z niedowierzaniem Daniel. – Ma pan na myśli środki odurzające?

– Nie był uzależniony. Dobry Boże, tego nie powiedziałem. Ale lubił eksperymentować i próbować nowych rzeczy. Wiem, że kosztował kokainy i opium, bo mi się zwierzał. Jeśli istnieje jakiś środek, który całkowicie potrafi odmienić człowieka, to może Halsted coś takiego zażył i mamy rozwiązanie naszej zagadki.

– O czymś takim nigdy nie słyszałem – odparł Daniel. – Znam leki, które sprawiają, że człowiek staje się śmielszy i może mieć zaburzone postrzeganie dobra i zła. Nie czytałem jednak o niczym, co potrafi zmienić charakter, chyba że w książkach Roberta Stevensona. Niemniej jednak doktor Jekyll

i pan Hyde to czysta fantazja.

– W takim razie nie wiem, co jeszcze powiedzieć – stwierdził Harry. – Słyszeliśmy od policjantów, że to nie była jedyna kradzież w okolicy. Tego samego dnia ktoś próbował obrabować bank w New Haven i podobno musiała to być ta sama osoba, bo kula, która trafiła pracownika banku, była identyczna z tą, od której zginął Cranson.

– Czy sądzi pan, że tego niecnego czynu także dopuścił się pański przyjaciel?

Harry wzruszył ramionami.

– Uwielbiał dreszczyk emocji. Słyszeliście o tym, jak się założył, że przejdzie po parapecie biblioteki? Szarżował podczas jazdy samochodem, nie bał się ryzyka. Może uznał, że najwyższy czas spróbować napadu?

– Ale czy mógł posunąć się do przemocy? Ciotka opisuje Halsteda jako delikatnego chłopca.

Harry pomyślał przez chwilę, a potem skinął głową.

– Trudno uwierzyć, że zamordował z zimną krwią. Ale czy jest jakieś inne logiczne wyjaśnienie?

– Mamy nadzieję poznać prawdę, panie Silverton. – Daniel położył mi dłoń na ramieniu.

– Panie Silverton – odezwałam się. – Mówił pan, że noc była ciemna. Czy może pan przysiąc, że pojazd na podjeździe należał do Halsteda?

– Nie widziałem kierowcy, ale samochód wyglądał dokładnie tak jak ten, który Halsted z dumą zaprezentował mi zaledwie tydzień wcześniej. Takich aut nie widuje się jeszcze na ulicy. Mogę na to przysiąc w sądzie. Proszę pamiętać, że policja znalazła pod siedzeniem skradziony przedmiot. Skąd by się tam wziął, gdyby Halsted był niewinny?

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Westchnęłam.

– Obiecuję, że poznamy prawdę. Znajdziemy JJ Halsteda i dowiemy się, jak to naprawdę było.

– Życzę wam powodzenia – powiedział. – Byłbym szczęśliwy, gdyby się okazało, że mój przyjaciel nie ma nic wspólnego z tymi okropnymi przestępstwami, ale obawiam się, że nie znajdziecie innego wytłumaczenia.

Odprowadził nas do drzwi, a potem patrzył, jak schodziliśmy po schodach. Powóz czekał w umówionym miejscu. Zaczął padać śnieg.

Wcześniej pogoda była dla nas łaskawa, ale jak wsiedliśmy do pociągu i ruszyliśmy w kierunku Nowego Jorku, rozpadało się na dobre. Białe płatki śniegu wirowały za oknem.

– Mam nadzieję, że nie utkniemy w zamieci – zauważyłam.

– Obyśmy zdążyli wrócić. Jeśli napada za dużo śniegu, ruch pociągów może zostać wstrzymany – odparł krótko Daniel.

Wcześniej, w drodze powrotnej na stację, nie odezwał się do mnie ani słowem. Myślałam, że zastanawia się nad możliwym scenariuszem wydarzeń w New Haven, ale teraz spojrzałam na niego zaniepokojona.

– Danielu, czemu jesteś zdenerwowany? – zapytałam w końcu. – Czy powiedziałam lub zrobiłam coś niewłaściwego?

Westchnął, a potem wykrztusił:

– Molly, nie możesz mnie przedstawiać jako kapitana Sullivana. To nie w porządku. Wprowadzasz ludzi w błąd.

– Ale przecież jesteś kapitanem Sullivanem.

– Nie teraz.

– Wiesz, że to tylko kwestia czasu. Za chwilę wrócisz do służby. Nie zrobiłeś nic złego, na miłość boską.

– Zorganizowałem nielegalną walkę.

– I połowa policji przyszła ją oglądać.

– Jeśli jednak ktoś chciał znaleźć pretekst, żeby się mnie pozbyć, to stworzyłem mu wspaniałą okazję. Walka była nielegalna.

– Dlaczego ktoś miałby chcieć się ciebie pozbyć? Koledzy cię cenią. Wkrótce sprawa się wyjaśni.

– Taką mam nadzieję – powiedział. – Ale dopóki to nie nastąpi, nie nazywaj mnie kapitanem.

– Jak sobie życzysz – odparłam. – Aleś ty dzisiaj drażliwy...

– Być może. Irytuje mnie ta sytuacja. Uświadomiłem sobie dzisiaj, że

bardzo brakuje mi służby. Ile spraw mogłem już rozwiązać! Problem z gangami ciągle narasta. Jestem jednym z niewielu gliniarzy w Nowym Jorku, którzy potrafiliby coś z tym zrobić. Z tego, co słyszę, wojna gangów wisi w powietrzu. Przedwczoraj hucznie chowano jakiegoś włoskiego mafiosa. Był orszak żałobny i orkiestra. Cały czas się zastanawiam, kto miał tyle odwagi, żeby zastrzelić jednego z nich. Ale nie mogę działać! Mam związane ręce.

Zacisnął pięści.

– Możesz pomóc w moim śledztwie – zauważyłam. – Dla mnie twoje umiejętności są na wagę złota, bo w tym konkretnym przypadku czuję się bezradna.

Pokiwał głową.

– Coś tu nie pasuje, nie sądzisz? Nie mogę uwierzyć, że Halsted dopuścił się takiej zbrodni. Ale przecież niewiele osób ma drogi nowy samochód, zwłaszcza w małym miasteczku, jakim jest New Haven. Skoro jednak nie zrobił nic złego, to gdzie się, u diabła, podziewa?

– Chciałabym wiedzieć – odparłam.

– Spróbuję obejrzeć wrak – postanowił. – Mam nadzieję, że wciąż mogę liczyć na kilku przyjaciół. Trzeba zobaczyć miejsce, gdzie pojazd zjechał z drogi, i sprawdzić, czy ktoś widział Halsteda już po wypadku. Zakładam, że lokalna policja przeprowadziła gruntowne śledztwo.

– Który departament będzie za to odpowiedzialny? – spytałam.

– To zależy od miejsca wypadku. Jeśli wydarzył się na Bronksie, podlega pod jurysdykcję w Nowym Jorku; jeśli na prowincji, lokalna policja była pewnie najbliżej i dochodzenie mogło nie być tak dokładne. Popytam tu i ówdzie. Ktoś będzie wiedział. Kiedy w tym tygodniu jesteś wolna, żeby tam ze mną pojechać?

– Jutro byłoby najlepiej, ponieważ we wtorek jest premiera. Potem nie wiem, ile czasu będę musiała spędzić w teatrze. Trzeba zakończyć śledztwo w sprawie pana Rotha, no i muszę być w domu, kiedy doktor Birnbaum przyjdzie na kolejne sesje hipnozy z naszą biedną dziewczyną.

– Znów wzięłaś na siebie za dużo, prawda?

Uśmiechnęłam się.

– Lepsze to, niż siedzieć w domu i zbijać baki. Przynajmniej jestem w stanie zapłacić rachunki.

– To nie w porządku – powiedział Daniel. – Powinienem cię wspierać, Molly. Czekam na dzień, kiedy... Bardzo bym tego pragnął.

Dotknęłam jego policzka.

– Teraz chodzi przede wszystkim o ciebie, Danielu. Chcę, żebyś wrócił do pracy i znów czuł się szczęśliwy. Gdzie jest mój dawny Daniel? Zarozumiwały, arogancki i zabawny? Bardzo mi go brakuje.

– Och, Molly...

Nagle wziął mnie w ramiona i zaczął namiętnie całować. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności nikogo oprócz nas w przedziale nie było. Kto wie, do czego by doszło, gdyby nie głośne pukanie.

– Muszę sprawdzić państwa bilety – rzekł konduktor, wyraźnie zażenowany. – Przepraszam, że niepokoję, młoda damo.

– Pan wybaczy. Trochę się zagalopowaliśmy – powiedział Daniel z uśmiechem.

– Rozumiem, proszę pana. – Konduktor mrugnął porozumiewawczo. – Też byłem kiedyś młody. Teraz mam siedmioro dzieci, więc proszę posłuchać mojej rady i korzystać z życia, póki się da – dodał, a potem zamknął za sobą drzwi.

Siedzieliśmy przytuleni aż do Nowego Jorku.

Kiedy wróciłam na Patchin Place, zastałam panią Tucker przy łóżku Annie. Dziewczyna spała w jej ramionach jak małe dziecko. Opiekunka położyła palec na ustach.

– Wygląda tak spokojnie – wyszeptałam.

– Teraz to i owszem. Szkoda, że jej panienka nie widziała chwilę wcześniej.

– Co się stało?

– Byłam na dole i szydełkowałam, aż tu nagle słyszę nieziemski hałas – powiedziała cicho, głaszcząc dziewczynę po włosach. – Biegnę na górę i patrzę, a ta nieszczęśnica chodzi między pokojami, z przerażeniem na

twarzy, i wrzeszczy wniebogłosy.

– O nie! Co pani zrobiła?

– Zajął mi chwilę, żeby ją uspokoić. Przytuliłam ją mocno do piersi, tak jak to robiłam dawno temu, kiedy moje maluchy budziły się w nocy z koszmarne go snu. Szlochała i szlochała, a ja powtarzałam, że wszystko będzie dobrze. Potem nakarmiłam ją zupą, do której dodałam trochę środka uspokajającego, i poszła spać – powiedziała pani Tucker i pokręciła głową. – Biedactwo. Widać było, że umiera ze strachu.

– Tak, czegoś się okropnie boi. Na szczęście jest już pod opieką alienisty.

– Alienisty? A kto to, u diabła, jest?

– Lekarz od umysłu – wyjaśniłam.

– Pierwsze słyszę! Jak można leczyć umysł?

– To są najnowsze odkrycia medycyny. Alienista próbuje dostać się do podświadomości, do tych myśli i obaw, z których często nie zdajemy sobie sprawy.

– Co to za fanaberie? – prychnęła. – Dobry rosół i troskliwa opieka to wszystko, czego teraz to biedne dziecko potrzebuje. Czary-mary wcale nie są jej potrzebne.

– Jedno nie wyklucza drugiego – zauważyłam. – Ale byłoby najlepiej, gdybyśmy znaleźli jej rodzinę. W domu poczuje się bezpiecznie i wyzdrowieje.

– Pod warunkiem, że to nie rodzina napędziła jej takiego stracha – stwierdziła pani Tucker.

– Niemożliwe... – zaczęłam, ale nie dała mi skończyć.

– Nie słyszała panienka o ojcach, którzy napastują własne córki?

– Matko Przenajświętsza! – Nieświadomie skreśliłam znak krzyża na piersi. Nie przyszło mi to do głowy. Całe życie byłam naiwna! Po chwili jednak przypomniałam sobie, co powiedział lekarz. – W szpitalu mówili, że nie miała obrażeń tego rodzaju.

– No i dzięki Bogu. – Pani Tucker westchnęła cicho. – Cokolwiek to było, musiała okropnie się przestraszyć. Płacz jej chyba pomaga. Może rano



poczuję się lepiej albo nawet coś powie...

Niestety, rano nic nie wskazywało na to, że Annie odzyska mowę lub pamięć. Na widok Birnbauma wchodzącego do pokoju skuliła się w sobie, patrząc na mnie z obawą. Najwyraźniej chciała się upewnić, że zostanę w pobliżu.

– Witaj, moja droga. Jak się dzisiaj mamy? – spytał z uśmiechem, a potem zwrócił się do mnie: – Mam parę listów, panno Murphy. Nadeszły pierwsze odpowiedzi na nasze ogłoszenie.

– Czy któraś z nich wygląda obiecująco?

– Nie sądzę, ale nigdy nie wiadomo. Proszę samej ocenić. – Wręczył mi kilka kopert. – A, byłbym zapomniiał – dodał po chwili. – Poprawiłem ogłoszenie, dopisując wczoraj zdanie: „Być może nazywa się Annie”. Zobaczymy, czy to przyniesie lepsze efekty.

Obserwowałam dziewczynę. Na dźwięk imienia Annie stała się nagle czujna i otworzyła szeroko oczy ze strachu.

– Wszystko w porządku, kochanie. – Podeszłam do niej i poklepałam ją po ramieniu. – Nic złego ci się nie stanie. Troszczymy się o ciebie, więc możesz czuć się bezpieczna. Rozumiesz mnie, prawda?

Wydawało mi się, że nieśmiało skinęła głową, ale nie byłam pewna. Rozerwałam koperty i na głos przeczytałam wszystkie listy po kolei, mając nadzieję, że zareaguje na adres lub imię osoby, która do nas napisała. Ani jeden opis zaginionej nie pasował do naszej podopiecznej, ale chciałam spróbować. Historie z tych listów były naprawdę smutne. Zadziwiające, jak wiele dziewcząt ucieka z domu – pomyślałam.

Kiedy skończyłam czytać, doktor Birnbaum ponownie spróbował hipnozy, ale pacjentka znów strasznie się zdenerwowała na dźwięk imienia Annie, więc musiał przerwać sesję. Nie wiadomo, czy oprócz tego słowa zrozumiała coś jeszcze. Najwyraźniej żyła w swoim własnym świecie i nie zamierzała nikogo tam wpuścić.

– To może potrwać – oznajmił Birnbaum. – Chociaż w niektórych przypadkach mowa i pamięć wracają całkiem nagle. Pewnego dnia może się po prostu obudzić w innym stanie. Jeśli tak się zdarzy, proszę mnie natychmiast wezwać, bo to będzie dla niej bardzo niebezpieczny moment.

Świadomość tego, przez co się przeszło, i ciężar tych wspomnień mogą czasem doprowadzić do trwałego szaleństwa, samobójstwa, a nawet przemocy względem otoczenia.

Kiwnęłam głową, przypominając sobie słowa przyjaciółek, gdy przestrzegały mnie przed braniem na siebie tak dużej odpowiedzialności.

– Zaangażowałam pomoc. Pewna pani z nią siedzi, kiedy ja muszę wyjść – oznajmiłam.

– Mądrze pani zrobiła, panno Murphy.

Podskoczyliśmy na dźwięk klaksonu na ulicy. Podeszłam do okna i ujrzałam Daniela w samochodzie. Zbiegłam po schodach do drzwi wejściowych.

– Czy jesteś gotowa na przejażdżkę?! – zapytał, przekrzykując hałas silnika.

– A śnieg? Tyle śniegu spadło wczoraj wieczorem.

– Drogi wokół miasta są przejezdne – powiedział lekkim tonem, wyskakując z auta. – I jestem pewien, że główne trasy wychodzące z Nowego Jorku posypano solą i żwirem. Myślę, że damy radę. Wątpię jednak, czy uda nam się dotrzeć aż do New Haven. Tam pojedziemy innym razem.

– Muszę sprawdzić, czy pani Tucker może posiedzieć dziś z naszą pacjentką. Uprzedzałam ją, że będę wychodzić.

– Czy dobrze sobie radzi w roli opiekunki? – spytał Daniel.

– Wspaniale. Traktuje naszą dziewczynę jak własną córkę.

– No to kamień z serca. Pojadę po nią, a ty przyszykuj się do drogi. Załóżę się, że panią Tucker ucieszy perspektywa jazdy samochodem. Tym bardziej że pewnie zobaczą ją wszystkie sąsiadki.

Pomogłam mu wycofać się z naszej ulicy. Odjechał, rozchlapując kołami błoto. Pożegnawszy się z doktorem Birnbaumem, ubrałam się ciepło, ponieważ zawsze marznę w samochodach. Wsuwałam właśnie włosy pod kapelusz, kiedy w drzwiach stanęła pani Tucker.

– Jak się dziś czuje nasze niebożątko? – spytała już w progu. – Wczoraj nie mogłam zasnąć, tak się o nią martwiłam. Jeśli znajdę tego, kto jej to zrobił, to ja już mu pokażę. Pozałuje, że się urodził! – Złowieszczco machnęła

szydełkiem.

– Myślę, że wygraliśmy los na loterii z taką opiekunką – powiedział Daniel, kiedy odjeżdżaliśmy spod domu. – To typ kobiety, która uwielbia zajmować się innymi.

– Owszem, ale potrafi też dać w kość. – Roześmiałam się. – Kiedy pani Goodwin była po wypadku przykuta do łóżka, pani Tucker potrafiła ją doprowadzić do szewskiej pasji. Ma charakterek.

– Niemowa z pewnością będzie lepszą podopieczną – stwierdził Daniel i dodał: – Przynajmniej znów mam cię tylko dla siebie. Jedziemy eleganckim autem i nic więcej się nie liczy.

Muszę przyznać, że czułam dreszczyk emocji, jadąc pięknym autem Piątą Aleją u boku przystojnego mężczyzny. Elegancka okolica Siedemdziesiątej Wschodniej wkrótce się skończyła i znaleźliśmy się w dzielnicy ubogich szeregowych domków i chat, które ciągnęły się aż do północnego krańca wyspy Manhattan. Ostrożnie przejechaliśmy przez oblodzony most nad rzeką Harlem, a później sunęliśmy już w ślimaczym tempie, bo drogi nie były jednak w stanie tak dobrym, jak sądził Daniel. Gdzieś widać było ślady życia, ale zdawało się, że miasteczka leżą jeszcze dalej na północ. Wkrótce wokół nas był już tylko śnieg.

– Czy wiesz, dokąd zmierzamy? – zapytałam.

– Jedziemy na posterunek policji – odparł Daniel. – Jest zaraz za zakrętem. To był podobno pierwszy posterunek, który dostał informację o wypadku. Mam nadzieję, że pokażą nam to miejsce i odpowiedzą na parę pytań.

Okazało się, że komisariat policji znajduje się przy głównej ulicy w małym miasteczku, tuż obok składu zboża pana H. Binglera oraz sklepu owocowo-warzywnego R. Murraya. Mieliśmy ogromne szczęście, że sierżant na służbie okazał się znajomym Daniela. Oddelegował swojego człowieka, który wprost przebierał nogami, żeby wsiąść do samochodu i pokazać nam miejsce wypadku.

– Aleśmy się najedli strachu, ja i Ernie – zaczął sam z siebie, pochylając się w naszą stronę z tylnego siedzenia samochodu. – Auto roztrzaskane o drzewo, na śniegu olej, a wokół ani żywej duszy. Ernie pytał: „Gdzie, u diabła, są ludzie? Taki wypadek, muszą być ranni”.

– Kiedy to było?

– W środę rano, psze pana. Później dowiedzieliśmy się, że auto uderzyło w drzewo we wtorek wieczorem. Ale zobaczycie, że z drogi nic nie widać, bo to na zakręcie się stało. Dopiero jak farmer się tam zjawił w środę rano, odkrył miejsce wypadku.

Wróciliśmy do głównej drogi i wkrótce policjant polecił nam się zatrzymać zaraz za ostrym zakrętem w prawo, wśród gęstych drzew.

– Na tym dębie się rozbił – powiedział, gramoląc się z fotela. – Widzicie

miejsce, w które uderzył?

Dostrzegłam dużą wyrwę w drzewie i ciemne plamy na śniegu. Ponieważ zdążyło już napadać, trudno było stwierdzić, czy to olej, czy krew.

– Czy auto było bardzo uszkodzone? – spytał Daniel.

– Bardzo. Prząd został dosłownie zmiażdżony, a kierownica wyleciała na zewnątrz. Moim zdaniem nikt nie mógł wyjść z tego żywy.

– Ale przecież wyszedł – zauważyłam. – Czy widać było jakieś ślady na śniegu?

Policjant najwyraźniej się spieszył.

– No, tego... na początku nie mieliśmy pojęcia, że ten samochód jest powiązany z przestępstwem, więc tylko szukaliśmy rannych. No bo ktoś mógł się wydostać z wraku i potem upaść. Te ślady dookoła to są, niestety, w większości nasze. Innych, takich, co by prowadziły do lasu czy gdzieś do wsi, nie było. Jedno nas zastanowiło. Chyba inny pojazd musiał się tam na chwilę zatrzymać, a następnie zawrócić. Też auto, bo nie widzieliśmy śladów kopyt. Dobry samarytanin? Sprawdził, czy ktoś jest ranny, nikogo nie znalazł, więc odjechał.

Popatrzył na nas, czekając na potwierdzenie.

– Gdzie jest teraz wrak samochodu? – spytał Daniel.

– Na podwórzu przy posterunku. Uznaliśmy, że właściciel będzie chciał odzyskać to, co zostało z auta. Ale nikt się nie zgłosił, a potem dowiedzieliśmy się, że kierowca samochodu prawdopodobnie brał udział w rozboju u Silvertonów. Kiedy przeszukaliśmy wnętrze, sierżant znalazł to srebrne cacko i powiedział do mnie: „Ho-ho, niezły łup”. Okazało się, że miał rację.

– Czy przeprowadziliście dokładną inspekcję tapicerki? – spytał Daniel.

– Inspekcję? – Policjant wydawał się zdezorientowany.

– Chodzi o fragmenty odzieży, włosów, tego rodzaju rzeczy.

– Nic tam takiego nie było, psze pana. Auto wyglądało okropnie. Ernie stwierdził, że to kupa złomu i że powinniśmy sobie wziąć koła, bo były w całkiem dobrym stanie.

– Mam nadzieję, że tego nie zrobiliście?

– Gdzie zaś, psze pana.

– W takim razie chciałbym z bliska obejrzeć wrak – powiedział Daniel. – Jeśli użyjemy szkła powiększającego, będziemy mogli coś znaleźć i wyciągnąć odpowiednie wnioski.

– Naprawdę? – Młody człowiek najwyraźniej był pod wrażeniem. – Fiu, fiu! Czytałem, że Sherlock Holmes potrafi spojrzeć na niedopałek i już wie, kto palił papierosa, ale nie sądziłem, że takie rzeczy są naprawdę możliwe.

– W dzisiejszych czasach pobieramy odciski palców – oznajmił Daniel. – Być może nie wiesz, że można je zidentyfikować na większości gładkich powierzchni. Każdy odcisk palca jest inny.

– Ale numer! Tak czy siak muszę najpierw zapytać sierżanta, czy pozwoli panu zerknąć na auto i sprawdzić te odciski.

– Nie jestem odpowiednio przygotowany – odparł Daniel. – Mogę oczywiście pojechać po sprzęt, ale najpierw wolałbym zobaczyć, czy nie ma w środku na przykład strzępów ubrań. Podczas wypadku doszło pewnie do uszkodzenia ciała pasażerów, może nawet znajdziemy fragmenty skóry lub tkanki.

– Na litość boską! – Młody człowiek wyraźnie zbladł. – Chyba pan nie chce, żeby młoda dama to widziała?

– Młoda dama widziała już nie takie rzeczy – zapewnił go Daniel. – Jest detektywem, mój chłopcze.

– Proszę sobie nie żartować. – Spojrzał na mnie, jakbym była cielęciami z dwiema głowami.

Uznałam, że skoro Daniel nazwał rzeczy po imieniu, powinnam zabrać się do pracy, więc wysiadłam z auta i poszłam zbadać teren. Faktycznie okolica była niemiłosiernie zdeptana, a co gorsza, widać było, że aby wyciągnąć wrak na główną drogę, użyto konia. Świeży śnieg, który napadał w nocy, przyprószył w zasadzie wszystkie ślady, więc nie dało się stwierdzić, czy ktoś mógł zbiec z miejsca wypadku w stronę lasu. Moją uwagę zwróciła nietypowa rysa na jednym z drzew – pozioma, starannie wyryta w korze na wysokości klatki piersiowej. Uniosłam spódnicę, podeszłam bliżej i na kolejnym drzewie zobaczyłam osobliwe wgłębienie.

– Danielu, chodź tu! – zawołałam podekscytowana i wskazałam uszkodzony pień. – Popatrz. Coś tu utknęło. Co to może być?

Daniel wyjął scyzoryk i podszedł do drzewa.

– Brawo, Molly, to kula. Masz sokoli wzrok.

– Można prześledzić drogę, którą przebyła – stwierdziłam, przejeżdżając palcem po draśniętym drzewie.

Zmarszczył brwi.

– Ktoś strzelał w stronę lasu. Kłótnia między złodziejami? Jeden z nich próbował uciec?

– Najwyraźniej mu się udało, skoro do tej pory nie znaleziono ciała – zauważyłam. – Pamiętajmy, co powiedział policjant. Były dwa auta. Czy to drugie rzeczywiście zatrzymało się dlatego, że kierowca chciał udzielić pomocy? Jeśli tak, po co miałyby strzelać?

Daniel pokręcił głową.

– Dobre pytanie. Tak w ogóle to dziwny zbieg okoliczności. W takiej głuszy drugi samochód? Zatrzymał się, żeby im pomóc czy żeby przejąć ich łup?

– Dlaczego używasz liczby mnogiej? Przecież w samochodzie był tylko John Jacob Halsted, prawda?

– Może miał współnika.

– Który go przechytrzył i postanowił zbiec z łupem, bo Halsted został ranny.

– I wtedy Halsted strzelił do niego, żeby mu uniemożliwić ucieczkę – podsumował Daniel.

– W takim razie gdzie jest Halsted?

– A może to współnik strzelał? Trafił Halsteda, a potem zakopał ciało gdzieś w okolicy.

– Nie, to zbyt straszne. – Wzdrygnęłam się i spojrzałam na posterunkowego, który obserwował nas z zainteresowaniem. – Czy użyto psów do poszukiwań?

– Nie było takiej potrzeby. Gdyby ktoś uciekał w stronę lasu,

widzielibyśmy ślady jak na dłoni.

– Właśnie się zastanawiamy, czy przypadkiem nie było sprzeczki między złodziejami. Znaleźliśmy kulę, więc może gdzieś w pobliżu jest zakopane ciało.

– Nie sądzę, psze pana. Przecież spadł śnieg. Jakby ktoś wykopał dół, trudno by było to przeoczyć.

– Nie zaszkodzi ponownie przeszukać okolicę – powiedział Daniel. – Czy ktoś w miasteczku trzyma psy?

– Owszem. Farmer na Hatcher's Corner ma dwa czarne ogary.

– Pytaliście w tutejszych gospodarstwach, czy nikt ostatnio nie prosił o schronienie?

– O tak, panienko. Pytaliśmy, no pewnie. Jak się dowiedzieliśmy, że jest poszukiwany człowiek, sprawdziliśmy stodoły, kurniki i inne pomieszczenia gospodarcze. Nikogo nie znaleźliśmy.

– Założę się, że ten drugi samochód ma kluczowe znaczenie – oznajmił Daniel. – To mogło być nawet umówione spotkanie, chociaż jestem pewien, że wypadek nie był sfigowany.

– A więc sugerujesz, że ktoś umówił się z Halstedem, wystrychnął go na dudka i zabrał łup?

– Dokładnie.

– A kto strzelał?

– No tak, tego nie wiemy.

Było zimno i wilgotno. Marzłam.

– Myślę, że zobaczyliśmy co najważniejsze. Jedźmy – poprosiłam.

Daniel pomógł mi wsiąść do auta, a policjant znów wgramolił się na tylną kanapę.

– Dokąd teraz, psze pana?

– Chciałbym zbadać wrak – powiedział Daniel – a potem, jeśli twój sierżant nie będzie miał nic przeciwko temu, wrócić z jakąś częścią garderoby zaginionego mężczyzny i przejść całą okolicę z psami.



– Niemożliwe, żeby się gdzieś chował. Już dawno go tu nie ma – oświadczył policjant. – Usłyszelibyśmy, gdyby się ukrywał.

– Nie ma tu jakichś bagien w pobliżu?

– Mniej więcej kilometr stąd są bagna. Strasznie ponure i niebezpieczne miejsce. Trudno zimą znaleźć tam kryjówkę. W lecie zresztą wcale nie jest lepiej.

Daniel zapalił silnik i ostrożnie zawrócił. Droga była oblodzona, a nie zamierzaliśmy powtórzyć losu Halsteda. Wkrótce, za zgodą sierżanta, posterunkowy otworzył bramę na podwórko i na własne oczy mogliśmy się przekonać, jak wygląda wrak. A przedstawiał sobą obraz nędzy i rozpacz: poskręcany szkielet przyprószone świeżym śniegiem. Zrobiło mi się niedobrze. Musiałam odwrócić wzrok. Czarny osad na metalu świadczył niechybnie o tym, że w którymś momencie w aucie wybuchł pożar. Czerwona tapicerka na przednim fotelu była nadpalona i podarta. Tyłne siedzenie pozostało jednak nienaruszone i Daniel dokładnie je obejrzał.

– Oto mała nagroda – powiedział nagle, unosząc w palcach długi blond włos. – Może Halsted nie był sam tamtej nocy.

– Wiemy, że planował spotkanie z młodą kobietą – przypomniałam. – Ale dlaczego jej włosy miałyby się znaleźć na tylnym siedzeniu?

Daniel spojrzał na mnie, chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował.

– Oczywiście nie mamy powodu przypuszczać, że włos został na siedzeniu właśnie tamtej nocy. Biorąc pod uwagę to, jak Halsted się prowadził, jestem pewien, że często woził dziewczyny. Warto jednak sprawdzić, czy przypadkiem jakaś młoda blondynka nie zniknęła z New Haven lub okolic.

– Szkoda, że nasza niemowa ma kasztanowe włosy – zauważyłam.

Daniel pokiwał głową.

– Myślę, że powinniśmy się z tego cieszyć. W przeciwnym razie należałoby przyjąć, że Halsted ją skrzywdził, a ja musiałbym przekazać tę wiadomość jego ciotce.

Nic innego we wraku nie znaleźliśmy. Porozmawialiśmy z sierżantem, po czym odwiedziliśmy gospodarstwa w okolicy, ale żaden farmer nie miał nam nic do powiedzenia. Nawet jeśli John Jacob Halsted zdołał przeżyć, nie szukał schronienia w okolicznych domostwach. Nie pukał do żadnych drzwi i nikt

nie natknął się na jego ślady w budynkach gospodarczych. Zaczynałam wierzyć, że jednak był łajdakiem, któremu udało się bezpiecznie zbiec z łupem.

– Następnym krokiem powinno być sporządzenie listy rzeczy, które zostały skradzione – oznajmił Daniel w drodze do domu. – Musimy mieć szczegółowy opis każdej z nich. W końcu ktoś je będzie chciał sprzedać. Popytam tu i tam, mam dobre układy z handlarzami srebrem. Dadzą mi znać, jeśli coś się pojawi na rynku.

– Biedna panna Van Woekem – powiedziałam. – Obawiam się, że choćbyśmy nie wiem jak się starali, nie będziemy mieć dla niej dobrych wieści.

– Nie wolno ferować wyroków, dopóki nie pozna się wszystkich faktów – oświadczył Daniel.

– I kto tu jest optymistą? – spytałam.

We wtorek rano obudziłam się ze ściśniętym żołądkiem, tak jakby miało się wydarzyć coś strasznego. Po chwili sobie przypomniałam: premiera w teatrze. Moja rola jest wprawdzie niewielka, ale zagram przed pełną widownią. Duch pewnie też szykuje się do występu... Nie byłam z siebie zadowolona. Dwa wieczory stałam na scenie i nic. Czy to człowiek płata figle pannie Lovejoy? Kim jest? Miałam powody, żeby podejrzewać Desmonda Haynesa, ale nie przyłapałam go przecież na gorącym uczynku. Blanche odgrażała się, że odwoła premierę. Czy Desmondowi mogłoby zależeć na takim rozwoju wypadków? Zresztą komu w ogóle mogłoby na tym zależeć? I jeszcze coś. Osobie z zewnątrz trudno byłoby się dostać do teatru, bo na co dzień używane jest tylko jedno wejście, którego pilnuje Henry.

Miałam wyraźne przeczucie, że panna Lovejoy zrezygnuje z moich usług, jeśli nie przyłożę się do pracy. Trzeba się modlić, żeby nie odwołała dzisiejszej premiery – pomyślałam. Ale, ale! Do wieczora jeszcze sporo czasu, a ja mam ręce pełne roboty!

Przygotowałam śniadanie dla swojej podopiecznej, a potem siedziałam przy niej podczas wizyty doktora Birnbauma. Moim zdaniem w trakcie tych kilku spotkań nie zrobiła wyraźnych postępów, ale lekarz wydawał się zadowolony.

– Czuję, że wkrótce nastąpi przełom – powiedział. – Pacjentka nabiera zaufania, a to podstawa, jeśli chodzi o hipnozę.

– Mocno trzymam za nią kciuki, doktorze – odparłam. – Szkoda, że wciąż nie mamy wieści od rodziny. Może teraz, kiedy dodaliśmy w ogłoszeniu jej imię, ktoś się wreszcie zgłosi.

Gdy odprowadzałam Birnbauma do drzwi, w głowie zaświtały mi nagle pytania, których dotychczas do siebie nie dopuszczałam. Co będzie, jeśli rodzina się nie znajdzie, a stan dziewczyny pozostanie bez zmian? Jeśli mowa i zdrowie nie powrócą? Przecież nie wyrzucę jej za drzwi. Mam się na zawsze zobowiązać do opieki nad obłąkaną? Po chwili się opamiętałam i postanowiłam nie martwić się na zapas. Przypomniałam sobie również, że teraz najważniejszy jest mój debiut. Dobrze byłoby nie zbłąźnić się na scenie!

Wiedziałam, co to trema, bo ten termin obił mi się o uszy, ale nigdy nie

przypuszczałam, że kiedyś jej doświadczę. Moja matka zawsze narzekała, że za bardzo lubię się popisywać. Kiedyś w kościele wyszłam z ławki i zaczęłam tańczyć do muzyki organów. Miałam wówczas tylko trzy lata, ale mocno dostałam w skórę, zupełnie jakbym była diabłem wcielonym, a nie małą dziewczynką.

Od mojego przyjazdu do Ameryki rozwiązałam wiele zagadek kryminalnych i udało mi się wyjść cało nawet z bardzo trudnych sytuacji. Dlaczego więc tym razem miałyby być inaczej? Dlaczego czuję taki ścisk w żołądku? Najwidoczniej ryzyko kompromitacji jest tym razem bardzo wysokie – uznałam.

Szykowałam się do wyjścia, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Pewnie to Daniel – pomyślałam i ucieszyłam się, bo w tym momencie bardzo potrzebowałam wsparcia i dobrego słowa. Zamiast Daniela ujrzałam jednak Sid i Gus.

– No, nareszcie! Znalazła się nasza zguba! – zawołała Sid na mój widok.

– Co masz na myśli? – spytałam.

– No jak to? Od paru dni ni widu, ni słyhu! Martwiłyśmy się. Zwłaszcza że pukałyśmy wczoraj i w niedzielę i za każdym razem otwierała nam jakaś straszna wiedźma. Uciekałyśmy w popłochu.

– To kobieta, którą zatrudniłam do opieki nad dziewczyną.

– Tak właśnie pomyślałyśmy. Czyli śpiąca królewna wciąż nie obudziła się z zaczarowanego snu?

– W ciągu dnia nie zawsze śpi, chociaż lekarz twierdzi, że to jej dobrze robi. Ale wciąż nic nie mówi ani nie daje znaków, że nas rozumie.

– I nikt się po nią nie zgłosił?

– Jeszcze nikt.

– Molly, co, na Boga, zrobisz, jeśli jej się nie polepszy? – spytała Sid, ale Gus delikatnie jej przerwała.

– Na pewno znajdzie się jakieś wyjście. Nasza Molly już tak ma, że zawsze spada na cztery łapy.

– Uznałyśmy, że musisz się rozerwać – oznajmiła Sid. – Mamy bilety na dzisiejszą premierę nowej sztuki Blanche Lovejoy. Nosi tytuł *O la la* i podobno jest bardzo francuska oraz nieco frywolna, jeśli wiesz, co mam na

myśli. Istnieje również duże prawdopodobieństwo, że pokaże się tam duch. To co? Idziesz z nami?

Ledwo powstrzymałam się od śmiechu.

– Przepraszam – powiedziałam – ale już jestem umówiona. Słyszałam o sztuce, i o duchu oczywiście też.

– Tylko nie mów, że znów widzisz się z Danielem – oznajmiła Sid. – Ostatnio ten człowiek strasznie mnie nudzi. Nie ma za grosz poczucia humoru!

– Wcale nie spędzam wieczoru z Danielem – odparłam. – A tak przy okazji, ciekawe, czy wy byłybyście wesołe i towarzyskie, gdyby was niesprawiedliwie wyrzucono z pracy.

– Masz rację, przepraszam – przyznała Sid. – Naprawdę nie dasz się namówić na ten teatr?

– Muszę popracować przy pewnej sprawie – oznajmiłam.

– Ale chyba nie będziesz znowu chodziła po ulicy w przebraniu łobuziaka?  
– zapytała Sid. – Nawet Nellie Bly uznała, że to okropnie niewygodne.

– Nie, tym razem przebieram się za uczennicę – powiedziałam z uśmiechem.

– Za uczennicę?! Powiedz coś więcej.

– Chciałabym, ale nie mogę. Później wszystko wam opowiem, obiecuję.

– No, mam nadzieję – westchnęła Gus.

– Molly, strasznie ciężko ostatnio pracujesz. Brakuje ci czasu na zabawę.

– Muszę jeść i płacić rachunki, Gus. Nie mam bogatych ciotek, które po śmierci zostawią mi swój majątek.

– To prawda – przyznała Gus. – Stały dochód ma pozytywny wpływ na jakość życia.

– Musimy uciekać, moja droga – oznajmiła Sid. – Gus chce kupić nowe piórko do opaski. Koniecznie szkarłatne. Powtarzam, że będzie wyglądać jak kobieta upadła, ale nalega. – Posłała mi porozumiewawcze spojrzenie i wzięła Gus pod ramię.

Zamykając za nimi drzwi, uśmiechnęłam się sama do siebie. Co za zbieg

okoliczności! Ależ się dziś zdziwią moje przyjaciółki!

Przed teatrem zgromadził się spory tłum, a tylne drzwi oblegali dziennikarze.

– Występujesz w przedstawieniu? – pytali. – Widziałaś ducha? Sądzisz, że pojawi się dzisiaj?

Nic nie odpowiedziałam, wbiegłam do teatru i podpisałam się na liście u Henry’ego.

– To jakieś szaleństwo – zauważyłam. – Ci reporterzy właściwie się na mnie rzucili.

– Poczekaj do wieczora – pokiwał głową Henry. – Nie będziesz w stanie się przepchać przez ten tłum. Reporterzy, fotografowie, podrywacze i Bóg jeden wie kto jeszcze. Na twoim miejscu opuściłbym teatr głównym wyjściem, no... chyba że masz ochotę na kolację w Delmonico’s. – Uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo.

– Od frontu też kłębi się tłum – zauważyłam.

– Biją się o ostatnie bilety – powiedział Henry. – Módlmy się, żeby pannie Lovejoy w ostatniej chwili nie puściły nerwy. Ale byłoby zamieszanie, gdyby odmówiła wyjścia na scenę!

– Myślisz, że może tak zrobić?

– Kiedy ją widziałem parę minut temu, trzęsła się ze strachu – odparł Henry. – Wiem, że to premiera i każdy ma tremę, ale dlaczego Blanche? Ona ma nerwy ze stali.

– Lepiej pójdę się przygotować – stwierdziłam.

Ruszyłam przed siebie, ale zamiast wejść po schodach do garderoby, postanowiłam przyjrzeć się scenie. Uznałam, że w ten sposób przynajmniej sprawdzę, czy ktoś nie zastawił tam pułapki. Dokładnie badałam fragmenty scenografii. Otwierałam szuflady i kufry, aby upewnić się, czy nie ma w nich nic podejrzanego. Zaglądałam właśnie do atrapy studni, kiedy ktoś mnie złapał od tyłu. Byłam tak zaskoczona, że omal nie wpadłam do środka, ale silne ramiona trzymały mnie mocno.

– Co tutaj robisz, młoda damo? – Scenograf Wally wyglądał bardzo

groźnie. Zanim zdążyłam odpowiedzieć, zaczął mnie szarpać. – Niech no się tylko panna Lovejoy o tym dowie! Duch?! Nigdy nie wierzyłam w ducha.

– Zapewniam pana, że go nie udawałam – odparłam. – Właściwie to ja... – Zawahałam się, szukając odpowiednich słów. Czy mogę mu powiedzieć prawdę?

On jednak nie dał mi dojść do głosu, tylko krzyczał:

– Mam na ciebie oko od samego początku! Pojawiłaś się nie wiadomo skąd. Jesteś wtyczką, prawda? Ktoś cię przysłał, żebyś popsowała to przedstawienie.

– Bzdury! – zaprotestowałam.

– To czemu się tu płaczesz?

– No dobrze, powiem panu. Ja też nie wierzę w ducha i postanowiłam sprawdzić, czy ktoś przypadkiem nie pozostawiał pułapek na scenie.

Popatrzył na mnie przeciągle, prawdopodobnie zastanawiając się, czy ma mi uwierzyć.

– A dlaczego to cię tak interesuje?

Znowu się zawahałam. Powiedzieć mu, że panna Lovejoy zatrudniła mnie właśnie w tym celu? Przecież Wally sam może być duchem. Ma pełny dostęp do zaplecza i zna tajniki efektów specjalnych.

– Tak po prostu. To moja pierwsza premiera na Broadwayu, a teraz się boję, że może nie dojść do skutku. Miałam tatę detektywa, więc znam się trochę na rzeczy.

– I co znalazłaś?

– Nic. Wszystko wydaje się w porządku. Kiedy lemoniada wylała się na pannę Lovejoy, sprawdziłam dzbanek i stół, ale nic podejrzanego nie odkryłam. Ten, kto to robi, jest naprawdę sprytny.

– Gdybym tylko mógł go dorwać – warknął Wally. – Panna Lovejoy to wspaniała kobieta. Bardzo hojna dla swoich przyjaciół. Nie zasługuje na takie traktowanie.

– Dopadniemy go. Ja będę miała oko na aktorów, a pan niech zajmie się swoimi ludźmi. Jeśli ktoś się panu wyda podejrzany, proszę sprawdzić, czy

czegoś nie knuje.

– W porządku – powiedział, wciąż nie do końca przekonany, czy może mi ufać. – Idź się przebrać, bo będziesz miała kłopoty – dodał po chwili.

Skinęłam głową i pobiegłam schodami na górę. W garderobie wrzało jak w ulu.

– Patrzcie, kto się wreszcie pojawił! – Lily skomentowała ironicznie moje wejście. – Jesteśmy wielką gwiazdą, tak? Ćwiczymy entréee?

– Ależ skąd! – odparłam. – Trudno się przebić przez ten tłum na dole.

– Chyba nie rozmawiałaś z prasą – rzuciła jedna z dziewczyn. – Panna Lovejoy cię zabije, jeśli puścisz parę z ust.

– Zdaje się, że ktoś już to zrobił – zauważyłam. – W gazetach aż się roi od szczegółów.

W pomieszczeniu zrobiło się nagle cicho jak makiem zasiał. Lily wróciła do bandażowania palców u stóp, pozostałe dziewczęta zajęły się makijażem. Przeszłam do Elise na drugim końcu pokoju. Wiązała baletki.

– Mam nadzieję, że wytrzymają – powiedziała. – Te buty są już całkiem do niczego. Przyszywałam tasiemki tyle razy, że materiał zaczyna się drzeć. I spójrz na palce. Cera na cerze. Chyba całą wypłatę wydam na nową parę.

– Nie dostaniesz ich w teatrze?

– Nie. Kostiumy, owszem, ale buty, tak jak kosmetyki do makijażu, to rzecz osobista. Muszą być uszyte na miarę, bo jeśli nie będą dobrze dopasowane, zniszczysz sobie stopy – wyjaśniła i wróciła do wiązania baetek.

Zaczęłam się rozbierać, ale w głowie kołatała mi dziwna myśl. W oczach miałam palce u nóg niemej dziewczyny. Czyżby te pęcherze i blizny nie były wynikiem odmrożenia? Może to stopy tancerki podrażnione spacerem po śniegu? Na pewno ma odpowiednią sylwetkę, delikatną twarz i dłonie – rozmyślałam. Postanowiłam, że następnego dnia pożyczę od Sid i Gus gramofon. Puszczę jej jakąś melodię do tańca i zobaczymy, czy zareaguje.

Właśnie skończyłam makijaż, kiedy zabrzmiał pierwszy dzwonek. Serce waliło mi jak szalone, kiedy w tłumie innych dziewcząt schodziłam na scenę. Za opuszczoną kurtyną słychać było szepty widowni i dźwięk strojonych



instrumentów. Czułam emocje i napięcie w powietrzu. Obsługa robiła ostatnie poprawki, przesuając dekoracje i ustawiając reflektory.

– Połamania nóg – usłyszałam. Pomyślałam, że to dość dziwne powiedzenie, ale powtórzyło je kilka osób.

Po chwili rozległy się oklaski.

– To brawa dla dyrygenta – powiedziała cicho Elise.

Zabrzmiały pierwsze takty i trzeba było wreszcie wyjść na scenę.

Uświadomiłam sobie, że trzęsą mi się ręce. Ledwie mogłam utrzymać w nich książkę. Stałam na swoim miejscu, szczęśliwa w głębi duszy, że nie muszę nic mówić. Nawet gdybym otworzyła usta, nie byłabym w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Uwertura dobiegła końca i kurtyna zaczęła się powoli podnosić. Kiedy na scenę wbiegły dziewczęta w strojach do tenisa, widownia oszalała ze szczęścia. Sala była pełna. W jednym z pierwszych rzędów dostrzegłam szkarłatne piórko i przejętą minę Gus. Wpatrywałam się zawzięcie w książkę, starając się zachować kamienną twarz.

Dziewczęta rozpoczęły lekcję tenisa. Wkrótce pojawili się również młodzieńcy w aucie, co wzbudziło kolejny aplauz, a potem na scenę wkroczyła panna Lovejoy. Wiedziałam już, że dobrze śpiewa i ma wyrazistą osobowość, ale dopiero dzisiaj zrozumiałam, dlaczego jest prawdziwą gwiazdą. Wprost nie można było od niej oderwać wzroku, a głos miała wyjątkowo mocny! Publiczność nagrodziła pierwszą piosenkę gromkim śmiechem i od razu zauważyłam, że moje koleżanki tancerki wyraźnie się rozluźniły. Uświadomiłam sobie, że wieczór należy do Blanche. My, czyli cała reszta, jesteśmy tylko pionkami w tej grze.

Pierwszy akt przebiegał bez zakłóceń. Dobrze odegrałam swoją rolę, a kiedy zagapiłam się na scenie, gdy inne dziewczęta już dawno wyszły – co było przecież zgodne ze scenariuszem – sala zareagowała jak trzeba: salwą śmiechu. W garderobie podczas przerwy panowała wyjątkowa atmosfera. Pomieszczenie tonęło w kwiatach. Na bilecikach dołączonych do bukietów widniały dedykacje. Większość była dla Lily, ale nie tylko.

- Dla małej brunetki w tylnym rzędzie – przeczytałam.
  - Chodzi o ciebie, Jewel – powiedziała jedna z tancerek, a Jewel oblała się rumieńcem.
  - Ale od kogo? – zapytała, chichocząc.
  - Hej, Lily, zrezygnuj z kariery i otwórz kwaciarnię!
  - Czy są tam kwiaty od angielskiego księcia? – przekomarzały się dziewczyny.
  - Niestety, nie ma – odparła Lily.
  - Myślisz, że jeszcze się tu zjawi?
  - Pamiętajcie, że jest mój! Ręce precz od księcia – warknęła Lily. – Zawsze marzyłam, że będę księżną.
  - Ty? Księżną?! Też mi coś!
  - Nawet nie wiesz, jak pić herbatę!
- Lily popatrzyła wyniośle na koleżanki.
- Dziewczyny z *Florodory* dobrze wyszły za mąż.
  - Tak, ale to gwiazdy, a my jesteśmy tylko zwykłymi tancerkami – przypomniała któraś.

– Spójrzcie na aktorki pierwszoplanowe – powiedziała triumfalnie Lily. – Wszystkie już podstarzałe, nie ma na czym oka zawiesić. Dzisiejszy wieczór należy do nas. To o nas będą się zabijać po premierze. Jeszcze wspomnicie moje słowa. Widzieli już nasze łydki, gdy byłyśmy w strojach do tenisa, zobaczcie, co się będzie działo, jak wyjdziemy na scenę w kostiumach kąpielowych!

Dziewczęta gruchnęły śmiechem.

– Oby cenzor nie wyciął kankana, w którym wypinamy pupy – ciągnęła Lily.

– Jesteś nieprzyzwoita – stwierdziła któraś z dziewcząt.

– Droga Connie – odparła Lily – nie udawaj niewiniątka. Wiem, co robisz w wolnym czasie, i nie jest to wcale szydełkowanie.

Elise pochwyciła moje spojrzenie i pokręciła głową.

– Nie słuchaj ich, Molly. Większość z nas to porządne dziewczyny, które muszą jakoś zarabiać na chleb. Czasem szczęście którejś dopisze i zainteresuje się nią młodzieniec z bogatej rodziny. Taka dziewczyna stanie na rękach, żeby zatrzymać go przy sobie. Czy mamy ją za to potępić?

– Nikogo nie potępiam – powiedziałam. – Ale uważam, że Lily prosi się o kłopoty.

– Masz rację, Molly. Wybacz, ale powiem wprost: jest zbyt pewna siebie. Wie, że jej wdzięki działają na mężczyzn. Nęci, kusi, któregoś dnia przecholuje.

– Wszystkie liczymy na to, że za drzwiami teatru będzie czekał książę, prawda? – zapytałam, poprawiając makijaż.

– Tak mi się wydaje. Każda z nas pragnie wielkiej miłości. Ale nigdy nie wiadomo, czy mężczyźnie można zaufać. Niektórzy oczekują zbyt wiele w zamian za zaproszenie na kolację, a inni... no cóż, potrafią być naprawdę niebezpieczni, jeśli wiesz, co mam na myśli. Mają dziwne zachcianki. W zeszłym roku pracowałam z pewną dziewczyną. Poszła na kolację z młodym mężczyzną, którego poznała tuż po przedstawieniu. Wyglądał nieszkodliwie, ale jej ciało znaleziono w Hudsonie, ze śladami straszliwych tortur. Sprawcy nigdy nie złapano. Podejrzewam, że miał bogatą i wpływową rodzinę. Trzymaj się mnie wieczorem. Dam ci znać, jeśli zobaczę coś niepokojącego.

– Dziękuję – odparłam.

Nie było czasu na pogaduszki, bo rozległ się dzwonek na drugi akt. Dziewczyny pobiegły na scenę, myślami będąc już gdzie indziej: planowały spotkania i kolacje po przedstawieniu. Orkiestra zaczęła grać i kurtyna powędrowała w górę. Wszystko szło zgodnie z planem. Scena kąpielowa, tak

jak przypuszczaliśmy, okazała się sukcesem. Pomruk zgorszenia (a może zachwytu?) przeszedł przez salę, gdy dziewczęta pojawiły się w kostiumach kąpielowych, z odsłoniętymi łydkami. Szkoda, że widzowie nie widzieli, jak pływam w oceanie – pomyślałam. Wtedy naprawdę mogliby się zdziwić!

Czułam, że publiczność lepiej się bawi podczas drugiego aktu. Śmiała się swobodniej i bardziej naturalnie. Zniknęło napięcie. Oklaski były częste i głośne. Kiedy wreszcie rozpoczął się bal, odetchnęłam z ulgą. Ze sceny zniknął wentylator, za kulisami zrobiło się pusto. Za dziesięć minut będzie po wszystkim – pomyślałam. Orkiestra zagrała walca i pary zaczęły się kręcić na parkiecie: *Walca, walca tańczymy, wiruj na sali piękne dziewczyny.*

Arthur, ten biedny malarz, skłonił się przed panną Lovejoy. Tańczyli najpierw szybko, a potem coraz wolniej, aż wreszcie stanęli nieruchomo, patrząc sobie głęboko w oczy. Obserwowałam ich tak uważnie, że tylko kątem oka zauważyłam jakiś dziwny ruch w głębi, a zaraz potem rozległ się krzyk:

– Uwaga!

Po chwili usłyszałam trzask i fragment dekoracji przewrócił się na scenę. Panna Lovejoy uskoczyła w bok w ostatnim momencie, a wielka kolumna upadła tuż za nią, roztrzaskując się na kawałeczki.

Widownia oszalała. Fotoreporterzy włączyli lampy błyskowe i zaczęli robić zdjęcia. Ludzie krzyczeli wniebogłosy, biegnąc do wyjścia. Rzuciłam się za kulisy, jednym okiem obserwując główne drzwi prowadzące na scenę, drugim schody na górę. Zobaczyłam tylko rekwizytorów, którzy stali z szeroko rozdziawionymi ustami.

– Czy ktoś tu był? – zapytałam. – Ktoś niepowołany?

– Nie, panienko – odezwał się jeden. – Nikogo oprócz nas nie było.

– Od dawna tak stoicie? Zauważylibyście, gdyby któryś z was się oddalił i popchnął kolumnę?

– Oczywiście, panienko. Nie wolno nam szwendać się za kulisami, chyba że coś wymaga naprawy. Musimy stać na swoich pozycjach i nie przeszkadzać aktorom, kiedy opuszczają scenę.

Tumult trwał, ale nagle usłyszałam stanowczy głos Blanche:

– Szanowni państwo, proszę zająć miejsca. Przepraszam za przerwę. Nie

pozwólmy, by to zdarzenie zepsuło dzisiejszy wieczór. Jesteśmy profesjonalistami. Dlaczego mamy nie zagrać wielkiego finału? Do dzieła!

Rozległy się gromkie brawa.

– Maestro? – zwróciła się Blanche do dyrygenta, który podniósł batutę i rozejrzał się niepewnie. – Od ostatniej reprzyzy, jeśli pan pozwoli.

Wróciłam na swoje miejsce. Orkiestra zaczęła grać, a Blanche z Arthurem, jakby nic się nie stało, ruszyli do walca. Wszyscy przyglądaliśmy się tańczącej parze z uśmiechem. Wpatrywałam się uważnie w Blanche, bo coś było nie tak. Po chwili zrozumiałam co. Zawsze widziałam tylko jej profil, a teraz również tył głowy. Ktoś przesunął oznaczenia na deskach!

Kurtyna opadła i cały zespół zebrał ogromny aplauz. Kiedy aktorzy zeszli ze sceny, sprawdziłam oznaczenia. Wyraźnie było widać, że ktoś starł pierwszą linię i nakreślił kredą nowy znak w innym miejscu. Miałam przed oczami pierwszy dowód na to, że za tym wszystkim stoi człowiek, nie duch, tak jak od dawna podejrzewałam. W zespole jest ktoś, kto nie lubi Blanche Lovejoy!

W garderobie panował chaos. Niektóre dziewczyny tylko cicho szlochały, inne dostały histerii.

– O mały włos by zginęła – łkała Connie. – I ja też. Niewiele brakowało, bo stałam tuż obok. Gdybym przesunęła się o parę centymetrów, już by mnie tu z wami nie było.

– Nie dramatyzuj, Connie – odparła Lily. – Stałaś znacznie dalej i nic by ci się nie stało. Przecież to tylko atrapa, a nie prawdziwy filar z marmuru. Co najwyżej lekko by cię zadrapał. – Wyjęła spinki z włosów, które opadły piękną falą na ramiona. – Nie wiem jak wy, ale ja zdecydowanie potrzebuję szampana. Mam nadzieję, że czeka tam na zewnątrz jakiś chłopak z butelką. Oby była dobrze schłodzona.

Zmyłam makijaż i zmieniłam ubranie, podczas gdy Elise zajęła się swoimi biednymi stopami.

– Pracowałaś wcześniej z panną Lovejoy, Elise? – zapytałam.

– Tak, trzy lub cztery lata temu. To pierwsze przedstawienie panny Lovejoy od dawna. W dzisiejszych czasach publiczność oczekuje młodych, słodkich aktoreczek, takich jak te z *Florodory*.

– Ale pracujesz w tym teatrze?  
– Tak, brałam udział w kilku przedstawieniach.  
– Czy w takim razie przychodzi ci do głowy ktoś, kto nienawidzi panny Lovejoy?

– Nienawidzi panny Lovejoy?  
– Owszem. Tak bardzo nienawidzi, że mogłby chcieć ją zabić albo przynajmniej porządnie wystraszyć.

Elise była zszokowana.

– Molly, czy ty uważasz, że...  
– Że filar to nie wypadek ani duch? Tak. Właśnie tak uważam.  
– O mój Boże! Ale to nie może być nikt z nas. Wszyscy z obsady tańczyli walca. Kierownik sceny zauważyłby osobę niepowołaną. A poza tym Henry nigdy by kogoś takiego nie wpuścił. Jest naprawdę surowy, zwłaszcza teraz, gdy młodzi mężczyźni niemal szturmują naszą garderobę.

Westchnęłam.

– Wiem. To wydaje się niemożliwe. Sama byłam świadkiem trzech dziwnych incydentów, a nie widziałam nic podejrzanego i nie spotkałam nikogo, kto nie był na swoim miejscu.

– W takim razie to może jednak duch – stwierdziła Elise. – Mówiłam ci, że wczoraj zrobiło mi się zimno, prawda?

– To dlatego, że miałaś na sobie suknię z głębokim dekoltem – zauważyłam. – Nie wierzę w duchy.

Garderoba pustoszała, dziewczęta spieszyły się na łowy.

– Chodź, Molly! – zawołała Elise. – Nie możesz być ostatnia.

Zebrałam swoje rzeczy i ruszyłam schodami na dół. Prawdę mówiąc, chciałam na własne oczy zobaczyć te umizgi. A nawet przeszło mi przez myśl, że całkiem przyjemnie byłoby dostać zaproszenie na kolację i kieliszek szampana, choć wątpliwe, by jakikolwiek młodzieniec zwrócił uwagę na okularnicę z grubymi warkoczami. Słysząc było, że tłum szturmuje drzwi. Henry podniesionym głosem prosił o opamiętanie.

– Spokojnie, panowie. Nikogo do środka nie wpuszczam. I nie, nie

obchodzi mnie, kim jesteście. Nawet prezydent Roosevelt musiałby cierpliwie poczekać.

Ruszyliśmy przed siebie, wchodząc wprost w tłum adoratorów i reporterów błyskających fleszami. W wyobraźni ujrzałam następującą scenę – w tłumie stoi John Jacob Halsted, który za chwilę zadzwoni do przyjaciela z propozycją wieczornej zabawy. Doznałam olśnienia! JJ chodził do teatru, żeby podrywać aktorki! Nie zdążyłam dobrze się nad tym zastanowić, kiedy poczułam, że Elise ciągnie mnie za rękę.

– Uważaj na tego tam – szepnęła. – Lubi się ostro zabawić.

Spojrzałam w kierunku, który wskazywała, i omal nie zemdlalam z wrażenia. Młodzieniec w nieskazitelnym czarnym smokingu okazał się moim panem Rothem!

Ledwie zdążyłam ten fakt zarejestrować, a już doskoczyły do mnie moje przyjaciółki.

– Molly, ty łobuzie. Jak mogłaś nam nie powiedzieć, że grasz w Casino? – Sid chwyciła mnie za ramiona i potrząsnęła.

– Nie wierzyłam własnym oczom – dodała Gus. – Ledwie powstrzymałam Sid, żeby nie krzyknęła twojego imienia. Byłaś świetna.

– Nie musiałam nic robić – zauważyłam. – Tylko stałam.

– Wspaniale stałaś!

– Zgadnij, kogo spotkałyśmy na widowni?

Z cienia wyszedł nagle Ryan O'Hare.

– Molly, najdroższa, i co ja mam powiedzieć? – Podeszedł i pocałował mnie w policzek. – Gdybym tylko wiedział, że skrywasz w sobie taki talent, już dawno temu zaproponowałbym ci rolę w jednej ze swoich sztuk.

– Daj spokój, Ryanie, ty i te twoje pochlebstwa! – Roześmiałam się i ruszyliśmy.

Z każdym krokiem tłum się przersedzał, a błyski lamp fotograficznych, a wraz z nimi zapach siarki i dymu, zostawały coraz dalej za nami. Zdążyłam jeszcze usłyszeć, jak jedna z dziewcząt – chyba Connie – opowiada głośno i z przejęciem: „Kolumna prawie na mnie runęła. Miałam sporo szczęścia, że uszłam z życiem”.

– Idę o zakład, że jeszcze nie zdemaskowałaś ducha – stwierdził Ryan. – Muszę przyznać, że ten dzisiejszy wypadek był spektakularny.

– Czyli dlatego grasz w sztuce? – spytała Sid. – Wynajęli cię, żebyś sprawdziła, czy teatr jest nawiedzony?

Przytaknęłam.

– I jak? Wierysz, że to duch? Widziałas go? – dopytywała się Gus. – Sid i ja zawsze chcieliśmy zobaczyć ducha, prawda, Sid?

– Oczywiście, Gus. Muszę wam się przyznać, kochani, że wpatrywałam się w scenę jak zaczarowana. Nagle na oczach publiczności upada wielka



kolumna i tylko jakimś cudem mija pannę Lovejoy. Byłyśmy w szoku.

– Moje drogie, ja prawie umarłem ze strachu – stwierdził Ryan. – Nie toleruję duchów. Wychowałem się w nawiedzonym zamku i dopiero kiedy rodzice wysłali mnie do szkoły z internatem, zacząłem normalnie spać. W domu codziennie pilnowałem, żeby duch nie wszedł do mojego pokoju, więc nie byłem w stanie zmrużyć oka.

– Nie ma ducha w Casino – oznajmiłam. – Uważam, że ktoś płata figle pannie Lovejoy.

– Kto to może być, twoim zdaniem? – zapytała szeptem Sid, wyprowadzając mnie z wąskiej alejki na zatłoczoną ulicę.

– Nie mam pojęcia. – Rozejrzałam się dookoła, sprawdzając, czy ktoś przypadkiem nie podsłuchuje. – Nikogo nie przyłapałam. Za każdym razem, kiedy w teatrze działy się dziwne rzeczy, potrafiłam określić, gdzie kto jest. No, może poza reżyserem i choreografem, ale oni i tak się nie liczą. Dziś znów wydarzyło się coś niezwykłego, a ja nie wiem, jak to wytłumaczyć.

Kątem oka zauważyłam, że Lily wsiada do powozu z młodym mężczyzną i że jest nim pan Roth. Miejmy nadzieję, że wie, co robi – pomyślałam i postanowiłam zapytać następnego dnia, jak spędziła wieczór.

– Molly, kochanie, idziesz z nami. Zabieramy cię na późną kolację do hotelu przy Piątej Alei – oznajmiła Sid, biorąc mnie pod ramię. – Spotkamy się tam z naszą przyjaciółką Elizabeth, wiesz którą, prawda? Też była na widowni. Bardzo chce z tobą porozmawiać i usłyszeć, jak się miewa dziewczyna znaleziona w parku.

Zatrzymaliśmy powóz i pojechaliśmy do hotelu, gdzie spędziłam niezwykle przyjemny wieczór. Do domu wróciłam dobrze po północy. Pani Tucker smacznie spała w moim fotelu; w sypialni Annie było cicho. Nie miałam serca w środku nocy posyłać opiekunki do domu, więc okryłam ją kocem i sama poszłam spać. Rano obudził mnie zapach świeżo parzonej kawy. Po kuchni krzątała się pani Tucker.

– Wygodny masz fotel, moje dziecko – powiedziała, nawet nie patrząc na mnie znad talerza, na którym układała tosty. – Spałam jak zabita. Jak się dzisiaj czuje nasza śpiąca królowna?

– Jeszcze nie wiem. Zeszłam na dół zwabiona zapachem kawy.

– Przygotowałam dla niej tacę ze śniadaniem – oznajmiła pani Tucker.

Otworzyłam przed nią drzwi do sypialni Annie, a potem stanęłam z boku. Na widok opiekunki dziewczyna usiadła, a po chwili, ku mojemu zdziwieniu, uśmiechnęła się. Pani Tucker miała rację – pomyślałam. Troska, wikt i opierunek działają lepiej niż medycyna.

– „Koci, koci, łapci, pojedziem do babci” – wyrecytowała pani Tucker, siadając na łóżku.

Kiedy po śniadaniu odnosiłam na dół tacę, rozległo się pukanie do drzwi. Daniel przywitał mnie, machając gazetą. Z nagłówek wynikało, że duch z teatru Casino zaatakował znaną aktorkę przy pełnej widowni.

– Gazety trąbią o katastrofie, więc przyszedłem zobaczyć, czy u ciebie wszystko w porządku.

– Nic mi nie jest. Wejź i napij się kawy – zaproponowałam.

– Wspaniale. – Daniel zdjął kapelusz i położył go na stoliku w korytarzu. – Muszę przyznać, że czuję się lepiej, widząc cię całą i zdrową. Co za dziwna sprawa! Rozumiem, że nie złapałaś tego łobuza.

– Pobiegłam od razu za kulisy. Znalazłam rekwizytorów, którzy przysięgali, że nikogo podejrzanego nie było.

– Więc może to jeden z nich? – zapytał Daniel.

– Nie miałby jak. Stali tam całą ekipą. Gdyby ktoś popchnął kolumnę, zwróciłby ich uwagę.

– No, chyba że są w zмовie.

– Ale dlaczego? Jakie mogliby mieć motywy?

– Pieniądze? Ktoś im dobrze zapłacił, więc podjęli ryzyko. Sprawca najwyraźniej chce, żeby twoja Blanche poniosła karę. Może wcale nie jest związany z teatrem, tylko zależy mu, by sądzono, że to branżowe porachunki.

– Ciekawa teoria – zgodziłam się.

– Kiedyś byłem detektywem. Pamiętasz? – Daniel się uśmiechnął.

– Porozmawiam dzisiaj z Blanche i dowiem się, czy ma wrogów poza środowiskiem.

– Myślałem, żeby pojechać teraz do New Haven i popytać trochę

o Halsteda w tamtejszym teatrze – oznajmił Daniel. – Sprawę pana Rotha natomiast uważam za zamkniętą. Sprawdziłem tego kawalera na wszystkie strony.

– Obydwoje go dokładnie sprawdziliśmy – zauważyłam. – A dziś muszę poinformować rodzinę Mendelbaumów, że pan Roth nie jest dobrym kandydatem na zięcia.

– Co ty mówisz? Dlaczego? To wzór wszelkich cnót. Myślisz, że młoda żona umrze z nudów?

– Jest tylko wzorem do naśladowania dla mężczyzn, którzy wystają pod teatrem i podrywają tancerki. Ten twój idealny kandydat na męża ma nawet etykietę. Podobno potrafi „ostro się zabawić”, jak to określiła jedna z dziewcząt. Widziałam go wczoraj przed teatrem.

– Dobry Boże – jęknął Daniel. – Nigdy bym go o to nie podejrzewał. Jesteś pewna, że to on?

– Bez dwóch zdań. Zabrał do powozu dziewczynę, która jest znana z lekkiego podejścia do życia.

– A to ci dopiero! – Daniel był zaskoczony. – Tak czy siak przynajmniej jedną sprawę mamy z głowy. Teraz trzeba dorwać ducha i odnaleźć JJ Halsteda.

– Jak to sobie wyobrażasz, Danielu? Prawdopodobnie szuka go policja w całym kraju.

– Cóż, na miejscu policjantów najpierw dokładnie obejrzałbym okolicę, gdzie doszło do wypadku, a potem węszył dalej. Sprawdziliśmy już tamtejsze gospodarstwa i wiemy, że Halsted nie szukał w nich schronienia. Trzeba pojechać na najbliższą stację kolejową. Wiemy, gdzie ona jest? Może ktoś widział, jak wsiada do pociągu. Jeśli miał ze sobą łup, jak go transportował? Srebro nie należy do najłżejszych.

– To prawda. – Kiwnęłam głową.

– Jeśli nie pociąg, to podejrzewam, że tamtą drogą kursują regularnie wozy transportowe. Trzeba sprawdzić, czy Halsted nie zatrzymał któregoś i nie pojechał bezpośrednio do portu. Jeśli tak, warto odwiedzić firmy obsługujące statki parowe i zapytać, czy ktoś, kto odpowiada opisowi Halsteda, rezerwował dla siebie rejs do Ameryki Południowej.

- Zakładasz, że jest winny – zauważyłam.
- To podaj mi inne sensowne wytłumaczenie.
- Nie potrafię.
- W takim razie musimy przyjąć, że alkohol albo długi zaprowadziły go na samo dno. Jeśli uznamy, że jest winny, należy sprawdzić, czy nie uciekł z kraju.
- Danielu, właśnie dlatego cię zatrudniłam... – zaczęłam, ale moje słowa zostały zagłuszone przez głośne pukanie do drzwi.

Wszedł doktor Birnbaum.

- Mamy pierwszą odpowiedź na poprawione ogłoszenie – powiedział triumfalnie i wręczył mi kopertę. – Wydaje się obiecująca.

Otworzyłam list i natychmiast przeczytałam na głos.

*Szanowni Państwo!*

*W nasze ręce trafiło ogłoszenie dotyczące młodej kobiety o imieniu Annie. Jedna z tancerek, Annie Parker, nie pojawiła się w teatrze w zeszłym tygodniu i nie ma z nią żadnego kontaktu. Koleżanki z zespołu podejrzewają, że uciekła z pewnym młodym mężczyzną.*

*H. Goldman, Teatr Goldmana, New Haven*

- Danielu, słyszałeś?! New Haven! – powtórzyłam, nie kryjąc radości. – To ona uciekła z Halstedem! Wiedziałam!

- Chodźmy na górę i sprawdźmy, czy cokolwiek pamięta – powiedział Daniel, wbiegając na schody.

Doktor ostrzegawczo uniósł rękę.

- To trzeba zrobić ostrożnie i zgodnie z zasadami. Czy zdaje pan sobie sprawę, kapitanie, że pańska raptowna próba konfrontacji może ją zgubić i wpędzić na stałe w obłąd?

– Rozumiem, doktorze – odparł Daniel. – Nie będę się wtrącać.

Birnbaum skinął ponuro głową.

– Planowałem dziś kolejną sesję, ale niestety wzywają mnie do szpitala. Zaszedłem tylko, żeby przekazać wiadomości.

– Dziękuję, doktorze – powiedziałam.

Lekko się uklonił.

– Zanim podejmiemy kolejne próby komunikacji, dobrze byłoby potwierdzić, że faktycznie mamy tu tancerkę z New Haven, i upewnić się, czy nie jest to tylko zbieżność imion. Proponuję poprosić właściciela teatru o zdjęcie zaginionej Annie.

– Dobry pomysł – stwierdziłam. – Napiszę do niego.

Doktor Birnbaum pożegnał się i wyszedł.

– Przecież właśnie jadę do New Haven – oznajmił Daniel. – Oczywiście wezmę list i porozmawiam z dyrektorem teatru. Może wybierzesz się ze mną, Molly?

Biłam się z myślami. Nadzieja, że moglibyśmy się dowiedzieć, kim jest nasza Annie, walczyła we mnie z mało szlachetną irytacją. Daniel przejmuję moją sprawę i zaprasza mnie, bym mu towarzyszyła jako asystentka – pomyślałam ze złością.

– Nie jestem pewna – odparłam. – Niech się zastanowię. W teatrze muszę być o piątej, ale liczyłam na to, że wcześniej uda mi się porozmawiać z Blanche Lovejoy. Powinnam również odwiedzić Mendelbaumów i poinformować ich o wynikach śledztwa.

– Mendelbaumowie mogą poczekać – rzucił beztrosko Daniel. – To jest decydujący moment w sprawie Annie. Mówiłaś, że chcesz się ode mnie czegoś nauczyć... Otóż jedna z podstawowych reguł brzmi: najważniejsze poszlaki należy sprawdzać samemu. Oczywiście jeśli trzeba, sam pojedę do New Haven, ale...

Reszta zdania zawisła w powietrzu. Byłam wściekła. Prawdę mówiąc, miałam ochotę mu powiedzieć, że zmieniłam zdanie i nikt nie pojedzie do New Haven. Powstrzymała mnie świadomość, że na górze leży bezbronna Annie. Po chwili się opamiętałam. Przecież liczy się tylko ona i jej

bezpieczny powrót do domu!

– Masz rację – powiedziałam. – Mendelbaumowie poczekają. Nie zaplanowali ślubu na jutro. Ale chcę się rozmówić z Blanche, więc muszę być w teatrze trochę wcześniej. Po tym, co się stało wczoraj wieczorem, mam zamiar wszystko dokładnie obejrzeć, zanim kurtyna pójdzie w górę. I może przekonam dyrektora technicznego, żeby postawił swoich ludzi na wszystkich kluczowych pozycjach za kulisami. To się musi wreszcie skończyć.

– A jeśli to jednak duch? – Daniel się uśmiechnął.

– Pójdę do egzorcysty i poproszę go o pomoc – odparowałam.

– I pogrzebiesz nadzieję na karierę aktorską? – drażnił się ze mną. Chyba irytował go fakt, że mam zajęcie, które nie jest zbyt wysoko cenione przez wyższe sfery.

– Nie masz pojęcia, jakie to denerwujące stać na scenie przed tak liczną publicznością – ucięłam. – W porządku, Danielu. Jakoś się ze wszystkim uwinę, ale pod warunkiem, że natychmiast wyjdziemy. Droga pani Tucker, czy może pani posiedzieć z naszą Annie?

– A jaki mam wybór? – zapytała. – Przecież nie zostawię tego biednego stworzenia bez opieki.

– Leć na górę po kapelusz i płaszcz, Molly. Musimy zdążyć na pociąg – ponaglił mnie Daniel.

– Wydajesz się dziś nie w humorze – zagaił, gdy pociąg ruszył z Grand Central. – Sądziłem, że będziesz zadowolona. Zakończyliśmy sprawę pana Rotha, a teraz jedziemy potwierdzić tożsamość naszej tajemniczej Annie.

– Chyba jestem zmęczona – odparłam. – Siedzę do późnych godzin w teatrze, a potem próbuję prowadzić normalne życie.

– To całkiem zrozumiałe – powiedział. – Zwłaszcza że wczorajsze wydarzenia w teatrze chyba wytrąciły cię z równowagi.

Nie chciałam przyznać, że prawdziwym powodem było jego irytujące zachowanie. Jak przystało na typowego mężczyznę, zaczął wydawać mi rozkazy, mimo że to ja prowadziłam sprawę, na dodatek jako właścicielka agencji detektywistycznej. Rzykując, że wyjdę na czepialską, postanowiłam mimo wszystko poruszyć trudny temat. Uznałam, że jeśli nie zrobię tego teraz, Daniel ciągle będzie mnie tak traktował.

– Czy w ten sam sposób rozmawiałbyś z mężczyzną detektywem? Czy powiedziałbyś mu, że jakieś wydarzenie wyprowadziło go z równowagi? Czy kazałbyś mu iść na górę po płaszcz i kapelusz?

Daniel spojrzał na mnie z rozbawieniem.

– Głuptas z ciebie.

– Nie, po prostu zwracam ci uwagę, że nie traktujesz poważnie ani mnie, ani mojej agencji. To jest przede wszystkim moja praca, a ty mi tylko pomagasz. Mimo to chcesz zawsze grać pierwsze skrzypce.

– Tylko dlatego, że większość mężczyzn nie czuje się komfortowo, odpowiadając na pytania kobiety.

– I dlatego kazałeś mi pójść po kapelusz i płaszcz, traktując mnie, jakbym miała pięć lat?

– Musieliśmy się pospieszyć. Gdybym był na posterunku, powiedziałbym to samo koledze policjantowi, tyle że mniej grzecznym tonem.

– Aha!

Odwróciłam się i wyjrzałam przez okno. Rozśmieszyło mnie odbicie własnej twarzy, na której malowało się święte oburzenie. Czy warto się tak

denerwować?

– Masz rację. To dlatego, że chodzi o ciebie, Danielu. Chyba warto poukładać na przyszłość pewne sprawy. Muszę mieć pewność, że jestem postrzegana jak równy partner i nikt nie mówi mi, co mam robić.

– Och, nie sądzę, by ktoś się na to odważył. Miałby wiele do stracenia – odparł Daniel i wstał. – Zobaczmy, czy w pociągu jest wagon restauracyjny. Chętnie coś bym przekąsił i napił się kawy. Jestem bez śniadania i podejrzewam, że ty także.

Posiliwszy się, już w lepszych humorach wysiedliśmy na dworcu w New Haven. Dzień był szary i zimny. Całą drogę do teatru przy Crown Street trzymałam szalik przy twarzy, walcząc z przejmującym wiatrem. Kasa biletowa była otwarta, a stamtąd poprowadzono nas do biura dyrektora teatru, pana Tweediego.

– Więc udało się nam znaleźć naszą Annie, tak? Co za wiadomość! Tak się cieszę. Ciężko nam bez niej. Była naszą gwiazdą. – Wskazał głową ścianę, do której przyczepiony był duży plakat.

*Spotkajmy się w ogrodzie* – brzmiał tytuł przedstawienia. Jedno zdjęcie przedstawiało grupkę dziewcząt z parasolkami, na innym te same dziewczęta zerkały znad ogromnych wachlarzy.

– Tam. W samym środku – powiedział pan Tweedie. – To nasza Annie.

Wskazał na dość ładną dziewczynę z szeroko otwartymi oczami jak u lalki i włosami ułożonymi w złociste pukle.

– Ta w środku? – upewniłam się, czując ogromne rozczarowanie. – To nie ona.

– Jaka szkoda! – zmartwił się Tweedie. – Tak się ucieszyłem, widząc wasze ogłoszenie! Bardzo czekamy na jej powrót. Od lat nie mieliśmy tak utalentowanej i ładnej tancerki. Młodzi mężczyźni za nią szaleli. Dlatego podejrzewaliśmy, że z którymś uciekła. To teraz na porządku dziennym. Wierzą, że zyskają dom, szacunek i bezpieczeństwo, a w rzeczywistości młody człowiek wcale o tym nie myśli. Chce się tylko dobrze zabawić. Kiedy ma dość i zostawia dziewczynę, ona często schodzi na złą drogę. Raz jedna...

Przerwałam mu.

– Przepraszam, że marnujemy pański czas, panie Tweedie.



Czułam tak głęboki zawód, że chciałam jak najprędzej stamtąd wyjść. Na szczęście Daniel zareagował inaczej.

– Proszę mi powiedzieć, panie Tweedie, czy zna pan młodzieńca, który nazywa się John Jacob Halsted? – zapytał.

– Halsted? Oczywiście! Wszyscy o nim słyszeliśmy. To student Yale, który obrabował bank, a potem z zimną krwią zastrzelił lokaja Silvertonów, prawda?

– Znał go pan wcześniej? Przychodził do teatru?

– Od dziewcząt wiem, że był jednym z tych, którzy wystają pod drzwiami garderoby – odparł Tweedie. – To ulubiona rozrywka wielu studentów Yale. Ale nie mogę nawet powiedzieć, że znam go z widzenia.

– Jeździł eleganckim czerwonym samochodem – powiedziałam. – Najnowszym modelem cadillaca.

Tweedie skinął głową.

– Tak, od czasu do czasu widywałem takie auto w pobliżu teatru.

– Także w dniu, w którym zniknęła Annie?

Potrząsnął głową.

– Nie pamiętam.

Pożegnaliśmy się i wyszliśmy w milczeniu.

– Tak się cieszyłam. Byłam pewna, że chodzi o naszą Annie – powiedziałam w końcu. – To by było wspaniale.

– Nie dla Annie – stwierdził Daniel. – Musielibyśmy uznać, że coś straszego się stało pomiędzy jej wyjściem z teatru a feralnym przedpołudniem, kiedy znaleźliśmy ją w Central Parku.

Skinęłam głową.

– Czy to możliwe, że Halsted i ta tancerka Annie zaplanowali to wszystko razem i teraz cieszą się łupami?

Daniel zmarszczył brwi.

– Przypuszczam, że to możliwe – powiedział. – W każdym razie obawiam się, że sprawa naszej pacjentki jest wciąż zagadką. Wzięłaś na siebie ogromny

ciężar, Molly. Uważam, że to było bardzo nierozsądne.

– Doktor Birnbaum i pani Tucker wyleczą ją wspólnymi siłami – oznajmiłam. – Dziś uśmiechnęła się do nas. To przełom, nie uważasz?

– Nie wiem, ale skoro tak sądzisz...

– Tak sędzę – zgasiłam go. – Uśmiechnęła się, bo nam ufa i traktuje nas jak przyjaciół. Założę się, że lada dzień zacznie mówić.

– I jak większość kobiet już się nie zamknie – spuentował Daniel i od razu zrobił unik, bo zaatakowałam go torebką.

Wydawało się, że podróż powrotna trwa wiecznie. Pogoda się zepsuła i spadł ulewny deszcz. Dzwonił kroplami w okna wagonów.

– Tak sobie myślę, że powinienem wysiąść na kolejnej stacji. Jest najbliżej miejsca wypadku – wyjaśnił Daniel. – Popytam, czy widziano tam Halsteda. Potem sprawdzę w biurach podróży, czy ktoś, kto odpowiada jego opisowi, kupił bilety dla dwóch osób do Ameryki Południowej.

– Dlaczego akurat do Ameryki Południowej? – zapytałam.

– Ponieważ ludzie uciekają tam przed prawem. W niektórych krajach cudzoziemcy są mile widziani i nikt nie zadaje im pytań.

– Rozumiem.

Wpatrywałam się w ponury krajobraz za oknem i modliłam w myślach, by Halsted i Annie rzeczywiście byli teraz w Ameryce Południowej, a nie na tych bagnach, które ciągną się nieopodal torów. Daniel wysiadł po drodze, więc sama wróciłam do miasta. Zastałam panią Tucker w wyśmienitym humorze.

– Dobra wiadomość, panno Murphy!

– Powiedziała coś?

– Nie, ale przyszedł list. Jej rodzina się odnalazła.

– Wspaniała nowina – odparłam. – Gdzie jest list?

– Na stole w kuchni. Ten niemiecki lekarz go przyniósł.

Popędziłam korytarzem do kuchni. List był napisany na zwykłej kartce wyrwanej ze szkolnego zeszytu.

*Szanowny Panie/Szanowna Pani!*

*Niezwykłe się ucieszyłem, czytając ogłoszenie w gazecie, którą podsunął mi przyjaciel. Sądząc po opisie, dziewczyna jest moją narzeczoną, Anyą Bartok. Miała w zeszłym tygodniu przyплыnąć parowcem z Węgier. Wyszedłem jej na spotkanie do portu, ale się nie znaleźliśmy. Jest prostą dziewczyną. Pochodzi z małej wioski i nie mówi po angielsku.*

*Czy możemy się spotkać jutro o jedenastej rano pod zegarem w Grand Central Terminus? Chętnie zabiorę moją Anyę do domu.*

*Laszlo Baka*

– I wszystko jasne! – zawołałam. – Wiemy, dlaczego nas nie rozumiała! Mówi tylko po węgiersku, a nikt się do niej nie zwrócił w tym języku. Tak się cieszę, pani Tucker. Pójdzie do ludzi, którzy się nią zaopiekują.

– Ale, ale! – Pani Tucker ostudziła mój zapał. – Chciałabym jutro dobrze mu się przyjrzeć. Dziwne, że się nie spotkali, kiedy schodziła ze statku. Dlaczego? A jeśli to przed nim uciekła?

Nie pomyślałam o tym.

– Jutro się wszystkiego dowiemy – odparłam. – Nie pozwolimy jej odejść, jeżeli mężczyzna wyda nam się podejrzany.

Bardzo chciałam, żeby ten dzień szybko się skończył. Wprost nie mogłam się doczekać jutra. Coś strasznego przydarzyło się naszej Annie, ale była szansa, że wkrótce znajdzie bezpieczne schronienie wśród swoich, którzy dobrze się nią zaopiekują.

Wybrałam się do teatru wcześniej niż zwykle, zdeterminowana, żeby wreszcie znaleźć choć jeden punkt zaczepienia w tej dziwnej sprawie. Do przedstawienia wciąż było sporo czasu, ale przed teatrem już zebrał się gęsty tłum. Na szklanych drzwiach wisiała tabliczka z informacją, że bilety zostały wyprzedane, ale na zewnątrz trwał handel jak na targu.

– Pięć dolarów za bilet! – krzyczał jakiś mężczyzna. – Miejsce przy samej scenie, można z bliska zobaczyć ducha.

W kierunku sprzedającego rzuciło się kilka osób.

– Henry, ludzie zabijają się o bilety – powiedziałam, kiedy wreszcie udało mi się przedrzeć przez tłum.

– O tak! Każdy chce na własne oczy zobaczyć, co się tutaj dzieje – odparł. – Od rana mam krzyż pański z tymi dziennikarzami.

– Widzisz każdego, kto wchodzi i wychodzi. Nie było tu nikogo podejrzanego, kto na przykład chciał rozmawiać z chłopakami z rekwizytorni?

Henry zmarszczył brwi.

– Odszedłby z kwitkiem. Można u mnie zostawić wiadomość, ale nie opuszczę swojego stanowiska, żeby pójść po kogoś na górę.

– Rozumiem – odparłam i uznawszy, że niczego więcej się nie dowiem, poszłam do garderoby Blanche.

– Pani jeszcze nie dotarła. – Martha patrzyła na mnie w typowy dla siebie, nieprzyjazny sposób. – Jest u lekarza. Potrzebuje dodatkowych eliksirów na swoje skołatane nerwy, biedactwo.

– Szczerze mówiąc, przyszłam do pani – oznajmiłam. – Chciałabym porozmawiać. Jestem pewna, że zna pani pannę Lovejoy lepiej niż ktokolwiek inny. Czy ma jakichś wrogów poza teatrem?

– Co ma panienka na myśli? – zdenerwowała się Martha.

– Tylko to, że wczoraj o mały włos nie doszło do tragedii. Zastanawiam się, czy ktoś mógł opłacić rekwizytora, by ten we właściwym momencie pchnął kolumnę. Może słyszała pani o kimś, kto źle życzy pannie Lovejoy.

Martha patrzyła na mnie zdziwiona.

– Kto? Wszyscy ją kochają. Jest najbardziej uwielbianą aktorką w Nowym Jorku. Zawsze tak było.

– Może jakaś inna aktorka, która zazdrości jej sukcesów? Albo zawiedziony kochanek?

– Jedynie Barker może nosić w sercu urazę, a jest pamiętliwy. Blanche się z nim nie zwiąże, bo wciąż liczy na lepszą partię.

Wyszłam z garderoby i różne myśli kłębiły mi się w głowie. Może przywiązanie Roberta Barkera zamieniło się w nienawiść? Jest niskiego wzrostu, a niscy mężczyźni są często przewrażliwieni na swoim punkcie. Jako reżyser przedstawienia mógł wynająć kogoś do brudnej roboty – rozmyślałam. Może przekupił rekwizytorów i teraz jeden kryje drugiego. Ale jak to udowodnić?

Szłam wolno korytarzem, zastanawiając się, czy odważę się z nim skonfrontować. Może nie jest postawny, ale z pewnością silniejszy ode mnie. Na dodatek nosi znacznie wygodniejsze ubrania niż ja. Muszę być ostrożna – uznałam.

No i jest jeszcze Desmond Haynes, którego wczoraj w ogóle nie widziałam. Czy jako choreograf uznał, że nie jest już potrzebny, czy raczej chował się po kątach, a potem, udając ducha, spowodował wypadek? Oprócz pomówień i plotek nie znałam jednak sensownych powodów, dla których mógł to zrobić. Ciekawe, do jakich barów pracownicy teatrów chadzają po pracy. Prawdopodobnie Ryan doskonale się orientuje. Poproszę, żeby nadstawiał ucha, spotykając się w swoim środowisku – postanowiłam.

Za rogiem wpadłam na pannę Lovejoy.

– Molly, co tu robisz tak wcześnie? – spytała.

– Pracuję. Przecież mam się czegoś dowiedzieć o duchu – odparłam poirytowana. – Postanowiłam zajrzeć za kulisy i upewnić się, że nikt nie zastawił na ciebie pułapek.

– Pułapek? – Pokręciła głową. – Chodzi ci o to, że ktoś z premedytacją chce mnie skrzywdzić?

– To możliwe – odparłam.

Blanche patrzyła na mnie z niedowierzaniem.

– Niemożliwe. Kto? Wszyscy tutaj są wdzięczni, że dałam im szansę na udział w tak wielkim wydarzeniu teatralnym.

– A Barker? Może ma już dość.

– Bobby? – zaśmiała się Blanche. – Zapewniam cię, że Bobby będzie mi wierny aż po grób. Nie mógłby zastawić na mnie żadnych pułapek. Jest łagodny jak baranek. I bardzo wrażliwy. Pamiętam, jak kiedyś zbladł okrutnie na widok myszy w pułapce.

– A Desmond Haynes?

– Drogi Desmond? Cóż, powiem ci w zaufaniu, że Desmond nie jest zainteresowany kobietami. Mieliśmy kiedyś przelotny romans, ale nic z tego nie wyszło. Już wtedy wiedziałam, że uczucia lokuje gdzie indziej. Poza tym jest prawdziwym profesjonalistą. Nie zrobiłby nic, co mogłoby popsuć przedstawienie. Wiesz, że nawet teraz ćwiczy z dziewczętami kroki? Powtarzają wszystko jeszcze raz przed wejściem na scenę. Zapracuje się kiedyś na śmierć ten nasz kochany Desmond.

– No to kto inny? Czy potrafisz wskazać kogoś, kto dołączył do zespołu, głęboko skrywając chęć zemsty?

Znów się roześmiała.

– Skoro to było sekretne pragnienie, jak mogłabym je poznać? Ale odpowiedź brzmi: nikt z tego zespołu nie zna mnie na tyle dobrze, by pragnąć zemsty. Spotkaliśmy się tutaj po to, by wspólnie pracować, i szczerze mówiąc, to ja jestem gwiazdą, a cała reszta nie dorasta mi do pięt.

Poklepała mnie po ramieniu, jakbym była nierozgarniętym dzieckiem.

– Widzę, że bardzo się starasz, ale chyba marnujesz zarówno swój, jak i mój czas. Nie ochroniłaś mnie ani nie rozwiązałaś zagadki. Z przykrością stwierdzam, że nie masz odpowiednich kwalifikacji. Może więc powinniśmy rozwiązać naszą współpracę. Oczywiście zapłacę za twoje dotychczasowe zaangażowanie.

– Panno Lovejoy – powiedziałam, czerwieniejąc ze złości. – Wczoraj wieczorem o mały włos nie zginęłaś na scenie. Wystarczyłby krok w lewą stronę, a nie rozmawiałybyśmy teraz. To nie duch zrzucił na ciebie tę kolumnę, tylko człowiek. Być może jest to spisek kilku osób. Chciałabym się dowiedzieć, kto dokładnie za tym stoi. Wydaje mi się, że ktoś zmienił oznaczenia na scenie, ale na razie nie potrafię tego udowodnić. Proszę przynajmniej jeszcze o tydzień. Jeśli nie, sugeruję, by natychmiast wezwać policję. Niech rozstawią swoich ludzi wokół sceny.

Chwilę myślała, marszcząc czoło.

– Publiczność może się wystraszyć na widok uzbrojonych policjantów – odparła.

– A upadające kolumny jej nie wystraszą? Przecież wczoraj mogło dojść do tragedii – zauważyłam.

Blanche westchnęła.

– Może masz rację. Zupełnie nie wiem, co zrobić. Staralam się trzymać prasę na dystans, ale teraz to nie ma sensu. Wszyscy widzieli, jak upadła kolumna, i całe miasto o tym mówi. Nie chcę się poddać, ale też nie mogę tak żyć w ciągłym strachu. Jestem na skraju wytrzymałości, Molly. Naprawdę. – Na potwierdzenie tych słów uniosła dłoń w dramatycznym geście.

– Proszę dać mi jeszcze kilka dni, panno Lovejoy – nalegałam. – A potem wezwie pani policję.

– Zgoda. W takim razie działaj, Molly.

Przeprowadziłam małe śledztwo za kulisami. Niczego podejrzanego nie zauważyłam. Wróciłam do garderoby i zaczęłam przygotowywać się do przedstawienia. Kurtyna poszła w górę. Widownia była pełna. W powietrzu czuło się napięcie. Czy duch znów się pojawi? Zdawało się, że publiczność wstrzymuje oddech, gotowa na strach i zachwyt jednocześnie. Dziś jednak duch okazał się łaskawy i dobrnęliśmy do końca bez jakichkolwiek niespodzianek.

– Może w końcu zdał sobie sprawę, że panna Lovejoy nie zamierza dać za wygraną – stwierdziła jedna z dziewcząt, kiedy po przedstawieniu przebierałyśmy się w garderobie.

– Jest twarda – dodała inna. – Wczoraj aż dostałam dreszczy, kiedy tak

spokojnie powiedziała, że nie wolno się nam poddać i zagramy do końca.

– I wiecie co? Publiczność wcale się nie wystraszyła. Panna Lovejoy była przerażona, że ludzie nie przyjdą, jak przeczytają w gazetach o duchu. Ale widzieliście, co się dzisiaj stało?! Na widowni nie było wolnego miejsca! Siedzieli z zapartym tchem. Nie mogli się wprost doczekać, kiedy duch da o sobie znać.

– Mam na to teorię – oznajmiła Lily, po czym spokojnie zdjęła baletki.

– To znaczy?

– Och, nic. – Włożyła buty do pudełka.

– Miałaś wczoraj udaną randkę? – spytałam.

Spojrzała na mnie pogardliwie, jakbym nie była godna, by się do niej odezwać.

– To nie twoja sprawa – stwierdziła. – Ale powiedzmy, że nie do końca. Okazał się dusigroszem – dodała i odwróciła się do Connie. – I miał jakieś dziwne pomysły – mruknęła, myśląc, że nie usłyszę. – Na szczęście odmówiłam, zanim wyszliśmy z restauracji. Odegrałam niezłą scenkę, tłumacząc mu, że jestem dziewicą i nie wiem, o czym mówi. Łzy jak grochy spływały mi po policzkach. Udawałam świętą. To zawsze działa. Odwiózł mnie do domu.

– Co ci proponował? – spytała Connie.

Lily szepnęła jej coś na ucho. Connie oblała się rumieńcem.

– Nie zrobiłby tego – stwierdziła. – To obrzydliwe...

Kiedy po wyjściu z teatru wmieszałam się w tłum, pan Roth znów stał na swoim stanowisku. Przyszło mi do głowy, że może dla dobra śledztwa powinnam się dzisiaj z nim umówić, ale potem uznałam, iż nie jestem Lily. Nie będę umiała się wycofać w odpowiednim momencie.



Następnego dnia rano znów obudził mnie zapach kawy. Chwilę leżałam, zastanawiając się, czemu czuję takie podekscytowanie. Dwa przedstawienia mam już przecież za sobą, a do Bożego Narodzenia jest jeszcze trochę czasu... Czułam jednak, że coś ważnego ma się wydarzyć. Kiedy sobie wreszcie przypomniałam, od razu usiadłam na łóżku. To dzisiaj rano poznam narzeczonego Annie, a wieczorem być może moja podopieczna trafi do rodziny, która dobrze się nią zaopiekuje.

Zeszłam na dół. Na kuchennym stole stało śniadanie dla mnie, a na tacy porcja dla Annie. Jak dobrze, że jest ze mną pani Tucker – pomyślałam.

– No cóż – powiedziała. – Być może to ostatni posiłek, jaki przygotowałam dla tej biednej duszyczki.

– Jestem pani bardzo wdzięczna, pani Tucker – odparłam. – Annie czuje się teraz znacznie lepiej.

– Dałam z siebie wszystko – stwierdziła z zadowoleniem opiekunka. – Zawód pielęgniarstwa to moje powołanie. Niestety, nie mogłam się w tym kierunku wykształcić, bo wcześniej poślubiłam pana Tuckera. Gdybym wiedziała, że tak szybko zejdzie z tego świata... Świeć Panie nad jego duszą! Wdowie po czterdziestce trudno jest znaleźć dobrą posadę.

Zabrała tacę ze stołu.

– Idę do niej. Doktor powinien wkrótce się pojawić. Nawiasem mówiąc, uważam, że jej nie pomaga. Mówi, że dziewczyna robi postępy, ale przecież to przez niego tak często płacze.

Energicznym krokiem ruszyła na górę. Usiadłam i zaczęłam jeść owsiankę i tosty, które przygotowała. Kończyłam, kiedy przyszedł Birnbaum.

– Wielki dzień, prawda, panno Murphy? Żałuję, że nie będę mógł zobaczyć, jak nasza młoda dama wraca na łono rodziny.

– Nie może pan zostać, doktorze?

– Niestety, nie mogę. O jedenastej trzydzieści zaczynam spotkanie w nowojorskim towarzystwie lekarskim, a jeszcze muszę poćwiczyć przemówienie. To dla mnie bardzo ważna okazja. Jest wciąż wielu lekarzy, którzy nie wiedzą, że umysł można leczyć, a sny są lustrem podświadomości.

– W takim razie powodzenia – powiedziałam. – Chociaż bardzo żałuję, że nie pomoże mi pan podjąć decyzji.

– Jakiej decyzji?

– Czy oddać naszą Annie temu Laszlo.

– Moja droga, jeśli udowodni, że są rodziną, nie będzie pani miała wyboru. To oczywiste.

– Ma pan rację, doktorze. – Westchnęłam. – Chyba za bardzo się do niej przywiązałam.

– Jestem pewien, że wszystko dobrze się ułoży. Może wystarczy sam widok narzeczonego i pamięć jej wróci. To się często zdarza. Pacjenci budzą się ze śpiączki na dźwięk ukochanego głosu. Przynajmniej jedno się wyjaśniło. Jest Węgierką i dlatego nas nie rozumie. Węgierski to dziwny i trudny język, niespokrewniony z żadnym innym. Musiała myśleć, że jesteśmy istotami z innego świata, które nie wiadomo czego od niej chcą. Nic dziwnego, że tak się bała i nie potrafiła nam zaufać.

– Tak, to z pewnością wiele wyjaśnia – zgodziłam się z Birnbaumem.

– Pójdę teraz zobaczyć pacjentkę, a potem się pożegnam. Czy mogłabyś, droga panno Murphy, przekazać temu dżentelmenowi moją wizytówkę i powiedzieć, że jeśli tylko zechce, z przyjemnością będę odwiedzał Annie w jej nowym domu?

– To bardzo miłe, doktorze – zauważyłam.

– Cała przyjemność po mojej stronie. To najciekawszy przypadek, z jakim dotąd miałem do czynienia, i nie lada wyzwanie. Chciałbym kiedyś opowiedzieć o tym wszystkim doktorowi Freudowi.

Poszedł na górę. Słyszałam, jak witał się z panią Tucker, a następnie powiedział dziewczynie coś, czego nie zrozumiałam. Po kilku minutach zszedł.

– Próbowałem rozmawiać z nią po węgiersku – oznajmił. – Znam kilka zwrotów, ale odniosłem wrażenie, że to jeszcze bardziej wytrąciło ją z równowagi.

Zamknęłam za Birnbaumem drzwi i naszły mnie wątpliwości. Skoro mowa węgierska wytrąciła ją z równowagi, jak mam wierzyć, że będzie bezpieczna

wśród Węgrów? Zmartwiłam się, bo do głowy przyszedł mi następujący scenariusz – niewinne dziewczę z Węgier przybywa do Nowego Jorku na spotkanie z mężczyzną, którego nie zna, ale który – decyzją rodziny – ma zostać jej mężem. Może ten człowiek rzucił się na nią, jak tylko dotarli do domu, a ona jakimś cudem uciekła. Muszę wziąć tego całego pana Laszlo dobrze pod lupę, zanim oddam mu Annie – postanowiłam.

Wyszykowałam się, a następnie pojechałam elką do Grand Central. Miałam dość czasu, aby dotrzeć punktualnie na miejsce spotkania. Ustawiłam się pod zegarem, zgodnie z instrukcją, i czekałam. Panował tam ogromny zgiełk – tragarze krzyczeli, zachwalając swoje usługi, pociągi z hukiem wtaczały się na stację. Zegar wybił jedenastą, ale nikt nie przyszedł. Zabłysła we mnie jakaś absurdalna iskierka nadziei, że zmienił zdanie i postanowił nie odbierać mi Annie. Oczywiście była to zupełnie idiotyczna myśl. Przecież nie miałam ani czasu, ani środków, by opiekować się dziewczyną. Przyświecała mi chyba głupia fantazja, że pewnego dnia otworzy oczy i powie: „To dzięki tobie, Molly Murphy”, ale nie brałam pod uwagę tego, że Annie może być po prostu obłąkana. Kiedy zegar pokazał dziesięć minut po jedenastej i postanowiłam odejść, zobaczyłam, że w moją stronę biegnie dwóch mężczyzn. Jeden był wysoki, chudy i ciemnowłosy. Opadające w dół wąsy nadawały jego twarzy zatroskany wyraz. Drugi, niski, krępy i gładko ogolony, wyglądał dystygownie. Pod ciemnym kapeluszem dostrzegłam przyprószone siwizną skronie. Obaj mieli na sobie ciemne eleganckie płaszcze, a starszy trzymał w dłoni hebanową laskę ze srebrną gałką.

– Panna Murphy? – zapytał i wyciągnął rękę. – To mój siostrzeniec Laszlo Baka. Niestety, tylko trochę mówi po angielsku. Przyjechał z Węgier dwa lata temu. – Szturchnął młodszego, który także podał mi dłoń.

– Cieszę się, że cię poznaję, panna Murphy – powiedział.

– Miło mi – odparłam.

– Jesteśmy panience bardzo wdzięczni – kontynuował starszy. – Myśleliśmy, że nasza droga dziewczyna na zawsze przepadła.

– Jeszcze nie wiemy, czy to ona – zauważyłam.

– Oczywiście. Ale miejmy nadzieję. Panienska znalazła ją następnego dnia po tym, jak przypłynął statek.

– Jak to się stało, że nie spotkaliście się na nabrzeżu? – spytałam.

Starszy mężczyzna mruknął coś do młodszego, a ten mu odpowiedział.

– Laszlo mówi, że dotarł trochę spóźniony. Wokół doków są rozkopane ulice. Powóz jechał powoli, więc mój siostrzeniec wysiadł i dalej pobiegł na własnych nogach. Nie przewidział, że to daleka droga. Kiedy dotarł do portu, pasażerowie schodzili na brzeg. Pytał o nią. Powiedzieli mu, że opuściła statek.

Młody człowiek, wymachując rękami, wymamrotał coś jeszcze. Starszy wyjaśnił:

– Zupełnie stracił głowę. Szaleje z rozpaczy. Przeszukuje całe miasto.

– Jak pan sądzi, co się stało? – zapytałam.

– Co się stało?! – powtórzył głośno mężczyzna. – W portach nie jest bezpiecznie. Żli ludzie wprost rzucają się na te biedne dziewczyny. Zaciągają do powozów i potem zmuszają do prostytucji. – Spojrzał na mnie przenikliwym wzrokiem i zapytał: – Co miała na sobie, kiedy ją panienka znalazła?

– Była ubrana jak na przyjęcie lub do teatru. Biała jedwabna suknia. Lekkie wieczorowe pantofle.

– Bez płaszcza? Bez szala?

– Bez niczego.

– Więc mam rację! Ci podstępni dranie pięknie ją ubrali. Pewnie powiedzieli, że idzie na przyjęcie, a potem wyszło na jaw, o co im chodzi. Musiała uciekać.

Taki scenariusz wydawał się możliwy.

– Bierzemy powóz i jedziemy do niej, si?

– Czy mają panowie zdjęcie?

– Niestety, nie. W małej wiosce, z której pochodzi, nie było fotografa. Ale mam ze sobą listy.

Rozpiął płaszcz i z wewnętrznej kieszeni wyjął plik papierów. Ukłonił się, gdy mi je podawał.

– Jeden list jest od ojca, a drugi od proboszcza. W tym drugim jest napisane, jakim statkiem przybędzie.

Popatrzyłam na listy. Oba były napisane wyjątkowo niestarannie, jakby bazgrała kura pazurem. Trudno mi było zidentyfikować poszczególne słowa. W końcu udało mi się znaleźć „Budapeszt” i „Brema”. Starszy mężczyzna zaglądał mi przez ramię, wskazując palcem pojedyncze zdania.

– To znaczy, że Anya cieszy się na spotkanie z Laszlo. Wprost nie może się doczekać nowego życia w Ameryce.

– Nie wiemy jeszcze, czy to ta sama dziewczyna – oznajmiłam.

– Zaraz się okaże. Idziemy?

Starszy mężczyzna wziął mnie mocno pod ramię i poprowadził w stronę powozów.

– Mamy daleko – zauważyłam. – Może jednak pojedziemy elką?

– Nie, dziś jest ważny dzień. Weźmiemy powóz.

Uprzejmie pomógł mi wsiąść. Laszlo Baka wcisnął się na tylne siedzenie.

– Więc gdzie mieszkanie? – spytałam.

– Na Brooklynie. Mamy ładny dom z podwórkiem. Dobre miejsce dla młodej dziewczyny.

– Ma na imię Annie?

– Anya. Annie to zdrobnienie.

Podróż wydawała się trwać wiecznie. W myślach powtarzałam sobie, że to dobrzy ludzie. Porządnie ubrani. Wyglądało na to, że mają dość pieniędzy, by się nią odpowiednio zaopiekować. Wszystko będzie jak należy – uspokajałam samą siebie. Od czasu do czasu zerkałam na młodszego. Miał dziobaty nos i ciemne, smutne oczy, ale sprawiał wrażenie łagodnego. Kiedy zdjął rękawiczki, zauważyłam delikatne dłonie. Najwyraźniej nie para się pracą fizyczną – uznałam.

– Czym zajmuje się pana siostrzeniec? – zapytałam.

– Pracuje dla mnie – odparł starszy mężczyzna. – Mam swoją firmę.

– W jakiej branży?

Popatrzył na mnie z politowaniem.

– Handel. Kupno i sprzedaż. – Roześmiał się i poklepał mnie po ręce. – Co

ty, młoda damo, możesz wiedzieć o interesach?

– Też mam firmę – powiedziałam. – Prowadzę agencję detektywistyczną.

Przez moment wydawał się zaskoczony, a potem znów parsknął śmiechem.

– Kobieta detektyw? Znajdujesz zagubione kotki?

– Nie rozumie pan? – zapytałam, patrząc mu prosto w oczy. – Przecież właśnie was znalazłam.

– Anya nie będzie musiała pracować. – Machnął ręką. – Zapewnimy jej bezpieczeństwo, wikt i opierunek. Proszę się nie martwić.

Zapadła niezręczna cisza.

– Proszę mi powiedzieć, jak ją panienka znalazła – poprosił starszy mężczyzna. – Czy to był zbieg okoliczności?

– Owszem. Szłam przez Central Park z przyjacielem. Niemal potknęliśmy się o ciało. Byłam pewna, że nie żyje. Nie miała ciepłego okrycia, tylko lekką sukienkę i pantofle. Jakimś cudem udało się ją obudzić i zawieźć do najbliższego szpitala. Kiedy lekarze wypisali Annie i biedaczka nie miała dokąd wracać, zdecydowałam się zabrać ją do siebie.

– Central Park? – zdziwił się. – To daleko od statku. Jak tam dotarła? Co o tym mówi?

– Ona nie mówi – oznajmiłam. – Wydaje się, że niczego nie pamięta i nic nie rozumie.

– Nas zrozumie i powie nam, co się stało. Jesteśmy pani bardzo wdzięczni. Proszę przyjąć podziękowania. – Ukłonił mi się łaskawie.

W końcu dojechaliśmy na Patchin Place.

– Jaki przyjemny domek – zachwycił się wuj pana Laszlo.

Żeby wejść za próg, musiał, niestety, ubrudzić sobie swoje pięknie wypolerowane buty, bo na ulicy zalegało błoto. Zaprosiłam ich do środka. Stali w korytarzu, rozglądając się niepewnie.

– Jak może niczego nie pamiętać?

– Trudno powiedzieć. Lekarz, który się nią zajmuje, twierdzi, że przeżyła jakiś wstrząs – odparłam, ale od razu się zorientowałam, że używam zbyt trudnych słów, więc szybko wyjaśniłam: – Zdarzyło się coś bardzo złego.

– Dokładnie tak, jak mówię. Jakiś niegodziwiec próbował ją zmusić do robienia okropnych rzeczy.

– Jest tutaj, w sypialni. Czy pana rozpozna?

– Nie sędzę. Wyjechałem do Ameryki, kiedy była małą dziewczynką. Pozna mojego siostrzeńca, to pewne. Opuścił naszą wioskę pięć lat temu i dostał pracę w Wiedniu. Potem zaprosiłem go do siebie, do Nowego Jorku. Kiedy zaczął myśleć o ożenku, powiedziałem: „Weź miłą dziewczynę z naszej wioski. Znam jej ojca, dogadamy się”. Mam nadzieję, że zapamiętała jego twarz. Przez pięć lat za bardzo się nie zmienił.

Poprowadziłam ich schodami na górę.

– Czy Anya była tancerką?

– Tancerką? Nie. Skądże. Jej rodzice mają piekarnię. Pieką chleb. To dobra dziewczyna.

Otworzyłam drzwi i weszliśmy do środka. Pani Tucker siedziała jak zwykle przy Annie.

– Doktor Birnbaum stosował kurację uspokajającą – powiedziałam. – Podawał środki, które pomagały jej spać.

Stanęli przy mnie i usłyszałam, jak obaj odetchnęli głęboko na widok Annie.

– To ona. Dzięki Bogu. – Starszy mężczyzna przeżegnał się, a jego siostrzeniec zrobił to samo.

– Na pewno?

– Od razu ją poznałem. Jest bardzo podobna do matki. Kochałem się w niej, kiedy byłem młody.

Podeszłam do łóżka i wzięłam dziewczynę za rękę.

– Annie? Zobacz, jakie mamy szczęście. Oto Laszlo, który przyjechał, by zabrać cię do domu. Pamiętasz Laszlo?

Otworzyła oczy i popatrzyła na młodzieńca, który się nad nią pochylił.

– Annie? – zapytał, a potem wyrzucił z siebie kilka zdań po węgiersku.

Wpatrywała się w niego bezmyślnie. Wziął ją za rękę, ale od razu mu się wyrwała i przyłgnęła mocno do pani Tucker.

– Może w ogóle nic nie pamięta – podsunęłam. – Nie wie, kim jest Laszlo ani dlaczego tu przyjechał.

– To straszne – powiedział starszy mężczyzna. – I jakie przygnębiające. W takim razie powinna natychmiast znaleźć się wśród swoich. Jestem pewien, że jeśli tylko Bóg pozwoli, wkrótce odzyska zdrowie.

Laszlo ukląkł obok łóżka, głaszcząc Annie po włosach i mruczając jakieś dziwnie brzmiące czułe słówka. Wyglądało to autentycznie i poczułam, że serce mi pęka, ale Annie podniosła na mnie zdziwione spojrzenie i znów odepchnęła jego dłoń.

– To takie smutne. Ona go nie pamięta. – Wuj wytarł oczy. – Chodźmy. Zabierzmy ją do domu. Moja żona wspaniale gotuje, robi dobry makaron, gulasz. Zobacz, jaka ona jest chuda! Parę dni u nas i dojdzie do siebie.

Laszlo zdjął koc z łóżka i owinął nim Annie. Wydała żaloszny, cichy skowyt.

Pani Tucker zerwała się na równe nogi.

– Hej, ostrożnie! Jest ciągle bardzo słaba.

– Nie musi się pani o nią martwić – powiedział starszy Węgier.

Laszlo z Annie na rękach zaczął schodzić na dół. Leżała spokojnie w jego ramionach, co wydało mi się dobrym znakiem.

Dogoniłam wuja.

– Proszę mi zostawić swój adres! Wiem, że doktor Birnbaum chciałby ją dalej leczyć, jeśli się zgodzicie.

– Nie potrzebujemy obcego lekarza. Mamy swojego, węgierskiego.

– Ale on jest alienistą, czyli doktorem umysłu. Dzięki zastosowaniu hipnozy bardzo pomógł Annie. Twierdzi, że tym sposobem można dowiedzieć się więcej o wypadku i zrozumieć, czemu ona tak strasznie się boi. Moglibyście mu pomóc i posłużyć za tłumaczy.

Starszy mężczyzna energicznie pokręcił głową.

– To mi się nie podoba. Nie wierzymy w takie rzeczy. Wróci do zdrowia dzięki naszej opiece i miłości. Po prostu musi być wśród swoich. Wtedy wszystko się ułoży.



– Ale i tak chciałabym zapisać wasz adres – nie dawałam za wygraną. – Tak na wszelki wypadek.

– Oczywiście. Brook Street dwadzieścia dziewięć, Brooklyn. Zapraszamy, ale nie od razu. Poczekajmy, aż odzyska siły.

– Dziękuję. – Stałam w drzwiach, patrząc, jak idą w kierunku powozu. – Proszę o nią dbać! – Zawołałam.

– Jakżeby inaczej? Żegnaj, panno Murphy.

Woźnica strzelił batem i powóz wkrótce zniknął z pola widzenia.

Pani Tucker i ja popatrzyłyśmy po sobie w milczeniu.

– Nie trzeba było pozwolić im odejść – oznajmiła opiekunka.

– A co miałam zrobić? To rodzina. W każdym razie przyszła rodzina.

– Więc dlaczego dziewczyna nie nosiła zaręczynowego pierścionka?

– Może nie mają takiej tradycji, może planował dać jej pierścionek w Ameryce albo została okradziona z biżuterii w Central Parku. Ten drań pewnie zabrał wszystko co wartościowe.

Pani Tucker znów pokręciła głową.

– Wcale mi się nie podobali.

– A ja odniosłam wrażenie, że to porządni ludzie – powiedziałam. – Podjęli się opieki nad chorą, więc musi im na niej zależeć. To nie jest łatwe zadanie.

– Dobrze, że poprosiła panienska o adres. Ja bym tam poszła nawet jutro, żeby wszystko sprawdzić.

– Na pewno tak zrobię – odparłam. – Doktor Birnbaum też będzie chciał ją odwiedzić, nawet jeśli ci Węgrzy nie zamierzają korzystać z jego usług.

Wchodząc po schodach na górę, czułam pustkę i przygnębienie. Pani Tucker zaczęła się krzątać i zbierać pościel z łóżka.

– Zabrali paniencie koc – powiedziała oskarżycielsko. – Spryciarze.

– Mogą go sobie zatrzymać – oznajmiłam. – Niech ją dobrze ochroni przed zimnem.

I wtedy się rozplakałam. Nie wiem, dlaczego tak bardzo przywiązałam się do Annie. Odkąd znaleźliśmy ją z Danielem w Central Parku, czułam się odpowiedzialna, tak jakby właśnie mnie wybrała na opiekunkę. A teraz pozwoliłam jej odejść!

Mimo wszystko obecna sytuacja miała swoje dobre strony. O jedną zagadkę mniej – pomyślałam. To może być dobry dzień na nadrobienie zaległości i wizytę u Mendelbaumów. Powinnam im wreszcie przekazać raport ze śledztwa. Sprawa ducha w teatrze nie dawała mi spokoju. Jak to się stało, że ani o krok nie przybliżyłam się do rozwiązania zagadki? Blanche

twierdzi, że ją zawiodłam, i ma zamiar rozwiązać ze mną umowę pod koniec tygodnia. Ryan O’Hare w roli szpiega to moja ostatnia deska ratunku – pomyślałam. Jest królem plotek, z pewnością mi pomoże.

Pani Tucker skończyła sprzątać.

– No cóż, to chyba wszystko – powiedziała, patrząc na mnie ze smutkiem.  
– Już nie będę potrzebna.

– Jestem pani bardzo wdzięczna. Cudownie się nią pani zaopiekowała. Proszę pozwolić, że się rozliczymy.

Podeszłam do szafki kuchennej, wyjęłam z szuflady pieniądze i zapłaciłam jej z nawiązką.

– Dziękuję, panienko – powiedziała. – Przed wyjściem ugotuję coś smacznego na obiad.

– Nie trzeba. Nie jestem głodna.

– Będzie dobrze – stwierdziła, wkładając kapelusz i szal.

– Mam nadzieję – szepnęłam.

Stojąc samotnie w ciemnym korytarzu, spojrzałam na swoją ponurą twarz w lustrze. Nie ma sensu załamywać rąk – pomyślałam. Czas zabrać się do roboty.

Wyszykowałam się, włożyłam ciepły płaszcz i poszłam odwiedzić Mendelbaumów.

W drzwiach przywitała mnie pokojówka, zaprosiła do holu i poszła zaanonsować moje przybycie. Natychmiast się zorientowałam, że nie jest to odpowiednia pora. Z salonu dochodziły głosy i brzęk zastawy stołowej.

Po chwili pojawiła się pani Mendelbaum. Wycierała ręce w serwetkę.

– Panno Murphy – powiedziała speszona. – Miło panią widzieć, ale tak się złożyło, że właśnie mam gości na obiedzie.

– Przepraszam, wybrałam nieodpowiednią porę. Może przyjdę później.

– Będę zobowiązana – odparła. – Choć oczywiście zapraszam do stołu. Niestety, już kończymy drugie danie.

– Nie, dziękuję. Pani goście poczują się niezręcznie. Wrócę za godzinę – zaproponowałam.

– Bardzo dobrze – ucieszyła się. – To świetny pomysł.

Pani Mendelbaum z zadowoloną miną wróciła do jadalni, a ja skierowałam się do drzwi.

Spędziłam godzinę, przebierając nogami, w herbaciarni przy Amsterdam Avenue. Kanapka z serem, którą tam kupiłam, leżała chyba w witrynie parę dni. Po upływie wyznaczonego czasu byłam z powrotem u Mendelbaumów.

– Pani Mendelbaum mnie oczekuje – oświadczyłam. – Poprosiła, żebym wróciła za godzinę, więc jestem.

– Zapraszam, panienko. Tędy. – Pokojówka powiodła mnie korytarzem, a następnie wprowadziła do salonu. – Panna Murphy już jest, madame.

Weszłam do ciepłego pokoju i zdziwiłam się, że pani Mendelbaum nie jest sama. Na mój widok skoczyła na równe nogi.

– Och, panno Murphy. Już pani jest? Przykro mi, ale wciąż mam gości.

Nie zamierzałam znowu odejść z kwitkiem. Odbyłam długą podróż do Upper West Side.

Młoda kobieta, która siedziała na kanapie, również wstała.

– Właśnie wychodziliśmy, prawda, Leonie? – zwróciła się do rozpartego w fotelu młodego mężczyzny.

Przyjrzałam mu się uważnie. Pan Roth!

– Po co się spieszyć, Lanie? – rzucił. – Na litość boską, nawet nie przetrawiłem obiadu.

Pani Mendelbaum i ja wymieniliśmy spojrzenia.

– Panno Murphy, chciałabym przedstawić swoją córkę Lanie i jej narzeczonego, pana Leona Rotha.

– Miło państwa poznać.

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Chcieliście iść do parku – przypomniała pani Mendelbaum. – Pamiętajcie, że o tej porze roku wcześniej robi się ciemno.

– Tak, marzę o spacerze – oznajmiła Lanie. – Rusz się, Leon.

Wstał niechętnie i wyszedł za nią z pokoju.

Pani Mendelbaum spojrzała teraz na wiekową damę.

– Mamo, nie czas na drzemkę?

– Sama potrafię ocenić, kiedy nie jestem mile widziana – odparła starsza pani, z trudem wstając z krzesła.

Kiedy w końcu zostałyśmy same, przez chwilę panowała niezręczna cisza.

– Proszę usiąść, panno Murphy – poprosiła w końcu gospodyni. – Miło, że pani przyszła.

– W obecnej sytuacji chyba niepotrzebnie się fatygowałam – stwierdziłam. – Widzę, że już podjęła pani decyzję dotyczącą przyszłego zięcia.

– Nasza córka jest bardzo niecierpliwa, panno Murphy. Wystarczyło jedno spojrzenie i zakochała się w nim bez pamięci. Wie dokładnie, czego chce, a ojca owinęła sobie wokół palca.

– Szkoda, że nie poczekała pani, aż dostarczę raport – oświadczyłam. – Odkryłam trochę pikantnych szczegółów na temat Leona Rotha.

– Doprawdy? A to ciekawe! – Spojrzała na drzwi. Wysoki głos córki wciąż niósł się echem po korytarzu. Po chwili usłyszałyśmy trzask drzwi wejściowych. – Odeszli. – Westchnęła z ulgą. – Teraz możemy swobodnie porozmawiać. A więc, panno Murphy, sądzi pani, że moja córka powinna przestać widywać się z Leonem?

– Nie wiem, pani Mendelbaum. – Przysunęłam się bliżej. – Śledziłam go kilka dni i mogę stwierdzić z całą odpowiedzialnością, że jego moralność pozostawia wiele do życzenia.

– Boże, zmiłuj – zmartwiła się. – Co konkretnie ma pani na myśli?

– Wieczorami chadza do teatru, a po przedstawieniu uwodzi tancerki.

Położyła dłoń na imponującym łonie i zaczęła chichotać.

– Tylko tyle? Każdy młody człowiek w Nowym Jorku przez to przechodzi, panno Murphy. To część dorastania.

– Ale słyszałam plotki, że nie traktuje dobrze tych dziewczyn. Że jest... no, dość obcesowy i składa dziwne propozycje.

– Jakie propozycje?

Ponieważ nie byłam wtajemniczona, nie potrafiłam przekazać szczegółów.

– Boją się go, po prostu. To poważny sygnał ostrzegawczy, prawda?

Zamiast się ze mną zgodzić, znowu z uśmiechem pokręciła głową.

– Jakie to ma znaczenie dla ich wspólnej przyszłości, panno Murphy! Po ślubie nie będzie już wieczorów w teatrze i innych kobiet. Chłopak się ustatkuje i nauczy być dobrym mężem i ojcem. Zadbamy o to. Bardziej się niepokoiłam o stan jego finansów.

– O to w ogóle nie powinna się pani martwić – odparłam. – Pnie się wysoko, jego pracę doceniają zarówno koledzy, jak i przełożeni w banku.

– I to się liczy. Mężczyzna musi się wyszaleć, panno Murphy. Przecież sama jesteś młodą ładną kobietą, choć być może jeszcze mało doświadczoną. Młodzieńcy z dobrymi dochodami lubią się zabawić. Tancerki to łatwy kąsek, więc często zapraszają je na kolacje po spektaklu. Podczas kolacji upijają się i pozwalają sobie na chwilę zapomnienia. Czy to takie ważne?

– Nie obawia się pani, że będzie szorstki w stosunku do córki? Że każe jej spełniać swoje dziwne zachcianki?

– Moja córka sobie poradzi, panno Murphy – odparła stanowczo. – Jestem pewna, że będzie go krótko trzymać. A jeśli nie, pan Mendelbaum wkroczy do akcji. Jego wszyscy słuchają. Budzi postrach w całej rodzinie.

Wstała, żeby się pożegnać.

– Doceniam, że pani przyszła, panno Murphy, i dziękuję za raport. Powinnyśmy się rozliczyć, prawda? Niech tylko znajdę książeczkę czekową.

Podeszła do pięknego sekretarzyka z mahoni, uniosła blat, po czym wypisała czek.

– Dobrze pamiętam, że uzgodniłyśmy sto dolarów?

– Nie powinnam chyba ich wziąć, skoro mój raport nie został dobrze przyjęty.

– Ależ powinna pani, panno Murphy! Włożyła pani czas i wysiłek w tę sprawę, a poza tym przekazała mi konkretne informacje. Muszę teraz zdecydować, co z nimi zrobić. Znając moją córkę, wiem, że nie wypuści już Leona z rąk. Podejrzewam zresztą, że będą żyli długo i szczęśliwie.

Żeby wysuszyć atrament, machnęła czekiem raz i drugi, a potem zdecydowanym ruchem wsunęła mi go do rąk.

Wizyta u Mendelbaumów pozostawiła we mnie niesmak. Czy powinnam być bardziej stanowcza? Czy Lanie Mendelbaum będzie szczęśliwa w małżeństwie? Uznałam, że to nie moja sprawa. Wynajęto mnie do konkretnej pracy i dobrze wykonałam zadanie. Dostarczyłam raport, a co z nim zrobią, to już ich problem. Moi przyjaciele mają rację – zbyt emocjonalnie podchodzę do obowiązków. Powinnam nauczyć się dystansu i trzymać uczucia na wodzy.

Po wyjściu od Mendelbaumów poszłam prosto do banku, a potem, zerknąwszy na pobliski zegar, zdecydowałam, że mam jeszcze czas, by odwiedzić Ryana. Pokonałam pieszo całą drogę do Washington Square, a kiedy wreszcie dotarłam do hotelu Lafayette, okazało się, że Ryana nie ma. I jak tu nie oszaleć? – pomyślałam.

Wychodząc z hotelu, wpadłam na Birnbauma.

– Ach, panno Murphy – powiedział, uchylając kapelusza i stukając obcasami, jak zawsze miał w zwyczaju. – A ja właśnie wracam z Patchin Place. Chciałem się dowiedzieć, jak się sprawy mają.

– Rodzina zabrała naszą Annie do siebie – oświadczyłam.

– To wspinała wiadomość, prawda? Natychmiast ją rozpoznali?

– Tak.

– A czy ona zareagowała na nich pozytywnie?

– Nie poznała ich, nawet kiedy zaczęli mówić do niej po węgiersku.

Pokiwał w zamyśleniu głową.

– To naturalne. Jej mózg próbował się pewnie przystosować. Coś jej mówiło, że zna tych ludzi, ale prawdopodobnie kojarzyli się jej z domem i nie pasowali do miejsca, w którym się teraz znalazła. Nie zareagowała w żaden sposób na język węgierski?

– Nie odpowiedziała im, a nawet sprawiała wrażenie przestraszonej.

– Na wszystko przyjdzie czas. Musimy tylko być cierpliwi. Troskliwa opieka potrafi działać cuda. Czy przekazała im pani moją wizytówkę?

– Tak, lecz twierdzili, że wolą skorzystać z usług swojego lekarza. Wydawali się sceptycznie nastawieni do alienistów.

– To, niestety, częsta reakcja. Ale podali swój adres, prawda?

– Owszem. Nawet go zapamiętałam. Brook Street na Brooklynie, numer dwadzieścia dziewięć.

– Doskonale. – Wyjął mały notatnik z ołówkiem umocowanym z boku i zapisał adres. – Myślę, że mimo wszystko ich odwiedzę i ponownie



zaoferuję swoje usługi. Mogę powiedzieć nieskromnie, że mam najlepsze kwalifikacje w Nowym Jorku, by pomóc jej wrócić do zdrowia. No, może z wyjątkiem doktora Meyera.

– Będę szczęśliwa, jeśli ją pan odwiedzi, doktorze – powiedziałam. – Chciałabym się upewnić, że ma odpowiednią opiekę.

– Zdam relację po wizycie – obiecał. – Ale nie stójmy tak na mrozie. Szukała mnie pani w hotelu, panno Murphy?

– Nie, przyszłam do Ryana, ale nie ma go.

– Ryana trudno jest zastać. Biega po mieście jak kot z pęcherzem. Czy mogę w takim razie zaproponować herbatę, panno Murphy?

– Bardzo to miłe z pana strony, doktorze, ale muszę biec do teatru.

– Ach, tak, to słynne przedstawienie! Czy wczoraj wieczorem też doszło do jakiegoś incydentu?

– Nie, wczoraj wszystko odbyło się zgodnie z planem.

– Fascynujące. – Lekarz pogłodził jasną bródkę. – A co pani o tym sądzi, panno Murphy? Czy ujrzała pani ducha na własne oczy?

– W pewnym sensie tak – odparłam. – Widziałam dzbanek lemoniady tańczący w powietrzu, widziałam, jak przewraca się kolumna i prawie przygniata pannę Lovejoy. Ale nie mogę uwierzyć, że to sprawka ducha. Jestem pewna, że za tym wszystkim stoi jakaś mściwa osoba. Nie potrafię jednak wyjaśnić, jak to robi.

– Gdyby to było przedstawienie iluzjonistyczne, jak prezentacje tego łobuza Houdiniego, miałbym gotową odpowiedź. Są ludzie, którzy potrafią sprawić, że przedmioty pojawiają się i znikają na naszych oczach. To niezwykła umiejętność.

– Niestety, *O la la* to zwykła komedia muzyczna. Żadni iluzjoniści w niej nie występują, o ile mi wiadomo.

Pożegnałam się z Birnbaumem i zadumana poszłam do teatru. Warto wykorzystać sugestię doktora – pomyślałam. W jakiś sposób powinnam sprawdzić, czy ktoś z obsady pracował z iluzjonistami albo sam jest iluzjonistą. Przynajmniej poczułam większą pewność siebie i po wyjściu z tramwaju żwawo pomaszero wałam Broadwayem.

Przed wejściem znów kłębił się tłum. Byli tam nawet tacy, którzy przyjmowali zakłady – wszyscy chcieli wiedzieć, czy dziś pojawi się duch, czy nie. Skierowałam się na górę do garderoby. Nagle zawołał mnie Robert Barker.

– Hej, ty tam, dziewczyno!

Zatrzymałam się i spojrzałam na niego.

– Panna Lovejoy wzywa cię na scenę.

– Na scenę? Teraz?

Czułam, że płoną mi policzki. Czy stało się coś złego? Czy w piątki zaczynamy wcześniej, tylko nikt mi o tym nie powiedział?

– Tak, teraz – warknął. – Pospiesz się. Blanche czeka.

Zbiegłam po schodach, minęłam pomieszczenie rekwizytorni i weszłam za kulisy. Przez boczne zasłony widziałam pełne światła na scenie. Kurtyna była podniesiona. Przesunęłam się dalej, osłaniając oczy. Blanche stała samotnie na środku sceny, zwrócona do niewidocznych ludzi na widowni.

– Oto i ona – usłyszałam męski głos.

Blanche wyciągnęła do mnie rękę w geście powitania.

– Panna Murphy. Dziękuję, że przyszłaś. Podejdz, proszę, i stań obok mnie. Zdecydowałam, że czas wyjawić pewną tajemnicę, i zwołałam tu panów dziennikarzy.

Kiedy ujęłam jej dłoń, przyciągnęła mnie do siebie.

– Jak już mówiłam, panowie, być może wykazałam się naiwnością i lekkomyślnością, sądząc, że uda mi się ukryć to dziwne zjawisko przed całym światem. Proszę mnie zrozumieć: bałam się, poniekąd niesłusznie, że wiadomość o upiorze nawiedzającym teatr Casino odstraszy publiczność i zrujnuje naszą pracę. Ale i tak już o nim wiecie, prawda? Zawsze o wszystkim wiecie... Dlatego dzisiaj zaproponowałam to spotkanie, by rzucić nowe światło na pewne sprawy i powiedzieć wam, co dokładnie się wydarzyło w ciągu ostatnich tygodni.

Pod koniec głos jej się załamał.

– Panno Lovejoy, czy duch istnieje, czy nie?! – krzyknął ktoś w ciemności.

Blanche rozejrzała się, jakby w obawie, że upiór może nas podsłuchiwać.

– Nie potrafię znaleźć innego wytłumaczenia – powiedziała. – Odkąd tylko zaczęliśmy próby, dzieją się dziwne rzeczy. Dzbanek uniósł się w powietrze i oblał mnie lemoniadą. Wentylator włączył się samoczynnie w samym środku próby. W oknie widziałam dziwną twarz.

– Nie podejrzewa pani, że to jakiś złośliwiec płata figle? Ktoś, komu zależy, by wpadła pani w histerię i odwołała przedstawienie?

– Przyszło mi to do głowy – odparła. – Dlatego zatrudniłam tę młodą kobietę. Panowie, pozwólcie, że przedstawię pannę Molly Murphy, właścicielkę prywatnej agencji detektywistycznej. Przyjaciele, którzy rekomendowali mi pannę Murphy, wysoko oceniają jej kompetencje. Poprosiłam, by rozejrzała się uważnie i dowiedziała, kto stoi za tymi dziwnymi zdarzeniami. Jest ze mną od dwóch tygodni i bierze udział w każdym przedstawieniu. Przykro mi to mówić, ale jest tak samo bezradna jak my wszyscy.

– A więc uważa pani, panno Murphy, że to nie jest działanie człowieka?

– Nie mogę tego stwierdzić na pewno – odparłam. Dziwnie było mówić do niewidocznych mężczyzn siedzących gdzieś w ciemności. – Ale dotąd nie przyłapałam nikogo na gorącym uczynku.

– Była zawsze na miejscu – wtrąciła Blanche. – Sprawdzala każdy kąt, szukając sprawcy. Nigdy nikogo w pobliżu nie było. Jak to wyjaśnić? Proszę mi wierzyć, panowie, chciałabym móc coś powiedzieć. Na przykład uzasadnić te dziwne zdarzenia zazdrością innej aktorki. Wiem jednak, że panna Murphy staje na głowie, a mimo to nie potrafi podać logicznego wytłumaczenia, co skłania mnie do następującego wniosku: teatr Casino jest nawiedzony.

– Czy duch pojawi się również dziś? – zapytał jeden z mężczyzn, chichocząc.

– Pan wybaczy, ale to wcale nie jest śmieszne – zauważyła Blanche. – Był pan tu, kiedy runęła kolumna? To duży fragment scenografii, zbyt ciężki, żeby mogła ją przewrócić jedna osoba. Jakimś cudem uszłam z życiem. To była kwestia zaledwie paru centymetrów, panowie. Gdyby nie odrobina szczęścia, nie rozmawiałabym tu z wami.

– Więc jaki ma pani plan, panno Lovejoy?

Blanche na moment zamilkła.

– Nie mam pojęcia, co robić. Nie powinnam narażać swojego zespołu, prawda? Wynajęłam prywatną agencję detektywistyczną, ale panna Murphy nie potrafiła mi pomóc. Nie pozostaje mi zatem nic innego, jak tylko wezwać policję i poprosić, by ustawili swoich ludzi na zapleczu. Ale czy z taką obstawą nasze *O la la* ma jeszcze sens? Poza tym po co policja, jeśli za całym zamieszaniem stoi duch? Nie chcę rezygnować z przedstawienia, panowie, ale chyba nie mam wyboru.

– O nie! Tylko nie to – dało się słyszeć z zaciemnionego audytorium.

– Jak możemy dalej grać, będąc w nieustającym strachu? – ciągnęła Blanche. – Jesteśmy na krawędzi załamania nerwowego, bo w każdej chwili spodziewamy się ataku.

– Publiczność was uwielbia – powiedział któryś z dziennikarzy. – Bilety są wyprzedane na wiele tygodni naprzód, a na zewnątrz czekają tłumy, które liczą na wolne miejsca.

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę – odparła Blanche. – Dobrze wiecie, że nie chcę nikogo rozczarować. W życiu zawsze walczę do końca i nie lubię się poddawać. Ale czy warto to robić za wszelką cenę? Mimo wszystko, zanim przerwę występy, zdecydowałam się na jeszcze jeden, ostatni krok. Chcę się dowiedzieć, dlaczego ten zły duch nawiedza teatr i pragnie mojej zguby. Skontaktowałam się ze znanymi spirytualistkami, siostrami Sorensen. Łaskawie zgodziły się nawiązać kontakt z duchem i poprosić go, by zostawił nas w spokoju.

Na widowni wyraźnie nastąpiło poruszenie, ale panna Lovejoy uniosła rękę.

– Panowie, proszę mi wybaczyć. Za trzy kwadranse zaczynamy spektakl, więc muszę się przygotować. Bardzo dziękuję za przybycie. Niech Bóg was błogosławi.

Przesłała im pocałunek, kurtyna opadła i panna Lovejoy odwróciła się na pięcie, bez słowa zostawiając mnie na scenie.

Pospieszyłam za nią i dogoniłam ją na schodach.

– Blanche, posłuchaj, siostry Sorensen to nie jest dobry pomysł –

oznajmiłam. – Przejrzałam je na wylot w zeszłym roku i mogę przysiąc, że są oszustkami. Z duchami mają tyle wspólnego co ty lub ja.

Kiedy już to powiedziałam, naszyły mnie wątpliwości. Podczas tak zwanych seansów pokazały coś, co później okazało się prawdą. Czy to był tylko przypadek? Przecież w pośpiechu uciekały z posiadłości Flynnów, kiedy zagroziłam, że je zdemaskuję.

– Ależ one są wspaniałe, Molly! Wszyscy tak mówią. Moi przyjaciele za nie ręczą. A tobie nie udało się nic ustalić. Wciąż nie wiesz, czy to jest duch, czy człowiek, prawda?

– Daję głowę, że mamy do czynienia z zawistną osobą.

– Więc wytłumacz mi, jakim cudem tego wszystkiego dokonała! Przypomnij sobie wentylator albo dzbanek z lemoniadą. Kto to zrobił, skoro cała obsada stała na scenie?!

– Ale zawsze chodzi o ciebie, Blanche. Dlaczego jakiś duch miałby cię nienawidzić? To musi być człowiek, ktoś, kto uważa, że oszukałaś go lub zawiodłaś.

Energicznie pokręciła głową.

– W tym zespole nikomu nigdy nie nadepnęłam na odcisk – oznajmiła i dotknęła mojej ręki. – Wiem, że się starałaś, moja droga. Doceniam twoją pracę, ale ta sprawa cię przerosła. Bardzo liczyłam na to, że uda ci się znaleźć winowajcę i wszyscy odetchniemy z ulgą. Ale go nie znalazłaś, więc musimy się rozstać.

– Teraz? – zapytałam. – Natychmiast? Nie jestem potrzebna nawet na scenie?

– Szczerze mówiąc, nie widzę sensu – odpowiedziała. – Idź do domu i ciesz się wolnym wieczorem. Pomyśl o tych, co zostaną ze mną, niepewni dnia ani godziny, bo nie wiadomo, kiedy duch znów zaatakuje.

Wzięłam głęboki oddech i wykrztusiłam:

– Skoro rezygnujesz z moich usług, Blanche, żądam zapłaty za dotychczasową pracę.

– Prześlij mi rachunek pocztą, moja droga. Z przyjemnością uiszczę należność. – Machnęła ręką, jakby się oganiała od natrętnej muchy.

Wyszłam z teatru w podłym nastroju. Zastanawiałam się, czy pożegnać się z koleżankami, ale uznałam, że nie mam siły im tłumaczyć, dlaczego odchodzę, i tym samym przyznawać się, że mnie wyrzucono. Nie jestem osobą, która łatwo znosi porażki. Byłam naprawdę zła, gdy mijając Henry'ego, wychodziłam na ciemną ulicę. Zastanawiałam się, czy jestem bardziej wściekła na Blanche, czy na samą siebie. Taka szansa! Dlaczego się nie udało? Ruszyłam na oślep Broadwayem, rozpychając się łokciami w tłumie. Gazeciarze zachęcali do kupowania najświeższych wiadomości. Słyszałam, że znów pisze się o duchu i o teatrze. Jutro dojdą do tego informacje o spirytualistkach. Dobrze, pomyślałam. Wyda niemałą sumkę na te dwie oszustki i tyle będzie z tego miała. Akurat wpadną na jakiś trop! I nagle aż przystanęłam. Coś tu jest nie tak – pomyślałam. Dlaczego wezwała mnie na scenę akurat w takim momencie? To całe dziwne oświadczenie dla prasy... Co chciała osiągnąć? Po co wciągnęła mnie w te swoje gierki, skoro już wcześniej obwieściła, że chce zrezygnować z moich usług? Chyba że to kolejne przedstawienie. Miałam zagrać nieskutecznego detektywa. Nie spodziewała się, że coś odkryję, bo nie ma żadnej tajemnicy. Stałam bez ruchu w samym środku tłumu. Przepisnęłam się na bok i znalazłam małą kawiarnię. Zamówiłam filiżankę mocnej kawy i usiadłam, żeby uporządkować myśli. Kusiło mnie, by pójść do Daniela, wszystko mu opowiedzieć i poprosić o radę, ale po chwili uświadomiłam sobie, że to nie jest dobry pomysł. Ciągle podkreślam swoją niezależność i powtarzam mu, że jestem w stanie samodzielnie prowadzić agencję. Jak mam teraz prosić go o radę i przyznać się do słabości?

Piłam kawę i próbowałam zrozumieć, co się stało. Po kolei rozpatrywałam każdy z incydentów na scenie – twarz w oknie, której nie widział nikt prócz Blanche, wentylator, dzbanek z lemoniadą, co poszybował w powietrze, i wreszcie filar spadający na scenę. Czy to możliwe, że Blanche sama to wszystko zaaranżowała? W końcu to jej przedstawienie. Może razem z Bobbym Barkerem wymyślili taką zabawę jako element spektaklu. Ale dlaczego? Dzban lemoniady to drobiazg, ale incydent z kolumną mógł ją kosztować życie. Chyba że... Chyba że wiedziała, że na nią nie spadnie, bo sama starła i poprawiła oznaczenia na scenie. Jest doświadczoną aktorką. Wie, że wycucie czasu to podstawa. Opanowała je do perfekcji.

Doświadczona aktorka – powtarzałam w kółko w myślach. Bawiąc się łyżeczką do kawy, przyglądałam się tłumom za oknem. Wszyscy komentowali, że Blanche się starzeje, że nie może grać amantek, skoro dziewczęta z *Florodory* wyznaczyły nowe standardy i w dzisiejszych czasach ideał piękna ma zaledwie szesnaście lat. Blanche chciała wrócić na Broadway. Miała pomysł na przedstawienie. Dobry pomysł. Uznała, że jest w stanie zabłysnąć, ale pod jednym warunkiem. Publiczność musi dopisać. W jaki sposób zachęcić ludzi do przyścia? Tajemnicą! Dziwnymi wydarzeniami, których nie sposób wytłumaczyć. Biedna, dzielna Blanche... Jak żołnierz, który nie składa broni nawet w obliczu śmierci, kiedy jego życie jest w niebezpieczeństwie. Nigdy się nie poddam... Na koniec wynajmuje detektywa, ale zagadki nie udaje się rozwiązać.

Wszystko stało się jasne. Blanche po prostu cały czas grała! Również wtedy, gdy starała się utrzymać wszystko w tajemnicy przed prasą. Doskonale zdawała sobie sprawę, że jakaś dziewczyna w końcu puści farbę i tym samym powstanie plotka, która otoczy przedstawienie tą cudowną aurą sensacji. Perfekcyjnie stopniowała napięcie i osiągnęła pożądany rezultat, bo bilety zostały wyprzedane na kilka tygodni naprzód. Odegrałam swoją rolę i nie byłam już potrzebna.

Kiedy to wszystko do mnie dotarło, bardzo się zdenerwowałam. Owszem, wciąż w głębi duszy pozostałam naiwną dziewczyną z prowincji, ale ostatnio zbyt często ktoś to wykorzystywał. Zastanawiałam się, czy przypadkiem Oona Sheehan od początku nie wiedziała o zamiarach Blanche. Poleciała mnie, wiedząc, że łatwo ze mnie zrobić idiotkę. Byłam gotowa natychmiast ją odwiedzić i prosto w twarz wykrzyzczeć, co o niej myślę, oraz zażądać pieniędzy, które wciąż mi jest winna.

Po chwili uznałam, że lepiej będzie najpierw zmierzyć się z Blanche i powiedzieć, co odkryłam. Najwyraźniej wcale nie jestem takim beznadziejnym detektywem! Pewnie myślała, że łatwo mnie wyprowadzić w pole. Figa z makiem! Sama, na własną rękę rozwiązałam zagadkę. Powiem, że ma mi dobrze zapłacić za pracę, bo jeśli tego nie zrobi, poinformuję świat o intrydze.

W tym momencie otrzeźwiałam, bo nigdy przecież bym się nie posunęła do szantażu. To poniżej mojej godności. Uznałam, że sytuacja wymaga gruntownego przemyślenia i nie byłam wcale pewna, jak sobie z nią poradzić.

Coś mi mówiło, że najrozsądniej byłoby odebrać zapłatę, odejść i nikomu nic nie mówić. W końcu co takiego zrobiła panna Lovejoy oprócz zniszczenia paru rzeczy? Z wyjątkiem tej sytuacji, kiedy jedna z dziewcząt mogła się poważnie poparzyć, wszystko było wymierzone w nią samą. Czego to inni nie wyrabiali dla sławy i rozgłosu! Houdini, by zdobyć rozgłos w Londynie, kazał się zamknąć w pudle i zrzucić z mostu do Tamizy. W miłości, na wojnie – i najwyraźniej w teatrze – wszystkie chwytaki są dozwolone.

Mimo to nie byłam zadowolona, że Blanche wystrychnęła mnie na dudka. Domyślałam się, jak zareaguje – wyprze się wszystkiego, zrobi smutną minkę i zażąda dowodów, których nie mam.

Właśnie wtedy przyszedł mi do głowy szatański plan. Blanche szykuje pewnie na dziś coś spektakularnego i uznała, że mogę tylko przeszkodzić. Cóż, niech zobaczy, z kim ma do czynienia. Wrócę do teatru – postanowiłam. W końcu tylko ona wie, że już tam nie pracuję. Zajmę dobrą pozycję i zobaczę, co się stanie.

– Przecież już się panienska podpisała na liście – zdziwił się Henry na mój widok.

– Zabrakło mi pudru i musiałam wyskoczyć do apteki – odparłam, słodko się uśmiechając, a potem szybko ruszyłam dalej. Żeby go zmylić, udałam, że kieruję się na schody, po czym niepostrzeżenie weszłam na zaplecze, gdzie było ciemno i cicho. Zakończono już przygotowania do spektaklu, a obsługa prawdopodobnie udała się na zasłużoną przerwę.

Rozejrzałam się uważnie, szukając dobrej kryjówki. Stwierdziłam, że najlepiej będzie wspiąć się na samą górę i usiąść na rusztowaniu nad sceną, skąd będę miała doskonały widok. Jeśli dziś wieczorem coś się wydarzy, poinformuję pannę Lovejoy, że tym razem ja zwołam dziennikarzy, chyba że zaprzestanie tych swoich sztuczek. Rozejrzałam się jeszcze raz, znalazłam drabinkę i zaczęłam się wspinać. Wąska spódnica i buty z czubkiem nie ułatwiały mi zadania. Powoli i bardzo ostrożnie wgramoliłam się w końcu na małą platformę wysoko nad sceną. Nie mam lęku wysokości, ale tym razem z przerażeniem patrzyłam w dół. Trzymałam się kurczowo drabinki, która ginęła gdzieś w ciemności, prowadząc na kolejny, jeszcze wyższy poziom. Na wysokości oczu miałam kładkę i przymocowane do niej dekoracje, spuszczone na scenę. Platforma, na której stanęłam, była wyjątkowo mała,



więc bałam się puścić drabinę.

Nie wiedziałam, ile czasu zostało do przedstawienia. Uświadomiłam sobie również, że gdy ono się rozpocznie, utknę na górze na długie godziny, co może się okazać kłopotliwe, jeśli, nie daj Boże, będę musiała udać się za potrzebą. Zaczęłam się zastanawiać, czy udałoby mi się unieść spódnicę i usiąść, a nogi swobodnie spuścić na dół. Kiedy szykowałam się, by to sprawdzić, poczułam, jak sznur od drabinki wibruje w moich rękach. Ktoś najwyraźniej wspinał się na górę. Byłam w pułapce, bez żadnej możliwości ucieczki, chyba że zdecydowałabym się skoczyć na kładkę. Miała nie więcej niż pół metra szerokości i dwie poręcze ze sznurka po obu stronach. Chodzenie po niej to jak spacer na linie – pomyślałam.

Pocieszałam się, że to pewnie tylko ktoś z obsługi. Łatwo będzie go przekonać, że panna Lovejoy poprosiła mnie, bym z góry obserwowała, co się dzieje na scenie. Z niepokojem patrzyłam na czubek głowy, który coraz bardziej się przybliżał. Oparłam się o ścianę i czekałam. Omal nie krzyknęłam na widok białej twarzy w ciemności. Desmond Haynes płynnym ruchem wszedł na platformę.

– Czy mogę spytać, co tu robisz? Szykujesz się na akrobacje?

– A można wiedzieć, co pan tu robi? – odparowałam, choć wcale nie czułam się zbyt pewnie. Był szczupłym młodzieńcem o miłej aparycji, znacznie jednak wyższym ode mnie.

– Lubię podziwiać z góry efekty swojej pracy – wyjaśnił. – To dla mnie źródło inspiracji.

– Pragnę zauważyć, że nikogo jeszcze nie ma na scenie – oznajmiłam.

– Jaka spostrzegawcza... Dość tych gierek. Albo mi powiesz, co tu robisz, albo wzywam policję – oświadczył.

– Żeby mnie aresztowali? Proszę bardzo.

– Wiem od Blanche, że cię zwolniła. Więc pytam po raz ostatni. Co tu robisz?

Gorączkowo szukałam w głowie jakiegoś dobrego wyjaśnienia, ale najwyraźniej na takiej wysokości mój mózg nie pracował jak należy. W głowie kołatała mi się tylko myśl, żeby broń Boże nie puścić sznura, bo na pewno za chwilę Desmond spróbuje mnie zepchnąć.

– Nieważne – odrzekłam. – Teraz już wiem, kto za tym wszystkim stoi. Pamiętam, jak nerwowo pan zareagował, kiedy dołączyłam do zespołu.

– Nie mylisz się – przyznał. – Od pierwszego dnia miałem na ciebie oko. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że już nie pracujesz w tym teatrze.

– Domyślam się.

– Mówiłem Blanche, że nie powinna cię była zatrudniać. Każdy widzi, że nie jesteś aktorką i nigdy nie występowałaś na scenie. Więc mów mi teraz natychmiast, o co w tym wszystkim chodzi! Kto cię przysłał? Kto za tym stoi?

– Niby za czym? – Patrzyłam mu wyzywająco prosto w oczy.

– Nie rozumiesz po angielsku? Mam przeliterować?

– Za tymi wszystkimi niby-wypadkami? O to panu chodzi, panie Haynes? Że to pan, a nie duch, wylewa lemoniadę i przewraca kolumny?

Wiedziałam, że ryzykuję, wykładając karty na stół. Bardzo chciałam siedzieć cicho, ale jakoś mi się nie udawało. Milczenie jest złotem, lecz ja nigdy nie potrafiłam tej zasady wcielić w życie.

Spojrzał na mnie groźnie.

– Sprytnie – powiedział – ale muszę cię zmartwić. Nie ujdzie ci to na sucho.

– I co? Spróbuje mnie pan zrzucić na scenę? Wiem, że wyglądam niewinnie, ale proszę mi wierzyć, potrafię mocno kopać. I głośno krzyżeć. Wszyscy się zbiegną.

Nadal patrzył spode łba.

– Jak tak można? – kontynuowałam, wyczuwając jego słabość. – Panna Lovejoy uważa pana za przyjaciela. Wszystko jej pan zawdzięcza.

– Jestem jej przyjacielem.

– Który chce zniszczyć przedstawienie?

– Chwileczkę. Próbujesz mi powiedzieć, że nie jesteś zamieszana w te dziwne wydarzenia?

– Ja? Jestem tu po to, by mieć oko na pannę Lovejoy. Działam incognito, ale tak naprawdę jestem prywatnym detektywem.

- Dobry Boże! A ja byłem pewny, że to ty.
- A ja uważałam, że to pan zachowuje się podejrzanie.
- To nie tak. Jestem załamany tym, co się dzieje. Boję się, że trzeba będzie odwołać przedstawienie, bo ktoś się na nas wziął.
- Ale efekt jest odwrotny, prawda? – zauważyłam. – Spektakl już odniósł ogromny sukces. I tak będzie jeszcze przez wiele miesięcy. Ludzie przychodzą, by zobaczyć ducha.
- Racja – zgodził się Haynes. – Czy to naprawdę duch? Trudno mi w to uwierzyć, ale nie znajduję innego wytłumaczenia. Zawsze stałem za kulisami i niczego podejrzanego nie widziałem.
- Ja stałam na scenie, w blasku świateł, skąd dobrze widać, co się dzieje na zapleczu. I też nic nie zauważyłam.
- Pokiwał głową.
- Czyj to był pomysł?
- Panny Lovejoy. Chciała, żebym była blisko. Dla ochrony.
- Zawahałam się, czy powiedzieć więcej. Mam mu wyznać prawdę? Wyjawić, że o zaplanowanie tej intrygi podejrzewam samą Blanche? W końcu był jej przyjacielem.
- Proszę mi pozwolić zostać tu dziś wieczorem – poprosiłam. – I niech pan nie mówi nikomu. Jestem pewna, że wreszcie się czegoś dowiem. Wóz albo przewóz.
- W porządku – odparł. – Wóz albo przewóz. Ja też chciałbym poznać prawdę.

Gdy tylko Desmond Haynes zszedł na dół, teatr się ożywił. Ktoś włączył światło na scenie, dało się słyszeć szuranie krzesłami, a po chwili dźwięki strojonych instrumentów. Za kulisami rozlegały się głosy aktorów, z widowni zaś dochodził szum wyraźnie świadczący o tym, że publiczność powoli zajmuje miejsca.

Potem zobaczyłam znajome twarze. Dziewczęta w napięciu czekały na początek przedstawienia. Orkiestra zaczęła grać, publiczność klaskać i kurtyna poszła w górę. Tancerki wbiegły na scenę, gdzie znów przywitwały je gromkie brawa. Kiedy wybrzmiała pierwsza piosenka, na scenę wtoczyło się auto z kawalerami. Wstrzymałam oddech. Wreszcie pojawiła się Blanche Lovejoy. Błyszczała. Publiczność śmiała się z jej dowcipów i klaskała z zapalem. Wszystko poszło jak z płatka.

Pierwszy akt się skończył i na czas przerwy przygaszono światła. Byłam cała sztywna i zmęczona, ale przez kolejną godzinę nic z tym nie mogłam zrobić. Czyżby duch zrezygnował z występu? To niemożliwe – uznałam. Sala była pełna, a Blanche najwyraźniej w świetnej formie.

Drugi akt rozpoczął się sceną, w której dziewczęta we frywolnej piosence wyznają, jak bardzo chciałyby zatańczyć kankana w Moulin Rouge. Na koniec ustawiły się w rzędzie i wyrzucając nogi w powietrze, pokazały widowni bieliznę. Cóż za brawura! Cóż za synchronizacja! Nagle na scenę zleciało coś ciężkiego i z ogromną siłą uderzyło w dziewczynę zamykającą szereg. Z okropnym jękiem upadła na deski. Koleżanki rzuciły się na kolana tuż obok. Z widowni i ze sceny słychać było krzyki.

Orkiestra przestała grać, a wszyscy mężczyźni z obsady pospieszyli na pomoc. Zdjęli z ofiary jakiś przedmiot i odwrócili ją na plecy. To była Lily.

– Czy na widowni jest lekarz? Wezwać lekarza! – dało się słyszeć.

Zaczęłam schodzić, kiedy zdało mi się, że widzę jakiś ruch wysoko na ścianie po drugiej stronie sceny. Czy powinnam wejść na kładkę i spróbować złapać winowajcę? Bałam się. Nie byłam przygotowana na konfrontację w takich warunkach i na takiej wysokości. Zeszłam tak szybko, jak tylko mogłam. Kiedy moja stopa dotknęła podestu, ktoś złapał mnie za ramię.

– Mam cię. Mam sprawcę! – krzyknął jeden z rekwizytorów. – Schodziła

z góry.

– Nie bądź głupi – syknęłam. – Działam na zlecenie panny Lovejoy. Mam dbać o jej bezpieczeństwo. Poza tym to coś spadło z drugiej strony sceny. Puść mnie natychmiast i sprawdźmy, czy uda nam się złapać tego, kto to zrobił. Proszę, pomóż i pójdz ze mną.

Niechętnie przystał na moją prośbę. Przebiegliśmy za kulisami.

– Czy ktokolwiek schodził z drabiny? – zapytałam chłopców z obsługi, którzy stali w szoku, z rozdziawionymi ustami.

– Nikt.

– Więc sugeruję, żebyście się wspięli na górę i sprowadzili jego lub ją na dół. Musi tam być.

Patrząc niepewnie po sobie, zrobili, co kazałam.

Odwróciłam się i spojrzałam na scenę. Kurtyna opadła. Na widowni panował niepokój. Wokół Lily zebrał się tłum. Część osób klęczała, część stała. Teraz dopiero zobaczyłam, że spadł na nią jeden z worków z piaskiem służących do zabezpieczania dekoracji.

– Nie żyje – usłyszałam czyjś głos. – Taki ciężar musiał złamać jej kark.

W tłumie dostrzegłam Blanche Lovejoy. Stała trupio blada, z wyrazem śmiertelnego przerażenia na twarzy. Pamiętam, że kiedy wylała się na nią lemoniada, kiedy spadła kolumna, zawsze wyglądała na głęboko poruszoną. Teraz zrozumiałam, że to gra. Blanche Lovejoy była przecież doskonałą aktorką.

Słyszałam, jak wszyscy mówią o duchu, niektórzy cicho szlochali. Wyszłam na scenę.

– Niech ktoś zadzwoni na policję – poprosiłam.

– Na policję? W żadnym razie – powiedziała szybko Blanche. – To sprawa ducha albo nieszczęśliwy wypadek. Ktoś zostawił w nieodpowiednim miejscu worek z piaskiem. Być może lina pękła. Tym razem uszłam z życiem, bo nie było mnie na scenie – dodała z paniką w głosie.

– Mamy ofiarę śmiertelną. Policja musi to zbadać – oznajmiłam. – Jeśli ty nie zamierzasz, ja po nich zadzwonię.

– Ty?! Co ty tu w ogóle robisz? Przecież cię zwolniłam – odparła.

– Postanowiłam i tak mieć na ciebie oko, Blanche. Chciałam się upewnić, że nic ci nie grozi.

– Mnie nic. – Zakryła dłonią usta. – Ale biedna mała Lily...

Zeszłam ze sceny, próbując zrozumieć, co się właściwie wydarzyło. Nie żyje Lily, dziewczyna, której nie należało ufać, bo nie potrafiła trzymać buzi na kłódkę. Lily, która kilka razy dała do zrozumienia, że coś wie... Weszłam na górę i skierowałam się do garderoby. Przyszło mi na myśl, że może jest jakieś przejście górą prowadzące bezpośrednio nad scenę. Może coś lub kogoś przeoczyłam. Winowajca pracuje w budynku, ale wcale nie na scenie czy za kulisami.

Pobiegłam wąskim korytarzem i pchnęłam drzwi do szwalni. Zaskoczona madame Eva uniosła głowę, a szpilki wypadły jej z ust.

– Co się dzieje, moja droga? – zapytała.

– Jedna z tancerek nie żyje – powiedziałam. – Spadł na nią worek z piaskiem. Nikt podejrzany nie chodził przypadkiem po korytarzu?

– Próbuję ocalić tę suknię, na którą wylała się lemoniada – odparła madame Eva. – Nie miałam czasu na spacer korytarzem. Biedna panna Lovejoy, będzie zdruzgotana.

Zamknęłam za sobą drzwi i pobiegłam korytarzem do garderoby Blanche. Nie traciłam czasu na pukanie i od razu wtargnęłam do środka. Martha popatrzyła na mnie z dezaprobatą.

– Jak śmiesz wchodzić bez zaproszenia!

Była ubrana cała na czarno. Kiedy podeszłam, jej małe ptasie oczy poruszały się nerwowo.

– Zaplanowałyście to wszystko z Blanche, prawda? Świetny sposób na przyciągnięcie publiki. Niech myślą, że w teatrze straszy. Nawet agencja detektywistyczna Molly Murphy nie potrafiła sobie poradzić z dziwnymi wydarzeniami. Skoro nie pomógł profesjonalista, to znaczy, że w Casino jest duch.

– Nie wiem, o czym mówisz, dziewczyno – mruknęła. – Wynoś się stąd. Jestem zajęta, muszę uprasować sukienkę panny Lovejoy.

Lekko przeszła przez pokój. Nie była młoda, mimo to wciąż zwinna. I nieduża. Może zdołała się ukryć pod stołem i przez jakąś dziurę w blacie wypchnęła dzbanek?

I kolejne pytanie: czy była dość silna, by zepchnąć worek z piaskiem na tancerkę, która nie potrafiła milczeć? To niedorzeczne – uznałam. Stara kobieta nie będzie się wspinała po drabinkach, nie mówiąc o dźwiganiu worków z piaskiem.

– No już. Znikaj stąd. – Podeszła do mnie z żelazkiem w ręku. – Twoje usługi nie są nam potrzebne.

– Oczywiście. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości – odparłam, cofając się nieco, ponieważ od żelazka biło gorące powietrze. – Niepotrzebny wam detektyw, który rozwiązał zagadkę.

Głupio się przyznać, ale wiedziałam, że w razie potrzeby zdołam ją odepchnąć. Na szczęście nie musiałam podejmować takiej decyzji. Drzwi otworzyły się gwałtownie i weszła Blanche.

– Ona nie żyje. Spadł na nią worek z piaskiem. Jak to się mogło stać?

Przez chwilę kobiety patrzyły na siebie w milczeniu. Mina Marthy była wyzywająca.

– Tylko mi nie mów, że ty to zrobiłaś – powiedziała Blanche drżącym głosem. – Jak mogłaś?

Nie zauważyła mnie, bo stałam za otwartymi na oścież drzwiami.

– Nierozsądna dziewczyno – zgromiła ją Martha. – Chciałaś ryzykować, że prawda wyjdzie na jaw? Zamierzasz stać się pośmiewiskiem Nowego Jorku? Ale będą mieli używanie! Blanche Lovejoy wymyśliła sobie ducha, żeby ściągnąć publiczność. Musiała posunąć się do takiej sztuczki, bo jest za stara i za gruba, żeby grać amantki. Tego chcesz?!

– Przestań! – krzyknęła Blanche. – Sprawy zaszły za daleko. Teraz i tak nas zamkną.

– Nie zamkną, jeśli wszystkiego się wyprzesz – stwierdziła Martha. – Przypomnij sobie, co dla ciebie zrobiłam. Wyciągnęłam cię z rynsztoka. Ciekawe, gdzie byś teraz była! Ty i twoje dziecko! Masz wobec mnie wielki dług wdzięczności.

– Wiem. Obiecay, że wszystko będzie dobrze. Nic nikomu nie powiemy. Nie da się udowodnić, że to nie był wypadek. Nikt nic nie podejrzewa.

– Oprócz niej – powiedziała Martha, odwracając się w moją stronę.

– To ty?! – Blanche dopiero teraz mnie dostrzegła.

– Tak, nie jestem taka naiwna, na jaką wyglądam – oznajmiłam. – Rozwiązałam zagadkę, choć byłaś pewna, że tego nie zrobię. A jednak.

– Trzeba się jej pozbyć – zdecydowała Martha, stając między mną a Blanche z uniesionym wysoko żelazkiem. – Zamknij drzwi, Blanche. Gdzie są te twoje proszki na ból głowy? Powinny ją zwalić z nóg. Potem gdzieś ją ukryjemy.

– Nie! – wrzasnęła Blanche. – Nie bądź głupia. Jak możesz? Dość tego, Martho. Trochę czarów, by przyciągnąć tłumy, to jedno, ale zabijanie ludzi...?

– Lily zaczęła cię szantażować. Chciałaś żyć w ciągłym strachu? W każdej chwili mogła coś wygadać.

– Dasz słowo, że nie pójdziesz na policję, jeśli pozwolę ci odejść? – zapytała Blanche drżącym głosem.

– Nie muszę iść na policję – odparłam. – Za chwilę tu będą. Prawda wyjdzie na jaw, czy tego chcesz czy nie. Twój przyjaciel Desmond Haynes już coś podejrzewa. Rozmawialiśmy przed dzisiejszym spektaklem. Skoro Lily też wiedziała, możesz być pewna, że podzieliła się swoją wiedzą z koleżankami. Nie potrafiła trzymać języka za zębami.

– Ale jeśli chodzi o Lily, nie można przecież udowodnić, że to nie był wypadek?

– Nie wiem. Zależy, czy są świadkowie – zauważyłam. – Na twoim miejscu powiedziałabym prawdę. Jeśli tego nie zrobisz, do końca życia będą cię męczyć wyrzuty sumienia.

– Musimy się jej pozbyć – nalegała Martha, pociągając za rękaw sukienki Blanche. – Inaczej już po nas.

– Tak czy siak już po nas, Martho – stwierdziła Blanche. – Nie sądzisz chyba, że po tym wszystkim pozwolą nam grać.

– Zrobiłam to dla ciebie, Blanche. Zrobiłam to dla ciebie. – Głos jej się



załamął. – Całe życie ci poświęciłam. – Rozszlochała się na dobre.

– Nie płacz, moja kochana. Wszystko będzie dobrze. – Blanche wzięła Marthę w ramiona, przytuliła i zaczęła kołysać, jak dziecko.

Skorzystałam z okazji i wymknęłam się z pokoju.

Kiedy wyszłam na ciemny korytarz, nie wiedziałam, co robić. Z dołu dobiegały hałasy. Nawoływania, odgłosy kroków. Brzmiało to tak, jakby policja zjawiała się już w budynku. Czy powinnam złożyć zeznania? Nagle po prostu zapragnęłam uciec i nigdy więcej nie wracać do teatru Casino.

Zbiegłam po schodach i udałam się w stronę głównego wyjścia. Wiadomość o ostatnim wypadku dotarła już do prasy. Aleja była pełna reporterów. Od razu się na mnie rzucili.

– Podobno nie żyje tancerka. Czy zabił ją duch? Widziałaś ducha? Jak ona zginęła?

Na szczęście poczułam na ramieniu ciepłą dłoń.

– Chodź, Molly, odejźmy stąd – powiedział spokojny głos.

Daniel bezpiecznie przeprowadził mnie przez tłum. Nigdy bardziej nie cieszyła mnie jego obecność.

– Dobrze się czujesz? – zapytał, gdy znaleźliśmy się w bezpiecznej odległości od teatru.

– Tak. Nic mi nie jest. Skąd wiedziałeś?

– Wybrałem się dziś na przedstawienie – oświadczył. – Chciałem wreszcie zobaczyć na własne oczy twój występ. Wyobraź sobie, jak się przeraziłem, kiedy nie pojawiłaś się na scenie.

– Panna Lovejoy mnie zwolniła.

– Zakładam, że nie z powodu braku talentu.

– Nie. Odegrałam swoją rolę, więc uznała, że nie jestem już potrzebna.

– Swoją rolę?

– Bezradnej pani detektyw, która nie potrafi powiedzieć, czy w teatrze straszy, czy nie.

– Ale mimo wszystko zostałam?

– Tak, i nie żałuję.

– Widziałaś, kto zabił tę dziewczynę?

Zawahałam się. Trudno powiedzieć, bym widziała coś więcej niż ruch na kładce.

– Nie widziałam, ale chyba wiem, kto to zrobił.

– I to nie jest duch?

– Nie, to nie duch.

– Policja już tam jest. Może chcesz wrócić i...

– Nie – przerwałam mu. – Nie chcę znowu zbliżyć się do tego miejsca. Mam dość, Danielu. Zabierz mnie do domu. Jeśli ten, kto to zrobił, nie przyzna się do winy, wkroczę do akcji. Teraz chcę stąd uciec. Jak najdalej.

– Myślisz, że grozi ci niebezpieczeństwo?

– Prawdopodobnie. – Spojrzałam mu w oczy. – Danielu, tak się cieszę, że tu jesteś.

– A jak ja się cieszę, że ty tu jesteś – odparł. – Wierz mi, że kiedy nie pojawiłaś się na scenie, a potem zdarzył się ten wypadek, chciałem biec za kulisy i cię ratować.

– Mój ty bohaterze. – Poglądziłam go po policzku. Podniósł moją dłoń do ust i pocałował. – Masz zimne ręce – zauważył. – Gdzie są twoje rękawiczki?

– Ojej. Pewnie zgubiłam gdzieś w teatrze, ale nie zamierzam po nie wracać.

– Czy chcesz, żebym zabrał cię do domu? – zapytał. – Jadłaś coś w ogóle?

– Nie bardzo. Tylko wypłam kawę.

– W takim razie może pójdziemy coś przekąsić?

Już otwierałam usta, by przypomnieć Danielowi, że nie ma pieniędzy, ale ugryzłam się w język.

– Zgoda. Mamy powody do świętowania – oznajmiłam. – Właśnie zakończyłam dwie sprawy.

– Dwie?

– Po południu przekazałam swój raport pani Mendelbaum i dostałam czek.

– Czy jest zadowolona, że jej córka wyjdzie za szanowanego, choć nudnego młodzieńca?

– Raczej za podejrzanego indywiduum – stwierdziłam. – Które wystaje przed teatrem i uwodzi tancerki. A na dodatek ma dziwne pomysły na... – Słowo „seks” nie przeszło mi przez gardło w obecności Daniela, choć przecież nie powinno być nam takie obce, jeśli wziąć pod uwagę wspólne doświadczenia.

– Podejrzewam, że wielu bogatych młodych mężczyzn przechodzi w swoim życiu przez podobny etap – powiedział Daniel.

– Doprawdy? Ty też?

– Nigdy nie byłem dość bogaty, nigdy nie miałem wolnego czasu. Co powiesz na Muschenheim’s Arena? Jest blisko.

– Nie za drogo dla nas? Może się zdarzyć, że nie dostanę pieniędzy od Blanche Lovejoy.

– Wypiszesz rachunek, a ja jej go zaniosę. Tak samo zrobimy z Ooną Sheehan. Gwarantuję, że obie zapłacą.

Ma rację – pomyślałam. Nie będą miały wyjścia. Daniel potrafił być bardzo stanowczy.

– W końcu jestem twoim pracownikiem – stwierdził Daniel. – Jakoś muszę zarobić na swój kawałek chleba.

– Nie pracownikiem, ale partnerem – sprostowałam.

– A może wspólnikiem?

– Chcesz ze mną wejść do spółki?

– Czemu nie? Do diabła z policją! Potulnie czekam, aż się obudzą i przyznają do błędu. Dość tego. Niesłusznie mnie oskarżyli.

– Ale twoja praca, Danielu? Twój status społeczny? Byłeś jednym z najlepszych oficerów. Praca przy drobnych zleceniach, które dostaje agencja, to dla ciebie degradacja.

– Odnoszę wrażenie, że nie chcesz ze mną pracować.

– Przeciwnie. Cała przyjemność po mojej stronie. Ale pomyślmy o twojej karierze. O naszej przyszłości. Jesteś wpływowym człowiekiem. Przed tobą świetlana przyszłość.

– Już nie – odparł z goryczą.

– Oczywiście, że tak. Jeszcze będzie jak dawniej, zobaczysz – zapewniłam.

– A teraz chodźmy wreszcie coś zjeść i utopić smutki w butelce wina.

Wsunęłam mu rękę pod ramię i pomaszerowaliśmy Broadwayem do restauracji na Trzydziestej Pierwszej.

– To rozumiem. – Daniel pociągnął łyk wina, gdy kelner postawił przed nami półmisek z mięsem. – Od dawna obydwójce zupełnie o siebie nie dbamy. Wyglądasz blado. Widać, że jesteś zmęczona. Porządna kolacja dobrze ci zrobi.

Przytaknęłam.

– Masz rację. A dzisiejszy dzień należał do wyjątkowo dziwnych i trudnych. – Opowiedziałam Danielowi o Węgrach i o tym, jak zabrali Annie do siebie.

– Wspaniała wiadomość – zauważył. – Jaka to ulga, że nie będziesz się musiała nią zajmować. Teraz o jej zdrowie zadbają najbliżsi.

– Miejmy nadzieję – odparłam. – Ciągłe zadaję sobie pytanie, czy postąpiłam właściwie.

– Czemu? Czy coś było nie tak z tymi ludźmi?

– Nie wiem. Wydawali się poważni i bardzo troskliwi.

– No to czym się jeszcze zajmujesz? Nie powinnaś była w ogóle brać na siebie takiej odpowiedzialności. Przestań się martwić o Annie. Jedyna sprawa, której wciąż nie rozwiązaaliśmy, to zniknięcie siostrzeńca panny Van Woekem. Wątpię, czy kiedykolwiek wpadniemy na właściwy trop.

– Czy miałeś okazję odwiedzić biura linii żeglugowych?

– Owszem. Nikt sobie tam nie przypomina, by John Jacob Halsted kupował bilet na parowiec.

– A sprawdziłeś pociągi?

– Pokazałem jego zdjęcie na dworcu. Nikt go tam nie widział. W biurach przy głównej ulicy to samo. Po prostu zapadł się pod ziemię, Molly. Chyba trzeba przyjąć, że leży gdzieś martwy w śniegu. Nie wiem, jak powiedzieć o tym starszej pani. Pęknie jej serce.

– Co jeszcze możemy zrobić?

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że teraz powinniśmy zjeść kolację, zanim

nam wystygnie – odparł Daniel i zajął się jedzeniem.

Nie pozostało mi nic innego, jak pójść w jego ślady.

– Odwiozę cię do domu – zaproponował, kiedy wyszliśmy na chłodne wieczorne powietrze. – Wino było dość mocne.

– Nic mi nie jest – odparłam, choć czułam lekki szum w głowie.

Daniel przyjrzał mi się z uśmiechem.

– Nie chcę, żebyś się poślizgnęła na lodzie.

Unosząc dłoń, przywołał powóz i pomógł mi wsiąść. W zamkniętej ciemnej przestrzeni wyraźnie czułam jego bliskość i wydało mi się naturalne, że mnie objął, a ja położyłam głowę na jego ramieniu.

– Wreszcie – powiedział. – Miałem wrażenie, że ostatnio coś między nami nie gra. Trzymałaś mnie na dystans.

– Nie bez powodu – stwierdziłam. – Wiem dobrze, co się stanie, jeśli pozwolę ci się zbliżyć.

Roześmiał się i przyciągnął mocniej do siebie.

Powoli ruszyliśmy Piątą Aleją w kierunku łuku na Washington Square, a następnie zatrzymaliśmy się na początku Patchin Place. Daniel zeskoczył i pomógł mi wsiąść. Miał pewną i ciepłą dłoń.

– Proszę, weź mnie pod ramię – zaproponował. – Na ulicy jest lód.

Bez kłopotu doszliśmy do drzwi. Walczyłam sama ze sobą. Bardzo chciałam go zaprosić do środka, ale rozsądek podpowiadał, że powinnam się teraz pożegnać. Wiedziałam, co może się stać, jeśli wejdziemy razem do domu. Sięgnęłam po klucz, świadoma tego, że Daniel stoi bardzo blisko.

Nagle otworzyły się drzwi naprzeciwko i Sid i Gus wyjrzały na zewnątrz.

– Molly, to ty?! – zawołała Sid. – Gus widziała, że ktoś idzie ulicą. Była pewna, że to ty. Tak się cieszę, że cię widzę – dodała i w tym momencie zauważyła Daniela. – Och, i oczywiście pana, kapitanie Sullivan.

Daniel uprzejmie schylił głowę.

– Molly, proszę, powiedz, że nie musisz być w tym okropnym teatrze jutro wieczorem. Zaplanowałyśmy coś niesamowitego.

- Nie muszę – oznajmiłam. – Zakończyłam pracę dla Blanche Lovejoy.
- Bravo! – zawołała Gus. – Wieki cię nie widziałyśmy, prawda, Sid? Z tego powodu naprawdę byłyśmy nie w sosie.
- Ty byłaś – powiedziała Sid. – Serio. Cierpiała. Odmawiała jedzenia. Trzeba jej było podsuwać foie gras i trufle.
- Nie mogę z wami – zachichotałam.
- Wejdiesz na chwilę? – zaproponowała Sid. – Musimy ci opowiedzieć o naszych planach na wspaniałą imprezę kostiumową jutro wieczorem. Goście mają się przebrać za swoją ulubioną postać literacką. Będziemy gotować dania, które występują w kilku znanych powieściach. Przygotowałyśmy nagrody, a Ryan przyprowadzi przyjaciół z teatru... – Popatrzyła na Daniela, który stał z dziwną miną, i dodała: – Proszę czuć się zaproszonym, kapitanie Sullivan.
- Dziękuję, ale to raczej nie dla mnie – oznajmił. Poklepał mnie po ramieniu. – Pójdę już do domu, Molly. Robi się późno.
- Dobrze, Danielu. – Przytrzymałam go za rękaw. – Posłuchaj, a może jednak przemyślisz to jeszcze i wybierzemy się jutro na bal przebierańców? Ostatnio nigdzie razem nie wychodziliśmy. Nawet nie byliśmy na łyżwach w Central Parku.
- Obawiam się, że muszę jechać do rodziców, Molly – odparł Daniel. – Stan ojca się pogorszył i mama bardzo się martwi.
- Mówisz tak tylko dlatego, że nie chcesz pójść ze mną na przyjęcie do moich przyjaciółek, prawda?
- Nie o to chodzi. Martwię się o ojca, Molly. Powinienem odwiedzić rodziców.
- Rozumiem. Więc lepiej już wracaj do domu – odrzekłam chłodno. – Pozdrów ich ode mnie, chyba że jeszcze nic o mnie nie wiedzą...
- Wspomniałem im już – powiedział, zerkając na Sid i Gus, które wciąż stały przed drzwiami. – Ale teraz mają naprawdę inne sprawy na głowie.
- Oczywiście. W takim razie dziękuję, że odprowadził mnie pan do domu, kapitanie Sullivan.
- Daniel popatrzył na mnie, najwyraźniej chciał coś jeszcze powiedzieć, ale

tylko odwrócił się w stronę Sid i Gus.

– Dobranoc, drogie panie. Dobranoc, Molly – pożegnał się i odszedł bez pocałunku.

– Obawiam się, że twój dzielny kapitan nie lubi naszego towarzystwa – stwierdziła Gus.

– To jego sprawa – odparłam. – Nie wie, co traci.



Sobotnie przyjęcie było szalone. Wybawiłam się za wszystkie czasy. Ryan przebrał się za Szkarłatny Kwiat, a Elizabeth, czyli Nellie Bly, za Hucka Finna. Uznałyśmy obie, że do twarzy jej w chłopięcych strojach. Ja byłam Jane Eyre, nie dlatego, że to moja ulubiona postać literacka – chociaż podobało mi się, kiedy rzuciła w kuzyna książką – ale ponieważ miałam w szafie tylko zwykłe ubrania, które pasowały do guwernantki.

– Szkoda, że kapitan Sullivan nie zaszczycił nas swoją obecnością – powiedziała Gus. – Mógłby się przebrać za pana Rochestera.

Naprawdę szkoda – pomyślałam, wciąż zirytowana tym, że Daniel stroni od moich przyjaciół. Podejrzewałam, że nie planował wyjazdu z miasta aż do wczoraj, kiedy to otrzymaliśmy zaproszenie na przyjęcie u Sid i Gus. Czy naprawdę uważał, że w naszym wspólnym życiu nie będzie miejsca dla tych, z którymi lubię spędzać czas? Postanowiłam jednak nie zaprzętać sobie głowy takimi pytaniami i doskonale się bawić. Od dawna nie udzielałam się towarzysko.

Dziwnie było mieć dla siebie całą niedzielę. Jeszcze dziwniej – obudzić się w poniedziałek rano i nie mieć nic do roboty. Dzięki pani Tucker, która podczas pobytu na Patchin Place zrobiła więcej, niż musiała, nawet dom był w dobrym stanie. Zwykle narzekam na nadmiar obowiązków, a teraz snułam się znudzona i zniechęcona. Pomyślałam, że odwiedzę Daniela, by zapytać go o zdrowie ojca, ale po chwili zrezygnowałam. Powinnam raczej poinformować panią Goodwin, jak się mają sprawy z naszą Annie. Bardzo się przecież zaangażowała i starała nam pomóc. Nie spodziewałam się, że o tej porze będzie w domu, ale napisałam liścik z prośbą o spotkanie i wsunęłam go pod drzwi.

Ledwie wróciłam na Patchin Place, rozległo się pukanie.

– Myślałam dzisiaj o tobie, moja droga – oznajmiła w progu.

Zaprosiłam ją do środka i zaproponowałam, by usiadła wygodnie w fotelu.

– Właśnie byłam w kostnicy, gdzie widziałam młodą kobietę o imieniu Annie – oznajmiła Sabella.

Serce podskoczyło mi do gardła.

– Annie? Ale chyba nie chodzi o moją Annie? Pamiętasz, jak wyglądała? Burza kasztanowych włosów i drobna buzia.

Pani Goodwin wydawała się zaskoczona.

– Ona już tu nie mieszka?

– Nie. Węgrzy z rodzinnej wioski zabrali ją do siebie – odparłam i streściłam całą historię.

– Nie wyglądasz na zadowoloną z takiego obrotu spraw – zauważyła.

– Bo nie jestem – odparłam. – Ale mam nadzieję, że nie dzieje się jej tam krzywda. Zdziwiłam się tylko, że nie rozpoznała ojczystego języka i na widok bliskich nie odzyskała pamięci.

– To nie działa tak od razu – powiedziała pani Goodwin. – Jeśli jest w szoku, potrzeba czasu, żeby z niego wyszła.

– Teraz martwię się, że spotkał ją straszliwy koniec.

Sabella uśmiechnęła się.

– Możesz spać spokojnie. Ta dziewczyna była zupełnie inna. Śliczna blondynka. Z tego, co wiem, jej ciało przez jakiś czas dryfowało w rzece.

– W rzece?

– Tak. W East River. Wyłowiono ją w pobliżu Ward's Island. Mogła płynąć z prądem z północy, nawet z daleka.

– Rozumiem. Ale skąd wiadomo, że ma na imię Annie? Czy zgłosił się ktoś z rodziny i zidentyfikował zwłoki?

– Nie. Mieliśmy ułatwione zadanie. Na bieliźnie wyszyto monogram: Annie P.

Zaniemówiłam.

– Annie P.?! To może być Parker, prawda? – zapytałam po chwili.

Pokiwała głową.

– Niewykluczone. Czemu pytasz? Znasz jakąś Annie Parker?

– Annie Parker, która pasuje do twojego opisu, zaginęła w New Haven w stanie Connecticut. Pracowała w tamtejszym teatrze. To się stało tuż przed tym, jak znalazłam swoją Annie w zaspie śnieżnej.

– Naprawdę?

– Być może jej zaginięcie ma coś wspólnego z inną sprawą, nad którą pracuję. Chodzi o młodego mężczyznę, Johna Jacoba Halsteda, który obrabował rezydencję niedaleko New Haven.

– Halsted? – Sabella zastygła z wrażenia. – Postawił na nogi całą policję. Dlaczego się tym zajmujesz?

– Rodzina poprosiła mnie o pomoc. Chcą wiedzieć, co naprawdę się wydarzyło i gdzie on jest.

– Tak jak my wszyscy – odparła.

– Cóż, udało mi się ustalić jedną rzecz. Halsted często chadzał do teatru w New Haven i tego feralnego wieczoru planował zaprosić na kolację jedną z tancerek. Prawdopodobnie Annie Parker. Zastanawialiśmy się, czy przypadkiem nie uciekli razem do Ameryki Południowej, ale chyba tak się nie stało. Mogła być z nim w samochodzie, kiedy doszło do wypadku. Być może zabłądziła na bagnach.

– Nie sądzę – powiedziała pani Goodwin. – Na plecach ma ranę postrzałową.

– Ranę postrzałową?

– Zginęła od kuli, więc jeśli ten twój Halsted z nią był, jego sytuacja wygląda gorzej, niż przypuszczałam.

– To straszne – szepnęłam. – Wszystko wydaje się takie nieprawdopodobne... Sporo już wiem o Halstedzie. Na pewno lubił się zabawić i trochę szastał pieniędzmi, ale też nie narzekał na ich brak. Przyjaciele mówili, że lekko podchodził do życia i nawet nie miał broni. Nie rozumiem, jak ktoś taki mógł popełnić straszne przestępstwa, które mu się przypisuje: morderstwa i rabunki...

– Jeśli o to chodzi – przerwała mi pani Goodwin – wydaje się, że pan Halsted został oczyszczony z niektórych zarzutów. Podobno aresztowano kogoś w związku z napadem w Greenwich.

– Co ty mówisz!

– Tak, szczęśliwy zbieg okoliczności. Nowojorska policja od dłuższego czasu miała oko na włoski gang, który sprawiał sporo kłopotów. Nazywają się

Cosa Nostra i z tego, co wiem, pochodzą z Sycylii. W każdym razie zdecydowaliśmy się w końcu zrobić nalot na ich dzielnicę i jeden z aresztowanych pasował do opisu tamtego bandyty. Wydaje się, że specjalnie wybrali takie małe miasteczko, bo w Nowym Jorku nie mieliby szans.

– Więc John Jacob nie jest już podejrzany?

– Nadal poszukujemy go w związku z rabunkiem i morderstwem w rezydencji Silvertonów – powiedziała Sabella. – W tym przypadku nie ma żadnych wątpliwości.

– Rozumiem. Bardzo chciałabym wiedzieć, czy Annie Parker ma z tym coś wspólnego i czy to rzeczywiście jej ciało leży teraz w kostnicy.

– Mogę cię tam zabrać, jeśli chcesz się przekonać – zaproponowała Sabella. – Ostrzegam jednak, że to nie jest przyjemny widok. Kiedy ciało długo pływa w rzece, zaczynają się do niego dobierać ryby.

Wzdrygnęłam się.

– Chyba zrezygnuję – stwierdziłam. – To na pewno ona. Ale myślę, że może powinnam pojechać do New Haven i porozmawiać z jej koleżankami tancerkami. Annie mogła zwierzyć się którejś ze swoich planów na wieczór.

– Teraz, kiedy o tym rozmawiamy, pomyślałam, że warto zrobić coś jeszcze. Sprawdzę, czy z ciała wyjęto kulę, i zobaczę, czy jest taka sama jak ta, od której zginął lokaj Silvertonów.

– Świetny pomysł – powiedziałam, coraz bardziej przejęta. – Czy wybierzesz się ze mną do New Haven?

Z uśmiechem pokręciła głową.

– O nie, moja droga. Mam za sobą dziesięć godzin służby. Marzę tylko o tym, by położyć się do łóżka. Ale ty jedź koniecznie. Dasz radę bez mojej pomocy. Wierzę w ciebie.

– W porządku – odparłam. – Pojadę. Teatry są raczej zamknięte w poniedziałki, ale jestem pewna, że się dowiem, gdzie mieszkają dziewczyny, i uda mi się z nimi porozmawiać.

Podniosłam płaszcz, który rzuciłam wcześniej na krzesło w kuchni.

– Czy zanim wyjdziemy, mogę ci coś zaproponować? – zapytałam. – Filizankę herbaty? Kanapkę?

– Dziękuję, moja droga – odrzekła z uśmiechem. – Ty się zajmij swoimi sprawami, a ja pójdę spać. Czy moja wścibska sąsiadka sprawdziła się jako pomoc domowa?

– I to jak! – zawołałam entuzjastycznie. – Nikogo bardziej odpowiedniego bym nie znalazła. Moja Annie ją polubiła i obdarzyła zaufaniem. Myślę, że gdybyśmy miały więcej czasu, na przykład kolejny tydzień lub dwa, może wróciłyby do zdrowia.

– Niesamowite! – Sabella pokręciła głową. – Najwyraźniej musi czuć się potrzebna. Jeśli znów zapuka do moich drzwi, znajdę jej jakieś zadanie.

Wstała i poprawiła kapelusz.

– Powodzenia, Molly. Daj mi znać, jeśli trafisz na coś ciekawego.

Wyszliśmy razem. Ona udała się do domu, żeby położyć się spać, a ja w kierunku dworca Grand Central.

Niecierpliwie patrzyłam na przewijające się za oknem krajobrazy, kiedy pociąg przejeżdżał przez Manhattan, a następnie wjechał na most do Bronxu. Był szary grudniowy dzień; mgła unosiła się nisko nad ziemią. Wkrótce po prawej stronie pojawiły się nadrzeczne bagna. Miejsce wypadku jest niecały kilometr stąd – pomyślałam. Skoro Annie była w cadillacu, to jakim cudem jej ciało trafiło do rzeki? Czyżby samochód wpadł w zasadzkę, bo ktoś się dowiedział, że są w nim łupy z rabunku? W takim razie czy John Jacob również został postrzelony i też utonął?

Zadrżałam i otuliłam się płaszczem, mimo że w przedziale było ciepło. Cóż za tragedia! Młode życie przerwane tak nagle! W opowieściach przyjaciół John Jacob jawił się miłym młodym mężczyzną. Annie Parker z kolei była prawdziwą pięknoscią. Ale w rezydencji Silvertonów doszło do tragedii i wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że JJ jest winny. Miałam nadzieję, że pod koniec tego dnia znajdę się bliżej prawdy.

Pociąg przejechał przez Greenwich, a potem Bridgeport i w końcu dotarliśmy do New Haven. Było bardzo zimno, a cała droga do teatru oblodzona. Miałam nadzieję, że znów zastanę dyrektora w biurze, ale niestety pocałowałam klamkę.

Wokół teatru nie było śladu życia. Obeszłam go dookoła i w wąskim zaułku odkryłam drugie drzwi, prawdopodobnie prowadzące od razu na

zaplecze. Niestety, również były zamknięte. Zrezygnowana, już miałam odejść, gdy nagle nad głową usłyszałam hałas. Podniosłam wzrok i zobaczyłam kobietę, która zbierała pranie wiszące pod oknem. Ubrania były sztywne od mrozu i trzaskały, kiedy zdejmowała je ze sznurka. Pomachałam i spytałam, czy wie, gdzie mieszkają tancerki z teatru.

– Chcesz do nich dołączyć? – usłyszałam zamiast odpowiedzi. – Ciężki kawałek chleba. Tyle mogę powiedzieć.

– Przyjechałam odwiedzić kuzynkę – oznajmiłam.

Z doświadczenia wiedziałam, że wzmianka o rodzinie zawsze uspokaja rozmówcę. Pokiwała głową i trzymając w ustach klips do bielizny, pokazała drogę. Wyszłam z zaułka i na rogu, przy banku, skręciłam w prawo. Noclegownia mieściła się w obskurnej bocznej uliczce. Na podwórku mimo zimna bawiły się brudne dzieci, a ich oddechy unosiły się niczym dym z komina. Na mój widok maluchy zamarły, patrząc z zaciekawieniem. Weszłam po schodach i zapukałam do drzwi. Otworzyła niechlujnie ubrana kobieta w średnim wieku i stanęła przede mną z rękami na biodrach.

– Czego? – zapytała.

– Czy mieszkają tutaj tancerki z teatru?

– Owszem, kilka.

– A czy imię Annie coś pani mówi? Annie Parker?

– Nawet nie chcę o niej słyszeć. Zniknęła i nie zapłaciła za czynsz. Jeśli panią jest jej kuzynką, domagam się swojej należności.

– Żadne więzy pokrewieństwa nas nie łączą – powiedziałam. – Jestem prywatnym detektywem. Rozwiązuję zagadkę zniknięcia panny Parker.

– Też mi coś! – Z niedowierzaniem pokręciła głową. – Co takiego zrobiła?

– Czy mogę wejść? – poprosiłam. – Jest bardzo zimno. Chciałabym porozmawiać z jej koleżankami, jeśli są w domu.

– A gdzie indziej miałyby siedzieć w taką pogodę? Śpią, jak tylko im się trafi wolny dzień. Ot co! Niech wchodzi, tylko dobrze wytrze buty.

Biorąc pod uwagę stan podłogi, uznałam, że nieco przesadza, ale posłusznie zrobiłam, co kazała, i weszłam do obskurnego salonu. Na ruszcie tlił się nędzny ogień. Dwie dziewczyny grzały się w fotelach, owinięte

kocami. Kiedy weszłam, podniosły wzrok.

– Ta młoda dama pyta o Annie – oznajmiła kobieta. – Jest detektywem.

Wyraźnie się zasmuciły.

– Detektywem? Czyli to prawda. Zrobiła coś złego?

– Jeszcze nie wiem – odparłam. – Możliwe, że tak. Jest bardzo prawdopodobne, że nie żyje, więc liczy się wszystko, co mi powiecie. Chciałam zwłaszcza zapytać o ten dzień, kiedy zniknęła. Czy mówiła wam, że ma zamiar spotkać się z pewnym młodym mężczyzną?

– Annie przepadała za chłopcami – stwierdziła młodsza z dziewcząt. Miała świeżo wyszorowaną buzię i wyglądała na jakieś czternaście lat, może ciut więcej. – I oni na pewno ją lubili. Szkoda, że pani nie widziała prezentów, które dostawała. Kwiaty, cukierki, nawet perfumy.

– Czy był ktoś, z kim spotykała się regularnie? – zapytałam.

– Był jeden taki, co zawsze na nią czekał przy wyjściu. Powiedziała o nim kiedyś, że ma gest. Lubiała spędzać czas w jego towarzystwie. Przechwalała się, że jeśli dobrze rozegra karty, to wyprowadzi się z tego cholernego miejsca i zamieszka w luksusie.

– Czy mówiła, jak ma na imię?

Dziewczyny popatrzyły po sobie.

– Szczerze powiedziawszy, to podejrzewamy, że to był ten chłopak z Yale. Ten sam, który obrabował posiadłość Silvertonów. W każdym razie odwiedziła nas policja i o niego pytała.

– A wiecie może, czy Annie miała randkę tamtej nocy?

– Miała – odezwała się starsza z dziewcząt. – Wzięła drugą sukienkę, żeby się przebrać po przedstawieniu. Mówiła, że idzie na kolację. Nie przejęliśmy się tym za bardzo, bo zawsze gdzieś chodziła wieczorami. – Ściszyła głos i dodała: – Pani Stubbs zamyka drzwi o północy, a Annie często pojawiała się dopiero rano na śniadaniu. Można się domyślić dlaczego.

– Czyli na pewno wybrała się na randkę, ale nikt jej nie widział z żadnym mężczyzną?

Młodsza zmarszczyła brwi.

– Nie. Przecież wyszła z Jessie, prawda?

– Jessie?

– No, z tą drugą dziewczyną, która zaginęła. Z Jessie Edwards.

Westchnęłam.

– Ktoś jeszcze zaginął tamtej nocy?

– No przecież. Annie zabrała ze sobą Jessie. Pewnie poszły na kolację z paroma chłopakami. Rano nie zjawiły się na śniadaniu. Żartowałyśmy sobie. Mówiliśmy: niezła kolacyjka, co? Dopiero kiedy nie pojawiły się na przedstawieniu, zaczęliśmy się niepokoić, ale uznałyśmy, że uciekły z bogatymi gośćmi i nie będą już musiały występować w nędznej rewii.

– Opowiedzcie mi o Jessie – poprosiłam.

– Jessie? Była zupełnie inna niż Annie – stwierdziła starsza. – Nie wiem, dlaczego Annie tak bardzo ją lubiła. Jessie była nowa. Z tego, co wiem, przyjechała z głębokiej prowincji. Z tego, no jak tam... Massachusetts. Wyjątkowo nieśmiała. Ale świetnie tańczyła, bo podobno uczyła się kiedyś baletu klasycznego. Bardzo sobie przypadły do gustu i były jak papużki nierozłączki. Zawsze razem. Więc czasami Annie zabierała ją na randki i przedstawiała chłopakom; mawiała, że Jessie sama nie złapie męża. Ale była dość ładna.

– Jak wyglądała? – zapytałam, chociaż już czułam, że dobrze znam Jessie.

– Chuda, niska, ciemne włosy...

– Drobna buzia, spiczasty podbródek?

– Zgadza się. Zna ją pani?

– Chyba tak – powiedziałam. – Czyli tamten wieczór spędziły razem. Czy widziałyście może, jak wsiadają do czerwonego auta?

– My nie, ale Lizzie mówiła, że widziała samochód.

– Czyli pewnie do niego wsiadły. Chciałabym zapytać pozostałe dziewczyny, czy któraś coś pamięta.

Starsza pokręciła głową.

– Policja już o to prosiła. Pokazali nam zdjęcie samochodu. Elegancki. Problem w tym, że te dwie bardzo się spieszyły. Wybiegły, kiedy reszta



jeszcze zmywała makijaż.

– Czy Jessie tamtego dnia miała na sobie białą sukienkę?

Młodsza podrapała się po głowie.

– Tak. Pamiętam, bo jakiś dowcipniś zażartował: „Jessie wygląda jak dziewczica; Annie to na pewno od chrztu nie miała na sobie nic białego”.

– Zakładam, że policja przeszukała rzeczy Annie i Jessie? Czy skontaktowali się z rodzinami?

– Nie sądzę, żeby było z kim. Annie uciekła z domu jako mała dziewczynka, a Jessie dorastała w sierocińcu.

– Czy macie może jakieś zdjęcie, które mogłabym ze sobą zabrać? – spytałam.

Młodsza podniosła się z fotela.

– Zaraz przyniosę coś z holu.

Wsunęła stopy w kaptcie i po chwili wróciła z plakatem, który widziałam w biurze dyrektora. Annie stała z przodu. Dopiero teraz, gdy przyjrzałam się dobrze pozostałym tancerkom, zauważyłam, że moja tajemnicza dziewczyna uśmiecha się z tylnego rzędu.

Byłam tak wściekła na siebie, że chciało mi się krzyczeć. Szkoda, że parę dni temu nie przestudiowałam dokładniej tego zdjęcia! Gdybym wtedy zauważyła Jessie, nie wpuściłabym tych Węgrów do domu. Poczułam straszliwy ucisk w żołądku. Kim oni są? Dlaczego udawali jej bliskich? Nazywa się Jessie Edwards, więc z pewnością nie ma żadnych węgierskich korzeni. I najważniejsze – co mam teraz zrobić, żeby ją odzyskać?

Udałam się na posterunek w New Haven i opowiedziałam wszystko, co się wydarzyło. Policjanci byli grzeczni, ale miałam wrażenie, że nie traktują mnie poważnie.

– Naprawdę, panienko? – zareagował jeden, ledwie tłumiąc uśmiech. – Została znaleziona w zaspie śnieżnej, a następnie porwali ją Węgrzy? Czy przypadkiem nie czytamy zbyt wielu powieści?

Wróciłam do domu zła i sfrustrowana. Nie powiedzieli nic, czego bym nie wiedziała, a na dodatek w ogóle nie byli zainteresowani udzieleniem mi pomocy. Nie mam wyjścia – stwierdziłam. Muszę ją sama uratować. Jeśli wciąż żyje – dopowiedział złowrogi głos w mojej głowie.

Podróż pociągiem do Nowego Jorku trwała strasznie długo, ale przynajmniej miałam czas, żeby zastanowić się nad planem działania. Dobrze, że znam adres – pomyślałam. Teraz muszę wymyślić pretekst, żeby ich odwiedzić. Może powiem, że zostawiła naszyjnik. I co potem? Przecież nie wyciągnę jej z mieszkania. Postanowiłam zwrócić się do Sabelli po pomoc. Będzie wiedziała, co robić. Być może słyszała też o węgierskim gangu, który porywa młode kobiety. Było mi niedobrze. Pani Tucker sugerowała, że dziewczyna uciekła z niewoli. Czyżbym nieświadomie oddała ją w ręce prześladowców?

Wyskoczyłam z pociągu, jak tylko wtoczył się na peron w Nowym Jorku. Pani Goodwin będzie jeszcze spać – pomyślałam – ale to przecież kwestia życia i śmierci. Modliłam się, żeby Daniel już wrócił, i po chwili namysłu skierowałam się prosto do jego domu na Dwudziestej Trzeciej. Wiatr od Hudsonu nieprzyjemnie owiewał mi twarz, kiedy biegłam w stronę Dziewiątej Alei.

W korytarzu spotkałam gospodynię Daniela.

- Kapitan Sullivan jeszcze nie wrócił, panno Murphy – powiedziała.
- Wyjechał parę dni temu, prawda?
- Zgadza się. Ściśle mówiąc, w sobotę rano. Powiem mu, że panienka zaglądała.
- Tak, koniecznie. Proszę mu przekazać, że bardzo czekam na kontakt od niego. To pilne.
- W porządku, moja droga – obiecała gospodyni.

Wyszłam z domu Daniela, czując gniew i rozczarowanie. Jak długo tym razem nie będzie się do mnie odzywał? A jeśli rodzice poproszą, by został z nimi aż do Bożego Narodzenia? Też mnie nie poinformuje?

Odsunęłam od siebie złe myśli i zdecydowałam, że jedyną osobą, do której mogę się teraz zwrócić, jest Sabella Goodwin. Trudno, najwyżej ją obudzę – pomyślałam.

Najpierw poszłam jednak do domu, żeby znaleźć kartkę z adresem Węgrów, którzy zabrali Jessie. Właśnie otwierałam drzwi wejściowe, kiedy z naprzeciwka usłyszałam wołanie.

– Molly! – To była Gus. – Dobrze, że jesteś. Doktor Birnbaum czeka u nas na ciebie.

– Birnbaum?

– Tak, jest bardzo zdenerwowany. Obawiam się, że ma złe wieści.

Przebiegłam przez ulicę. Gus wprowadziła mnie do salonu. Na mój widok siedzący przy kominku Birnbaum skoczył na równe nogi.

– Panno Murphy! Wreszcie. Te dwie młode damy były tak miłe, że zaprosiły mnie do środka. Przykro mi, ale mam bardzo niepokojące informacje.

– O naszej dziewczynie?

– Niestety. Dziś rano zdecydowałem, że odwiedzę ją, aby sprawdzić, czy ma się dobrze, i zaoferować opiekunom swoje usługi. Wiem, że w Nowym Jorku nie mam konkurencji i żaden lekarz w tak trudnym przypadku nie potrafiłby im pomóc. W każdym razie pojechałem na Brooklyn i okazało się, że adres, który pani podali, nie istnieje. Nie ma żadnej Brook Street.

– Nie ma Brook Street – powtórzyłam za Birnbaumem. – Chyba nie jestem zaskoczona. Właśnie dokonałam innego odkrycia. Dziewczyna wcale nie jest Węgierką. To tancerka z New Haven.

– Więc dlaczego cię okłamali? – zapytała Gus.

– Chciałabym wiedzieć. Podejrzewam, niestety, że mieli jakiś niecny cel.

– Szkoda, że mnie tam nie było – zmartwił się Birnbaum. – Trochę mówię po węgiersku, może bym się z nimi dogadał.

– Ale skąd pewność, że byli Węgrami? Może i w tej kwestii nas oszukali? Też żałuję, że nie było pana wtedy przy mnie, doktorze. Mógłby pan ocenić, czy rzeczywiście mówią po węgiersku.

– A coś mówili? – zapytał Birnbaum.

– Tak, ale nic nie rozumiałam.

– Mało kto mówi po węgiersku w Nowym Jorku – oznajmił Birnbaum. – Pewnie już wspominałem, że to jeden z najdziwniejszych języków świata.

Patrzyłam na niego w zamyśleniu i nagle coś mi przyszło do głowy.

– To dlatego podawali się za Węgrów! Chcieli nas przekonać, że z Jessie nie ma kontaktu, bo nikogo nie rozumie.

– Czy ten język brzmiał tak? – zapytał Birnbaum i wy dobył z siebie kilka dziwnych dźwięków przypominających bełkot.

– Trochę inaczej – odparłam. – Zapamiętałam, że jeden z nich powiedział si. Czy to po węgiersku?

– Nie, po hiszpańsku albo włosku.

W tym momencie weszła do pokoju Sid.

– Och, Molly, nie słyszałam, jak wchodziłaś. Co straciłam? – spytała.

– Molly odkryła, że dziewczyna znaleziona w parku to tak naprawdę tancerka z New Haven – powiedziała Gus jednym tchem. – Porwało ją dwóch mężczyzn, którzy podali się za Węgrów, ale raczej nimi nie są. I zostawili fałszywy adres.

– O mój Boże! – zdenerwowała się Sid. – Więc co zamierzasz teraz zrobić?

– Nie mam pojęcia – poskarżyłam się. – Szukać igły w stogu siana? Boję

się, że spotkało ją coś najgorszego. Wiecie chyba, co mam na myśli?

– W takim stanie? – prychnęła Gus. – Przecież jest inwalidką. Wymaga stałej opieki, Molly. Po co by brali na siebie taki ciężar? Musi być inny powód.

Przytaknęłam.

– Chyba masz rację. Miejmy nadzieję, że jeszcze żyje.

– Dlaczego miałyby nie żyć? Nie mówi i nie rozpoznaje nikogo. Komu mogłoby zależeć na jej śmierci? Nie była świadoma, co się wokół niej dzieje.

– Może po prostu wzięli ją za kogoś innego – powiedziała Sid. – Pewnie bardzo przypominała tę węgierską dziewczynę, której szukali.

– To dlaczego podali nieprawdziwy adres?

Na to pytanie Sid nie potrafiła odpowiedzieć.

– Poproszę o radę panią Goodwin – stwierdziłam. – Pracuje dla nowojorskiej policji; może będzie wiedziała, co robić. Ja czuję się bezradna.

– Jemy dziś kolację z Elizabeth – oznajmiła Gus. – Powinnyśmy zapytać ją o zdanie. W pracy miała wiele trudnych przypadków.

– Więc ją zapytaj – odparłam zrezygowana.

Gus podeszła do mnie i położyła mi dłoń na ramieniu.

– Zrobiłaś, co mogłaś, Molly. A nawet więcej. Gdyby nie ty, dawno trafiłaby do przytułku dla obłąkanych.

– Być może byłoby jej tam lepiej – stwierdziłam, walcząc ze łzami. Nigdy nie użalałam się nad sobą bardziej niż wtedy, kiedy ktoś mnie pocieszał.

– Poza tym nie możesz czuć się za nią odpowiedzialna – dodała Sid. – Działałaś z potrzeby serca, co jest bardzo szlachetne, ale nie możesz się tak przejmować.

– Mimo wszystko czuję się paskudnie – oświadczyłam.

Doktor Birnbaum zakaszłał znacząco.

– Na mnie już pora, szanowne panie. Mam spotkać się na kolacji z kolegami. Podzielę się z nimi tą historią; znamy się wszyscy w środowisku, więc będziemy wiedzieć, jeśli któryś z alienistów zacznie leczyć niemą

kobietę.

Nic więcej nie mogliśmy wymyślić. Zabrałam kartkę z fałszywym adresem i ruszyłam prosto do pani Goodwin. Zapukałam do drzwi i cierpliwie czekałam. Wreszcie usłyszałam szuranie kapci na schodach.

– Molly? – Spojrzała na mnie nieprzytomnym wzrokiem.

– Najmocniej przepraszam, że cię budzę, Sabello. Ale tylko ty możesz mi pomóc.

– W moim zawodzie nie zna się dnia ani godziny – odparła. – Wejdz do środka.

Weszłam do ciepłej kuchni i wyrzuciłam z siebie całą historię. Słuchała, kiwając poważnie głową.

– Więc ta dziewczyna pewnie brała udział w napaści na posiadłość Silvertonów. Mogła jechać autem i ulec wypadkowi.

– Spotkało ją coś strasznego. Może uciekła, kiedy zastrzelono Annie.

– Przed kim? Oto jest pytanie – podsumowała pani Goodwin.

– Może przed tymi niby-Węgrami, którzy twierdzili, że są jej bliskimi? Ale dlaczego tak bardzo im na niej zależało?

– Chcieli ją uciszyć. Żeby nikogo nie mogła zidentyfikować – odparła rzeczowo Sabella.

– Czyli jest już za późno.

– Obawiam się, że tak.

– Ale gdzie w tym wszystkim John Jacob Halsted?

– Albo brał udział w spisku, albo jacyś inni gangsterzy dowiedzieli się, że ma łup, i zastawili pułapkę.

– Co w obydwu przypadkach oznacza, że...

– ...raczej nie żyje – dokończyła Sabella.

– Okropne. I nic nie możemy zrobić?

– Opisz mi dokładnie tych dwóch mężczyzn, którzy przyszli zabrać dziewczynę. Przekażę dalej i zobaczymy, czy któremuś z policjantów coś się skojarzy. Rozumiem, Molly, że kapitan Sullivan wie o sprawie. Zawsze był

ściśle związany z gangami.

Zauważyła, że sztywnieję.

– Nie powiedziałam, że z nimi pracował – sprostowała. – Wierzę w jego niewinność. Ale nie ma w policji innego funkcjonariusza, który by lepiej znał przestępczość zorganizowaną.

– Od razu powiem, że nie da się go przekonać do współpracy z policją – oświadczyłam. – Jest rozżalony i zły. Ale pomaga mi w sprawie Johna Jacoba Halsteda, z którą nasza Jessie wydaje się mocno powiązana. Dobrze, pójdę i porozmawiam z nim dziś wieczorem.

Wstałam i uśmiechnęłam się skruszona.

– Przykro mi, że zakłóciłam twój odpoczynek, Sabello. I bardzo doceniam wszystko, co robisz.

– Cieszę się, że mogę pomóc. Chociaż jeśli mamy do czynienia z grupą przestępczą, mała jest szansa, że dziewczyna wciąż żyje.

– Niestety – zgodziłam się. – Ale trzeba walczyć, dopóki jest cień nadziei.

Tej nocy nie zmrużyłam oka. Przewracałam się w łóżku, przytłoczona ogromnym poczuciem winy. Miałam szansę uratować Jessie, a zamiast tego oddałam ją w ręce ludzi, którzy ewidentnie coś przede mną zataili. Na dodatek Daniela nie ma, kiedy go potrzebuję! Swoją drogą, wspomniały z niego wspólnik – pomyślałam. Mamy tyle spraw na głowie, a on wyjeżdża sobie do rodziców. Wpadłam w bardzo zły nastrój, co na ogół skutkuje tym, że zaczynam obwiniać wszystkich wokół, również siebie.

Z pierwszym brzaskiem podniosłam się z łóżka i zaczęłam spacerować po mieszkaniu. Jak znaleźć tych ludzi w Nowym Jorku? Podali mi adres na Brooklynie – czy przynajmniej dzielnica się zgadza? Nawet jeśli tak, mała jest szansa, że spotkam dwóch mężczyzn, których opis pasuje do połowy imigrantów w tym mieście. Cóż, może trochę przesadzam – starszy mężczyzna był przecież dobrze ubrany, miał wypielęgnowane dłonie i nieźle skrojony płaszcz ze szlachetnej wełny. No i ta laseczka... Zwierzył się, że prowadzi własną firmę, choć nie powiedział konkretnie, czym się zajmuje.

Zrobiłam sobie tosty, ale nic nie mogłam przełknąć. W końcu postanowiłam sprawdzić, czy Sid i Gus już wstały. Okazało się, że podobnie jak ja wcześniej rozpoczęły dzień. Dom pachniał świeżo parzoną kawą, a Sid zdążyła przynieść bułeczki z francuskiej piekarni. Sąsiadki oczywiście zaprosiły mnie na śniadanie.

– Jesteśmy na nogach już od paru godzin – poinformowała Sid. – Gus poczuła wenę twórczą i od rana stoi przy sztalugach. Prawie ją zmusiłam, by w końcu usiadła do stołu. Gdyby nie ja, pewnie umarłaby z głodu.

Uśmiechnęłam się, bo Augusta zdecydowanie nie wyglądała na kogoś, kto zapomina o jedzeniu.

– Sid koloryzuje – odparła Gus, widząc mój uśmiech. – Od razu wiadomo, że pisze książki.

– Przepraszam, że wam przeszkadzam. Wyjątkowo źle spałam tej nocy.

– Nie dziwię się. Pewnie martwisz się o tę dziewczynę z Central Parku – zauważyła Gus. – Czy podałaś policji opis tych dwóch mężczyzn?

– Całą historię opowiedziałam ze szczegółami pani Goodwin. Wiem, że



chce mi pomóc, ale jak ich znajdzie wśród miliona imigrantów w tym mieście?

Żadna z nas nie potrafiła odpowiedzieć na takie pytanie.

– Zjedz świeżą bułkę i napij się trochę kawy – zaproponowała Sid, przysuwając talerz. – Poczujesz się lepiej.

Nie mogłam zmusić się do jedzenia. Na stole leżał „New York Times”, więc kiedy Sid i Gus zajęły się śniadaniem, ja zaczęłam przeglądać nagłówki. Nagle mój wzrok padł na krótką wzmiankę i prawie zaparło mi dech w piersi. *Nalot policjantów na siedzibę mafii sycylijskiej. Boss trafił do aresztu.* Poniżej znajdowało się zdjęcie starszego mężczyzny, który zabrał Jessie.

– To on! – krzyknęłam, a moje przyjaciółki omal nie wylały kawy. Postukałam palcem w papier. – Jestem pewna. To on zgłosił się po Jessie.

Sid zajrzała mi przez ramię i przeczytała: *Salvadore Alessi, znany w swoim środowisku jako Don. Przywódca brutalnego gangu, w którym za nielojalność groziła kulka w łeb. Podejrzewa się, że stoi za przestępstwami w Nowym Jorku i okolicach, w tym za ściąganiem haraczy od przedsiębiorców, napadami na banki i morderstwami na zlecenie.*

Spojrzała na mnie.

– To nie jest miły człowiek, Molly.

– I zabrał Jessie.

– Biorąc pod uwagę, kto zacz, obawiam się, że Jessie nie żyje – powiedziała łagodnie Sid, a Gus tylko ciężko westchnęła.

– Muszę się dowiedzieć – nie dałam za wygraną. – Mam nadzieję, że pani Goodwin poda mi właściwy adres.

– Molly, nie pójdziesz chyba rozmawiać z gangiem sycylijskim!

– Tu jest napisane, że ten cały Don trafił do aresztu – zauważyłam. – Przynajmniej mogę się dowiedzieć, czy policja znalazła w jego domu młodą kobietę.

– Przypuszczam, że gang dysponuje więcej niż jednym miejscem, gdzie można kogoś ukryć – zauważyła Sid. – Ale po co mieliby utrzymywać Jessie przy życiu?

– A dlaczego mieliby ją zabić?

– Na przykład dlatego, że coś wie – stwierdziła Gus. – Widziała coś tamtej nocy. Obawiają się, że mogłaby ich wydać, gdyby odzyskała pamięć.

– Pora na mnie – oświadczyłam, wstając.

– Molly, nie możesz na własną rękę szukać sycylijskich mafiosów. – Sid złapała mnie za ramię. – Na litość boską, bądź rozsądna! Idź i powiedz o wszystkim kapitanowi Sullivanowi, a potem pozwól mu działać.

– Daniela nie ma w Nowym Jorku – odparłam, świadoma, że łamię mi się głos. – Pojechał do rodziców i jeszcze nie wrócił, ale jestem pewna, że Sabella mi pomoże, jeśli ją spotkam. Prawdopodobnie wciąż jest w terenie, bo ostatnio pracuje na nocną zmianę. Dziękuję za śniadanie, ale przepraszam was bardzo, nie jestem głodna.

Wyrzuciwszy z siebie ten potok słów, wybiegłam; wróciłam do domu po płaszcz, a następnie pojechałam tramwajem prosto do komendy policji na Mulberry Street. Policjanci przy wejściu byli jak zwykle bardzo „pomocni”.

– Pani Goodwin? Kobieta policjant? – zapytał jeden z nich. – Była panienka w stróżówce przy Katakumbach? Pewnie tam siedzi.

Już chciałam im wygarnąć, co o nich myślę, ale właśnie zobaczyłam na schodach znajomą postać. Detektyw McIver, były podwładny Daniela. Nigdy mi się na nic nie przydał, ale to były dawne czasy. Może teraz będzie inaczej – pomyślałam. Zauważyłam, że mnie rozpoznał.

– Panna Murphy, prawda? Jakies wieści na temat kapitana Sullivana?

– Niestety – odparłam. – Obecny komendant postanowił ignorować jego sprawę, więc Daniel czeka, aż w styczniu nastąpią zmiany i ktoś nowy przejmie obowiązki.

– Przykra sprawa – stwierdził. – Proszę mu przekazać, że bardzo go nam brakuje.

– Dziękuję, detektywie. Na pewno przekażę.

– Co panią tu sprowadza? – zapytał.

– Szukam pani Goodwin. Czy przypadkiem nie wie pan, gdzie ją znajdę? Wiem, że pracuje w terenie, ale muszę z nią pilnie porozmawiać.

Detektyw McIver pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia. Pojawia się tutaj i znika. Dziś jej nie widziałem.

– To może pan mógłby mi pomóc – poprosiłam. – Wiem, że wczoraj wieczorem policja zrobiła nalot na włoski gang.

– No tak, gazety pisały o tym dziś rano. Czytała pani?

– Owszem, i niestety mam powody, by poznać szczegóły zdarzenia. Czy może mi pan powiedzieć, którzy oficerowie brali udział w tej akcji?

Popatrzył na mnie i uśmiechnął się pod wąsem.

– Nie wolno nam przekazywać nikomu takich informacji, panno Murphy. Sycylijscy są strasznie mściwi, a ja nie chcę, żeby któryś z moich ludzi źle skończył. Czemu to panią interesuje?

– Chyba porwali moją przyjaciółkę – odparłam. – To młoda dziewczyna. Muszę wiedzieć, czy była na miejscu, kiedy policja weszła do domu.

– Nie przypominam sobie, żeby tam była jakaś kobieta – powiedział McIver. – Nie żebym brał udział w zatrzymaniu Sycylijczyków, ale... Czy porwanie zostało do nas zgłoszone?

– Nie. Dopiero kiedy przeczytałam dziś rano gazety, zdałam sobie sprawę, kim są ci ludzie.

Opowiedziałam mu całą historię – o dziewczynie znalezionej w zaspie śnieżnej, szpitalu, Węgrach i teatrze w New Haven... Chyba mówiłam dość chaotycznie, ale McIver cierpliwie kiwał głową.

– Popytam, gdzie trzeba, jeśli zostawi mi pani dokładny opis tej kobiety.

– Dziękuję. To miło z pana strony, kapitanie. Wyjęłam swój notes i zapisałam wszystkie szczegóły, jakie mi przyszły do głowy.

– Zrobię co w mojej mocy – obiecał. – Ale proszę nie działać na własną rękę. Na pewno nie mamy wszystkich gangsterów i jeśli pójdzie pani do tamtej dzielnicy, będą czujni.

– Obiecuję, kapitanie – uspokoila go i na kolejnej kartce wyrwanej z notesu zapisałam swój adres. – Proszę dać mi znać, gdy pojawią się nowe fakty w tej sprawie. A jeśli pan zobaczy Sabellę Goodwin, niech jej pan powie, że Molly Murphy pilnie prosi o spotkanie.

Pożegnałam się, zadowolona z przebiegu rozmowy. McIver niechętny przekazał mi ważną wskazówkę. Powiedział „do tamtej dzielnicy”. To znaczy, że nie miał na myśli włoskich rewirów wokół komendy policji, nazywanych Małą Italią. Gdyby chodziło o Brooklyn lub inne miejsce poza miastem, nie użyłby słowa „dzielnica”. Kierując się tą wskazówką, powinnam sprawdzić, gdzie na górnym Manhattanie mieszkają Włosi.

Wyszłam z kwatery głównej policji i od razu znalazłam włoską kawiarnię, w której zasięgnęłam języka. Dowiedziałam się, że Włosi mieszkają nie tylko w Małej Italii, lecz także na East Side, między Dziewięćdziesiątą Piątą a Sto Dwudziestą Piątą Ulicą, w obszarze zwanym Yorkville.

Nie czekałam dłużej. Udałam się na najbliższą stację elki i pojechałam aż do Dziewięćdziesiątej Dziewiątej. Dziwna to była okolica, jakby cały czas w budowie. Rzędy kamienic przeplatały się z szalasami i budkami skleconymi z materiałów, które mieszkańcy znaleźli w okolicy. Gdzieniedzie na niezabudowanych działkach stały stragany. Po prawej stronie widać było rzekę i w dali drugi brzeg. Wówczas jeszcze nie wiedziałam, że to Ward's Island. Po lewej stronie rozciągał się otwarty teren i zdałam sobie sprawę, że – o zgrozo! – dzielnica włoska graniczy z północnym krańcem Central Parku.

Czy po wypadku Jessie trafiła właśnie tutaj i potem jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności znalazła się w parku? Czy wreszcie jestem na dobrym tropie? Maszerowałam na północ, aż wreszcie wokół siebie słyszałam już tylko język włoski. Uliczki odchodzące od Drugiej Alei tętniły życiem. Kobiety w otwartych oknach prowadziły rozmowy, jednocześnie rozwieszając lub zbierając pranie. Dzieci biegały dookoła, wołając wysokimi, melodyjnymi głosikami, które mieszały się z okrzykami ulicznych handlarzy zachwalających swój towar. Poczulałam się, jakbym była na Lower East Side.

Na rogu Drugiej Alei i Sto Piętnastej Ulicy stał na stołku mężczyzna i naprawiał zepsute okno.

– Przepraszam – zaczepiłam go. – Czy tutaj mieszkają Sycylijczycy?

– Sycylijczycy? – Splunął z obrzydzeniem na chodnik. – Nie chcemy ich tutaj. Fałszywe sukinsyny. Nie są prawdziwymi Włochami. Za psi grosz nawet własną matkę ukatrupią.

Poczekalam, aż da upust emocjom, i zapytałam spokojnie:

– To gdzie ich znajdę?

– Znajdzie ich panienska na Sto Dwudziestej, ale bardzo bym uważał i raczej trzymał się od nich z daleka.

Zignorowałam drugie ostrzeżenie tego dnia. Co złego może mi się przydarzyć w biały dzień, zwłaszcza w tłumie ludzi? – pomyślałam. W końcu dotarłam do Sto Dwudziestej, gdzie panował większy spokój. Dwie starszuszki ubrane od stóp do głów na czarno szły z koszami sprawunków, a grupka mężczyzn na progu domu omawiała coś ożywionymi głosami, intensywnie gestykulując. Myślałam, że właśnie zaczynają się kłócić, ale jeden z nich niespodziewanie się roześmiał. Zrozumiałam, iż mimo podniesionych głosów rozmawiają w przyjaznym tonie.

Bałam się jednak do nich podejść i zapytać o Jessie, bo przecież mogli mieć powiązania z gangiem. Starszych kobiet nawet nie wzięłam pod uwagę, uznawszy, że nie mówią po angielsku. Na szczęście moim oczom ukazała się godna zaufania postać – drugą stroną ulicy szedł ksiądz w sutannie, która prawie wlokła się po ziemi.

Podeszłam i zapytałam o Sycylińczyków.

– Sycylińczycy? Tak, głównie Sycylińczycy tu mieszkają – odparł. – Aż do sklepu spożywczego na rogu. Potem jest rewir tych z Mediolanu.

– Gazety piszą, że wczoraj wieczorem policja wtargnęła do jednego domu.

Zmarszczył brew.

– A co panience do tego? Niezdrowa ciekawość? W tej dzielnicy to ryzykowne zachowanie.

– Nie. Mam swoje powody. Wydaje się, że gang jakiś czas temu uprowadził moją przyjaciółkę. Chciałabym się dowiedzieć, czy tam mieszkała młoda kobieta.

Spoważniał.

– Mam dobre stosunki z Włochami, bo nie wtykam nosa w nie swoje sprawy – oznajmił. – Rzuca panienska poważne oskarżenie.

– Niczego nie zmyślam. To wszystko prawda. Przyszli do mojego domu i zabrali przyjaciółkę, twierdząc, że jest ich kuzynką. Bardzo się o nią martwię.

– To raczej trzeba pójść na policję i zapytać – zauważył.

– Czy może mi ksiądz przynajmniej powiedzieć, który to był dom?

– Numer dwadzieścia dziewięć, zdaje się. Na następnej ulicy – powiedział.  
– Nikogo tam teraz nie ma. Prawie wszystkich zabrano do aresztu. Ale i tak zaraz wyjdą. Sycylijscy są przebiegli i bardzo mściwi. Nikt, kto chce pozostać przy życiu, nie będzie przeciwko nim zeznawał.

Podziękowałam mu i skierowałam się na następną ulicę. W porównaniu ze zgiełkiem Drugiej Alei było tu bardzo cicho. Dom pod numerem dwudziestym dziewiątym niczym się nie wyróżniał – zbudowany z czerwonej cegły, wokół okien miał obramowania z białego tynku. Stałam, zastanawiając się co dalej. W głębi ulicy otworzyły się jakieś drzwi i pokazała się w nich kobieta. Trzepała ścierki. Podbiegłam do niej.

– Ten dom... – Wskazałam za siebie. – To tu weszła policja wczoraj wieczorem?

Skrzywiła się. Trudno było ocenić, czy dlatego, że mnie nie rozumie, czy raczej nie chce rozmawiać.

W środku rozległ się męski głos i po chwili w progu stanął człowiek w podkoszulku i szelkach.

– Czego chcesz? – zapytał.

– Pytam o ten dom, z którego policja zabrała wczoraj paru mężczyzn.

– *Stupido* – mruknął. – Głupi policjanci. Nic im nie zrobią. To Cosa Nostra. Zaraz wrócą do domu.

– Zobaczymy. A widział pan, jak to się odbyło? Czy w tym domu była młoda dziewczyna? Czy policjanci ją znaleźli?

Mężczyzna zadał swojej żonie pytanie po włosku. Natychmiast mu odpowiedziała, kładąc dłoń na czole w geście, który na całym świecie oznacza to samo – szaleństwo.

Spokojnie czekałam na wyjaśnienie.

– Mówi, że była młoda dziewczyna, ale pojechała do głupiego domu. Karetkę po nią przysłali.

– Głupi dom? Macie na myśli dom wariatów?

Poczułam przypływ nadziei. To znaczy, że Jessie żyje i jest teraz – o ironio!

– bezpieczna.

– Sì. Jeden, dwa dni wcześniej przyjechali.

– Dziękuję. – Wyciągnęłam rękę i uścisnęłam najpierw dłoń mężczyzny, potem jego żony.

Wiedziałam, gdzie jest jeden z domów dla obłąkanych. Na Ward's Island. Pozostało mi tylko się dowiedzieć, gdzie ta wyspa jest i jak na nią dotrzeć. Na Sto Dwudziestej Piątej zesłam na przystań, bo wiedziałam, że cumują tam promy.

– Ward's Island?

Marynarz, którego zapytałam, roześmiał się.

– Na drugim brzegu. Gdyby woda nie była taka zimna, można by przepłynąć wpław. A tak na poważnie... kursuje tam niewielki prom. Jak panienka pójdzie nieco dalej, będzie strzałka do przystani.

Skorzystałam z jego rady i wkrótce płynęłam promem, który okazał się dużą łódką. Starszy przewoźnik uśmiechnął się do mnie, gdy wychodziłam na brzeg.

– Tylko niech się panienka nie da zamknąć w tym strasznym miejscu – oznajmił. – Kiedy wieje wiatr, słychać płacz i jęki nawet na Manhattanie.

Staralam się nie myśleć o tym, co powiedział, i pomaszero wałam do wejścia.

Budynek był ponury, w każdym oknie widziałam kraty. Przywitała mnie pielęgniarka w wykrochmalonym fartuchu.

– Nie potrafisz czytać, kochana? – Postukała wymownie w ścianę. – Odwiedziny tylko w pierwszą sobotę miesiąca i dotyczy to jedynie wybranej grupy pacjentów.

– Chciałabym zabrać stąd młodą kobietę, która została przyjęta przez pomyłkę – oznajmiłam. – Jest tu od trzech lub czterech dni.

– Przez pomyłkę, mówisz, panienko?

– Tak. Była pod moją opieką, a leczył ją wybitny specjalista w dziedzinie chorób umysłu. Nigdy nie powinna się była tu znaleźć. Przyjechałam, żeby zabrać ją do domu.

– Rozumiem. – Przyjrzała mi się chłodno. – Imię?

– Nie jestem pewna, jakie imię zapisano na izbie przyjęć. Pewnie Anya jakaśtam.

– To znaczy, że panienka nawet nie zna jej imienia?

– Wiem, jak naprawdę się nazywa. Jessie Edwards. Ale obawiam się, że została przyjęta pod fałszywym nazwiskiem lub bez nazwiska. Czy może pani zerknąć do rejestru i sprawdzić dane młodych kobiet przyjętych w ostatnich dniach?

– Nie mogę. Nasz rejestr jest poufny.

– Nawet jeśli popełniono błąd?

Spojrzała w stronę książki na biurku.

– Pamiętam dziewczynę, która niedawno została przyjęta i która pasuje do opisu, ale przywiozła ją tu rodzina. Rozumiem, że panienka nie jest członkiem rodziny?

Strasznie mnie kusilo, by zaprzeczyć i powiedzieć, że jestem kuzynką, ale doszłam do wniosku, że to jednak tylko dodatkowo skomplikuje całą sprawę.

– Nie, nie jestem, i oni też nie byli z rodziny. Porwali ją.

Uniosła brwi.

– Czy ma pani dowody?

– Niestety, nie.

– To skąd zainteresowanie tą sprawą?

– Jestem przyjaciółką tej młodej kobiety. Opiekowałam się nią, zanim została porwana.

Widziałam, że usilnie stara się zrozumieć, co mówię.

– Jak nazywają się ludzie, którzy ją tu przyprowadzili wbrew jej woli?

– Nie wiem, jak się nazywają – odparłam. – To członkowie sycylijskiej mafii, ale mogli się podawać za Węgrów.

– Naprawdę? – Pokręciła z niedowierzaniem głową. – I sądzisz, że nasz personel przyjąłby do szpitala zdrową osobę przywiezioną wbrew własnej woli? To nie średniowiecze, moja droga.



- Jest niespełna rozumu – powiedziałam. – Straciła pamięć i mowę.
- Co oznacza, że to jest dla niej odpowiednie miejsce.
- Owszem, wymaga leczenia, ale zajmowałam się nią troskliwie. Była pod opieką lekarza, który jest moim przyjacielem.

Popatrzyła na mnie przeciągle, a potem pociągnęła nosem i oświadczyła:

– Młoda damo, marnujesz mój czas. Jeśli naprawdę uważasz, że nastąpiła pomyłka, przyjdź tu w asyście policji i z dowodami na piśmie. Osobiście uważam, że wszystko, co mi opowiadasz, to stek bzdur.

– To nie tak. Naprawdę ją porwali.

– Ktoś, ale nie wiadomo kto, przyjechał tu z krewnymi, którzy nie są krewnymi i których imion nie znasz, a dziewczyna jest w stanie katatonii. Sądzę, że nie znajdziesz nikogo, kto potraktuje cię poważnie, panienko. Zupełnie nie wiem, o co chodzi, ale bądź uprzejma natychmiast stąd wyjść.

– Proszę mi pozwolić porozmawiać z jakimś lekarzem – błagałam.

– Dopóki nie udowodnisz, że ludzie, którzy ją tu przywieźli, w rzeczywistości nie są jej rodziną, z nikim nie zamierzam cię kontaktować. Do tego czasu nie masz prawa wstępu do szpitala. Żegnam.

– Gdybym mogła ją chociaż zobaczyć – poprosiłam. – Wiem, że na mnie czeka. Ucieszy się, że próbuję coś zdziałać w jej sprawie.

– Do widzenia. – Kobieta odwróciła się do mnie plecami.

– Bardzo panią proszę – powiedziałam ze złością. – Nie odejdę, dopóki nie porozmawiam z kimś, kto przynajmniej mnie wysłucha.

Pielęgniarka dotknęła niewielkiego dzwonka, który stał na biurku, i po chwili w holu pojawiło się dwóch rosyłych mężczyzn.

– Proszę wyprowadzić tę młodą kobietę – oznajmiła. – Strasznie się awanturuje.

Zostawiłam Ward's Island i w paskudnym nastroju wróciłam na Manhattan. Świadomość, że Jessie jest w tym okropnym miejscu, a ja nie mogę nic zrobić, doprowadzała mnie do szału. Co począć? Gdyby Daniel był przy mnie, może wiedziałby, jakie działania należy podjąć – pomyślałam. Równie dobrze mógłby jednak powiedzieć, że to nie moja sprawa. Dziewczyna i tak miała trafić ze szpitala na Ward's Island. Kto wie, może rzeczywiście jest to odpowiednie miejsce, mimo fatalnej reputacji. Chyba jakieś leczenie muszą tam zapewniać.

Wtedy przyszedł mi do głowy doktor Birnbaum. Był ekspertem w swojej dziedzinie. Mógł prawdopodobnie uzyskać dostęp do rejestrów, sprawdzić, jak się czuje Jessie i czy jest pod dobrą opieką. Uspokoiwszy się nieco, pospieszyłam na stację elki i wsiadłam do pociągu. Wlókł się niemiłosiernie i dopiero po dłuższym czasie dotarł na Ósmą Ulicę. Pobiełam do hotelu Lafayette. Nie spodziewałam się, że w środku dnia zastanę doktora w apartamencie, ale postanowiłam zostawić wiadomość w recepcji, mając nadzieję, że pod wieczór się ze mną skontaktuje i wspólnie przygotujemy dalszy plan działania.

- Doktor Birnbaum? – zapytał recepcjonista. – Obawiam się, że go nie ma.
- Zdaję sobie z tego sprawę – powiedziałam, starając się zachować spokój.
- Chcę tylko zostawić dla niego liścik. Proszę mu go przekazać, jak wróci. To sprawa niecierpiąca zwłoki.
- Przykro mi, ale chyba nie ma sensu zostawiać takiej wiadomości – usłyszałam w odpowiedzi. – Dziś rano doktor niespodziewanie wyjechał z miasta.
- Na długo?
- Nie potrafię powiedzieć, ale zabrał ze sobą sporo bagaży.
- A dokąd pojechał?
- Nie jest moim zadaniem pytać gości, dokąd wyjeżdżają, panienko – oznajmił wyniośle recepcjonista. – Przypuszczam, że udał się do Europy. Poprosił, żebyśmy zatrzymali pokój, więc spodziewam się, że do nas wróci. Oczywiście przekazemy mu pani liścik, jak tylko znów się pojawi.

Wzięłam kartkę z hotelowej papeterii, ale nie potrafiłam napisać nic sensownego. Jak mogę czekać na Birnbauma, wiedząc, że Jessie jest uwięziona w tym strasznym miejscu? Nie powinnam na niego liczyć – zdecydowałam. Pani Goodwin pewnie jest teraz w domu, w łóżku, a ja znów ją obudzę. Trudno! Pospieszyłam na Tompkins Square, mocno zapukałam do drzwi i po chwili usłyszałam znajome szuranie. Było jasne, że spała głęboko.

– Och, Molly, to ty! – Westchnęła. – Jaki dramat dziś mamy?

– Straszny. – Wyjaśniłam, co się stało. – Musimy coś zrobić – zakończyłam swoją historię. – Nie chcieli mnie wpuścić. Powiedzieli, że mam przyjść w asyście policjantów i wtedy ewentualnie mnie wysłuchają.

– Rozumiem. – Pokiwała głową. – Zobaczę, co da się zrobić. Kapitan Paxton brał udział w akcji zatrzymania Sycylińczyków, więc to do niego trzeba się zwrócić.

Poczułam przyływ nadziei. Sprawą Jessie zajmą się teraz ludzie u władzy. Ta zarozumiała pielęgniarka będzie musiała przyznać mi rację i wypuścić moją Jessie do domu. To oczywiście oznacza, że ciężar opieki znów spadnie na moje barki, ale nie zamierzałam martwić się na zapas, wyznając filozofię Wilkinsa Micawbera<sup>[3]</sup>, że przecież „jakoś to będzie”. Wracałam do domu różnym krokiem, zastanawiając się, jak urządzić sypialnię Jessie, by była bardziej kolorowa. A może powinnam jej oddać swój pokój – rozmyślałam.

Czekałam niecierpliwie cały dzień. W domu nie było nic do jedzenia, ale nie odważyłam się wyjść na zakupy, bo bałam się minąć z panią Goodwin. Nadszedł wieczór, a jej ciągle nie było. Nie było też Daniela. Chodziłam po domu niczym zwierzę w klatce, czekając, aż wreszcie ktoś zapuka do drzwi. O ósmej zdałam sobie sprawę, że nikt nie przyjdzie.

Starałam się uspokoić i tłumaczyłam sobie, że niepotrzebnie się martwię. Najwyraźniej kapitan Paxton miał więcej na głowie niż los jednej dziewczyny. Jak mogę oczekiwać, że rzuci wszystko i tylko z mojego powodu zajmie się sprawą sycylijskich gangsterów? Tej nocy śniła mi się Ward's Island, ale to nie Jessie była tam zamknięta, tylko ja. W koszmarnych zwidach tańczyły wokół mnie na wpół ludzkie stworzenia. Śmiały się i popychając mnie kijem, krzyczały: „Jest zdrowa!”, „Póki co!”, „Nie wydostaniesz się stąd, złociutka!”.

Obudziłam się, a potem długo leżałam w ciemności. Serce biło mi jak

oszalała. Dzisiaj coś wreszcie muszę działać – postanowiłam. Nie można dłużej czekać!

Gdy tylko zrobiło się jasno, wyruszyłam na posterunek policji. Idąc Mulberry Street, zobaczyłam przed sobą panią Goodwin. Rozmawiała z jakimś policjantem. Zanim zdążyłam się zreflektować, że nie powinnam przeszkadzać, kiedy jest na służbie, zawołałam ją po imieniu i podbiegłam.

– Molly, moja droga, nie mogę teraz rozmawiać. – Odwróciła się do mnie zaskoczona. – Idziemy spotkać się z pewną prostytutką. Musi złożyć zeznania. Kończę służbę o dziesiątej i od razu do ciebie przyjdę.

Moja cierpliwość znów została wystawiona na próbę. Wróciłam do domu i czekałam. Za wszelką cenę starałam się nie popaść w histerię. W końcu rozległo się pukanie do drzwi. Zaprosiłam Sabelłę do środka.

– Herbaty? – zapytałam. – Proszę, wejdz i usiądź.

– Nie, dziękuję – oznajmiła. – Przykro mi, ale nie mam dobrych wiadomości, moja droga. Opowiedziałam Paxtonowi twoją historię, on jednak stwierdził, że nie zamierza interweniować.

– Co?! – krzyknęłam. – Wie, że ci gangsterzy wsadzili bezbronną dziewczynę do domu wariatów, i nic nie chce w tej sprawie zrobić?

Położyła mi rękę na ramieniu.

– Molly, zapewniam cię, że się nad tym dobrze zastanowił.

– Akurat!

– I uznał, że miejsce dziewczyny jest na Ward's Island. Owszem, trafiła tam dziwnym zbiegiem okoliczności, ale przecież jest obłąkana, prawda?

– Mówiłaś mu, że będę się nią opiekować? – spytałam.

– Molly, z jakiej racji? Nie jesteście rodziną. Na razie musisz poczekać i zobaczyć, jak się sprawy potoczą. Jestem pewna, że ją wypuszczą, jeśli wróci do zdrowia.

– Nie, nie wypuszczą – odparłam ze łzami w oczach.

– Nie wiem, dlaczego tak emocjonalnie do tego podchodzisz – zauważyła.  
– Jesteś detektywem. Pamiętaj, że na świecie nie ma sprawiedliwości. Powinnaś nabrać dystansu do swojej pracy. Inaczej oszalejesz.

– Ale ona nie ma nic wspólnego z moją pracą. Znalazłam ją w parku – odparłam. – Wierzę, że tak miało być. Muszę ją uratować. Obiecałam to jej i sobie.

Sabella wyszła, a ja usiadłam przy kuchennym stole, patrząc na szary, grudniowy krajobraz za oknem. Pasował do mojego nastroju – nad ziemią unosiła się mgła, z nagich gałęzi spływały resztki śniegu. Jak Daniel mógł mnie opuścić, kiedy tak go potrzebowałam? Gdyby to on odpowiadał za sprawę, a nie głupi kapitan Paxton, wszystko byłoby dobrze. A już na pewno byłby w stanie mnie pocieszyć i uspokoić. Zdałam sobie sprawę, że czasami za bardzo staram się być silna i niezależna. Może ostatnio zbyt często go odtrącałam, więc uznał, że go nie potrzebuję. Zawsze mogę pojechać do Westchester, znaleźć Daniela i poprosić, by wrócił ze mną do Nowego Jorku – pomyślałam. Ale oczywiście duma nigdy by mi na to nie pozwoliła.

Powtarzałam sobie, że Jessie ma się dobrze. Mamy przecież XX wiek; nauka i medycyna poszły do przodu. Lekarze wiedzą, jak postępować z obłąkanymi. Na pewno doktor Birnbaum nie jest jedynym, który wyspecjalizował się w leczeniu umysłu. Trzeba wierzyć, że Jessie jest we właściwym miejscu. Może wyzdrowieje...

Wówczas zdecydowałam, że napiszę list do dyrektora szpitala i poproszę, by mnie powiadomił, jak tylko zauważy jakiś postęp w leczeniu pacjentki. Obiecuję również, że chętnie ją wtedy zabiorę i roztoczę nad nią opiekę. Chyba dyrektor jest rozsądnym człowiekiem i wie, że w ten sposób pozbędzie się problemu – rozmyślałam.

Pisałam list, ważąc każde słowo. W końcu byłam zadowolona z efektu. Jakimś cudem udało mi się nie zrobić na kartce żadnego kleksa. Zakleiłam kopertę i udałam się na pocztę. Wrzuciłam list do skrzynki, ale wątpliwości i obawy wcale nie ustąpiły. Martwił mnie sen, który miałam w nocy, i zaczęłam się zastanawiać, co mógł oznaczać. Czyżby miał mnie ostrzec przed tym, że Ward's Island to w istocie straszne miejsce? Przypomniałam sobie, że Nellie Bly zyskała rozgłos, bo dała się tam zamknąć, a potem ujawniła przerażające szczegóły swojego pobytu.

Zatrzymałam się w połowie drogi do domu. Powinnam natychmiast pójść właśnie do Elizabeth i podpytać ją o Ward's Island! Zawróciłam i udałam się do hotelu przy Piątej Alei. Stragany z gorącymi kasztanami i kolędnicy przypomnieli mi o nadchodzących świętach. Niestety, nie dla wszystkich był

to dobry czas.

Elizabeth chyba dopiero co wstała, bo powitała mnie w szlafroku. Jadła śniadanie w swoim apartamencie. Odniosłam wrażenie, że ucieszyła się na mój widok.

– Molly! Masz jakieś wieści o niemej dziewczynie?

– Mam, ale to nie są dobre wieści. Zamknęli ją w szpitalu dla obłąkanych na Ward's Island.

– Jezu Chryste! Fatalnie! Czy nie możesz czegoś zrobić?

– Robię, co się da – odparłam. – Właśnie napisałam do dyrektora szpitala. Wszyscy mi mówią, że powinna tam się znaleźć ze względu na swoją chorobę. Więc przychodzę do ciebie zapytać, czy to rzeczywiście takie okropne miejsce. Jak myślisz, jest szansa, że ją tam wyleczą?

Zmieniła się na twarzy. Już wiedziałam, co powie.

– Molly, to przedsionek piekła. Napisałam kiedyś artykuł na ten temat. Odbił się wprawdzie szerokim echem, ale niewiele to zmieniło. Widzisz, nie da się nic zrobić. Lekarze po prostu nie wiedzą, jak leczyć umysłowo chorych, więc się nimi nie zajmują.

– Chcę prosić cię o pomoc – powiedziałam. – Udało ci się dostać do zakładu dla obłąkanych. Chciałabym teraz zrobić to samo.

Pokręciła energicznie głową.

– Nie wiesz, co mówisz.

– Wiem. Zdaję sobie sprawę, że nie będzie mi łatwo, ale to jedyny sposób. Jestem pewna, że ją odnajdę i przekonam jakiegoś lekarza lub pielęgniarkę, że dostała się tam przez pomyłkę.

– Możesz nie trafić na dobrego lekarza czy pielęgniarkę. Tam pracują potwory, nie ludzie. Zadają cierpienia bezbronnym istotom.

– Przynajmniej pozwól mi spróbować – odparłam. – Nie mam nic do stracenia. Proszę, żebyś mnie tam zaprowadziła. Powiesz, że jesteś moją siostrą i nie możesz już ze mną wytrzymać, bo zwariowałam. Kilka dni później obwieścisz światu, co zrobiłyśmy. Lekarze cię posłuchają. A ja wyjdę i zabiorę ze sobą Jessie.

- Jessie?
- To jej prawdziwe imię. Jessie Edwards. Była tancerką w Connecticut.
- Niesamowite. Czyli nie jest jednak cudzoziemką?
- Nie. Doktor Birnbaum miał rację. Przestała mówić z powodu doznanego wstrząsu.

Elizabeth cały czas kręciła głową.

– A co potem? Wydostaniesz ją stamtąd i co? Niełatwo jest opiekować się obłąkaną.

– Chcę i mogę jej pomóc, Elizabeth. Doktor Birnbaum jest moim przyjacielem. Obiecał zastosować odpowiednią terapię. Znam też pewną kobietę, która pomoże mi w codziennej opiece. Biedna dziewczyna już się dość nacierpiała. Trzeba ją ratować.

– No to dlaczego nie poprosiłaś tego doktora o pomoc?

– Niestety, wyjechał. Nie wiem dokąd ani na jak długo. Parę dni i wpędzą ją tam na dobre w szaleństwo. Nie rozumiesz?

– Rozumiem – odparła cicho.

– Pomożesz mi? Wezwiesz karetkę, żeby mnie zabrała? Możesz im powiedzieć, że mam halucynacje i jestem agresywna. Wiem! Powiedz im, że tak jak Jessie straciłam pamięć i przestałam mówić.

– Halucynacje i agresja wystarczą – stwierdziła Elizabeth. – Gdybyś po prostu straciła pamięć, każda kochająca rodzina czekałaby, aż ci się polepszy. Powiemy raczej, że opieka nad tobą jest ponad moje siły, a oprócz tego stanowisz zagrożenie dla siebie samej i domowników.

– Ale nie mogę być zbyt dużym zagrożeniem, bo inaczej zamkną mnie w izolatce.

– No dobrze – powiedziała po dłuższej chwili. – Jeśli naprawdę tego chcesz, jedźmy do ciebie. Wzywanie karetki do hotelu może wyglądać podejrzanie. Zapakuj byle jakie ubrania, bo jeśli weźmiesz ze sobą coś ładnego, i tak ci to ukradną.

Pojechałyśmy dorożką na Patchin Place. Poszłam na górę i wrzuciłam do torby starą koszulę nocną i bieliznę. Oprócz tego, co miałam na sobie, nie

wzięłam nic więcej do ubrania. Nie chciałam ryzykować, bo przecież moja garderoba była wciąż bardzo skromna. Spakowałam szczotkę do włosów i proszek do czyszczenia zębów, chociaż trudno było przewidzieć, czy korzystanie z takich luksusów jest na Ward's Island możliwe. Potargałam włosy, by wyglądały jak u dzikuski.

Elizabeth poszła na pocztę zadzwonić do szpitala, a ja w spokoju powtórzyłam swoją rolę. Zdecydowałyśmy, że mam urojenia. Uważam, że jestem księżniczką z jakiegoś dalekiego kraju, a moja siostra Elizabeth więzi mnie w domu, skąd ciągle próbuję uciec. W ten sposób nie zostanę zakwalifikowana jako niebezpieczna dla innych pacjentów, ale każdy uzna, że jestem zbyt dużym obciążeniem dla swojej biednej siostry, która sama jest słabego zdrowia (nie ustaliłyśmy, o co konkretnie chodzi, ale postanowiłyśmy wspomnieć, że Elizabeth jest chora).

Wróciła bardzo przejęta.

– Przyjadą po ciebie dziś wieczorem – oznajmiła. – Będę musiała podpisać dokumenty, że oddaję cię jako swoją siostrę pod opiekę państwa.

– Rozumiem. – Z trudem przełknęłam ślinę. Uświadomiłam sobie, że plan stał się realny i nieunikniony. – Damy sobie dwa dni, dobrze? – poprosiłam. – W tym czasie powinnam zlokalizować Jessie i upewnić się, że dobrze się czuje. Kto wie, może będę miała okazję porozmawiać z kimś rozsądnym.

– Kto wie – odparła Elizabeth.

Pomyślałam, że powinnam pożegnać się z Sid i Gus, ale uznałam, że pewnie będą chciały mnie powstrzymać. Wcale nie byłam przekonana, że dobrze robię. Głos rozsądku podpowiadał, żeby poczekać na powrót doktora Birnbauma. Nie mogłam się jednak pozbyć tego straszego przeczucia, że zostało mało czasu i że muszę się pospieszyć. Przecież możliwe, że wrócił do Europy i postanowił tam zostać na dłużej. Nie byłam pewna, dlaczego ci bezwzględni mężczyźni oddali Jessie do szpitala. Być może wiedzieli o zamierzonej akcji policji i postanowili bezpiecznie ukryć dziewczynę. A może w ten sposób zaplanowali jej śmierć – przekupili strażnika, bo uznali, że nikt się niczego nie domyśli, jeśli Jessie umrze na Ward's Island.

Tak czy siak mleko się rozlało i czekałyśmy na ambulans. Już nie było odwrotu. Na szczęście towarzyszyła mi Nellie Bly, która nieraz w swoim życiu znajdowała się w dużym niebezpieczeństwie. Przetrwała. Zadbaj o to, by



nic mi się nie stało!

O czwartej usłyszałyśmy głośne pukanie do drzwi wejściowych. Właśnie kończyłam podwieczorek – kromkę chleba z dżemem i filiżankę herbaty. Podskoczyłam, a serce waliło mi tak głośno jak te uderzenia w drzwi. Zaczęło się – pomyślałam.

Słyszałam, jak Elizabeth mówi:

– Jest tutaj. Zachowuje się spokojnie, więc myślę, że pójdzie z wami. Tylko bądźcie dla niej mili.

Do kuchni weszło dwóch mężczyzn. Jednym z nich był sanitariusz, któremu zabrałam Jessie, ale nie pokazałam po sobie, że go rozpoznaję. Kiedy podawali Elizabeth dokumenty do podpisu, w skupieniu jadłam chleb z dżemem.

– Molly, kochanie – powiedziała Elizabeth, oddając im papiery – ci mili panowie przyjechali, żeby zabrać cię na małą wycieczkę.

– Nie jestem Molly. Wciąż ci to powtarzam – odparłam. – Jestem księżniczką Alexandrą – dodałam i zwróciłam się do mężczyzn: – Porwano mnie z mojego zamku w Anglii. Odwieziecie mnie tam z powrotem? Chcę do domu!

– Oczywiście – odparł jeden z mężczyzn i szturchnął łokciem kolegę.

– Jak do mnie mówisz, zwracaj się odpowiednio! Jestem księżniczką – oznajmiłam.

Popatrzyli po sobie rozbawieni.

– Tak jest, wasza wysokość. – Sanitariusz się skrzywił. – Ruszajmy. Musimy dotrzeć do łodzi, która zabierze cię do pałacu.

– Proszę uważać, żeby wam nie uciekła – szepnęła im Elizabeth. – Zanim się obejrzyjecie, będzie na lądzie.

– W takim razie lepiej załóżmy jej kaftan, co nie, Fred?

– Ach, nie sędzę, by to było konieczne – powiedziała szybko Elizabeth. – Przecież będziecie jej pilnować.

– Strzeżonego pan Bóg strzeże – zauważył mężczyzna. – Fred kilka tygodni temu stracił pacjenta. Straszna była awantura. – Wyjął biały

płócienny kaftan i ruszył w moją stronę.

Krzyknęłam i odskoczyłam w tył.

– Oto twój książęcy strój, wasza wysokość. – Owinął mnie kaftanem, wiążąc tasiemki na plecach.

Z przerażeniem stwierdziłam, że w kaftanie nie ma rękawów. Konwojent zacisnął węzeł i nagle nie mogłam już ruszać rękami. Posłałam Elizabeth wystraszone spojrzenie.

– Wszystko będzie dobrze, Molly, kochanie. Ci panowie się tobą zaopiekują – zapewniła, ale widziałam, że bardzo się denerwuje. – Pozwól, że dam ci na pożegnanie buziaka. – Całując mnie w policzek, wyszeptała: – To tylko dwa dni. Będę nad wszystkim czuwać.

Mężczyźni wzięli mnie między siebie i położyli mi na ramionach wielkie dłonie, a potem wyprowadzili na zewnątrz. Kiedy doszliśmy do ambulansu, dosłownie wepchnęli mnie do środka. Drzwi zamknęły się z hukiem, a ja usiadłam na twardej ławce. Prawie z niej spadłam, kiedy samochód ruszył z impetem. Wcisnęłam się w kąt i próbowałam pozostać w pozycji pionowej, co niestety mi się nie udało. Kiedy opadłam na kolana, uznałam, że lepiej zostać na podłodze, niż znów ryzykować.

Po chwili, która wydawała się wiecznością, wóz zatrzymał się i usłyszałam, że ktoś otwiera drzwi.

– Wsiadaj!

Sanitariusz już nie był łagodny ani uprzejmy. Chwycił mnie za ramię i wyciągnął z ambulansu. Uderzyłam kolanami o ziemię. Złapał mnie za włosy i kazał wstać.

– To boli – zaprotestowałam.

– Lepiej się przyzwyczajaj. No dalej. Maszerujemy do łodzi.

Nie była to zwyczajna mała łódka na wiosła, ale większa, z komórką na środku.

Wnieśli mnie na pokład i zamknęli w tej paskudnej kabinie. Znalazłam się w całkowitej ciemności, ale po chwili poczułam, że odbijamy od brzegu i zaczynamy płynąć na wyspę. Kiedy łódź cumowała przy pomoście, znów się przewróciłam. W drzwiach stanęli inni mężczyźni w uniformach

przypominających te, które noszą strażnicy więzienni.

– Ruszaj się – powiedział jeden.

Złapali mnie i pociągnęli do wejścia. Wielkie wrota rozwarły się przed nami na oścież. Weszliśmy do środka, a brama zatrzęsnęła się z hukiem. Zostałam uwięziona w zakładzie dla obłąkanych. Klamka zapadła.

Popchnęli mnie w stronę długiego korytarza i kluczem otworzyli kolejne drzwi. Nawet nie miałam czasu pomyśleć. Znalazłam się w małym wilgotnym pomieszczeniu z okratowanym oknem. Przycupnęłam na ławce. Była tak wąska, że nie dało się na niej porządnie usiąść. Czas mijał, a na zewnątrz powoli zapadał zmrok. Zaczęłam się martwić, że zostanę sama w tej celi i nie będę miała okazji porozmawiać z Jessie.

Wreszcie usłyszałam kroki na korytarzu i do środka weszła kobieta w fartuchu, której towarzyszył strażnik.

– Nazywa się Murphy. – Pielęgniarka podniosła wzrok znad teczki z dokumentami. – Jej siostra już nie daje rady. Dziewczyna ma urojenia i ciągle próbuje uciec.

Postanowiłam znów wejść w swoją rolę.

– Gdzie ja jestem? Dlaczego nie w pałacu? – zapytałam wyniosłym tonem.  
– Strażniku, masz mnie natychmiast zawieźć do domu.

Mężczyzna spojrział na pielęgniarkę i zachichotał.

– Oczywiście, wasza wysokość. Zaraz pojedziemy. Już tam na ciebie czeka kilku Napoleonów i królowa Wiktoria, jeśli się nie mylę.

Pielęgniarka nawet się nie uśmiechnęła.

– Czy ma ze sobą jakieś rzeczy? – zwróciła się do strażnika.

– Tak, torbę.

– Proszę mi ją oddać – zażądałam. – Jest tam korona, którą chcę założyć. Macie natychmiast zdjąć ze mnie ten idiotyczny kaftan! Jest bardzo niewygodny.

– Musisz w nim zostać, dopóki nie zbada cię lekarz – stwierdziła pielęgniarka. – Czy doktor Arnold jest jeszcze na miejscu?

– Nie, poszedł do domu.

– Więc zabierz dziewczynę do czwórki.

– W takim razie trzeba jej zdjąć kaftan – zauważył strażnik. – Będzie potrzebowała rąk, by się bronić.

- W czwórce nie ma agresywnych pacjentek – sprzeciwiła się pielęgniarka.
- Musi mieć wolne ręce – powtórzył stanowczo.
- W porządku – zgodziła się. – To będzie twoja wina, jeśli nocą wyłupie komuś oczy.

Odwrócił mnie i rozwiązał sznurki na plecach. Odetchnęłam z ulgą, mogąc swobodnie poruszać rękami.

- Chodźmy – popchnął mnie do wyjścia.

Ruszyliśmy korytarzem. Po obu stronach ciągnęły się drzwi z zakratowanymi okienkami. Jakaś dziwna istota, warcząc, rzuciła się na pręty, kiedy przechodziłam obok. Moją uwagę przykuły przerażające, nabiegłe krwią oczy i matowe włosy. Strażnik popchnął mnie do przodu.

Serce biło mi jak szalone. Skąd mi w ogóle przyszedł do głowy ten pomysł? Nawet nie ma pewności, że Jessie tu jest. Może się okazać, że wszystko na nic. Cały mój trud i poświęcenie... Ale przecież Nellie Bly dała radę. Przeżyła pobyt w zakładzie dla umysłowo chorych, a ja też jestem twarda. Podniosłam głowę wysoko, jak na księżniczkę przystało, i dumnie kroczyłam korytarzem.

W końcu strażnik otworzył drzwi po prawej stronie. Pierwszą rzeczą, która mnie uderzyła, był smród. W pomieszczeniu cuchnęło odchodami. Czy to możliwe, że nie było tu oddzielnej latryny?

- Nowa lokatorka – warknął. – Kolejna królowa.

Wepchnął mnie do środka i wyszedł, przekręcając klucz w zamku. W pokoju było ciemno, bo nie oświetlała go nawet jedna lampa, a na zewnątrz już całkowicie zapadł zmrok. Rozpoznawałam tylko kształty. Część pacjentek leżała na podłodze, inne siedziały skulone w kątach. Usłyszałam jęki, a potem śmiech. Nie byłam w stanie się ruszyć. Podeszło do mnie stworzenie w szarej koszulinie, z włosami jeszcze bardziej potarganymi niż moje, i położyło mi rękę na twarzy.

– Córcia kochana? – zapytało łamiącym się głosem. – Wreszcie do mnie wróciłaś?

- Zostaw ją w spokoju, Minnie.

Wysiliłam wzrok i zobaczyłam postać bardzo odróżniającą się od

pozostałych: zwałistą kobietę z podwójnym podbródkiem.

– Następna księżniczka, tak? Cóż, postawmy sprawę jasno, wasza wysokość. Robisz, co powiem. Zawsze i wszędzie. Nie posłuchasz, pożałujesz. Zapewniam cię. Jak coś powiem, odpowiadasz: „Tak, proszę pani”.

Spojrzałam na nią z udawanym zaciekawieniem.

– Zostałam uprowadzona? – zapytałam. – Wzięliście mnie do niewoli?

Olbrzymka zaśmiała się, trzęsąc ogromnym biustem i podbródkami.

– O tak, moja droga. Oczywiście to вина wroga. Teraz usiądź i grzecznie się zachowuj. Nie rozmawiaj z koleżankami, chyba że cię pierwsze zaczepią. Nigdy nie wiadomo, kto jest w jakim humorze, a niektóre mają mocne pięści. Jeśli los się do ciebie uśmiechnie, zaraz dostaniesz kolację. Tylko jedz szybko, dobrze ci radzę.

– Czy może mi pani powiedzieć, gdzie jest moje łóżko – poprosiłam. – I moje bagaże? Nocna koszula?

Najwyraźniej znowu ją rozbawiłam.

– Słodka jesteś. Będę miała z ciebie pociechę. Ubrania dostaniesz rano podczas porannej inspekcji.

– Ale przynajmniej muszę mieć grzebień, żeby się uczesać – powiedziałam. – I służącą, która umyje moje loki.

– Nie wydaje mi się, żebyś się codziennie czesała. – Szarpnęła mnie za włosy. – Szczotki to one dawno nie widziały. Ale jutro rano coś z tym zrobimy, nie martw się.

Wzdłuż ściany biegła kamienna ława, na której usiadłam. Oczy przyzwyczyły się już do mroku. Zorientowałam się, że w izbie jest około dwudziestu kobiet w różnym wieku i o różnych posturach. Niektóre mówiły coś do siebie, jedna kołysała się w przód i w tył, jeszcze inna ssała kciuk. Biedne, żałosne stworzenia – pomyślałam. Po chwili zdałam sobie sprawę, że dzielę z nimi los.

Jak się dowiedzieć, gdzie przebywa Jessie? Teoretycznie jestem chora i mam zwidy, czy zatem powinnam zadawać sensowne pytania? Z pewnością wzbudzę podejrzenia. Ciekawe, czy wszystkie pokoje dla kobiet wyglądają

tak samo. Co się dzieje z pacjentkami, które są bardziej agresywne? Może więcej się dowiem nad ranem – uznałam.

W tej samej chwili na korytarzu rozległ się hałas. Kobiety rzuciły się do drzwi.

– Ustawić się w szeregu i trzymać ręce przy sobie! – wrzasnęła strażniczka.

Ruszyłyśmy korytarzem do dużej sali, w której stały długie stoły z ławkami po obydwu stronach. Wszędzie siedziały kobiety w identycznych szarych koszulkach. Trzymałam się swojej grupy. Na stole ustawiono miski wypełnione wodnistą zupą z kawałkami kapusty, przy każdej leżała gruba pajda chleba. Moje koleżanki z pokoju rzuciły się do wolnego stołu i natychmiast przystąpiły do jedzenia. Poszukałam wzrokiem łyżki, ale jej nie znalazłam. Najwyraźniej jadło się tu bez sztućców. Kobiety szybko wypily płyn, a teraz grzebały po dnie palcami. Podniosłam swój talerz do ust, ale natychmiast się oparzyłam. Dziewczyna siedząca naprzeciwko skorzystała z okazji i błyskawicznie wyrwała mi naczynie z rąk.

– Zostaw! – krzyknęłam, ale było za późno. W mgnieniu oka wlała sobie moją zupę do gardła.

– Nieładnie, Irmo – stwierdziła olbrzymka, a pozostałe parsknęły śmiechem. – Mówiłam jej, żeby szybko jadła – dodała pod moim adresem.

– Czy mogę poprosić o dokładkę? – spytałam.

– Jedna miska na pacjentkę. Takie są zasady – śmiały się kucharki.

– To niesprawiedliwe – odparłam, zapominając, że mam być zdezorientowaną królową.

– Jeszcze się nauczysz. A teraz lepiej pilnuj chleba, bo też ci zabiorą.

Wzięłam kęs. Był stary, spleśniały i posmarowany tak obrzydliwym masłem, że dostałam mdłości. Rozejrzałam się po sali. Mieściła około trzystu kobiet. Niektóre jadły jak zwierzęta, wydając dziwne odgłosy, ale były też takie, które siedziały spokojnie i w skupieniu kończyły posiłek. Najwyraźniej nie wszystkie są tak szalone jak moje współlokatorki – uznałam.

Rozległ się gwizdek. Kobiety wstały i strażnicy zaczęli wyprowadzać nas z jadalni. Wzrokiem szukałam w tym tłumie Jessie, ale nigdzie jej nie było. Nagle wybuchła bójka. Jakaś kobieta próbowała uciec, ale od razu obezwładniły ją dwie strażniczki. Wykręciły jej ręce do tyłu i rzuciły na

kolana.

– Przestańcie mnie traktować jak wariatkę! – krzyczała. – Jestem tak samo zdrowa jak wy. Rodzina mnie tu zamknęła, bo chciała się mnie pozbyć. Pozwólcie mi porozmawiać z lekarzem. Błagam was, muszę z kimś porozmawiać.

Nogi się pode mną ugięły, kiedy ją wyprowadzano.

Moja grupa pomaszerowała do łazienki, w której kazano nam umyć twarz i ręce oraz skorzystać z toalety. Okazało się, że na całą naszą gromadkę są tylko dwa szorstkie ręczniki, a niektóre kobiety miały na twarzach paskudne owrzodzenia. Zimna woda zupełnie mi nie przeszkadzała, ale wolałam się wytrzeć rękawem. Po myciu zabrano nas do dormitorium z długim rzędem żelaznych łóżek. Na każdym leżała szara koszula na zmianę. Przebrałyśmy się i położyłyśmy na szorstkich prześcieradłach. Było bardzo zimno. Dobry Boże, co ja zrobiłam? Zwinęłam się w kłębek i w końcu chyba zasnęłam, bo obudziło mnie szare światło. Z przerażeniem stwierdziłam, że mimo niskich temperatur na zewnątrz oba okna w pomieszczeniu były otwarte. Poderwał nas gwizdek. Te, które nie zareagowały natychmiast, zostały za nogi lub ręce ściągnięte na podłogę. Słysząc było przekleństwa i złorzeczenie. Znów zaprowadzono nas do łazienki, gdzie wszystkie zostałyśmy polane zimną wodą, a potem kazano nam się przebrać w koszulę dzienną. Dostałam taki sam strój jak cała reszta. Musiałyśmy grzecznie usiąść na skraju łóżek, a salowa zaczęła nas czesać. Kiedy przyszła na mnie kolej, ledwo powstrzymałam łzy. Szarpiąc i ciągnąc, kobieta zaplotła moje loki w warkocz.

– Nie rozpuszczaj włosów – powiedziała.

Na śniadanie każda dostała talerz owsianki, trzy suszone śliwki i kubek słabej herbaty. Tym razem nie dałam się przechytryć i oddałam jedynie śliwki. Herbata smakowała jak ciepła woda z dodatkiem mydła, a płatki owsiane były wyjątkowo nieapetyczną papką.

Po śniadaniu ustawiono nas w kolumnach i wyprowadzono na poranny spacer. Na twarzy poczułam rześki wiatr. Moją uwagę zwrócił ładnie zagospodarowany ogród, który latem był zapewne przyjemnym miejscem. W środku zimy nagie drzewa wyglądały jednak przygnębiająco. Spacerowałyśmy gęsiego, zgodnie ze wskazówkami zegara. Było nas teraz znacznie więcej. Nieopodal powstawał nowy pawilon – miał większe okna, nieokratowane. Nad drzwiami wisiała tablica z nazwą: INSTYTUT



## BADAWCZY.

Tak zajęłam się tym budynkiem, że o mały włos przegapiłabym Jessie, która maszerowała w tym samym kółku. Szła, patrząc tępo przed siebie, co rusz się potykając. Sprawiała wrażenie zaspanej. Kiedy się zrównaliśmy i nasze spojrzenia się spotkały, miałam wrażenie, że mnie rozpoznaje.

– Jessie – szepnęłam.

Podniosła wzrok. Czy ucieszyła się na mój widok? Równie dobrze może mnie traktować jak wroga – pomyślałam. W końcu wydałam ją oprawcom. Nie powinnam się dziwić, jeśli nie będzie chciała mieć ze mną nic wspólnego.

W końcu weszliśmy do środka. Miałam zdrętwiałe z zimna palce u nóg i czerwone od mrozu policzki. Kazano nam posprzątać dormitorium. Ścieliłyśmy łóżka, zamiatałyśmy i myłyśmy podłogi. Po jakimś czasie zabrano mnie do małego pokoju. Za stołem czekał młody lekarz.

– Doktor Field – przedstawił się. – Jak masz na imię?

Nagle przyszło mi do głowy, że może wszystkie chore, które nie mówią i nie reagują, umieszcza się w tym samym pokoju. Postanowiłam postawić wszystko na jedną kartę i zaczęłam wpatrywać się w niego tępych spojrzeniem.

– Nie chcesz mi nic powiedzieć?

Nie odezwałam się.

– Nie jesteś chyba księżniczką. Kim jesteś?

Dalej milczałam.

– Czy rozumiesz, co do ciebie mówię?

Cisza.

– Interesujące – stwierdził, zapisując coś na kartce papieru.

– Nie ma z nią kontaktu. Najwyraźniej się zamknęła. Spróbujemy porozmawiać kiedy indziej. Sostro, proszę ją zabrać na oddział doktora Meyera. To ciekawy przypadek, pewnie go zainteresuje.

Zupełnie nie wiedziałam, czy to dobrze, czy źle. Pozwoliłam się zaprowadzić do innego budynku. Przeszliśmy przez dziedziniec i potem kilka

kroków korytarzem. Pokój był ponury i zimny jak ta pierwsza cela, do której wczoraj trafiłam. Przywitał mnie głośny atak kaszlu.

– Nowa? – spytała mojego opiekuna pielęgniarka o kamiennej twarzy. – Agresywna?

– Dzisiaj nic nie mówi, a wczoraj miała urojenia. Doktor pomyślał, że Meyer zechce ją obejrzeć, jak wróci.

– W porządku. Zostaw ją tutaj. Nie stój tak – zwróciła się do mnie. – Znajdź sobie miejsce i siadaj.

Przeszłam przez pokój, nie wiedząc, co ze sobą zrobić, i nagle zobaczyłam Jessie. Zwinęła się w kącie, z głową ukrytą w dłoniach. Usiadłam obok. Ani drgnęła. Nagle do pokoju wszedł sanitariusz.

– Rodriguez! Lekarze chcą cię zbadać! – krzyknął.

Kiedy pielęgniarka ciągnęła po podłodze oszołomioną kobietę, skorzystałam z okazji i nachyliłam się nad Jessie.

– Jessie? – wyszeptałam. – To ja, Molly. Pamiętasz mnie?

Spojrzała na mnie niewidzącymi oczami, ale w pewnym momencie dostrzegłam w nich błysk. Czyżby mnie rozpoznała? Potem bezgłośnie powiedziała „nic nie wiedzą” i znów schowała głowę w dłoniach.

Nie ruszyłam się. Od czasu do czasu zerknęła w moją stronę. Bardzo chciałam z nią porozmawiać, uspokoić, lecz sroga strażniczka nie spuszczała nas z oczu. Czas włókł się niemiłosiernie, ale w końcu poszliśmy do jadalni, gdzie jak zwykle panowało zamieszanie, i mogłam wreszcie niezauważona podejść do Jessie.

– Jestem tu, bo chcę cię uratować – szepnęłam. – Zabiorę cię stąd, obiecuję.

Czułam jej przyspieszony oddech, więc uznałam, że słyszy mnie i rozumie. Niestety, rozdzielono nas i nie mogliśmy usiąść obok siebie. Na obiad był kawałek suchej gotowanej ryby i pół ziemniaka. Znów nie byłam w stanie tego przełknąć, ale przynajmniej nikt nie wyrywał mi talerza.

Po obiedzie wróciliśmy do pokoju. Niektóre pacjentki ucięły sobie popołudniową drzemkę, jak zwierzęta zwijając się w kłębek na podłodze lub na ławach. Nie miałyśmy nic do roboty, nic, czym można by zająć ręce lub

głowę. Pomyślałam, że każdy, kto tu trafi, i tak prędzej czy później zwariuje. Rozejrzałam się po pokoju, przyglądając się kobietom. Ile z nich było naprawdę niespełna rozumu, a ile trafiło na Ward's Island tylko dlatego, że z różnych powodów stały się niewygodne dla rodziny? Personel najwyraźniej o nic nie pytał, skoro Sycylijczycy bez problemu umieścili Jessie w tym przybytku. Mnie przecież też nikt nie zbadał – rozmyślałam.

Jessie spała lub tylko udawała, że śpi.

Nagle drzwi się otworzyły i do środka weszło dwóch sanitariuszy. Jeden trzymał dużą puszkę.

– Inspekcja wszy – wrzasnął. – Stanąć w szeregu. Dalej, szybko.

Strażniczka krzątała się, upychając nas w jednej linii. Stałam daleko od Jessie. Każdej z nas dokładnie obejrzano skórę głowy. Kobiety, które nie przeszły pomyślnie testu, skierowano do łazienki, gdzie ich włosy zostały potraktowane ciecżą z puszki. Kiedy mężczyźni podeszli do Jessie, z przerażeniem zobaczyłam, że jeden z nich wsuwa jej rękę pod koszulę. Odskokczyła przerażona, próbując strzepnąć z siebie dłoń mężczyzny. Sanitariusz tylko się zaśmiał i nadal dotykał jej piersi. Miał odrażającą twarz i niepełne uzębienie.

Zapomniałam, że nie powinnam się odzywać. Wskoczyłam z szeregu i w jednej sekundzie go dopadłam.

– Zostaw ją w spokoju, ty obleśny dziadu! – wrzasnęłam. – Zabieraj łapy.

Mężczyzna odwrócił się i z całej siły uderzył mnie w twarz. Upadłam. Cały personel natychmiast ruszył w moją stronę. Kiedy spróbowałam się bronić, przewrócili mnie na brzuch i wygięli ręce do tyłu. Poczułam, że ktoś siada mi okrakiem na plecach.

– Założymy jej kaftan. Zrobiła się agresywna – powiedziała kobieta.

– Puście ją! – usłyszałam i zobaczyłam, że to Jessie. Przemówiła! Szarpała za ubrania moich oprawców, usiłując ich odciągnąć.

Rozległ się gwizdek, a potem odgłos kroków na korytarzu. Ktoś obezwładnił Jessie, ktoś inny dociskał moją głowę do podłogi. Poczułam, jak podciąga mi rękaw i wbija w ramię strzykawkę. Pamiętam jeszcze ból i moment, kiedy wszystko zaczęło znikać, a w uszach słyszałam tylko szum. Potem zapadła ciemność.



Kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam nad sobą chropowaty sufit. Spróbowałam się podnieść, ale natychmiast poczułam mdłości. Rozejrzałam się dookoła. Cella była wyjątkowo mała i bez okna. Z sufitu zwisała żarówka elektryczna. W metalowych drzwiach znajdował się judasz dla strażnika, a oprócz pryczy, na której leżałam, w pomieszczeniu stało jedynie wepchnięte w kąt wiadro. Przypomniałam sobie noc, którą spędziłam kiedyś w więzieniu. To jest bardzo podobne miejsce – pomyślałam.

Znowu spróbowałam usiąść. Świat zawirował mi przed oczami. Jak długo tu jestem? Przypomniałam sobie ostatnie zdarzenia i zrozumiałam, że wszystko stracone. Ależ jestem nieroztropna! Mogłam siedzieć teraz w pokoju razem z Jessie, mając nadzieję, że doktor Meyer nas wysłucha... Zamiast tego na własne życzenie utknęłam w izolatce. Przestraszyłam się. Czy już nie minął umówiony z Elizabeth dzień? Może była tu, ale nic nie wskórała...

Chwiejnym krokiem podeszłam do okienka w drzwiach i wyjrzałam na pusty korytarz. Po drugiej stronie chyba też były izolatki. Siedziałam i czekałam. Nie potrafiłam ocenić, czy jest dzień, czy noc. Burczało mi w brzuchu, więc może minął już czas kolacji. Co się ze mną stanie? Czy będę miała okazję porozmawiać z kimś życzliwym, kto mnie wysłucha? W papierach figuruję teraz jako agresywna pacjentka. Co to zmienia? Będą mieli pretekst, żeby mnie zatrzymać... Co za idiotyczny pomysł! Daniel tyle razy mnie ostrzegał. Powtarzał, że za bardzo ryzykuję. Daniel... Czy jeszcze kiedykolwiek go zobaczę? Czy o mnie myśli? Strasznie za nim tęskniłam i marzyłam, by znaleźć się w jego ramionach. Akurat teraz wcale nie chciałam być silna i niezależna. Pragnęłam poczuć się bezpiecznie i być kochana. Jak stąd wyjść? Ciekawe, czy Elizabeth zwierzyła się z naszych planów Sid i Gus. Czy w obecnej sytuacji uda się jej zrealizować wcześniejszy plan?

Mijały godziny. W końcu drzwi się otworzyły i ktoś wsunął do celi tacę, a następnie szybko się wycofał. Znalazłam miskę zupy, kawałek szarego mięsa i grubą pajdę chleba. A więc jednak to nie śniadanie – pomyślałam. Obiad czy raczej kolacja? I którego dnia? Zamoczyłam chleb w zupie i zjadłam jedno i drugie, ale twardego mięsa nawet nie mogłam pogryźć.

Po jakimś czasie usłyszałam głosy na korytarzu, więc podbiegłam do drzwi. Dostrzegłam grupę mężczyzn w białych kitlach. Dwaj z nich byli zajęci ożywioną dyskusją. Ze zdziwieniem stwierdziłam, że widzę doktora Birnbauma.

– Doktorze! – krzyknęłam z całych sił, ale chyba mnie nie usłyszał. Najwyraźniej z innych pokoi dochodziły hałasy.

Złapałam tacę, której jeszcze nikt nie zdążył zabrać, i z całej siły walnęłam nią w drzwi.

– Doktorze, Birnbaum. To ja, Molly. Molly Murphy! Pomóż mi! Wyciągnij mnie stąd! – krzyczałam.

Nawet się nie odwrócił. Cała grupa ruszyła korytarzem i po chwili zniknęła mi z oczu.

Opadłam z powrotem na ławkę. Ogarnęła mnie czarna rozpacz. Danielu, ratuj – wyszeptałam. Musiałam się na chwilę zdrzemnąć, bo obudziło mnie szcęknięcie zasuw w drzwiach. Do celi weszło dwóch krzepkich strażników.

– Tylko spokojnie! Idziemy.

Wyciągnęli mnie na korytarz i poprowadzili w nieznanym kierunku. Mimo wszystko poczułam, że jest jakaś isierka nadziei. Może wreszcie przyjechała Elizabeth i wszystko będzie dobrze...

Przez podwójne drzwi weszliśmy do innego świata. Pachniał środkiem dezynfekującym, jak szpital. Było tu czysto i jasno. Weszliśmy do pomieszczenia, które wyglądało jak gabinet lekarski. Na środku stał stół do zabiegów, obok szafka ze sprzętem medycznym. Moją uwagę zwróciła ogromna, długa strzykawka. Strażnicy nadal trzymali mnie w mocnym uścisku; czułam, jak ich kciuki kaleczą mi ciało. Przez półotwarte drzwi, oddzielające nas od sąsiedniej sali, usłyszałam czyjś głos:

– Wiem, że to brzmi nedorzecznie i okropnie, ale przynosi niezwykle rezultaty. Wiele wskazuje na to, że zastrzyki z bakterią tyfusu działają lepiej niż wszystko inne. Następuje wielki wzrost gorączki, niektórzy umierają, ale reszta wydaje się trwale wyleczona.

– Interesujące – odparł drugi głos. – W istocie chciałbym być świadkiem tego eksperymentu.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł tęgi mężczyzna w białym kitlu.

– Oto i kolejna kandydatka do naszych małych badań – oznajmił jowialnie i wtedy zrozumiałam, do czego służy ta ogromna strzykawka.

Spróbowałam się oswobodzić.

– Proszę mnie wysłuchać. Błagam. Nie jestem szalona. Nellie Bly to potwierdzi. Już tu powinna być.

– *Gott im Himmel!* Panna Murphy? – usłyszałam nagle.

Pierwszy lekarz odsunął się zdziwiony. Za nim stał Birnbaum i wpatrywał się we mnie z niedowierzaniem.

– Panno Murphy! Co tu robisz? – zapytał.

– Dałam się zamknąć w tym miejscu, by uratować Jessie – powiedziałam, z trudem łapiąc powietrze. – W hotelu poinformowano mnie, że pan wyjechał, doktorze. Nie pozwolili mi jej stąd zabrać, więc postanowiłam zadziałać fortelem.

– *Fräulein!* Moja droga – odparł Birnbaum.

– Uważaj, doktorze. Jest niepoczytalna – oznajmił strażnik.

– Nic mi nie robi, kolego. Jest przy zdrowych zmysłach, tak samo jak ja czy ty. Ręczę za nią głową.

Mężczyźni wreszcie mnie puścili. Wkrótce siedziałam w gabinecie doktora Meyera, wyjaśniając ze szczegółami swoją obecność w szpitalu. Słuchając sama siebie, uznałam, że cała historia brzmi dość dziwnie. Dlaczego byłam tak niecierpliwa?

– Nie wiedziałam, na jak długo pan wyjechał, doktorze – zakończyłam bez przekonania.

– Więc wzięła panienska sprawy w swoje ręce.

– Z pomocą Nellie Bly.

– Nellie Bly?

– To słynna reporterka. Dała się kiedyś zamknąć w przytułku dla obłąkanych, gdzie prowadziła śledztwo dziennikarskie. Poprosiłam ją o pomoc. Umówiłyśmy się, że przyjedzie po mnie, ale zdarzyło się coś, co pokrzyżowało nasze plany. Znalazłam Jessie. Jeden ze strażników zaczął ją

napastować. Rzuciłam się na niego i wtedy dali mi jakiś zastrzyk. To ostatnia rzecz, jaką pamiętam.

– Więc i nasza dziewczyna tu jest? – ucieszył się Birnbaum. – Jak się miewa? Czy jej stan się polepszył?

– Mówi – odparłam. – I rozumie. Oczywiście nie miałam okazji z nią dłużej porozmawiać. Ona z kolei rzuciła się, by mnie bronić, więc podejrzewam, że również trafiła do izolatki.

– O kogo konkretnie chodzi? – zapytał drugi lekarz.

Birnbaum wyjaśnił i tamten wyszedł razem ze strażnikami.

– Nawet pan nie wie, doktorze, jak się cieszę, że pana widzę – oznajmiłam, kiedy zostaliśmy sami. – Byłam pewna, że wyjechał pan do Europy.

– Do Europy? Powiedziałem w hotelu, że wezwano mnie na kilka dni do szpitala. To wszystko. Doktor Meyer poprosił, bym asystował podczas eksperymentów.

– Czyżby pan tu był od kilku dni, doktorze? – spytałam i zaczęłam się śmiać.

Wkrótce potem przyprowadzono Jessie. Weszła przerażona, ale na nasz widok rozjaśniła się na twarzy. Przytuliłam ją. Zaczęła płakać. Stałyśmy przez chwilę w objęciach, szlochając.

– Jesteś teraz bezpieczna. Zabiorę cię do domu.

Widziałam, że nawet Birnbaum jest wzruszony.

Podczas podróży powrotnej na Manhattan traktowano nas po ludzku. Na brzegu wpadłam w ramiona bardzo zmartwionej Elizabeth.

– Molly, jak miło cię widzieć – ucieszyła się. – Poinformowano mnie, że zostałam zamknięta w izolatce i że nie wypuszczają agresywnych pacjentek. Miałam właśnie zamiar skrzyknąć znajomych dziennikarzy i pod eskortą policji wdrzeć się do szpitala. Uznałam, że nie ma innego wyjścia.

– Wszystko się dobrze skończyło – powiedziałam. – A to jest Jessie.

– Dziewczyna z zaspą? – Elizabeth się uśmiechnęła.

– Pamiętam – zaczęła powoli Jessie. – Był śnieg. Dużo śniegu. Cały świat był biały. Wyprowadziłaś mnie z tego śniegu.



– Co jeszcze pamiętasz? – spytałam.

– Nie za wiele. Brutalnych mężczyzn i jakieś okropne rzeczy. Wszystko rozmyte, jak w złym śnie. Pamiętam, że bardzo się bałam.

– Twoi oprawcy już siedzą w więzieniu – oznajmiłam.

– Kiedy zaczęłaś mówić? – zapytał doktor Birnbaum.

– Jak zobaczyłam znów tych ludzi. Wtedy poczułam, że mogę mówić. Wiedziałam, że są źli, i bardzo się ich bałam – odparła szeptem Jessie, jakby zdziwiona, że potrafi wydobyć z siebie głos. – Wiedziałam jednak, że jeśli chcę pozostać przy życiu, muszę udawać. Zamierzałam dojść do siebie, nabrać sił, a potem uciec. Ale oni stracili cierpliwość i postanowili mnie oddać do szpitala. Liczyli, że tam odzyskam pamięć. Już przestawałam w to wierzyć, ale na szczęście odnalazła mnie ta dama.

– Molly – odparłam. – Mam na imię Molly.

Wróciliśmy powozem do domu. Birnbaum zajął się Jessie, a ja przygotowałam smaczny posiłek.

– Czegoś nie rozumiem – zauważyłam, kiedy usiedliśmy do stołu. – Dlaczego chcieli, żeby wróciła ci pamięć? – zapytałam.

Zmarszczyła na chwilę brwi, po czym powiedziała powoli:

– Ponieważ tylko ja wiem, gdzie są zakopane łupy.

Następnego dnia udało się nam połączyć fakty.

– Po teatrze mieliście z Annie i Johnem Jacobem Halstedem pójść na kolację – podpowiedziałam, kiedy siedzieliśmy w salonie z Birnbaumem i Elizabeth.

– Annie? – Jessie zamknęła oczy i zauważyłam, że przeszył ją dreszcz. – Zabili Annie – oznajmiła w końcu.

– Wiem.

– Mnie by też zabili.

– Prawdopodobnie tak. Więc co się stało, kiedy dotarliście do rezydencji Silvertonów? Czy to pan Halsted wtargnął do środka i zabił lokaja? Czy Annie mu pomagała?

Ładne oczy Jessie otworzyły się szeroko ze zdumienia.

– To nie był JJ – powiedziała. – JJ zatrzymał samochód przed bramą i wysiadł, żeby ją otworzyć. Nagle na przednie siedzenie wskoczył jakiś człowiek i przystawił Annie broń do skroni. Groził, że nas zabije, jeśli JJ go nie posłucha. Miał ze sobą wielki worek. Halsted zrobił to, co tamten mu kazał, i szybko odjechaliśmy spod rezydencji. Zatrzymaliśmy się na skraju lasu. Kazał nam wysiąść, odgarnąć śnieg, ukryć worek i zakryć gałęziami, a następnie przysypać wszystko śniegiem. Kiedy skończyliśmy, zwrócił się do Halsteda: „Już nie jesteś mi potrzebny”, i go zastrzelił. Tak po prostu zastrzelił – opowiadała Jessie, a głos jej się trząsał i łzy spływały po policzkach. – Musiałyśmy z Annie zakopać ciało i przysypać grób śniegiem. Następnie kazał nam z powrotem wsiąść do samochodu. Przez cały czas trzymał pistolet na przednim siedzeniu.

Elizabeth położyła dłoń na ramieniu Jessie.

– Nie musisz jeszcze raz przez to przechodzić. Dość się nacierpiałaś.

– Nie, chcę wam to opowiedzieć – uparła się Jessie. – Kiedy przyjechaliśmy do miasta, znalazł gospodę. Zabrał nas ze sobą. Cały czas trzymał pistolet wycelowany w Annie. Straszyl, że jeśli wydamy choćby jeden dźwięk, zastrzeli nas obie. Wiedziałyśmy, że nie żartuje. W gospodzie znalazł telefon i do kogoś zadzwonił.

– W jakim języku mówił? – zapytałam. – Po angielsku?

– Jego angielski nie był zbyt dobry – odparła. – Chyba mówił po włosku. Potem znów wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy bardzo szybko w kierunku Nowego Jorku. Na oblodzonym zakręcie stracił panowanie nad kierownicą i uderzył w drzewo. Wypadłam z auta i straciłam przytomność.

Przerwała. Podałam jej szklankę wody.

– Teraz będzie najgorsza część – oświadczyła. – Kiedy doszłam do siebie, leżałam w ciemnościach na ziemi. Odwróciłam się i zobaczyłam Annie. Bardzo cierpiała. Kierowca został na przednim siedzeniu w samochodzie i wyglądał, jakby był martwy. Myślałam, żeby iść po pomoc, ale Annie nie chciała mnie puścić. Bała się zostać sama. Uznałyśmy, że zaraz ktoś nadjedzie. Po pewnym czasie usłyszałyśmy, że zbliża się jakiś samochód. Wstałam i zaczęłam machać rękami. Zatrzymał się i wysiadło trzech mężczyzn. Na widok rozbitego auta zaczęli krzyczeć. Jeden zapytał, co się

stało, i opowiedziałam mu wszystko po kolei. Przez chwilę się naradzali, a potem wrzucili naszego martwego kierowcę do bagażnika. Zauważyli Annie, która nie była w stanie się ruszyć. Błagałam, żeby jej pomogli i zabrali nas do szpitala. Wiecie, co zrobili? Jeden wyjął pistolet i ją zastrzelił. Rozległ się straszny huk. Annie nie żyła. Zaczęłam uciekać, ale strzelali za mną i byłam pewna, że to już koniec. Dogonili mnie i wepchnęli do samochodu, a obok posadzili martwą Annie. Kiedy dojechaliśmy do rzeki, zatrzymali się i wrzucili jej ciało do wody. Potem ruszyliśmy dalej. – Jessie zrobiła pauzę i podniosła na mnie zrozpaczone oczy.

Wzięłam ją za rękę.

– Wspomnienia się zacierają – powiedziała. – Pamiętam, że przejechaliśmy przez most i wiedziałam, że muszę uciec. Wyskoczyłam i zaczęłam biec. Co się stało dalej, nie pamiętam.

Kiedy w końcu udało nam się uspokoić Jessie, napisałam wiadomość do Sabelli Goodwin i poprosiłam panią Tucker, by znów przyjęła posadę pielęgniarki. Po tym wszystkim, co przeszłam, nie czułam się jeszcze na siłach stawić czoła pannie Van Woekem i przekazać jej złych wieści. Pani Tucker zaproponowała, że na okres rekonwalescencji zabierze Jessie do siebie.

– W domu mam wszystko, czego nam teraz potrzeba, a zwłaszcza idealnie wyposażoną kuchnię – zauważyła. – Ta młoda dama musi się dobrze odżywiać.

Pomyślałam, że to wspaniały pomysł. Włosi mogą mnie przecież odwiedzić w każdej chwili, kiedy się dowiedzą, że Jessie zniknęła ze szpitala.

– A co potem? Gdzie się potem podzieję? – zapytała. – Nie mogę wrócić do New Haven. To ponad moje siły.

– Nie martwmy się na zapas – zauważyła pani Tucker. – Jedyne, co musimy teraz zrobić, to cię utuczyć.

– Nie będę mogła tańczyć, jeśli mnie utuczycie. – Jessie uśmiechnęła się słabo.

– Jeśli chcesz wrócić do teatru – powiedziałam – znam odpowiednią osobę, która może ci pomóc. Blanche Lovejoy jest mi winna przysługę.

Mówiąc to, zdałam sobie sprawę, że opiekunka Blanche, stara Martha,

popęłniła morderstwo. Powinnam się dowiedzieć, czy złożyła zeznania na policji. Zbrodnia nie powinna jej ujść na sucho – pomyślałam.

Popołudniowa poczta przysłała akurat wtedy, kiedy Jessie i pani Tucker zbierały się do wyjścia. Jeden list był od Blanche Lovejoy, drugi od Daniela. Wreszcie coś napisał – pomyślałam ze złością i najpierw rozerwałam pierwszą kopertę. Był w niej czek i karteczka z podziękowaniem za moje usługi. Na dole, w postscriptum, Blanche napisała małymi literami: *Wczoraj wieczorem Martha odebrała sobie życie.*

Złożyła ostateczną ofiarę dla kobiety, którą tak bardzo kochała.

Zerknęłam niechętnie na list od Daniela. Właściwie wcale nie miałam ochoty go czytać, ale ciekawość wzięła górę.

*Droga Molly!*

*Proszę, wybaczyć długie milczenie. Podjąłem dobrą decyzję, jadąc do domu w zeszłym tygodniu. Stan mojego ojca znacznie się pogorszył i przez ostatnie dni nie było poprawy. Odszedł wczoraj w nocy. Na szczęście spokojnie. Jestem wdzięczny losowi, że mogłem przy nim być do ostatniej chwili. Pogrzeb odbędzie się w sobotę.*

*W związku z tym mam do Ciebie prośbę. Wiem, jak bardzo jesteś zajęta, ale chciałbym, żebyś była na uroczystości. Żałuję, że nie zdążyłem Cię przedstawić swojemu tacie, dlatego zależy mi, żebyś przynajmniej uczestniczyła w pożegnaniu.*

*Daj mi znać, którym pociągami przyjedziesz, a wyjadę na stację.*

*Całuję*

*Daniel*

Przez dłuższą chwilę wpatrywałam się w list i zupełnie nie wiedziałam, co myśleć. Targały mną sprzeczne emocje. Przede wszystkim miałam wyrzuty sumienia. Podejrzewałam Daniela o niskie pobudki, o to, że wizyta u rodziców była jedynie pretekstem, by nie iść ze mną na przyjęcie do Sid

i Gus. A przecież chodziło o ciężki stan ojca... Teraz zaś pragnie, żebym przyjechała. Jeśli pojedę, umocnię swoją pozycję narzeczonej i poniekąd powiem „tak”.

Myślę tylko o sobie! Daniel mnie potrzebuje, jest w żałobie. Przypomniałam sobie pustkę, której doświadczyłam, kiedy zginął mój brat. Ta przytłaczająca świadomość, że już nigdy go nie zobaczę, była nie do zniesienia. Powinnam wspierać Daniela! Chcę z nim być. Dobrze jest dzielić się z kimś radością i smutkiem. Niech sprawy biegną swoim torem, a przyszłości i tak nie jesteśmy w stanie teraz przewidzieć – uznałam.

Popatrzyłam na Jessie i panią Tucker.

– Czy na pewno mogę zostawić Jessie pod pani opieką? – zapytałam. – Właśnie się okazało, że muszę na jakiś czas wyjechać.

– Damy sobie radę – powiedziała pani Tucker. – Niczym się nie przejmuj.

Przynajmniej jedna sprawa dobrze się zakończyła – pomyślałam, zamykając za nimi drzwi.

## POSTSCRIPTUM

*Nowy Rok, 1903*

Ciało JJ Halsteda odnaleziono daleko w lesie. Skradzione z rezydencji przedmioty zostały zakopane w pobliżu – parę sztuk srebra i trochę klejnotów. Trzy osoby zginęły z powodu srebrnych drobiazgów. Czwarta ledwo uszła z życiem. Ale przynajmniej panna Van Woekem mogła spać spokojnie – jej siostrzeniec odszedł, nie przynosząc rodzinie hańby.

Przedstawiłam Jessie Blanche Lovejoy. Na wiadomość, że dziewczyna jest sierotą z Massachusetts, Blanche zaświeciły się oczy. Mało prawdopodobne, żeby była jej córką, ale przecież cuda się zdarzają. Blanche bardzo chciała w to uwierzyć i wzięła Jessie pod swoje skrzydła. Kolejne szczęśliwe zakończenie.

A Daniel? No cóż, święta Bożego Narodzenia spędziłam w Westchester. Pani Sullivan przyjęła mnie bardzo dobrze, traktując jak córkę, której nigdy nie miała. Moja mama umarła, kiedy miałam czternaście lat, więc teraz cieszyłam się bliskością i ciepłem życia rodzinnego. Nowy Rok przyniósł nową nadzieję. W pierwszym tygodniu stycznia miała nastąpić zmiana na stanowisku komendanta policji. Wszyscy liczyliśmy na to, że Daniel wreszcie wróci do pracy. A potem? Kto wie? Może pewnego dnia nasza historia też będzie miała swój radosny finał.

## PRZYPISY

[1] Nellie Bly (1864–1922) – amerykańska dziennikarka śledcza. W roku 1888 na własne życzenie trafiła do zakładu psychiatrycznego dla kobiet na Blackwell’s Island, aby potem opisać panujące w tym miejscu warunki.

[2] Currier and Ives – popularna na przełomie XIX i XX wieku firma graficzna, produkująca odbitki obrazów w formie ręcznie kolorowanych litografii.

[3] Wilkins Micawber – jeden z bohaterów powieści *Dawid Copperfield* Karola Dickensa.

Nakładem wydawnictwa Noir sur Blanc ukazały się następujące powieści  
Rhys Bowen:

PRAWO PANNY MURPHY  
*2013*

ŚMIERĆ DETEKTYWA  
*2013*

DO GROBOWEJ DESKI  
*2014*

PIENIĄDZE TO NIE WSZYSTKO  
*2015*

O MÓJ UKOCHANY!  
*2016*

DUBLIN, MOJA MIŁOŚĆ  
*2017*